

Frederick Forsyth

Mściciel

Avenger

Przełożyli: Jacek Manicki,

Witold Nowakowski



Wydanie oryginalne: 2003

Wydanie polskie: 2004

*Szczurom Tunelowym:
Zrobiliście to, chłopcy,
na co ja nigdy nie miałbym odwagi.*

Wstęp

Zbrodnia

Siódmy raz młody Amerykanin wylądował w kloacznym dole. Chwilę walczył, potem utonął, od stóp do głów oblepiony łajnem.

Tamci odłożyli drągi, usiedli na trawie, pośmieli się i zapalili. Potem wykończyli drogiego wolontariusza i sześć sierot. Zabrali furgonetkę ze znakami akcji humanitarnej i wrócili na przełęcz.

Stało się to piętnastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

Część 1

Rozdział 1

Robotnik

Samotny biegacz dotarł do pagórka i znów rozpoczął walkę z bólem. Była to zarazem tortura i terapia. Dlatego biegł dalej.

Bez przerwy słyszał od znajomych, że triathlon jest najcięższą ze wszystkich dyscyplin. Brutalną i bezwzględną. Wprawdzie dziesięcioboista musi więcej umieć, a pchnięcie kulą wymaga o wiele większej siły, lecz tylko triathlon sprawdza ludzką wytrzymałość i odporność na ból i zmęczenie.

Biegacz z New Jersey, tak jak co dzień, rozpoczął trening już przed świtem. Najpierw pojechał aż nad jezioro. Po drodze zdjął rower z paki i przywiązał go łańcuchem do drzewa. Tak na wszelki wypadek, żeby nie ukradli. Dwie minuty po piątej rano włączył stoper, obciągnął mankiet neoprenowej pianki i zanurzył się w lodowatej wodzie.

Trenował triathlon olimpijski, czyli taki, w którym długość etapu mierzona jest w metrach. Tysiąc pięćset metrów pływania to prawie cholerna mila. Wyszedł na brzeg, szybko zrzucił piankę i został tylko w szortach i koszulce. Wsiadł na wyścigówkę i odjechał. Czterdzieści kilometrów spędził pochylony nisko nad kierownicą, pedałując jak na finiszu. Już dawno zmierzył trasę na jeziorze i wiedział, do którego drzewa płynąć. Po godzinie jazdy bocznymi drogami w oznaczonym miejscu pozostawił rower i rzucił się do biegu. Ostatni etap liczył dziesięć kilometrów. Końcówka zaczynała się przed wiejską bramą. O, właśnie minął ją przed chwilą. Ostatnie dwa tysiące metrów miał pod górę. Żadnej litości dla organizmu, żadnego odpoczynku.

Bardzo bolało, choćby dlatego, że wciąż forsował różne grupy mięśni. Ani kolarz, ani maratończyk nie potrzebują silnych ramion i piersi pływaka. Dla nich to tylko zbędny balast.

Z kolei szybkie ruchy nóg cyklisty są całkiem odmienne od rytmicznych kroków długodystansowca. Tu przydają się zgoła inne ścięgna i mięśnie. Nawet tempo, choć też równomierne, nie przystaje jedno do drugiego. Triathlonista musi być wszechstronny – to na dobrą sprawę trzech dobrych sportowców w jednym.

Dla dwudziestopięciolatka to prawdziwy koszmar. Pięćdziesięciolatek powinno się wyrzucać z trasy, z powołaniem na przepisy konwencji genewskiej. A nasz biegacz właśnie w styczniu miał pięćdziesiąte pierwsze urodziny. Rzucił okiem na zegarek i aż jęknął w duchu. Niedobrze. Kilka minut poniżej najlepszego czasu. Spiał się w sobie, żeby stoczyć końcowy pojedynek z wrogiem.

Olimpijczycy starają się dotrzeć do mety w dwie godziny i dwadzieścia minut. On to robił w dwie i pół godziny. Teraz jednak czas uciekał, a do celu pozostały wciąż dwa kilometry.

Za zakrętem autostrady numer trzydzieści widać było pierwsze domy. Stara wieś Pennington pamiętała czasy jeszcze sprzed wojny o niepodległość. Ciągnęła się po obu stronach szosy odbijającej w bok od międzystanowej dziewięćdziesiątej piątej, prowadzącej z Nowego Jorku do Delaware, Pensylwanii i Waszyngtonu. We wsi autostrada nosiła miano Głównej.

Pennington nie wyróżniała się niczym szczególnym spośród miliona innych schludnych, zadbanych i przyjaznych osad, które wciąż stanowią ciche i niedoceniane serce Ameryki. W samym środku Główna krzyżowała się z West Delaware. Wokół było kilka kościołów trzech różnych wyznań, bank First National i parę sklepów. Przy alejkach, w cieniu gałęzi, drzemały domy.

Biegacz zmierzał w stronę skrzyżowania. Zostało mu pół kilometra. Jeszcze za wcześnie, aby wstąpić na kawę do Cup of Joe Lib na śniadanie do Vito's Pizza. Zresztą, nawet gdyby były otwarte, to i tak by się nie zatrzymał.

Na południe od skrzyżowania minął biały niebrzydki domek z okresu, wojny secesyjnej, z błyszczącą tabliczką przy drzwiach z nazwiskiem prawnika, niejakiego Calvina Dextera. To były jego drzwi, jego wizytówka i jego praktyka – wyjąwszy chwile, gdy wyjeżdżał, by zająć się czymś innym. Klienci i sąsiedzi przywykli do tego, że czasami robił sobie krótki urlop i jechał na ryby. Nikt nie wiedział, że w Nowym Jorku nosił inne nazwisko i miał inne mieszkanie.

Na obolałych nogach pokonał pięćset metrów dzielących go od zakrętu Chesapeake Drive na południowym końcu osady. Tu mieszkał i tu kończyła się jego golgota. Zwolnił, zatrzymał się i nisko zwiesił głowę. Oparł się ręką o drzewo i dyszał przez dłuższą chwilę. Dwie godziny trzydzieści sześć minut. Daleko od rekordu. Z drugiej strony, w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów na pewno nie było nikogo, kto w jego wieku dokonałby takiego wyczynu. To zupełnie nieważne. Liczył się tylko ból, przywoływany po to, by stłumić zapiekłe, podstępne cierpienie. Ale ono nie chciało zniknąć. Bolało gorzej – tak jak tylko może boleć strata miłości, rodziny i dziecka. O tym nigdy nie mówił znajomym, którzy z uśmiechem kręcili głowami, podziwiając jego sprawność fizyczną.

Skręcił w swoją uliczkę i powoli przeszedł dwieście metrów. W oddali zobaczył młodego gazeciarza, który w tej chwili rzucił grubą paczkę gazet na jego werandę. Chłopak pomachał mu w przelocie i pomknął na rowerze dalej. Cal Dexter uniósł rękę w odpowiedzi.

Później miał zamiar wyprowadzić skuter i wrócić po furgonetkę. Rower zabierał w drodze do domu. Kładł go na pakę, koło skutera. Wpierw jednak musiał się wykapać, zjeść kilka zdrowych „dopalaczy” i wypić sok pomarańczowy.

Podniósł ze schodów plik porannych gazet, rozerwał opaskę i przebiegł wzrokiem po tytułach. Tak jak się spodziewał, był to niedzielny numer „New York Timesa”. Zaprenumerował go już bardzo dawno. Kawał lektury. Z najobszerniejszym działem „prywatnych” ogłoszeń.

Calvin Dexter, żyłasty, jasnowłosy i miło uśmiechnięty prawnik z Pennington w New Jersey nie urodził się do takich rzeczy. Nic tu się nie zgadzało, z wyjątkiem nazwy stanu.

Począł się w slumsach Newarku, wśród szczurów i karaluchów. Przyszedł na świat w styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, jako syn murarza i kelnerki z miejscowego baru. Jego rodzice, posłuszni ówczesnym moralnym nakazom, pobrali się, kiedy wyszły na jaw skutki ich spotkania na małej potańcówce suto zakrapianej podłym bimbrem. Ale Calvin początkowo nic o tym nie wiedział.

Dzieci nigdy nie wiedzą, skąd i po co się biorą. Z biegiem czasu poznają prawdę, choć nieraz w przykry sposób.

Ojciec – przynajmniej jego zdaniem – wcale nie był taki najgorszy. Po Pearl Harbor zgłosił się na ochotnika do wojska, lecz jako wykwalifikowany murarz okazał się potrzebniejszy w kraju, gdzie, wskutek wojny, w samym tylko New Jersey budowano tysiące nowych fabryk, biur i stocznii.

Był twardzielem o mocnych pięściach. Pięść bowiem wśród robotników stanowiła najwyższe prawo. Starał się żyć prosto i w miarę uczciwie; każdą wypłatę w całości przynosił do domu i wychowywał syna w miłości do Sztandaru, Konstytucji i Joego DiMaggio.

Po zakończeniu wojny koreańskiej pracy zaczęło ubywać. Wokół szerzyła się korupcja, a związki zawodowe jęczały w rękach mafii.

Calvin miał pięć lat, kiedy odeszła od nich matka. Był jeszcze za mały, aby ją zrozumieć. Nie miał pojęcia, że małżeństwo nie może istnieć bez miłości, i z filozoficzną flegmą, właściwą dzieciom w jego wieku, wierzył, że dorośli bez przerwy się kłócą. Nic nie wiedział o domokrażcy, który jej obiecał lepsze życie i nowe ciuchy. Słyszał tylko, że „wyjechała”.

Ojciec co wieczór wracał prosto z pracy, by się nim opiekować, i wieczorami, zamiast wpaść na piwo z kilkoma przyjaciółmi, tępym wzrokiem patrzył w telewizję. Calvin dopiero jako nastolatek dowiedział się, że matka – sama z kolei porzucona przez komiwojażera – usiłowała wrócić. Zły i rozgoryczony ojciec nie pozwolił jej na to.

Dwa lata później wpadł na pomysł, jak za jednym zamachem rozwiązać problemy z mieszkaniem i pracą. Zabrał syna, kupił starą przyczepę kempingową i wyprowadził się z rudery, w której mieszkał w Newark. Od tamtej pory Calvin przez dziesięć lat zwiedzał Amerykę.

Ojciec przerzucał się z budowy na budowę, a syn ciągle zmieniał szkoły. Spali w

przyczepie. Były to czasy Elvisa Presleya, Dela Shannona, Roya Orbisona i Beatlesów, z kraju, o którym Cal nigdy przedtem nie słyszał. Były to czasy Kennedy'ego, „zimnej wojny” i Wietnamu.

Praca była, ale się kończyła i musieli ruszać w dalszą drogę. Wędrowali po północnych miastach: East Orange, Union i Elizabeth. Potem znaleźli się w Nowym Brunszwiku i Trenton. Przez jakiś czas mieszkali w Pine Barrens, gdzie Dexter senior na chwilę został nawet majstrem. A później pociągnęli na południe, do Atlantic City. Między ósmym a szesnastym rokiem życia Cal uczęszczał do dziewięciu szkół. Jego wiedzę dałoby się zmieścić na znaczku pocztowym.

Poznał za to życie od nieco innej strony. Był cwany i zadziorny. Obronną ręką wyszedł z niejednej bijatyki. Wzrostem wdał się raczej w matkę – miał metr siedemdziesiąt. Brakowało mu też postury i wagi ojca. A jednak w szczupłym ciele kryła się wytrwałość i niespożyta wręcz energia. Potrafił przywalić. Pewnego razu na jarmarku stanął do walki z zawodowcem, szybko rozłożył go na deskach i zgarnął dwadzieścia dolarów.

Chwilę później podszedł do nich jakiś facet cuchnący tanią brylantyną i zaproponował ojcu, że chętnie weźmie chłopaka do klubu i wyszkoli go na boksera. Lecz musieli znów wyjechać, do następnej pracy.

Nie było mowy o kieszonkowym ani wakacjach. W czasie wolnym od szkolnych zajęć Cal chodził z ojcem na budowę. Tam robił kawę, miał się różnych zajęć i pełnił funkcję gońca. Właśnie przy jednej z takich okazji poznał pewnego człowieka, który powiedział mu, że mógłby zarobić trochę grosza, roznosząc „listy” pod wskazane adresy w Atlantic City. Oczywiście, dodał ów dobroczyńca, nikomu ani słowa. Tak właśnie, latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, Cal stał się pomocnikiem bukmachera.

Sprytny chłopak umiał się znaleźć nieomal w każdej sytuacji. Po cichu wkradł się do kina i chłonał wygłodniałym wzrokiem cuda „made in Hollywood”: grmiące westerny, błyszczące feerią barw musicale i zwariowane komedie Martina i Lewisa.

A w telewizji widział w reklamach przeczyste kuchnie, błyszczące chromem, i uśmiechniętych, szczęśliwych ludzi, którzy wyraźnie się kochali. Zerkał na kabriolety i połyskliwe, długie limuzyny na plakatach wiszących koło autostrady.

Nic nie miał przeciw budowlańcom. Fakt, byli prości i mrukliwi, ale przeważnie traktowali go jak swojaka. Na rusztowaniu nosił kask, tak jak oni, i nie zaprzeczał, że kiedyś pójdzie w ślady ojca. W głębi serca ukrywał jednak całkiem inne plany. Nie zamierzał ciągle żyć w huku młota pneumatycznego i chmurze duszącego pyłu z betoniarki.

Potem jednak przyszło mu do głowy, że w zasadzie to nie ma nic, co mógłby zaoferować w zamian za wygody i dużo lepszą pensję. Myślał o filmie, ale wydawało mu się, że wszyscy gwiazdorzcy srebrnego ekranu są dużo wyżsi niż metr siedemdziesiąt. Skąd mógł wiedzieć, że to nieprawda? O aktorstwie napomknął wyłącznie dlatego, że w oczach pewnej młodej barmanki był nieco podobny do Jamesa Deana. Kiedy powiedział o tym na budowie, cała

brygada ryknęła zgodnym śmiechem, więc porzucił ten pomysł.

Dla dzieciaków z ulicy sport był najpewniejszą drogą, do pieniędzy i sławy. Cal jednak za krótko przebywał w każdej szkole, by na stałe załapać się do jakiejś drużyny.

Nie miał więc wykształcenia ani kwalifikacji. Mógł zatem zostać najwyżej kelnerem, boyem hotelowym lub pomocnikiem na stacji napraw. Albo dostawcą. Żadne z tych zajęć nie było lepsze niż praca na budowie. Ciężka harówka i ryzyko sprawiały nawet, że tu zarobiłby pewnie więcej.

Alternatywą była zbrodnia. W całym New Jersey nikt wychowany w dokach i na budowach nie mógł udawać, że nie dostrzega, co mafia daje swoim ludziom. Duże mieszkania, szybkie kobiety i jeszcze szybsze samochody... Chodziły słuchy, że rzadko który gangster trafia do pułki. Cal wprawdzie nie był z pochodzenia Włochem, więc nie zaliczał się do arystokracji, lecz słyszał nieraz o swoich ziomkach wiodących całkiem znośne życie.

Jako siedemnastolatek ukończył szkołę i następnego dnia po rozdaniu świadectw zjawił się na budowie ojca, na przedmieściach Princeton. Miesiąc później zachorował kierowca spychacza. Nie miał go kto zastąpić. Nie było specjalisty. Cal rozejrzał się po szoferce i pokiwał głową.

– Ja to zrobię – powiedział.

Majster skrzywił się z powątpiewaniem. Znał przepisy. Wiedział, że w razie jakiejś inspekcji to on pierwszy się pożegna z pracą. Ale z drugiej strony, robota stała w miejscu, ze względu na zwały ziemi.

– Od cholery tu różnych dźwigni... – bąknął.

– Dam sobie radę – odparł chłopak.

Dwadzieścia minut później już wiedział, co do czego służy. Góra ziemi zniknęła. To oznaczało premię, lecz nie było początkiem prawdziwej kariery.

W styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku Cal skończył osiemnaście lat. W tym samym czasie Wietkong rozpoczął ofensywę Tet. Cal siedział w barze w Princeton i oglądał dziennik. W przerwie na reklamy puścili krótki filmik zachęcający młodych ludzi do wstąpienia w szeregi armii. „U nas zdobędziesz wykształcenie i przyzwoitą pracę”, brzmiało końcowe hasło. Następnego dnia Cal stawiał się w biurze werbunkowym US Army w Princeton.

– Chcę się zaciągnąć do wojska – powiedział.

W tamtych latach każdy młody Amerykanin, któremu nie dopisało szczęście, mógł po dojrzeniu do pełnoletności otrzymać kartę powołania. I niemal każdy nastolatek, wespół z rodzicami, robił wszystko, aby wykręcić się od służby. Starszy sierżant siedzący za biurkiem wyciągnął rękę po kartę.

– Nie mam – odparł Cal Dexter. – Jestem ochotnikiem.

To wzbudziło powszechną uwagę. Sierżant podał mu jakiś formularz. Wciąż patrzył Calowi w oczy, niczym kuna w obawie przed utratą królika.

– To świetnie... chłopcze. Będą z ciebie ludzie. Chcesz dobrej rady od starego wygi?

– Jasne.

– Zaciągnij się nie na dwa, ale na trzy lata. Będziesz miał szansę na lepszy przydział i nawet na szybszy awans. – Pochylił się, jakby chciał mu zdradzić państwową tajemnicę. – Może nawet unikniesz wyjazdu do Wietnamu.

– Ale ja chcę jechać do Wietnamu! – zaperzył się młodzieniec w poplamionym drelichu. Sierżant przemyślał to przez chwilę.

– Dobrze – mruknął pod nosem, jakby chciał powiedzieć: *De gustibus...* Zamiast tego zaczął namaszczone tonem: – Podnieś prawą rękę...

* * *

Trzydzieści trzy lata później były murarz wycisnął cztery pomarańcze, energicznie potarł rękami mokre włosy, zabrał ze stołu szklankę z sokiem i plik gazet i wyszedł z kuchni do pokoju.

Pobieżnie przejrzał lokalne wiadomości i doniesienia z Waszyngtonu, zerknął do „New York Timesa” i wziął do ręki czasopismo dla fanów awiacji. Od tego powinien zacząć.

„Vintage Airplane” nie miało dużego nakładu. W Pennington było do nabycia tylko dla prenumeratorów. Kupowali je przede wszystkim miłośnicy starych samolotów, jeszcze z drugiej wojny światowej. Cal spojrzął na drobne ogłoszenia w dziale „kupię” – i nagle zamarł. Ostrożnie odstawił szklankę na stół i jeszcze raz przeczytał dwie linijki tekstu. Ogłoszenie brzmiało:

„AVENGER¹ poszukiwany. Tylko poważne oferty. Cena nie gra roli. Czekam na telefon”.

Nikt na pewno nie miał na sprzedaż wielozadaniowego bombowca pokładowego Grumman Avenger z czasów wojny na Pacyfiku. Były tylko w muzeach. Ktoś podał szyfr wywołania. Pod spodem widniał jakiś numer, najprawdopodobniej telefonu komórkowego.

Działo się to trzynastego maja dwa tysiące pierwszego roku.

1* avenger (ang.) - mściciel.

Rozdział 2

Ofiara

Ricky Colenso nie po to przyszedł na świat dwadzieścia lat temu, żeby teraz umrzeć w zapadłej bośniackiej dziurze. Urodził się, by skończyć studia i na stałe pozostać w Stanach, ożenić się, mieć kilkoro dzieci i żyć spokojnym i szczęśliwym życiem w wolnym kraju. Wszystko wyszło na opak, bo miał za miękkie serce.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku młody i zdolny matematyk Adrian Colenso objął katedrę na Uniwersytecie Georgetown, na przedmieściach Waszyngtonu. Liczył sobie wówczas dwadzieścia pięć lat, więc był cholernie młody na takie zaszczyty.

Trzy lata później zjawił się z wykładem na zjeździe w Toronto, w sąsiedniej Kanadzie. Wśród słuchaczy siedziała powabna osóbką, która chyba niewiele rozumiała z tego, co do niej mówił. Nazywała się Annie Edmond. Spodobał jej się pan profesor, więc z pomocą bliskich przyjaciół namówiła go na randkę w ciemno.

Zdziwiła się, kiedy Colenso wyznał, że nigdy w życiu nie słyszał słowa o jej ojcu. Dotychczas wciąż się opędzała od łowców posagów. A w drodze do hotelu stwierdziła ponadto, że poza dużą wiedzą o rachunku kwantowym Adrian potrafił także namiętnie całować.

Tydzień później wyjechał z powrotem do Waszyngtonu. Panna Edmond postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Zrezygnowała z pracy, w mig załatwiła sobie posadę w kanadyjskim konsulacie, wynajęła mieszkanie tuż przy Wisconsin Avenue i przyleciała z dziesięcioma walizkami. Dwa miesiące później wyszła za Adriana. Ślub stał się pewnym wydarzeniem w Windsorze, w Ontario, a młoda para spędziła miesiąc miodowy w Caneel Bay, na amerykańskich Wyspach Dziewiczych.

W ślubnym prezencie ojciec panny młodej kupił im posiadłość przy Foxhall Road, w pobliżu Nebraska Avenue, jednej z najbardziej „wiejskich”, a przez to i najdroższych części Georgetown. Dom był z basenem i kortem tenisowym, a wokół niego rozciągało się prawie pół hektara lasu. Majątek żony szedł na utrzymanie, a na resztę – zarobki męża. W zasadzie

nic nie zakłócało rodzinnego szczęścia.

Richard Eric Steven urodził się w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Rodzice wołali na niego „Ricky”. Dorastał jak miliony innych Amerykanów, kochany i w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Robił to, co robili niemal wszyscy chłopcy: wakacje spędzał na obozach i przeżywał emocje związane z dziewczętami i jazdą sportowym wozem. Czasami ślęczał nad podręcznikiem i bał się egzaminów.

Nie był tak mądry jak jego ojciec, lecz nie należał także do tępaków. Po ojcu odziedziczył uwodzicielski uśmiech, urodę raczej po matce. Wszyscy chwalili go za uczynność, nie zdarzyło się, by komuś odmówił pomocy. Ale do Bośni jechać nie powinien.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku ukończył szkołę średnią i dostał się na Harvard. Zimą obejrzał w telewizji wstrząsający program o czystkach etnicznych i nędzy uchodźców w jakimś odległym kraju noszącym nazwę Bośnia. Postanowił im jakoś pomóc.

Matka błagała go, żeby został w Stanach. Tu także miałby niejedną okazję, żeby dać upust swoim altruistycznym skłonnościom. Lecz w nim wciąż tkwił widok zrujnowanych wiosek, płaczących dzieci i rozpaczliwie pustych spojrzeń uchodźców. Musiał wyjechać.

Ojciec podzwonił tu i ówdzie. Dowiedział się, że pieczę nad całością akcji humanitarnej pełni Urząd Wysokiego Komisarza do spraw Uchodźców (UNHCR*) przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, z biurem w Nowym Jorku. Ricky uprosił rodziców, żeby pozwolili mu jechać do Bośni, choćby na wakacje. Potem wybrał się do Nowego Jorku w celu dopełnienia wszelkich formalności.

Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku mijały trzy lata od wybuchu wojny domowej, która rozerwała dawną Jugosławię i przetoczyła się przez nieszczęsną Bośnię. UNHCR działał już tam od dawna, przy pomocy czterystu „internacjonalistów” i kilku tysięcy miejscowych ochotników. Akcją dowodził były żołnierz wojsk brytyjskich, brodaty i energiczny Larry Hollingworth, którego Ricky widział wcześniej w telewizji. Chłopak wciąż uparcie obstawał przy swoim postanowieniu.

W Nowym Jorku przyjęto go grzecznie, lecz bez entuzjazmu. Rekruci zgłaszali się całymi tabunami; przez biuro przelewał się codziennie tłum interesantów. To był jednak ONZ, obwarowany różnymi przepisami. Procedura trwała pół roku. Pod stosem formularzy ugięłyby się ośka niejednej ciężarówki. Ricky tymczasem, w poczuciu klęski, musiał jesienią wracać na Harvard.

Z mocno zgnębioną miną wyszedł z gabinetu i wszedł do windy. Była już pora lunchu. Jakaś sekretarka w średnim wieku przyjrzała mu się z ciepłym uśmiechem.

– Jeśli naprawdę chcesz tam pomóc, to może zgłoś się do miejscowego biura w Zagrzebiu – powiedziała. – Też poszukują kandydatów. Na miejscu wszystko idzie łatwiej.

Chorwacja była przedtem częścią nieistniejącej Jugosławii, lecz obroniła swoją

* United Nations High Commissioner for Refugees.

państwowość. W jej stolicy działały różne filie organizacji międzynarodowych, w tym UNHCR.

Ricky odbył długą rozmowę przez telefon ze swymi rodzicami. Wreszcie uzyskał ich niechętną zgodę i poleciał trasą Nowy Jork-Wiedeń-Zagrzeb. Ale odpowiedź była wciąż ta sama: formularze i kontrakt długoterminowy. W opinii urzędników odpowiedzialnych za dobór kandydatów amatorskie „praktyki wakacyjne” przynosiły o wiele więcej szkody niż pożytku.

– Niech pan spróbuje może w jakiejś organizacji pozarządowej – mruknął komisarz, chcąc mu chociaż trochę pomóc. – Przesiadują w kawiarni, tuż obok.

UNHCR pełnił funkcję zwierzchnią, lecz oczywiście nie jedyną. Tak zwana pomoc stała się dla wielu zwyczajną profesją. Poza Organizacją Narodów Zjednoczonych i komisjami rządowymi w Bośni działały jeszcze inne grupy przywracające jaki taki ład i porządek w zniszczonym wojną kraju. Było ich ponad trzysta.

Tylko niektóre z nich stały się szerzej znane: brytyjska Save the Children, amerykańska Feed the Children, Age Concern, War on Want, Médecins sans Frontières i tak dalej. Wszystkie trafiły do Zagrzebia – jedne kościelne, inne świeckie. Były i takie – zwłaszcza te najmniejsze – które powstały dopiero teraz, w latach wojny domowej, poruszone widokiem nieszczęść nieustannie pokazywanych przez zachodnie stacje telewizyjne. Na samym końcu tej długiej listy znajdowały się pojedyncze ciężarówki z ociężałymi szoferami, którzy jechali przez całą Europę, by przywieźć dary naprędce zakupione z czyichś dobrowolnych składek. Dla nich ostatni etap przed metą w sercu Bośni zaczynał się w Zagrzebiu lub w Splicie, tuż nad Adriatykiem.

Ricky znalazł kafejkę, zamówił kawę i śliwovicę, bo nieźle zmarzł w podmuchach marcowego wiatru, i rozejrzał się, z kim by tu pogadać. Dwie godziny później wszedł tęgi i brodaty facet w zwykłej, znoszonej kurtce. Wyglądał na szofera. Kiedy zamówił kawę i koniak, Ricky natychmiast nabrał przekonania, że gość musi być z Karoliny Północnej lub Południowej. Podeszedł szybko i się przedstawił. Okazało się, że dobrze trafił.

John Slack okazał się dystrybutorem w maleńkiej instytucji dobroczynnej z Ameryki, noszącej nazwę Loaves-n-Fishes, powołanej całkiem niedawno jako oddział Salvation Road, czyli firmy stworzonej na tym grzesznym świecie przez wielebnego Billy’ego Jonesa, telewizyjnego kaznodzieję i zbawiciela dusz (za odpowiednie datki) z Charlestonu, w Karolinie Południowej.

John ociężałym wzrokiem popatrzył na Ricky’ego, jakby podobne prośby słyszał już miliony razy.

– Umiesz prowadzić ciężarówkę, chłopcze?

– Umiem. – Nie była to całkiem prawda, lecz duże samochody w gruncie rzeczy niewiele różniły się od małych. „Krażownik szos” bywał czasem większy od średniej furgonetki.

– Znasz się na mapie?

– Oczywiście.

– I chcesz zarobić?

– Nie. Dziadek wystarczająco wiele daje na moje utrzymanie.

John Slack zmrużył oczy.

– Na nic nie liczysz? Chcesz pomagać?

– Właśnie.

– Dobra, zgoda. Moja robota jest zupełnie prosta. Jadę, kupuję prowiant, koce, ciuchy i tak dalej. Zazwyczaj w Austrii. Wracam z tym wszystkim tu, do Zagrzebia, tankuję, i wio do Bośni. Siedzimy w Travniku. Tam ściągają tysiące uchodźców.

– To mi pasuje – odpowiedział Ricky. – Sam pokryję własne wydatki.

Slack jednym haustem wypił resztkę koniaku.

– No to idziemy – mruknął.

Ciężarówka okazała się niemieckim hanomagiem o ładowności dziesięciu ton. Ricky nauczył się ją prowadzić, zanim dotarli do granicy. Droga do Travnika zabrała im dziesięć godzin, w trakcie których zmieniali się za kierownicą. O północy dojechali do obozu Loaves-n-Fishes na peryferiach miasta. Slack rzucił Ricky’emu kilka koców.

– Dzisiaj śpij w szoferce – powiedział. – Rano znajdę ci jakieś lokum.

Działalność Loaves-n-Fishes rzeczywiście ograniczona była do minimum. Po przyjeździe Slacka na północ miała ruszyć druga ciężarówka prowadzona przez małomównego Szweda. Cały obóz składał się z niewielkiego placu otoczonego łańcuchem dla ochrony przed złodziejaskami, przerobionego na biuro kontenera i szopy – dumnie zwanej „magazynem” – w której tymczasowo składowano przywiezione dary. Pieczę nad wszystkim sprawowali trzej wynajęci Bośniacy. Aha, były jeszcze dwie nowe czarne toyoty landcruiser do rozwożenia mniejszych partii towaru. Slack oprowadził Ricky’ego po okolicy i znalazł mu kąć do spania w mieście, u pewnej wdowy. Chłopak kupił sobie rozklekotany rower, żeby móc dojeżdżać z domu do obozu. Pieniądze nosił przy sobie w czarnym portfelu na pasku. John Slack popatrzył na niego uważniej.

– Mogę spytać, ile tam chowasz? – zagadnął.

– Wziąłem ze sobą tysiąc dolarów – zupełnie szczerze odpowiedział Ricky. – Na wszelki wypadek.

– Szlag by trafił! – zaklął Slack. – Jak będziesz tym tak wymachiwał, to sam doczekasz się wypadku. Za te pieniądze można tutaj opalać się do końca życia.

Ricky obiecał, że będzie ostrożny. Potem dowiedział się, że w całej Bośni nie ma listonoszy, bo stara poczta przestała działać razem z upadkiem Jugosławii, a nowa jeszcze nie powstała. Kierowcy wysyłali listy z Austrii albo Chorwacji. Ricky szybko naskrobał parę słów na pocztówce kupionej jeszcze na lotnisku w Wiedniu i wrzucił ją do plecaka. Szwed zabrał ją potem na północ. Tydzień później kartka dotarła do pani Colenso.

Travnik był kiedyś gwarnym handlowym miastem, zamieszkanym przez Serbów,

Chorwatów i bośniackich muzułmanów. Pozostał po tym jedyny ślad w postaci świątyń. Po Serbach zachowała się cerkiew prawosławna, a po Chorwatach – kościół katolicki. Działo tylko kilka meczetów odwiedzanych przez islamską większość – czyli przez tych, co ciągle zwali się Bośniakami.

Wojna domowa rozbiła trzy narody przez lata żyjące w pokoju. Liczne pogromy, o których było głośno w całym kraju, zniszczyły resztki zaufania.

Serbowie pierwsi ustąpili pola i wycofali się na północ, za górskie pasmo Vlasic, z jednej strony okalające Travnik, i dalej, wzdłuż rzeki Lasva, aż do Banja Luki.

Chorwaci też musieli odejść i przenieśli się piętnaście kilometrów dalej, do Vitez. W ten sposób powstały trzy etniczne enklawy. Z każdej z nich napływali kolejni uchodźcy.

Światowe media niemal o wszystko obwiniały Serbów, nie patrząc na to, że zagładzie ulegały także serbskie wioski, zwłaszcza tam, gdzie Serbowie stanowili mniejszość. Chodziło o to, że w Jugosławii to oni sprawowali kontrolę nad wojskiem. W chwili rozpadu dawnej federacji zwyczajnie zagrabilili dziewięćdziesiąt procent ciężkiego sprzętu i w ten sposób zyskali miążdzącą przewagę nad przeciwnikami.

Chorwaci, też odpowiedzialni za wiele pogromów, niespodziewanie pozyskali sojusznika w osobie niemieckiego kanclerza Kohla, który przedwcześnie uznał ich państwowość. Dzięki temu mogli legalnie kupować broń na światowym rynku.

Bośniacy posłuchali rad europejskich polityków i pozostali praktycznie bezbronni. Przez to doznali najgorszych cierpień. I to dopiero Amerykanie, do cna zmęczeni bezczynnością, pierwsi utarli Serbom nosa późną wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku i zaciągnęli zwaśnione strony do stołu konferencyjnego w Dayton, w Ohio. Układ z Dayton miał wejść w życie z początkiem listopada. Ricky Colenso tego nie doczekał.

Travnik już wcześniej mocno ucierpiał wskutek ostrzału artyleryjskiego serbskich baterii rozstawionych na pobliskich wzgórzach. Ściany budynków były obłożone luźnymi deskami. Nadlatujący pocisk zmieniał deski w drzazgi, lecz nie dziurawił muru. Zamiast szyb w okna wstawiano kawałki grubej folii. Dziwnym zbiegiem okoliczności jaskrawo pomalowany meczet uniknął trafienia. Dwa największe domy, gimnazjum i siedziba słynnej niegdyś Szkoły Muzycznej, stały się azylem dla uchodźców.

Nie było mowy o tym, by ktoś wyszedł w pole i doglądał zasiewów. Ciągle rosnąca liczba uchodźców, trzykrotnie wyższa od dawnej populacji, żyła wyłącznie z darów i pomocy. W tym właśnie miejscu zaczynała się właściwa rola Loaves-n-Fishes i kilku jej podobnych organizacji humanitarnych.

Dwie toyoty mogły zabrać do dwustu pięćdziesięciu kilogramów lekarstw, odzieży i żywności i rozwieźć to po okolicznych wsiach, w których panowała jeszcze większa nędza niż w centrum Travnika. Ricky z radością zgodził się pojechać bocznymi drogami w góry, na południe od miasta.

Minęły cztery miesiące od dnia, w którym zobaczył w telewizji wstrząsający obraz

ludzkiej niedoli i rozpacz. Cieszył się, że może jakoś pomóc. Przecież wyłącznie po to tu przyjechał. Wzruszały go wyrazy ogromnej wdzięczności okazywanej mu przez steranych życiem chłopów i wielkookie śniade dzieci. Dawał im worki mąki, kukurydzę, mleko w proszku i puszki z zupą. Wiedział, że nic nie jedli co najmniej od tygodnia.

W głębi serca był przekonany, że w ten sposób spłaca dług zaciągnięty wobec Boga, który obdarzał go swoją łaską i – co ważniejsze – dał mu ten przywilej, że urodził się w Ameryce.

Ani słowa nie umiał po serbskochorwacku, czyli w języku wspólnym całej Jugosławii. Nie znał też bośniackiego. Nie miał pojęcia o geografii tutejszej okolicy, nie wiedział, dokąd prowadzi ta lub tamta droga, do wrogów, czy do swoich.

John Slack przydzielił mu do pomocy młodego Bośniaka, Fadila Sulejmana, który mówił szkolną angielszczyzną, na ochotnika przyłączył się do Loaves-n-Fishes i pełnił funkcję przewodnika, pilota i tłumacza.

Przez cały kwiecień i pierwszą dekadę maja Ricky wysyłał listy lub pocztówki do swoich rodziców. Docierały do Georgetown z różnym opóźnieniem, w zależności od tego, kto jechał na północ, z chorwackimi lub austriackimi znaczkami.

W drugim tygodniu maja Ricky pozostał całkiem sam na straży mienia. Szwed Lars utknął gdzieś na górskiej drodze z popstą ciężarówką, jeszcze przed granicą, opodal Zagrzebia. John Slack zabrał toyotę i pojechał mu pomóc zreperować silnik.

Fadil Sulejman poprosił Ricky'ego o małą przysługę.

Jak tysiące innych uchodźców, którzy znaleźli schronienie w Travniku, Fadil został wygnany z domu przez nadciągającą falę wojny. Wytłumaczył Ricky'emu, że jego rodzina miała gospodarstwo w niewielkiej kotlinie w górach Vlasic. Był ciekaw, czy coś z tego jeszcze tam zostało. Czy zagroda spłonęła, czy może przetrwała? Na początku wojny ojciec zakopał pod oborą wszystkie kosztowności. A jeśli ocalały? Innymi słowy, chciałby odwiedzić kąty, których nie widział już trzy lata.

Ricky z ochotą dałby mu wolne, gdyby nie jedno małe „ale”... Wiosenne deszcze rozmyły drogi. Na taką podróż potrzebny byłby samochód terenowy. Co prawda został jeden landcruiser...

Co robić? – myślał Ricky. Chciał pomóc Fadilowi i chętnie zapłaciłby za benzynę. Ale czy w górach było bezpiecznie? Tam się czaiły serbskie patrole bombardujące z armat Travnik.

Fadil zapewniał, że rok minął od ostatnich strzałów. Na południowych zboczach nikomu już nic nie groziło. Ricky wahał się jeszcze przez chwilę, lecz w końcu uległ jego prośbom, przekonany, że sam czułby się potwornie po stracie domu i rodziny. Postawił tylko jeden warunek – że pojedą razem.

Prawdę mówiąc, wycieczka zaczęła się nawet przyjemnie. Jechali w promieniach zachodzącego słońca. Zostawili za sobą miasto i przebyli piętnaście kilometrów główną

szosą, w stronę Donji Vakuf, zanim skręcili w prawo.

Droga pięła się w górę, zmieniła się w zwykłą ścieżkę. Jechali dalej. Wokół nich zieleniały wiosennymi liśćmi brzozy, jesiony i dęby. Ricky czuł się jak na szkolnym biwaku w Shenandoah. Koła toyoty czasem buksowały. Nie dociągnęliby aż tutaj żadnym innym wozem bez napędu na obie osie.

Dęby ustąpiły miejsca świerkom i przed nimi otwarła się dolina niewidoczna z poziomu szosy – coś na kształt górskiej kryjówki. Pośrodku stały zgliszcza chaty. Ocalał z niej tylko komin; reszta zmieniła się w poczerniałe, posępne rumowisko. Dalej widać było kilka chyłących się baraków, oborę i stodołę. Rick rzucił okiem na Fadila.

– Przykro mi – mruknął.

Wysiedli koło pogorzeliska. Ricky patrzył, jak Fadil chodzi po wilgotnym popiele i trąca nogą jakieś resztki domu, w którym urodził się i wychował. Razem poszli w stronę obory, mijając szambo pełne cuchnących i rozrzedzonych deszczem nieczystości. Fadil zatrzymał się i rozejrzał. Gdzieś tutaj jego ojciec ukrył rodzinne skarby. W tej samej chwili usłyszeli szelest i ciche pochlipywanie. Znaleźli dzieci pod przemoczoną i śmierdzącą brezentową płachtą. W sumie sześć przerażonych istot w wieku od czterech lat do dziesięciu. Czterech chłopców i dwie dziewczynki. Starsza z nich na pewno zastępowała matkę i była przywódczynią grupy. Teraz jednak współ z innymi siedziała jak skamieniała. Fadil przemówił do niej cicho. Po chwili odpowiedziała.

– Oni są z Goricy. To jest mała wieś, ponad sześć kilometrów stąd, dalej w góry. Gorica to znaczy „mała górka”. Ja znam ją – przełożył swoją angielszczyznę.

– Co się stało?

Fadil znów odezwał się po bośniacku. Dziewczynka powiedziała coś, a potem wybuchnęła płaczem.

– Przyszli ludzie. Serbowie. Z bronią.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy.

– I co zrobili?

Fadil westchnął.

– To była bardzo mała wieś. Cztery rodziny, dwadzieścia dorosłych osób, może dwanaścioro dzieci. Już ich nie ma. Nie żyją. Ich rodzice krzyčeli, żeby uciekały, kiedy tamci zaczęli strzelać. Uciekły po ciemku.

– To sieroty? Wszystkie?

– Wszystkie.

– Co to za kraj, na miłość boską?! – zawołał Amerykanin. – Niech siadają do samochodu, musimy je zabrać na dół.

Dzieci szły gęsiego, w kolejności wieku, trzymając się za ręce. Wyszli z obory i na chwilę przystanęli w słońcu. Śpiewały ptaki. Dolina wyglądała pięknie.

Na skraju lasu zobaczyli dwa rosyjskie GAZ-y w barwach ochronnych i obcych ludzi w polowych mundurach – i z bronią.

* * *

Trzy tygodnie później pani Annie Colenso jak co dzień zajrzała do skrzynki na listy. Znow nic nie przyszło. Zatelefonowała do Windsoru w Ontario. Ktoś odebrał po drugim sygnale. Rozpoznała głos osobistej sekretarki ojca.

- Cześć, Jean. Tu Annie. Mogę rozmawiać z tatą?
- Oczywiście, pani Colenso. Już łączę.

Rozdział 3

Magnat

W baraku „A” przebywało dziesięciu młodych pilotów. Za ścianą obok, w baraku „B”, jeszcze ośmiu. Na zewnątrz, na zielonej płycie lotniska, stały dwa lub trzy hurricane’y z charakterystyczną garbatą wypukłością za kokpitem. Nie były nowe, a zaklejone „blizny” na ich kadłubach znaczyły miejsca trafień z walk nad Francją, stoczonych w zeszłym tygodniu.

Kończył się ciepły i pogodny dzień dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Ale nastrój na lotnisku Coltishall w Norfolk, w Anglii, daleki był od słonecznego. Piloci Dwieście Czterdziestego Drugiego Dywizjonu Myśliwskiego Royal Air Force, powszechnie znanego jako „Kanadyjski”, siedzieli smutni i ponurzy. Mieli ku temu ważne powody.

Dwieście czterdziesty drugi brał udział w walkach niemal od pierwszego strzału, który padł na zachodnim froncie. Stoczył przegraną bitwę o Francję, od wschodnich granic aż do wód Kanału Angielskiego, przez Francuzów zwanego La Manche. Hitlerowska machina zawzięcie parła naprzód, odrzucając francuskie wojska na bok. Piloci próbowali spowolnić tę powódź. Tymczasem, kiedy oni bili się w powietrzu, ich bazy przenoszono w zupełnie inne miejsca, brakowało zaplecza, prowiantu, paliwa i części zamiennych. Każdy, kto kiedyś był w szeregach ustępującej armii, wie, że na usta ciśnie się określenie „chaos”.

Zanim znaleźli się za Kanałem Angielskim, stoczyli jeszcze jedną bitwę nad plażami Dunkierki. W dole brytyjskie wojska starały się ocalić to wszystko, co zostało. Rzuciły się na każdą łajbę, byle tylko dotrzeć do białych skał kuszących swym widokiem po drugiej stronie gładkiego jak stół morza.

Kiedy ostatni „Tommy” uciekł z plaży, albo na pięć lat poszedł do stalagu, Kanadyjczycy byli wyczerpani. Ostro dostali w kość: dziewięciu zabitych, trzech rannych, trzech zestrzelonych i wziętych do niewoli.

Trzy tygodnie później ciągle tkwili w Coltishall, bez części i narzędzi, które zostały we Francji. Ich dowódca, major „Papa” Gobiell, zachorował jakiś czas temu i nie wrócił na swoje

stanowisko. Anglicy obiecali im w zamian kogoś nowego. Zastępca mógł przyjechać dosłownie w każdej chwili.

Mały sportowy kabriolet wyjechał z hangaru i zatrzymał się przed barakami. Z trudem wysiadł z niego jakiś człowiek. Nikt się nie zjawił, żeby go przywitać, więc pokuśtykał do baraku „A”. Wyszedł stamtąd kilka minut później i skierował się do baraku „B”. Kanadyjscy piloci obserwowali go przez okna, ze zdziwieniem patrząc na jego ociężałe kroki. Wreszcie stanął w progu. Na ramionach miał dystynkcje majora. Nikt nie wstał.

– Kto jest dyżurnym? – warknął gniewnie.

Krępy pilot siedzący opodal Steve’a Edmonda ciężko podniósł się z krzesła i obrzucił przybysza przeciągłym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Chyba ja – powiedział. Był to Stan Turner. Wtedy, na początku wojny, miał na swoim koncie zaledwie dwa strącenia, ale pod koniec dobił do czterestu i dostał czapkę medali.

Anglik odwrócił się na pięcie i powlókł w stronę hurricane’ów. Kanadyjczycy wyszli z baraków, żeby popatrzeć, co będzie dalej.

– Własnym oczom nie wierzę – mruknął Johnny Latta do Steve’a Edmonda. – Skurczybyki przysłali nam tutaj kalekę.

Miał rację. Anglik chodził na protezach. Z wysiłkiem wcisnął się do kabiny samolotu, uruchomił silnik marki Rolls-Royce Merlin, wykręcił pod wiatr i wystartował. Przez pół godziny wykonywał wszystkie możliwe akrobacje z podręcznika i na dodatek jeszcze parę, których w ogóle tam nie było.

Mógł sobie nieco pofolgować, gdyż – po pierwsze – był świetnym pilotem, zanim stracił nogi w wypadku przed wojną, a po drugie – bo był kaleką. Kiedy pilot myśliwca robi szybki zakręt lub nurkuje z pełną mocą silnika, działają na niego ogromne przeciążenia. Krew odpływa z górnych partii ciała i przychodzi omdlenie. Ten pilot jednak nie miał nóg, więc jego krew pozostawała znacznie bliżej mózgu i mógł kręcić ciaśniejsze pętle. Po pewnym czasie wylądował, wysiadł z hurricane’a i pokuśtykał do milczących Kanadyjczyków.

– Jestem Douglas Bader – oznajmił – i mam zamiar zrobić z was najlepszy dywizjon w całym tym cholernym RAF-ie.

Dotrzymał słowa. Po klęsce we Francji i na plażach Dunkierki nad wyspami zawisła poważniejsza groźba. Główny dowódca niemieckich sił powietrznych Göring obiecał Hitlerowi, że jego samoloty zapanują na niebie i otworzą drogę do inwazji. Rozpoczęła się bitwa o Anglię. Zanim dobiegła końca, dwieście czterdziesty drugi przodował w statystykach. Beznogi major trwał przy swoich chłopcach i nie opuścił ani jednego lotu bojowego.

Późną jesienią Luftwaffe powiedziała „dość” i wycofała się do Francji. Hitler wylał żółć na Göringa i zajął się wojną z Rosją.

W trzech bitwach: nad Francją, Dunkierką i Brytanią przez dwa kwartały tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Kanadyjczycy zanotowali osiemdziesiąt osiem potwierdzonych strąceń, z czego sześćdziesiąt siedem w bitwie o Anglię. Ale stracili aż

siedemnastu ludzi – zaledwie trzech spoza Kanady.

Pięćdziesiąt pięć lat później Steve Edmond wstał zza biurka i, tak jak to robił już tysiące razy, podszedł do zdjęcia wiszącego na ścianie gabinetu. Nie było na nim wszystkich kumpli, z którymi razem latał. Kilku zginęło, zanim przyszli inni. Fotografię zrobiono w Duxfordzie upalnego i bezchmurnego sierpniowego dnia, w najgorszych miesiącach bitwy.

Prawie wszyscy z widocznej na niej siedemnastki już nie żyli. Paru poległo w czasie wojny. Mieli od dziewiętnastu do dwudziestu dwóch lat. Pełni wigoru, uśmiechnięci, na progu życia, którego tak naprawdę nie dane im było poznać.

Wyteżył wzrok. Benzie latał z nim w jednym szyku. Zestrzelony w dorzeczu Tamizy siódmego września, dwa tygodnie po zrobieniu zdjęcia. Solanders z Nowej Fundlandii zginął dzień później.

Johnny Latta i Willie McKnight, stojący ramię w ramię, polegli razem gdzieś nad Biskajami w styczniu czterdziestego pierwszego roku.

– Byłeś najlepszy z nas wszystkich, Willie – mruknął Edmond. McKnight cieszył się opinią atutowego asa. Miał talent do latania. Dziewięć uznanych zwycięstw w pierwszych siedemnastu dniach służby, dwadzieścia jeden w chwili śmierci dziesięć miesięcy po pierwszym locie bojowym. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Steve Edmond przeżył, zestarzał się i wzbogacił. Był największym potentatem przemysłu górniczego w Ontario. Ale przez wszystkie minione lata nie rozstawał się z tą fotografią. Miał ją przy sobie, gdy z kilofem pod łóżkiem sypiał w podrzędnej ruderze, gdy zarobił swój pierwszy milion i gdy (zwłaszcza wówczas) magazyn „Forbes” ogłosił go miliarderem.

Spoglądał na nią, by pamiętać, jak kruche jest życie ludzkie. Czasami zastanawiał się, jak to się stało, że sam nie zginął. Kiedy strącono go za pierwszym razem, trafił do szpitala. W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku dywizjon odleciał na Daleki Wschód, a on został w łóżku. Po wyleczeniu przydzielono go do Dowództwa Treningu Lotniczego.

Krzywił się na to i ciągle bombardował zwierzchników prośbami, żeby mu pozwolili wrócić do latania. Wreszcie uzyskał zgodę w czasie przygotowań do lądowania w Normandii. Zasiadł za sterami nowego samolotu szturmowego do zwalczania celów naziemnych, typu Typhoon. Była to maszyna szybka i potężna – postrach niemieckich czołgów.

Drugi raz został zestrzelony w pobliżu Remagen podczas amerykańskiej przeprawy przez Ren. Był w eskadrze dwunastu angielskich typhoonów, osłaniających punkty przerzutowe. Dostał prosto w silnik, i miał tylko kilka sekund, żeby wyrównać lot, odrzucić owiewkę i wyskoczyć, zanim samolot eksplodował.

Skakał z niewielkiej wysokości, więc wylądował twardo i złamał obie nogi. Przez chwilę leżał otępiąły w śniegu, ledwie widząc jakieś postacie w hełmach biegnące w jego stronę. W pewnym momencie uświadomił sobie, że Niemcy nie pałają sympatią do typhoonów. A że walczył z dywizją pancerną SS, nie mógł się spodziewać najmniejszej łaski.

Ktoś stanął nad nim. Ktoś powiedział:

– A kogóż tutaj nam przywiało?

Steve Edmond odetchnął z ulgą. Chyba nikt z ludzi Hitlera nie mówił z akcentem znanym z Missisipi.

Amerykanie nafaszerowali go morfiną i wyekspediowali z powrotem za Ren. Potem zabrano go do Anglii. Jakiś czas leżał w gipsie, a później lekarze doszli do słusznego wniosku, że tylko zajmuje łóżko rannym dowożonym z frontu. Wysłali go więc do sanatorium w okolicy South Coast. Chodził o kulach, czekając na powrót do Kanady.

Podobało mu się w Tilbury Manor. Z przyjemnością patrzył na zmurszałe mury, pamiętające czasy Tudorów, na zielone trawniki, gładkie niczym powierzchnia stołu do bilardu, i na ponętne pielęgniarki. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat i był w stopniu podpułkownika.

Dostał dwuosobowy pokój, ale minął tydzień, zanim doczekał się sąsiada. Nowo przybyły był w tym samym wieku. Amerykanin, bez munduru. Otrzymał postrzał w ramię i lewą rękę podczas jakiejś przygody w pomocnych Włoszech. A to oznaczało, że brał udział w tajnej operacji poza liniami wroga. Komandos.

– Cześć – powiedział na powitanie. – Jestem Peter Lucas. Grywasz w szachy?

Steve Edmond pochodził z górniczej osady w Ontario. Do Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych zaciągnął się w trzydziestym ósmym roku, broniąc się przed bezrobociem. Świat wtedy nie potrzebował niklu. Kilka lat później ten sam nikiel znalazł zastosowanie w silnikach samolotowych, dzięki którym Steve latał nad Wielką Brytanią. Natomiast Lucas był dzieckiem z dobrego domu. Urodził się w Nowej Anglii i od dzieciństwa opływał we wszelkie dostatki.

Siedzieli sobie na świeżym powietrzu, pochyleni nad szachownicą, słuchając radia. Charakterystyczny głos spikera BBC dobiegał przez otwarte okno świetlicy. W pewnej chwili usłyszeli wiadomość, że feldmarszałek von Rundstedt właśnie podpisał w Lüneburgu akt bezwarunkowej kapitulacji. Był ósmy maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Wojna w Europie dobiegła końca. Amerykanin i Kanadyjczyk pobiegli myślą do tych przyjaciół, którzy nie doczekali tej nowiny. Jak zgodnie wspominali później, ostatni raz wtedy płakali, nie wstydząc się, że ktoś na nich patrzy.

Po tygodniu pożegnali się i każdy z nich wrócił do swojego kraju. Ale przyjaźń zadzierzgnięta wtedy, na odległym angielskim brzegu, złączyła ich na całe życie.

Steve Edmond ujrzał całkiem nową Kanadę. On sam też był zupełnie innym człowiekiem, bohaterem wojennym z piersią pełną medali, wracającym do prężnej, kwitnącej ojczyzny. Wyjechał z zagłębia Sudbury. Tam więc skierował swoje pierwsze kroki. Jego ojciec i dziadek byli górnikami. Pierwsze kopalnie miedzi i niklu powstały w Sudbury jeszcze w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku. W ich dalszych dziejach Edmondowie też mieli mały udział.

Steve Edmond z zadowoleniem stwierdził, że w RAF-ie zarobił całkiem sporą sumkę. Przeznaczył ją na naukę i – jako pierwszy z rodu – wstąpił do college’u. Oczywiście wybrał górnictwo i mineralogię, a z kierunków uzupełniających – metalurgię. Studia ukończył z wyróżnieniem i w czterdziestym ósmym roku znalazł zatrudnienie w International Nickel Company, Inco.

Była to wielka firma, z tradycjami, założona w tysiąc dziewięćset drugim roku. Zajmowała się eksportem niklu do wszystkich zakątków świata. Korzystała przy tym z bogatych złóż w okolicach Sudbury w Ontario. Edmond dostał posadę kierownika kopalni.

I pewnie żyłby sobie wygodnie w domku z ogródkiem, na kierowniczej pensji, gdyby nie jego pęd do przygód i niesłuchanie sprawny umysł, ciągle podpowiadający: „Słuchaj, na to musi być jakiś lepszy sposób”.

Na studiach poszerzył swoją wiedzę o niklu. Dowiedział się, że w jego rudzie zwanej pentlandytem bywają jeszcze inne pierwiastki: platyna, pallad, iryd, rut, rod, tellur, selen, kobalt, srebro i złoto. Zaczął badać rzadkie pierwiastki i zastanawiał się, jak je spożytkować. Poza nim nikt się tym nie kłopotał.

Po prawdzie, było ich tak mało, że ekstrakcja wydawała się nieopłacalna. Ładowały po prostu na hałdach. Mało kto posiadał choć znikomą wiedzę, czym naprawdę są pierwiastki rzadkie.

Dobry pomysł z reguły bywa początkiem wielkiej kariery, jeśli tylko pomysłodawca ma w sobie dość odwagi, by go wcielić w życie. Pomaga też wytężona praca i łut szczęścia. Steve Edmond wpadł na pomysł, aby wrócić do laboratorium, w czasie gdy inni młodzi kierownicy wspierali uprawę chmielu. Metoda, którą opracował, znana jest dziś pod nazwą „ciśnieniowego wypłukiwania kwasem”. Z grubsza polega na tym, że pierwiastki rzadkie w rudzie najpierw są rozpuszczane, a potem na nowo sprowadzane do postaci ciała stałego.

Gdyby Steve poszedł z tym do Inco, ktoś pewnie z uznaniem poklepałby go po plecach i na koszt firmy zabrał na kolację. On jednak zrezygnował z pracy, wsiadł do wagonu trzeciej klasy w pociągu jadącym do Toronto i wybrał się do Biura Patentowego. Miał trzydzieści lat i własne poglądy na życie.

Musiał zaciągnąć pożyczkę, na szczęście niezbyt wielką, bo to, co zamierzał zrobić, nie wymagało zbyt wysokich nakładów finansowych. Firmy górnicze w poszukiwaniu nowych złóż pentlandytu ciągle zmieniały rejon wydobywania, zostawiając za sobą wielkie hałdy, nazywane powszechnie „ogonami”. Traktowano je jak wysypiska śmieci i nikt ich nie chciał. To znaczy nikt poza Steve’em Edmondem. Kupował je dosłownie za centy.

Założył Edmond Metals, Ems – znane na giełdzie w Toronto po prostu jako Emmys – i ceny poszły w górę. Mimo namów nigdy nie sprzedał prawa własności i nie przyjmował licznych propozycji banków i doradców. W ten sposób zrezygnował z wszelkich raf, mielizn i katastrof. Przed czterdziestką był już milionerem. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat znalazł się w ekskluzywnym gronie

miliarderów.

A jednak nigdy nie zapomniał o swoich korzeniach. Pokażne kwoty przeznaczał na pomoc najbiedniejszym, stronił od polityki i uważany był powszechnie za dobrego ojca i dziadka.

W ciągu minionych lat znaleźli się i tacy, którzy zmyleni jego przyjaznym zachowaniem próbowali go okraść, okpić lub oszukać. Zazwyczaj szybko się przekonywali, że Steve Edmond był równie twardy jak stal silników w samolotach, na których latał w czasie wojny.

Ożenił się tylko raz, w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, jeszcze przed swoim wielkim odkryciem. Fay była jego prawdziwą miłością. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku zabrała ją choroba neuronu ruchowego. Ich jedynaczka Annie urodziła się w roku pięćdziesiątym.

Dla Edmonda była oczkiem w głowie. W pełni poparł jej małżeńskie plany, gdy wybrała profesora Adriana Colensa z Uniwersytetu Georgetown. Nie mniej kochał swego jedyne go wnuka Ricky'ego, już dwudziestolatka.

Steve Edmond z reguły cieszył się swoim życiem. Miał zresztą do tego pełne prawo. Zdarzały się jednak dni, w których ogarniała go dziwna melancholia. Choćby i teraz był jakiś nieswój... W podobnych razach zawsze wpatrywał się w to stare zdjęcie. Patrzył na znane sobie młode twarze z innego miejsca i z innego czasu.

Zabrzącał interkom. Edmond powoli podszedł do biurka.

– Słucham, Jean.

– Pani Colenso dzwoni z Wirginii.

– Przełącz. – Usiadł w fotelu i odchylił głowę. – Cześć, kochanie. Co tam u ciebie?

Po chwili uśmiech zamarł mu na twarzy. Nisko pochylił się nad biurkiem.

– Co to znaczy „zaginął”?... A próbowałaś się dodzwonić?... Rozumiem, w Bośni nie ma telefonów... Annie, wiesz przecież, jakie bywają dzieci... Rzadko piszą... A może listy utknęły gdzieś po drodze?... Dobrze, obiecał... Spokojnie, zaraz się tym zajmę. Gdzie pracował?

Wziął pióro do ręki i zapisał coś na kartce. Potem odłożył słuchawkę i zastanawiał się przez chwilę. Połączył się z głównym kadrowym.

– Któryś z tych twoich młodych gniewnych zna się na Internecie? – spytał.

– Oczywiście – padła zdziwiona odpowiedź. – Prawie każdy.

– Potrzebne mi nazwisko i domowy numer prezesa amerykańskiej firmy dobroczynnej o nazwie Loaves-n-Fishes. Nie, to wszystko. Zależy mi na czasie.

Czekał zaledwie dziesięć minut. Godzinę później skończył długą rozmowę z Charlestonem w Karolinie Południowej, z biurem słynnego telewizyjnego kaznodziei – jednego z tych, którzy żądali od grzeszników wysokich opłat za mętną obietnicę wiecznego zbawienia. Nie lubił takich szarlatanów.

Loaves-n-Fishes teoretycznie zbierała dobrowolne datki na rzecz biednych uchodźców z rozdartej wojną domową Bośni. Nie wiadomo tylko, ile z tego naprawdę szło dla wdów i

sierot, a ile na limuzyny wielebnego. W kwaterze w Charlestonie nic nie słyszano o Richardzie Colensie. Ale skoro wyjechał jako ochotnik na Bałkany, to na pewno przebywał w „miejscowej filii” w Trawniku.

– Jean, pamiętasz może sprawę kilku dzieł sztuki skradzionych z prywatnej kolekcji w Toronto? Chodziło głównie o płótna starych mistrzów. Pisano o tym we wszystkich gazetach. Po pewnym czasie obrazy zostały odzyskane. Ponoć właściciel zwrócił się do jakiejś ściśle tajnej agencji z prośbą, żeby je wytropiła. Ustal, jak on się nazywa. Daj mi znać, gdy się czegoś dowiesz.

Takich rzeczy nie było w Internecie, ale Jean Searle miała własną sieć informacyjną. Od wielu lat pracowała jako sekretarka Edmonda i знаła wiele innych sekretarek – w tym sekretarkę szefa policji.

– Rubinstein? Świetnie. W takim razie znajdź mi tego pana Rubinsteina. W Toronto lub gdziekolwiek indziej.

Zabrało jej to pół godziny. Kolekcjoner akurat był w Amsterdamie, aby w Rijksmuseum jeszcze raz popatrzeć na *Nocną straż* Rembrandta. Ze względu na różnicę czasu Jean oderwała go od kolacji, ale nie miał o to pretensji.

– Jean – powiedział Steve Edmond po skończonej rozmowie. – Zadzwoń na lotnisko. Niech przygotują grummana. Muszę polecieć do Londynu. Nie, do tego w Anglii. Z samego rana.

Rozdział 4

Żołnierz

Ledwie Cal Dexter skończył recytować słowa wojskowej przysięgi, a już znalazł się w konwoju jadącym do jednostki. Wysłano go na przeszkolenie. Jazda trwała stosunkowo krótko, bo Fort Dix był na miejscu, w New Jersey.

Wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku do wojska trafiły tysiące młodych Amerykanów. Piętnaście procent wbrew własnej woli, z poboru. Instruktorzy z nikim się nie cackali. Ich zadaniem było w jak najkrótszym czasie zmienić ten tłum wygolonych na łyso dzieciaków w coś na kształt żołnierzy. Po trzech miesiącach rekruci otrzymywali właściwy przydział i wyjeżdżali do swoich jednostek.

Nikt nie pytał ich, skąd pochodzą i co umieją. Wobec wojska wszyscy byli równi, niczym w obliczu śmierci. Ta zresztą także przychodziła, tylko odrobinę później.

Dexter miał duszę buntownika, ale też wiele wrodzonego sprytu i życiowego doświadczenia. Nie narzekał nawet na żarło, bo choć paskudne, i tak było lepsze od tego, co czasami jadał na budowach.

W przeciwieństwie do maminsynków nie użalał się na spanie w koszarach, kąpiele pod gołym niebem i wymagania, zgodnie z którymi cały ekwipunek trzeba było zmieścić – ale porządnie! – w jednej maleńkiej szafce. Do tej pory sam po sobie sprzątał, więc nie spodziewał się, że u wojsku miałyby być inaczej. Inni liczyli na kamerdynera i potem dymali pompki na placu apelowym albo biegali w kółko pod chmurnym spojrzeniem sierżanta.

Dexter w duchu śmiał się z różnych bezsensownych poleceń i przepisów, lecz z drugiej strony był na tyle mądry, by głośno o tym nie rozprawiać. Nie rozumiał jedynie, dlaczego w każdej kwestii sierżant miał zawsze rację, a on zawsze się mylił.

Dość szybko odczuł skutki tego, że był ochotnikiem i że podpisał kontrakt na trzy lata. Podoficerowie – którzy dla rekrutów stali najbliżzej Boga – traktowali go nieco łagodniej. Wiedzieli, że niedługo będzie „jednym z nich”. Najgorzej mieli rozpieszczeni chłopcy z dobrych domów.

Dwa tygodnie po zaciągu przydzielono im pierwsze funkcje. To oznaczało rozmowę z jedną z prawie niewidzialnych istot, czyli z oficerem. Dexter trafił na majora.

– Umiesz coś? – zapytał major tonem, który nieomylnie zdradzał, że robił to już tysiące razy.

– Umiem obsługiwać spychacz, panie majorze – odpowiedział Dexter.

Oficer spojrział w dokumenty.

– Kiedy się nauczyłeś?

– W zeszłym roku, panie majorze. Zaraz po ukończeniu szkoły.

– Z twoich danych wynika, że masz osiemnaście lat. Jeździłeś na spychaczu jako siedemnastolatek?

– Tak jest, panie majorze.

– To niezgodne z prawem.

– Boże przebac, panie majorze. Bardzo mi przykro. Nic o tym nie wiedziałem.

Stojący obok groźny kapral z trudem zachował poważną minę. Ale major wyraźnie uznał, że to załatwia sprawę.

– W takim razie pójdziesz do wojsk inżynieryjnych. Jakież sprzeciwy?

– Nie, panie majorze.

Nikt nie opuszczał Fort Dix ze łzami w oczach. Bo też nikt nie był tutaj na wakacjach. Rekruci wyjeżdżali świeżo ostrzyżeni, prości jak świece, umięśnieni, w mundurach i z plecakami. Każdy miał bilet w jedną stronę, do miejsca przeznaczenia. W wypadku Dextera był to Fort Leonard Wood w Missouri. Jechał na dalsze szkolenie.

Uczono go od samych podstaw. Jeździł nie tylko buldożerem, ale praktycznie wszystkim, co poruszało się na kołach lub gąsienicach. Nauczył się naprawiać silnik, zrobić dokładny przegląd samochodu i pięćdziesięciu innych rzeczy. Trzy miesiące później dostał zaświadczenie o pomyślnym ukończeniu kursu i przeniesiono go do Fort Knox w Kentucky.

Wielu ludziom nazwa Fort Knox kojarzy się wyłącznie z federalnym skarbcem i zapasami złota. To temat licznych filmów i powieści, wyśniona mekka dla kasiarzy, rabusiów i złodziei. Mało kto wie, że jest tam również wielka jednostka wojskowa i siedziba Szkoły Wojsk Pancernych. W każdej jednostce tej wielkości zawsze bywa coś do zbudowania, do zakopania albo naprawienia. Cał Dexter spędził tam pół roku jako technik, zanim wezwano go do dowództwa.

Niedawno skończył dziewiętnaście lat i dostał awans na starszego szeregowca. Oficer obrzucił go ciężkim spojrzeniem, jakby w zanadrzu chował nieprzyjemne wieści. Cał pomyślał, że być może coś się przytrafiło ojcu.

– Jedziesz do Wietnamu – westchnął major.

– Świetnie – odpowiedział starszy szeregowy.

Major, który cieszył się ze spokojnej posady w Kentucky, aż zamrugnął oczami ze zdumienia.

– No to... załatwione – bąknął.

Po dwóch tygodniach Cal Dexter spakował swój plecak, pożegnał się z kolegami i wszedł do autokaru wiozącego podobnych mu „przesiedleńców”. Tydzień później zszedł po trapie samolotu C5 Galaxy i stanął na rozgrzanej płycie lotniska wojskowego w Sajgonie.

W drodze do jednostki siedział obok szofera.

– Co porabiasz? – zapytał kapral, gdy skręcili między hangary.

– Jeżdżę spychaczem – odparł Dexter.

– W takim razie, jak wszyscy z nas, zostaniesz eremefem.

– Eremefem? – powtórzył Dexter. Nie znał takiego słowa.

– Rezerwowy *motherfucker* – usłużnie wyjaśnił kapral.

To dla Dextera była pierwsza lekcja stosunków panujących w Wietnamie. Dziewięćdziesiąt procent żołnierzy, którzy tu przybyli, nigdy nie widziało Wietkongu, nigdy nie strzelało i nigdy nie słyszało strzałów. Pięćdziesiąt tysięcy nazwisk widniejących na Pomniku Pamięci w Waszyngtonie to, z małymi wyjątkami, część pozostałych dziesięciu procent. Przy całej armii wietnamskich kucharzy, praczy i dozorców potrzeba było aż dziewięciu żołnierzy zaplecza na jednego walczącego w dżungli.

– Dokąd masz przydział? – spytał kapral.

– Pierwszy Batalion Saperów, Big Red One.

Kapral zaskrzeczał jak spłoszony pies latający.

– O, w mordę... – mruknął. – Trochę się wyrwałem. To Lai Khe, na skraju Żelaznego Trójkąta. Dobrze, że mnie tam nie ma.

– Aż tak źle?

– Piekło Dantego, stary.

Dexter nigdy nie słyszał o Dantem. Doszedł do wniosku, że to ktoś z jakiejś innej jednostki. Wzruszył ramionami.

Z Sajgonu do Lai Khe wiodła nawet dobra droga. Była to autostrada numer trzynaście, biegnąca przez Phu Cuong, wschodnim brzegiem Trójkąta, do Ben Cat – i dalej, przez następne dwadzieścia pięć kilometrów. Nikt jednak nie jeździł tamtędy nocą, a i w dzień spotykało się tam tylko zbrojne konwoje. Wkoło rozciągała się nieprzebyta dżungla, pełna pułapek zastawianych przez Wietkong. Do obozu Pierwszej Dywizji Piechoty, zwanej Big Red One, Cal Dexter dostał się śmigłowcem. Wsiadł, zarzucił plecak na ramię i zapytał, którą do kwatery Pierwszego Batalionu Saperów.

Mijając parking, zobaczył coś, co mu zaparło dech. Zatrzymał przechodzącego żołnierza i spytał:

– Kurna, co to?

– Prosiak – lakonicznie odparł zapytany. – Do karczowania lasu.

Pierwsza Dywizja, razem z Dwudziestą Piątą „Tropic Lightning” z Hawajów, usiłowała w jakiś sposób utrzymać przyczółek w dżungli, w jej najniebezpieczniejszym miejscu, w tak

zwanym Żelaznym Trójkącie. Roślinność była tu tak gęsta i nieprzyjazna dla człowieka, że próbowano ją po prostu wyciąć, aby odsłonić pole walki i przegnać partyzantów.

W tym celu zbudowano dwie wielkie maszyny. Jedną z nich był czołg M-48 z doczepionym ogromnym pługiem. Działał jak spychacz, a obsługa siedziała ukryta w pancernej wieżyczce. Większy od niego był jednak Rzymski Pług, popularnie zwany Prosiakiem.

Sześćdziesięcotonowy potwór, osadzony na podwoziu ciągnika gąsienicowego D7E, brutalnie niszczył skały, drzewa i krzewy. Jego główną broń stanowił „ryj”, czyli specjalnie wykuty i utwardzony lemiesz, zdolny przeciąć nawet pień o metrowej średnicy.

Kierowca, który zarazem pełnił funkcję operatora, siedział wysoko, od góry osłonięty klatką przed spadającymi na ziemię gałęziami, a po bokach pancerną szybą, chroniącą od kul snajpera lub przed atakiem partyzantów.

Słowo „Rzym” w nazwie pługa nie miało nic wspólnego ze stolicą Włoch, lecz pochodziło od Romy w stanie Georgia, gdzie wykonano całą konstrukcję. Miejsce, które Prosiak zorał swoim ryjem, nie nadawało się już potem na kryjówkę Wietkongu.

Dexter wszedł do dowództwa batalionu, zsalutował i przedstawił się.

– Dzień dobry, panie poruczniku. Starszy szeregowy Calvin Dexter melduje się na służbę. Jestem pańskim nowym operatorem Prosiaka.

Siedzący za biurkiem porucznik westchnął ciężko. Był tuż przed końcem rocznego przydziału i najzwyczajniej w świecie nie chciał tu zostać dłużej. Nienawidził Wietnamu, nienawidził groźnego Wietkongu, upałów sięgających trzydziestu dwóch stopni, wilgoci, moskitów i tego, że wciąż go swędziało w tyłku i pachwinach. A już najbardziej nie miał ochoty gadać z jakimś żartownisiem.

Cał Dexter jednak lubił dotrzymywać słowa. Zrobił to, co zamierzał. Po dwóch tygodniach zasiadł za kierownicą pługa. Za pierwszym razem doświadczony szofer udzielił mu kilku porad. Calvin wysłuchał go, wspiął się do kabiny i pojechał na akcję. Kierował pługiem na swój sposób, inaczej i dużo lepiej.

Obserwował go pewien porucznik, także saper, lecz sprawiający wrażenie bezrobotnego; młody człowiek, który dużo widział, ale mówił bardzo mało.

– Twardziel z niego – mruknął do siebie niecały tydzień później. – Zdziorny, utalentowany i typ samotnika. Zobaczymy, czy da się wrobić.

* * *

Potężny strzelec z obsługi erkaemu przyczepił się właściwie bez żadnych powodów. Zresztą nieważne. Grunt, że się przyczepił. Za trzecim razem, kiedy naurągał kierowcy z New Jersey, doszło do bijatyki. Nie od razu jednak. To byłoby wbrew zasadom. Umówili się na prawdziwą walkę, na gołe pięści, tuż po zmierzchu, na kawałku wolnej przestrzeni za kantyną.

Spotkali się przy zapalonych lampach w otoczeniu co najmniej setki żołnierzy. Rzadko kto stawiał na mniejszego. Panowało ogólne przekonanie, że będzie to powtórka bójki George'a Kennedy'ego z Paulem Newmanem w filmie *Leworęczny Luke*. Ale nie była.

Mniejszy nie znał regulaminu bokserkiego markiza Queensberry, więc po prostu podszedł do strzelca, szybkim zwodem uniknął obszernego ciosu i kopnął go w kolano. Potem odskoczył w bok i zadał mu dwa silne uderzenia w nerki, poprawiając kolanem w kroczę. Strzelec skulił się i pochylił głowę. W tej samej chwili dostał w skroń z prawej, pociemniało mu w oczach i runął na ziemię.

– Walczyłeś nie fair – mruknął bukmacher, kiedy Dexter wyciągnął rękę po wygraną.

– Możliwe. Ale nie przegrałem – usłyszał w odpowiedzi.

Młody oficer stojący w mroku poza kręgiem światła skinął głową w stronę dwóch żandarmów. Szybko przepchnęli się przez tłum i aresztowali obydwu walczących. Później kulejący strzelec dostał obiecane dwadzieścia dolarów.

Dexter odmówił zeznań, więc dostał miesiąc paki. Chrapał sobie spokojnie na twardej pryczy w celi, kiedy ktoś nagle zaczął wodzić łyżką po prętach. Był już ranek.

– Wstawaj, żołnierzu – rozległ się jakiś głos. Dexter otworzył oczy, zsunął się z pryczy i stanął na baczność. Przybysz nosił srebrne dystynkcje porucznika. – Miesiąc tutaj to trochę nudno – powiedział.

– Jakoś przeżyję, panie poruczniku – odparł eks-starszy szeregowy, zdegradowany do stopnia szeregowca.

– Mógłbyś wyjść nawet dzisiaj.

– A gdzie tkwi haczyk, panie poruczniku?

– Już ci mówię. Odłóż na bok te swoje zabawki i przyłącz się do mojej grupy. Sam sprawdzisz, czy jesteś naprawdę twardy, czy tylko tak ci się zdaje.

– Co to za grupa, panie poruczniku?

– Mówią na mnie Szczur Sześć. Idziemy?

Porucznik podpisał zwolnienie z aresztu i poszli na śniadanie do najmniejszego i najbardziej ekskluzywnego kasyna w całej Pierwszej Dywizji. Nikt nie wchodził tam bez zezwolenia. „Klub” liczył w tym czasie zaledwie czternastu członków. Piętnastu łącznie z Dexterem, lecz po tygodniu ta liczba zmalała do trzynastu, bo dwóch z nich zginęło w akcji.

Na drzwiach „nory”, jak ją nazywali, widniał dziwaczny symbol przedstawiający gryzonia na dwóch łapach z obrzydliwie wykrzywionym pyskiem i wywalonym długim jęzorem. W jednej łapie trzymał pistolet, a w drugiej butelkę wódki. Dexter dołączył do Szczurów Tunelowych.

Przez sześć lat, we wciąż zmiennym składzie, Szczury Tunelowe wykonywały najpaskudniejszą, najgroźniejszą i najbardziej przerażającą robotę w całej wojnie wietnamskiej. Ich działania otaczała ścisła tajemnica, a było ich tak niewielu, że mało osób, nawet w Stanach, wie o istnieniu Szczurów Tunelowych.

W sumie było ich nie więcej niż trzystu pięćdziesięciu. Stanowili maleńką, wydzieloną grupę wśród saperów Big Red One. Podobny oddział istniał w Dwudziestej Piątej „Tropic Lightning”. Stu z nich nigdy nie wróciło do domu. Kolejną setkę wywieziono ze strefy walki w stanie skrajnego rozstroju nerwowego i poddano terapii psychiatrycznej. Nie zobaczyli już swojej jednostki. Reszta po zakończeniu wojny znalazła się z powrotem w Ameryce. Z natury rzeczy małowówni i zamknięci w sobie, nie lubili się chwalić swoimi wyczynami.

Państwo, które zazwyczaj wielbi bohaterów, tym razem okazało dziwną wstrzeźliwość. Nie było fanfar i medali. Szczury się pojawiły znikąd, zrobiły to, co należało zrobić, i odeszły w mrok zapomnienia. A wszystko się zaczęło od zwyczajnej sraki pewnego sierżanta.

Stany Zjednoczone nie były pierwszym państwem, które chciało umocnić wpływy w Wietnamie. Raczej ostatnim. Przedtem istniały tu trzy kolonie: w Tonkinie (na północy), Annamie (w części środkowej) i Kochinchinie (na południu), które – obok Laosu i Kambodży – wchodziły w skład imperium francuskiego.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Japończycy wyparli Francuzów. Trzy lata później, po klęsce Japonii, Wietnamczycy nabrali przekonania, że wreszcie się uwolnią od obcej dominacji. Francuzi jednak mieli zupełnie inny pogląd na tę sprawę... i wrócili. Głównym bojownikiem w walce o niepodległość (początkowo było ich co najmniej kilku) stał się komunista Ho Szi Min. To on utworzył oddziały partyzanckie Viet Minh i zaprowadził je do dżungli, gdzie pozostały na długie lata, wypełnione niemal nieprzerwaną walką.

Zasadniczym punktem oporu stała się gęsto porośnięta dżungla, lecz żyzna część Wietnamu na północ od Sajgonu, w stronę granicy kambodżańskiej. Francuzi (a po nich Amerykanie) co chwila wysyłali tam ekspedycję karną. Miejscowi chłopcy nie uciekali. Po prostu zeszli pod ziemię.

Nie dysponowali najnowszymi zdobyczami techniki, ale cechował ich zawzięty upór, cierpliwość, rozeznanie w terenie i zdolność do mrówczej pracy. Mieli motyki, szpadle i łosze z włókna palmowego. Wprost nie sposób dzisiaj obliczyć, ile wygrzebali milionów ton ziemi. Wciąż kopali. Zanim Francuzi wyszli z Wietnamu, po klęsce w pięćdziesiątym czwartym roku, cały Trójkąt był wielką płataniną tuneli, podziemnych schronów i korytarzy. I nikt o tym nie wiedział.

Potem zjawili się Amerykanie i powołali rząd, który reszta Wietnamczyków uznawała za grupę marionetek w rękach obcego mocarstwa. Znowu zaszyli się w dżungli i wznowili walkę. Znowu kopali. Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku wydrążyli ponad pięćset kilometrów przejść, komór, magazynów i schowków – wszystko pod ziemią.

Ogrom ukrytych konstrukcji po prostu zapierał dech w piersiach. W gęstym poszyciu dżungli starannie ukryte wejścia były niewidoczne nawet z odległości kilku centymetrów. Pod spodem, na pięciu poziomach, do głębokości nawet piętnastu metrów, rozpościerały się podziemne miasta połączone wąskimi i krętymi tunelami, w których – oprócz drobnych

Wietnamczyków – mieścili się tylko najmniejsi biali.

Z piętra na piętro przechodziło się przez zapadnie. Jedne z nich wiodły w dół, a inne w górę. Wszystkie oczywiście były zamaskowane i wyglądały niczym fragment ściany. W wydłubanych w ziemi komorach znalazły się magazyny, warsztaty, sypialnie, fabryki, jadalnie i szpitale. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku mogła się tam ukrywać cała brygada. Ale do czasu Ofensywy Tet okazało się to niepotrzebne.

Schrony były świetnie bronione. Pionowe szyby kończyły się najczęściej zdradziecką pułapką. Strzelanie w dół nie miało najmniejszego sensu, bo każdy tunel skręcał co parę metrów i kule grzęzły w ścianie. Nie pomagał także dynamit. W mrocznym labiryncie istniały dodatkowe przejścia, znane jedynie Wietnamczykom. Gaz nie spełniał swojego zadania, bo przeszkadzały w tym zbiorniki z wodą, wykopywane na kształt syfonu w rurze kanalizacyjnej.

Korytarze ciągnęły się niemal od przedmieść Sajgonu aż do granicy Kambodży. Istniało kilka podobnych schronów, lecz żaden z nich nie mógł się równać z tunelami Cu Chi, określanymi tak od nazwy najbliższego miasta.

Po monsunach gliniasta ziemia stawała się bardzo miękka, łatwa do kopania, usuwania i przenoszenia w koszach. Wysychając, twardniała jak cement.

Po śmierci Kennedy'ego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku wyraźnie wzrosła liczebność wojsk amerykańskich w Wietnamie. Rozkaz był już tylko jeden: walczyć. Amerykanie mieli przewagę w ludziach, technice, sile ognia – i nic nie osiągnęli. Tylko czasami, przypadkowo, znajdowali ciała poległych partyzantów. Sami zaś ponosili coraz większe straty. Przybywało zabitych i rannych.

Początkowo doszli do wniosku, że to chłopcy – odziani w jednakowe czarne piżamy – nocą zmieniają się w żołnierzy Wietkongu. Lecz w takim razie kim byli niewidzialni wrogowie, którzy za dnia czyhali na nich w głębi lasu? W styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku dowództwo Big Red One postanowiło raz na zawsze zniszczyć Żelazny Trójkąt. Rozpoczęła się Operacja Crimp.

Wojska ruszyły z jednego końca, rozciągnęły się na całą szerokość i poszły dalej. Amerykanie mieli dość amunicji, by wystrzelać całe Indochiny. Doszli do celu, ale po drodze nie znaleźli zupełnie nikogo. Za to z tyłu, znienacka, zjawili się snajperzy. Zginęło pięciu piechurów. Wprawdzie strzelano do nich ze starych odcylcowych radzieckich karabinów, lecz kula w serce zawsze jest kulą w serce.

Wszystkie oddziały zawróciły i jeszcze raz pokonały tę samą trasę. Nic. Ani śladu wroga. Za to zginęło jeszcze paru. Strzały znów padły z tyłu. Znalaziono kilka pustych okopów i jakieś schrony przeciwlotnicze. Ponownie zagwizdały kule, lecz nikt nie widział uciekających czarnych postaci.

Czwartego dnia sierżant Stewart Green obzał się po dziurki w nosie, odszedł na stronę i przykucnął w krzakach. Dwie sekundy później poderwał się jak dźgnięty nożem, ściskając

obolałą dupę. W Wietnamie pełno było różnych mrówek, węży i skorpionów, więc myślał, że go coś ugryzło. Ale okazało się, że kuczał nad wystającym gwoździem. Gwóźdź z kolei tkwił w drewnianej klapie zakrywającej wjazd do tunelu, który pionowo ciągnął się gdzieś w ciemność. Wreszcie znaleziono kryjówkę snajperów. Przez dwa lata amerykańskie wojska chodziły im nad głowami.

Nikt nie wiedział, co zrobić z partyzantami zamieszkującymi podziemne korytarze. Kraj, który trzy lata później wysłał ludzi na Księżyc, nie potrafił sobie poradzić z tunelami Cu Chi. Praktycznie istniał tylko jeden sposób walki z niewidzialnym wrogiem.

Ktoś musiał się rozebrać do cienkich bawełnianych slipów, wziąć pistolet, nóż, latarkę i zejść na dół w cuchnącą, duszną, klaustrofobiczną i nieprzeniknioną ciemność, nieznana, niesprawdzoną i pełną straszliwych pułapek. Ktoś musiał zabijać żołnierzy Wietkongu na ich własnym terenie.

Niewielu takich się znalazło. Po pierwsze, odpadali wszyscy, którzy byli barczyści i wysocy. Po drugie, ci, którzy zdradzali objawy klaustrofobii (a takich było w wojsku aż dziewięćdziesiąt pięć procent). Odrzucano także krzykaczy i pozerów. Zostawali zatem jedynie najcichsi, drobni i zamknięci w sobie, wręcz samotni w swoich oddziałach. Musieli mieć stalowe nerwy i chłodny, nawet lodowaty umysł. Ich największym wrogiem w ciasnych korytarzach była bowiem panika.

Wojskowi biurokraci, którzy zawsze znajdują dziesięć słów na coś, co można określić znacznie krócej, nazywali ich Tunelowymi Grupami Badawczymi. Sami o sobie mówili: Szczury Tunelowe.

Istnieli już trzy lata, gdy Cal Dexter przybył do Wietnamu, i wszyscy, w stu procentach, nosili Purpurowe Serca, czyli odznakę „rannego na polu walki”.

Oficer dowodzący znany był pod kryptonimem Szczur Sześć. Każdy z nich miał inny numer. Trzymali się zawsze razem, a reszta wojska spoglądała na nich z nabożnym skupieniem, niczym na ludzi, nad którymi ciąży wyrok śmierci.

Szczur Sześć nie pomylił się w swoich przewidywaniach. Szczupły chłopak z New Jersey, o twardych pięściach i oczach Paula Newmana, miał wrodzony talent. W dodatku wydawał się pozbawiony nerwów.

Porucznik zabrał go ze sobą do tunelów Cu Chi. Po godzinie wiedział, że rekrut jest lepszy od niego. Od tamtej pory stali się niemal nierozłączną parą. Pod ziemią nikt nie zwracał uwagi na stopnie. Przez dwie tury walczyli w zupełnych ciemnościach aż do dnia, w którym Henry Kissinger i Le Duc Tho zawarli umowę, że Amerykanie odejdą z Wietnamu. Potem nie było już nic do roboty.

W Big Red One para Szczurów stała się legendą powtarzaną szeptem przy różnych okazjach. Oficera zwano „Borsukiem”, a świeżo promowanego sierżanta – „Kretem”.

Rozdział 5

Szczur Tunelowy

W wojsku żołnierz sześć lat młodszy od swojego kolegi ma wrażenie, że dzieli ich różnica pokolenia. Starszy bezwiednie wchodzi w rolę „ojca”. Tak samo było z Borsukiem i Kretem. Oficer miał dwadzieścia pięć lat, pochodził z dobrej rodziny i miał lepsze wykształcenie.

Jego oboje rodzice pracowali. Po ukończeniu liceum przez rok jeździł po całej Europie, zwiedzając starożytną Grecję i ruiny Rzymu, zabytki Włoch, Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii.

Potem studiował cztery lata inżynierię wojskową i cywilną. Po powołaniu zgłosił się na trzy lata i od razu trafił do szkoły oficerskiej w Fort Belvoir w Wirginii.

Co miesiąc wychodziła stamtąd setka oficerów. Borsuk uczył się przez dwa semestry i dostał stopień podporucznika. Już jako porucznik znalazł się w Wietnamie w Pierwszym Batalionie Saperów Big Red One. Też został skaptowany do Szczurów Tunelowych i bardzo szybko, wzięwszy pod uwagę rangę, stał się Szczurem Sześć. Jego poprzednik wyjechał do Stanów. Borsuk był o dwa miesiące dłużej od Dextera w oddziale Szczurów. Do zakończenia rocznej tury pobytu w Wietnamie pozostało mu jeszcze dziewięć miesięcy.

Trzy tygodnie później stało się zupełnie jasne, że w tunelach ich role się odwróciły. Borsuk całkowicie polegał na Krecie. Widział, że chłopak odruchowo wyczuwa zagrożenie, śmierć przyczajoną cicho za zakrętem i smród pułapki. Tego zaś nie uczono na żadnej uczelni.

Zanim obaj trafili do Wietnamu, amerykański sztab doszedł do słusznego wniosku, że każda próba zniszczenia podziemnych tuneli jest z góry skazana na przegraną. Wyschnięta glina laterytowa okazała się za twarda, a sieć schronów zbyt rozbudowana. Kręte korytarze opierały się wszelkim wybuchom.

Próbowano je zalać, lecz woda po prostu wsiąkała w podłogi. Oczka wodne uniemożliwiały skuteczne użycie gazu. W kwaterze głównej wreszcie podjęto decyzję, że

trzeba posłać ludzi na dół i zniszczyć dowództwo siatki partyzanckiej Wietkongu, działającej w Strefie C.

Panowało ogólne przekonanie, że poszukiwania należy zacząć w południowym rogu Trójkąta, u zbiegu rzek Sajgon i Thi Tinh, w lasach Boi Loi przy granicy z Kambodżą. Głównym celem było odnalezienie sztabu wroga, usunięcie kadry oficerskiej i przejęcie archiwum wywiadu. Rozpoczęła się gra o wysoką stawkę – dla niektórych cenniejszą od rubinów.

Kwatera Wietkongu w rzeczywistości była w lesie Ho Bo, także pod ziemią, lecz w górnym biegu rzeki Sajgon, i nigdy jej nie znaleziono. Ale za każdym razem, gdy spychacze lub Rzymski Pług odsłaniały kolejne wejście do tuneli, Szczury schodziły na poszukiwania.

Tunel zaczynał się pionową studnią i już tutaj czaiło się niebezpieczeństwo. Wchodząc nogami naprzód, Szczur wystawiał dolną część ciała i narażał się na atak partyzanta schowanego w jakiejś bocznej niszy. Wietnamczyk wbijał mu w brzuch lub krocze zatrutą bambusową dzidę i znikał w ciemnościach. Ranny zazwyczaj konał w bólach, zanim koledzy wyciągnęli go z powrotem na powierzchnię ziemi. Szansę przeżycia były minimalne.

Jeśli się wsuwał głową, to ryzykował, że dostanie dzidą, bagnetem lub kulą prosto w szyję.

Z pozoru najbezpieczniej było się powoli opuścić na nie więcej niż półtora metra, a potem skoczyć w głąb otworu i strzelać do wszystkiego, co się poruszało. Ale zdarzało się, że na samym dnie studni, pod liśćmi i gałęziami, czekał wilczy dół naszpikowany ostrymi bambusami – najczęściej także zatrutymi. Twarde kolce bez trudu przebijały podeszwę buta, stopę i wychodziły z drugiej strony. Na ogół miały też zadziory i nie dawały się wyciągnąć. Rzadko kto wychodził żywy z takiego spotkania.

Wróg mógł czyhać za każdym zakrętem tunelu. Częściej jednak były tam różne przemysłne zasadzki, które Szczur musiał starannie rozbroić, zanim poszedł dalej.

W pewnych okolicznościach nie trzeba było nawet Wietkongu. Nietoperze, zwłaszcza z rodzaju *Taphozous*, za dnia kryły się w rozmaitych grotach i szczelinach, więc traktowały schrony jak swoje królestwo. Duże pająki kwietniki występowały w takiej liczbie, że w pewnych miejscach ściany tuneli zdawały się wręcz poruszać. Jeszcze liczniejsze były czerwone mrówki.

Na szczęście od ich ukąszenia nikt nie umierał. Ten przywilej miała niewielka żmija bambusowa, której jad zabijał w ciągu pół godziny. Partyzanci chowali ją w bambusowych tubach ukrytych w sklepieniu tunelu i wystających ukośnie w dół, najwyżej na dwa centymetry.

Żmija leżała głową w dół, rozwścieczona, że nie może uciec przez otwór zatkany kawałkiem lekkiego korka. Przez korek przeciągnięta była nylonowa żyłka, zaczepiona niżej o ścianę i biegnąca w poprzek przejścia. Kiedy pełzący żołnierz niechcący dotknął żyłki, wyrwał korek i żmija spadała mu na plecy.

A oprócz tego były szczury. Prawdziwe szczury. W tunelach czuły się jak w niebie i rozmnażały jak oszalałe. Amerykanie nigdy nie zostawiali rannych i zabitych kolegów pod ziemią. Wietnamczycy równie skrupulatnie usuwali ciała swoich ludzi z dżungli, aby popsuć „rachunek strat”, prowadzony po stronie nieprzyjaciół. Zwłoki partyzantów zabierano na dół i zakopywano w pozycji płodowej w ścianach tuneli, zakrywając je cienką warstwą wilgotnej gliny.

Glina nie powstrzymywała szczurów. Żarłoczne gryzonie urastały do wielkości kotów, bo podziemne cmentarze stawały się dla nich ogromną spiżarnią. A mimo to Wietnamczycy siedzieli w swoich schronach całymi tygodniami, a pod koniec wojny nawet miesiącami, zmuszając Amerykanów do ciągłego prowadzenia walki na ich terenie i na ich warunkach.

Ci, którzy podjęli to wyzwanie i przeżyli, z wolna przyzwyczajali się do smrodu i groźnych stworzeń. W podziemnych korytarzach było zawsze ciasno, duszno i ciemno choć oko wykol. I cuchnęło. Wietnamczycy załatwiali się do glinianych dzbanków, zakopywanych potem gdzieś w tunelach. Szczury – te prawdziwe – też to wygrzebywały.

Żołnierze najnowocześniejszej armii świata zapominali o technice, z chwilą gdy dołączali do oddziału Szczurów Tunelowych. Ich wyposażenie było prymitywne: nóż komandoski, pistolet, latarka, zapasowy magazynek i dwie dodatkowe baterie. Granatów używali rzadko, bo wiązało się to z dużym ryzykiem. Od huku w ciasnej, zamkniętej przestrzeni pękały bębniaki w uszach, a wybuch pochłaniał tlen na długości kilkudziesięciu metrów. Ludzie dusili się, zanim powietrze dotarło do nich aż z powierzchni ziemi.

Pistolet i latarka też zdradzały obecność Szczura. Na dobrą sprawę nigdy nie było wiadomo, czy jakiś wróg się nie kryje przyczajony w mroku. Pod tym względem partyzanci zawsze mieli przewagę. Wystarczyło im tylko czekać na sunącego tunelem Amerykanina.

Czasem korytarz kończył się ślełą ścianą. Lecz czy na pewno? Bo skoro tak, to po co go tu wykopano? Szczur po omacku szukał wokół siebie, ale pod palcami wyczuwał tylko glinę. Żadnego przejścia w lewo lub prawo. Musiał zapalić latarkę. W wąłym świetle znajdował przemyślnie ukryty, łatwy do przeoczenia włącz w suficie, podłodze lub ścianie. W tym momencie mógł się wycofać albo jednak otworzyć klapę.

A kto czekał po drugiej stronie? Żołnierz nie mógł wychylić głowy, jeśli nie chciał przypadkiem skończyć z gardłem przeciętym pętlą z cienkiego drutu. Nie mógł także precyzyjnie się nogami naprzód, nie ryzykując, że dostanie dzidą. Konałby wówczas z wrzaskiem bardzo długo, zaklinowany w wąskim przejściu, górną połową ciała w jednym tunelu, a zmasakrowanym brzuchem w drugim.

Dexter kazał pirotechnikom przygotować małe granaty, nie większe od mandarynki, ze zmniejszoną siłą wybuchu, lecz za to bardziej wypełnione śrutem. Zapalnik ustawiał najczęściej z trzysekundowym opóźnieniem. W ciągu pierwszego półrocza służby dwa razy rzucał granat do podziemnego szybu i szybko zamykał klapę. Kiedy unosił ją z powrotem, to w sąsiedniej komorze widział w świetle latarki tylko straszliwie poszarpane ciała.

Zbiorniki wodne chroniły tunel przed atakiem gazowym. Zdarzało się, że Szczur w ciemnościach trafiał nagle na nieckę pełną stęchłej wody. Dobrze wiedział, że korytarz ciągnie się po drugiej stronie.

Musiał wtedy położyć się na plecach, zaczerpnąć tchu i przepchnąć się przez syfon, wbijając palce w sklepienie. Za każdym razem miał nadzieję, że zdoła wychynąć z wody, zanim mu zabraknie powietrza w płucach. Zginąłby marnie, gdyby zbiornik był odrobinę dłuższy. Leżałby w błocie, w wiecznej ciemności, piętnaście metrów pod ziemią. W takich wypadkach mógł polegać wyłącznie na tym „drugim” – na koledze z zespołu.

Idący na szpicy tuż przed zanurzeniem przywiązywał sobie do nóg mocną linkę i drugi koniec wręczał partnerowi. Jeżeli dziewięćdziesiąt sekund później nie dał znać silnym szarpnięciem, że jest bezpieczny już po drugiej stronie, kumpel zaczynał go wyciągać, bez względu na okoliczności.

Mimo niewygód, niebezpieczeństw i strachu bywało jednak, że Szczury Tunelowe trafiały na żyłę złota. Zazwyczaj była to pieczara opuszczona w wyraźnym pośpiechu. Jej wygląd zdradzał, że pełniła funkcję kwatery polowej. Sterty papierów, map, zapisków i raportów prosto stamtąd trafiały do ekspertów wywiadu z sekcji G2.

Borsuk i Kret dwa razy znaleźli właśnie taką Grotę Aladyna. Generalicja, nie bardzo wiedząc, co począć z tak dziwnymi ludźmi, nie szczędziła im pochwał i odznaczeń. Ale biuro prasowe, które bez wytchnienia opowiadało światu o przebiegu wojny, tym razem nabrało wody w usta. O Szczurach nikt nie wspominał nawet słowem. Raz próbowano zrobić reportaż, ale „gość” z biura prasowego wpełznął zaledwie na dwanaście metrów w głąb zupełnie „zdrowego” tunelu i dostał hysterii. Od tamtej pory panowała cisza.

A przecież wojna to nie tylko walka. W oddziałach Szczurów zdarzały się też puste chwile oczekiwania na kolejną akcję. Niektórzy spali lub pisali listy, w duchu marząc o zakończeniu służby i powrocie do domu. Inni pili dla zabicia czasu albo grali w karty. Wielu paliło, nie zawsze marlboro. Część z nich stała się nałogowcami. Jeszcze inni dużo czytali.

Dexter należał właśnie do nich. Po kilku szczerych rozmowach z oficerem doszedł do wniosku, że ma spore braki w ogólnym wykształceniu. Potem odkrył w sobie pasję do historii. Bibliotekarz kompanii był uszczęśliwiony i sporządził mu długą listę książek do czytania. Niektóre z nich musieli sprowadzać aż z Sajgonu.

Dexter przebrnął przez starożytną Grecję i Rzym i dowiedział się o Aleksandrze, który w trzydziestym pierwszym roku życia płakał, że pokonał już wszystkie państwa na świecie i że zabrakło mu dalszych zdobyczy.

Czytał o schyłku i upadku Rzymu, o mrocznych latach średniowiecza, o renesansie i oświeceniu, o „wieku elegancji” i „wieku rozumu”. Zwłaszcza zaciekały go początki kolonizacji Ameryki i późniejsze czasy rewolucji. Wreszcie się dowiedział, dlaczego dziewięćdziesiąt lat przed jego narodzeniem w kraju wybuchła krwawa wojna secesyjna.

Oprócz czytania robił jeszcze coś innego. Siedząc w koszarach w porze monsunów, uczył

się wietnamskiego. Pomagał mu w tym stary Wietnamczyk, który zamiatał i sprzątał „norę”. Dexter dość prędko znalazł tyle słówek, żeby być rozumiany. Sam zaś rozumiał jeszcze więcej.

Po dziewięciu miesiącach pierwszej tury przytrafiły mu się dwie rzeczy. Odnosił pierwszą ranę i usłyszał, że Borsukowi kończy się roczny przydział.

Kulę zarobił od partyzanta chowającego się w tunelu. Dexter miał własny sposób penetrowania wejścia do schronów. By zmylić wroga, najpierw rzucał granat, a potem szybko wpełzał do korytarza. Jeśli granat nie rozniósł podziemnej zapadni, to znaczyło, że nie ma tam wilczego dołu. W przeciwnym razie było dość czasu, by się zatrzymać przed pułapką.

Wybuch miał także zabić lub ogłuszyć przyczajonych w ciemnościach partyzantów. Tym razem jednak Wietnamczyk ukrył się dużo dalej i czekał z kałasznikowem w ręku. Przeżył eksplozję, lecz był otepiały i tylko raz wystrzelił do szybko pełznącego Szczura. Dexter zaledwie dotknął ziemi, miał już pistolet w wyciągniętej ręce. Trzy razy pociągnął za spust. Wietnamczyk upadł i się odczołgał, lecz potem znaleziono go martwego. Kula przebiła Dexterowi ramię. Rana goiła się całkiem nieźle, ale i tak miesiąc spędził na powierzchni. Z Borsukiem była gorsza sprawa.

Każdy żołnierz to powie, a policjant potwierdzi, że dobrego partnera nie sposób zastąpić. Borsuk i Kret praktycznie zaczęli razem, więc nie chcieli chodzić pod ziemię z kimś innym. W ciągu wspomnianych dziewięciu miesięcy Dexter był świadkiem śmierci czterech Szczurów. W jednym wypadku ocalały kumpel wyszedł z tunelu z płaczem i krzykiem. Nigdy więcej nie wrócił już na pole walki, nawet po kilku tygodniach spędzonych z psychiatrą.

Zwłoki drugiego leżały na dole. Borsuk i Kret wzięli liny, zeszli na dół i wyciągnęli trupa, żeby rodzina sprawiła mu chrześcijański pogrzeb. Miał poderżnięte gardło. Nie wystawiono go w otwartej trumnie.

Z pierwszej trzynastki kolejnych czterech wyjechało natychmiast po zakończeniu służby. Było więc ośmiu mniej. Doszło sześciu rekrutów. Cały oddział znów liczył jedenastu ludzi.

– Nie zejdę tam z nikim innym – oznajmił Dexter, kiedy Borsuk odwiedził go w lazarecie.

– Wiem – odparł Borsuk. – Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Umówili się, że Borsuk zostanie rok dłużej, a Kret za trzy miesiące pójdzie w jego ślady. Sprawę uznali za załatwioną i powrócili do tuneli. Zażenowany z wdzięczności dowódca dywizji dorzucił im po medalu.

Wśród Szczurów obowiązywało kilka niepisanych zasad, których nie wolno było łamać. Pierwsza z nich brzmiała: nigdy nie schodź zupełnie sam do tunelu. Kret miał lepszego nosa do pułapek, więc zawsze sunął na szpicy, a Borsuk parę metrów za nim. Druga zasada głosiła: nie strzelaj pod rząd sześć razy. Nie pozwól, by Wietnamczyk wiedział, że masz zupełnie pusty magazynek. Dwa miesiące po rozpoczęciu drugiej tury, w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, Cal Dexter naruszył obie te zasady i mógł mówić o szczęściu, że przeżył.

Borsuk i Kret działali wówczas w rejonie nowo odkrytych tuneli, w lesie Ho Bo. Kret pokonał pod ziemią niemal trzysta metrów krętego korytarza. Dwa razy wyczuł palcami pułapki i zdołał je rozbroić. Nie zauważył jednak, że jego partner miał własne kłopoty. Borsuk panicznie bał się nietoperzy, a chwilę temu aż dwa przysiadły mu na głowie. Zamarł w bezruchu, niezdolny wykrztusić słowa.

Kret pełznął sam, aż zauważył przed sobą wątlą smugę blasku, padającą zza kolejnego zakrętu tunelu. Światło było tak słabe, że nie wiedział, czy się przypadkiem nie pomylił. Po cichu podczołgał się do węgła i znieruchomiał z bronią w ręku. Światło też się nie poruszyło. Czekał przez dziesięć minut, nie wiedząc, że Borsuk leży dużo dalej, skamieniały ze strachu. Wreszcie postanowił działać i posunął się naprzód.

Trzy metry przed sobą zobaczył Wietnamczyka przycupniętego na czworakach. Między nimi stała mała lampka, wypełniona olejem kokosowym, z pełgającym słabym płomieniem. Wietnamczyk pewnie popychał ją przed sobą, sprawdzając kolejne pułapki. Przez pół sekundy wrogowie patrzyli na siebie, a potem obaj naraz wzięli się do dzieła.

Wietnamczyk uderzył w lampkę wierzchem dłoni i gorący olej chlusnął prosto w twarz Amerykanina. Światło natychmiast zgasło. Dexter osłonił oczy lewą ręką i poczuł swąd palonej skóry. Strzelił trzy razy. Coś zaszamotało się w tunelu i zapadła cisza. Powstrzymał się w ostatniej chwili, by znów nie pociągnąć za cyngiel. Nie wiedział jednak, ilu nieprzyjaciół kryje się w ciemnościach.

Borsuk nawet się nie domyślał, że zmierzali prosto do kwatery głównej Wietkongu w tej strefie. Broniło jej aż pięćdziesięciu wietnamskich straceńców.

W tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych działał niewielki tajny oddział badawczy, zwany Limited War Laboratory. Do samego końca wojny wietnamskiej wychodziły stamtąd przeróżne pomysły, które teoretycznie miały ułatwić życie Szczirom Tunelowym. Po sprawdzeniu na polu walki odsyłano je do Ameryki z uwagą: „całkowicie niepraktyczne”.

Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku w laboratorium powstał nowy model rewolweru przeznaczonego do strzelania na małą odległość, w zamkniętych, ciasnych pomieszczeniach. Tym razem pomysł był udany. Nową broń zaprojektowano na bazie magnum .44, ze skróconą trzycalową lufą i specjalnymi nabojami.

Łuska przytrzymywała ciężki przecięty pocisk, który w momencie strzału rozpadał się na cztery części. Szczury chwaliły sobie skuteczność rewolweru w warunkach bojowych. Wystarczyło bowiem wypalić dwa razy, by posłać w głąb tunelu aż osiem pocisków. To dawało większą możliwość trafienia nawet przy strzałach na oślep.

Wykonano zaledwie siedemdziesiąt pięć takich rewolwerów. Na pół roku oddano je Szczirom Tunelowym, a potem wycofano. Ktoś odkrył, że ich użycie może być niezgodne z konwencją genewską. Odnaleziono siedemdziesiąt cztery i wysłano je do Stanów, gdzie ślad po nich zaginął.

Szczury Tunelowe miały bardzo prostą i krótką modlitwę: „Jeżeli mnie zastrzelą, to trudno. Jeśli dostanę nożem, to też się z tym pogodzę. Ale nie pozwól, Panie Boże, żebym był żywcem pogrzebany”.

Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku zwały ziemi przykryły Borsuka. Albo w tym czasie nie powinien łązić po tunelach, albo bombowce B-52 z bazy w Guam nie powinny w to miejsce zrzucić bomb z pułapu dziesięciu tysięcy metrów. Ktoś jednak wydał taki rozkaz i ktoś zapomniał ostrzec Szczury. Zdarza się. Niezbyt często, ale każdy, kto kiedyś był żołnierzem, dobrze zna pojęcie SPIN-DON – „sp...ne nie do naprawienia”.

Od niedawna w sztabie panował nowy pogląd, że tunele najlepiej zasypać bombami. Po części wynikało to z przyczyn natury psychologicznej. Przez Stany przelewała się kolejna fala protestów przeciwko wojnie. Tym razem w licznych demonstracjach maszerowali już nieomal wszyscy – dzieci wraz z rodzicami.

A w Wietnamie nikt nie zapomniał Ofensywy Tet, zakończonej dwa i pół roku temu. Morale wyciekało w dżunglę. Wprawdzie nikt w dowództwie nie mówił tego głośno, ale wśród oficerów i żołnierzy panowało powszechne przekonanie, że tej wojny nie można wygrać. Upłynęły jeszcze trzy długie lata, zanim ostatni amerykański piechur odleciał do ojczyzny, lecz dużo wcześniej, w siedemdziesiątym roku, zdecydowano, że to bombowce ostatecznie rozprawią się z tunelami w tak zwanych strefach wolnego uderzenia. Żelazny Trójkąt był właśnie taką strefą.

Stacjonowała tam cała Dwudziesta Piąta Dywizja Piechoty. Piloci otrzymali zatem ścisły zakaz zrzucania bomb bliżej niż trzy i pół kilometra od każdej amerykańskiej jednostki. Sęk w tym, że w ferworze działań nikt nie pamiętał o Krecie i Borsuku.

Oni zaś byli w rejonie Ben Suc, na drugim poziomie pod ziemią. Początkowo bardziej poczuli, niż usłyszeli pierwszą serię wybuchów. Potem gruchnęło po raz drugi i wszystko zatańczyło wokół. Natychmiast zapomnieli o Wietkongu i w te pędy rzucili się do szybu prowadzącego poziom wyżej.

Kret parł do przodu i już miał do pokonania ostatnie dziesięć metrów, dzielące go od powierzchni, gdy nastąpiło łąpięcie stropu. Z tyłu rozległ się głuchy rumor.

– Borsuk! – wrzasnął na całe gardło.

Nie było odpowiedzi. Przypomniał sobie, że opodał wyjścia w ścianie tunelu jest niewielka wnęka. Zauważył ją, kiedy wchodzili. Cały spocony dotarł do niej, skorzystał z odrobiny miejsca, by się odwrócić, i popęznął z powrotem.

Palcami dotknął zwału ziemi. Potem wymacał rękę. Jedną, drugą... i nic więcej poza grudami gliny. Zaczął kopać. Ziemię odgarniał za siebie, nie bacząc, że blokuje wyjście.

Po pięciu minutach odkopał głowę Borsuka. Po kolejnych pięciu – prawie cały tułów. Bomby przestały spadać, ale gdzieś tam w górze wybuch zatkał kanał wentylacyjny. Z wolna zaczęli się dusić.

– Wynos się, Cal – w ciemnościach rozległ się szept Borsuka. – Sprowadzisz pomoc. Nic

mi się nie stanie.

Dexter uparcie darł ziemię gołymi rękami. Zupełnie zerwał sobie dwa paznokcie. Dobrze wiedział, że wróciłby z pomocą najprędzej za godzinę. Borsuk nie przetrwałby czterdziestu minut, odcięty od powietrza. Dexter zapalił latarkę i wetknął mu ją do ręki.

– Trzymaj. Poświeć do tyłu, nad ramieniem.

W żółtym świetle zobaczył masę ziemi, przygniatającą nogi Borsuka. Kopał jeszcze przez pół godziny. Potem się wycofał. Musiał przebrnąć przez nawarstwioną glinę, którą wcześniej zagarnął za siebie. Dyszał ciężko i miał zawroty głowy; Borsuk był wółprzymny. Minęli ostatni zakręt i odetchnęli świeżym powietrzem.

W styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku Borsuk dobił do końca drugiej tury. Nie wolno było mu już prosić o dalsze przedłużenie służby. Zresztą miał dość. W dniu odlotu postarał się dla Kreta o krótki urlop i razem pojechali do Sajgonu, żeby się tam pożegnać. Do stolicy przybyli ze zbrojnym konwojem. Kret był pewny, że następnego dnia znajdzie jakiś śmigłowiec lecący do jednostki.

Najpierw zjedli dobrą kolację, a później poszli w obchód po miejscowych barach. Zrezygnowali z usług prostytutek, lecz w zamian strasznie się upili. O drugiej w nocy, otępiali, znaleźli się gdzieś za rzeką, w Cholonie, czyli w chińskiej dzielnicy Sajgonu. Odszukali zakład tatuażu, czynny mimo tak późnej pory. Właściciel, Chińczyk, bez żenady wyciągnął rękę po dolary. Całkiem rozsądnie myślał o tym, by szybko wynieść się z Wietnamu.

Borsuk i Kret z tatuażami wrócili promem do centrum miasta. Każdy z nich na lewej ręce dumnie obnosił wizerunek szczura. Nie tego złego szczura z drzwi „nory” w Lai Khe, ale cwaniaka stojącego tyłem, w nisko opuszczonych spodniach. Złośliwy gryzoń z drwiącym uśmiechem patrzył przez ramię wprost na widza. Borsuk i Kret ryli ze śmiechu. Gdy wytrzeźwieli, było już za późno.

Nazajutrz rano Borsuk poleciał do Stanów Zjednoczonych. Kret odbył tę samą trasę w połowie marca, trzy tygodnie później. Siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku formacja Szczurów Tunelowych oficjalnie przestała istnieć.

Tego samego dnia Cal Dexter, mimo prośb wielu oficerów, wystąpił z wojska i powrócił do cywilnego życia.

Rozdział 6

Tropiciel

Niewiele służb wojskowych jest bardziej utajnionych od brytyjskiej Secret Air Service, lecz w porównaniu z Det to nawet ona wygląda niczym talk-show Jerry'ego Springera.

Czternasta Samodzielna Kompania Wywiadowcza, zwana także Czternastą Wywiadowczą albo Oddziałem, czyli Detachment – w skrócie Det – rekrutuje swoich agentów niemal we wszystkich krajach świata. Znaczną jej część (w przeciwieństwie do całkowicie „męskiej” SAS) stanowią kobiety.

Ludzie Det w razie potrzeby potrafią być groźni w walce, ale na co dzień raczej szukają, tropią, śledzą i podsłuchują złych. Są niewidoczni i dysponują taką techniką, że rzadko kiedy ktoś znajduje ich mikrofony.

Typowa operacja Det przewiduje infiltrację kwatery wroga, nocne włamanie, założenie „pluskiew” i na koniec kilka dni lub tygodni spędzonych na podsłuchu. Takie działanie pozwala z góry przewidzieć plany terrorystów.

W tym momencie wkracza głośniejsza SAS. Wystarczy zręczna mała prowokacja i kiedy tylko ktoś wystrzeli, cała grupa terrorystyczna ulega likwidacji. Całkiem legalnie. W samoobronie.

Mniej więcej do połowy lat dziewięćdziesiątych głównym terenem działalności Det była Irlandia Północna. Informacje przejęte przez agentów przyczyniły się do najgorszych porażek IRA. To oni pierwsi wpadli na pomysł, aby zakładać podsłuch w zakładach pogrzebowych oraz w trumnach, w których spoczywali zabici bojówkarze – obojętne czy republikanie, czy unioniści.

Chodziło o to, że szefowie frakcji wiedzieli, iż są śledzeni, i bardzo rzadko robili ogólne narady. Chętniej zbierali się na pogrzebach, aby nad trumną lub na cmentarzu omówić najważniejsze plany. Dyskutowali szeptem, zasłaniając usta, żeby nikt nawet z ruchu warg nie odczytał, o czym akurat rozmawiają. Ale nadzwyczaj czułe mikrofony wylapywały większość pogawędek. Działo się tak przez całe lata.

Później agenci Det wybrali się na „bliższe rozpoznanie” masowych mordów dokonanych w Bośni. To dzięki nim główni winowajcy zostali schwytani przez SAS i postawieni przed trybunałem w Hadze.

Nazwa, którą kolekcjoner sztuki z Toronto, pan Rubinstein, uprzejmie podał panu Edmondowi, brzmiała Hazard Management. Siedziba firmy mieściła się w pobliżu dworca Victoria w Londynie.

Specjalnością Hazard Management była szeroko pojęta ochrona. W swoich działaniach firma korzystała z usług byłych agentów służb specjalnych. Największe zyski przynosiła jej Ochrona Mienia, polegająca – zgodnie z nazwą – na ochronie prywatnych dóbr, z którymi nie chcieli się rozstawać moiżni tego świata. W tym wypadku obowiązywały umowy terminowe, zawierane wyłącznie w razie pilnej potrzeby.

Drugą była Ochrona Osobista, czyli OO (w odróżnieniu od OM). Także czasowa, chociaż istniała niewielka uczelnia w Wiltshire, w której szkolono ochroniarzy „z zewnątrz” – oczywiście za grubą opłatą.

Najmniejszy dział Hazard Management określano skrótem OiS, czyli Odszukaj i Sprowadź. To właśnie do nich wybrał się pan Rubinstein; ktoś musiał znaleźć skradzione dzieła sztuki i wynegocjować ich zwrot właścicielowi.

Dwa dni po rozmowie z przerażoną córką Steve Edmond spotkał się z jednym z dyrektorów Hazard Management i wyjaśnił mu, o co chodzi.

– Znajdźcie mojego wnuka. Cena nie gra roli – powiedział.

Były szef sił specjalnych, w stanie spoczynku, uśmiechnął się pod wąsem. Nawet żołnierze wychowują dzieci. Następnego dnia na jego pilne wezwanie stawił się eks-kapitan pułku spadochroniarzy, od dziesięciu lat w szeregach Det, Phil Gracey. W firmie znany był krótko jako „Tropiciel”.

Gracey odbył następną rozmowę z Edmondem. Wypytywał go o szczegóły. Jeśli chłopak żył, to musiał doskonale poznać jego nawyki, upodobania, zwyczaje, a nawet przywary. Zabrał dwa dobre zdjęcia Ricky’ego Colensa i zanotował prywatny numer telefonu dziadka. Potem skinął głową i wyszedł.

Przez dwa dni niemal bez przerwy siedział ze słuchawką przy uchu. Nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać, dopóki dokładnie nie poznał celu swej podróży i nie dowiedział się, jak, kogo i po co ma poszukiwać. Całymi godzinami czytał o wojnie domowej w Bośni, o akcji humanitarnej i o działaniach obcych wojsk w tamtym rejonie. Tu wreszcie mu się poszczęściło.

ONZ powołał siły pokojowe – czyli jak zwykle wpadł na idiotyczny pomysł wysłania wojska w celu utrzymania pokoju w kraju, w którym pokój nie dawał się utrzymać. Przy okazji, żołnierzom ONZ-etu nie wolno było używać broni, więc mogli tylko bezradnie patrzeć na ciągle gwałty i rozboje. Wojska nosiły nazwę UNPROFOR. W ich skład wchodził dosyć liczny brytyjski kontyngent stacjonujący w Vitez, zaledwie piętnaście kilometrów od

Travnika.

Oddział przybył tam całkiem niedawno, w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Poprzedni odszedł dwa miesiące wcześniej, lecz Tropicieł znalazł pułkownika, który z Bośni zabrał swoich ludzi wprost do kwatery gwardii w Pirbright. Pułkownik okazał się prawdziwą kopalnią wiadomości. Trzeciego dnia po rozmowie z dziadkiem z Kanady Tropicieł poleciał na Bałkany. Nie od razu do Bośni (to było niemożliwe), lecz do Chorwacji, a konkretnie do Splitu, na wybrzeże Adriatyku. Udawał „wolnego strzelca”, czyli dziennikarza niezwiązanego na stałe z żadną agencją prasową ani redakcją. Dobry wybieg, bo nikt nie mógł mu zarzucić kłamstwa. Dodatkowo zabrał ze sobą list od szefa dużej niedzielnej gazety z Londynu z prośbą o cykl artykułów na temat pomocy humanitarnej w krajach byłej Jugosławii. Ot, tak na wszelki wypadek.

W Splicie przesiedział całą dobę. Miasto przeżywało niespodziewany rozkwit po tym, jak się stało główną bazą wypadową w rejon środkowej Bośni. Gracy kupił używany, lecz całkiem sprawny samochód terenowy i pistolet. Znowu na wszelki wypadek. Droga z wybrzeża przez góry do Travnika była długa, ale bezpieczna. Zgodnie z przewidywaniami, nie toczyły się tutaj żadne walki.

Konflikt w Bośni w niczym nie przypominał prawdziwej wojny domowej. Nie było frontu ani większych bitew. Nic, tylko koronkowa sieć etnicznych społeczności, żyjących w ustawicznym strachu. Zbrojne bandy, wchodzące w skład „narodowych” armii, zostawiały za sobą zgłiszczona „oczyszczonych” wsi i osiedli. Oprócz nich działały grupy najemników, poszukiwaczy przygód i zwykłych psychopatów szermujących wzniosłymi hasłami. Ci zresztą byli najgorsi. Pierwsze kłopoty Tropicieła zaczęły się właśnie w Travniku. John Slack wyjechał. Pracownicy Age Concern przypuszczali, że przyłączył się do większej akcji, Feed the Children, z siedzibą w Zagrzebiu. Tropicieł przespał się w śpiworze na tyle swojego samochodu i następnego dnia wyruszył w kolejną długą podróż na północ do stolicy Chorwacji, Zagrzebia. Tam znalazł Slacka w magazynach Feed the Children. Spotkanie niewiele dało.

– Nie mam pojęcia, co się stało – powiedział Slack obronnym tonem. – Po prostu nie wiem, dokąd pojechał. Słuchaj pan, Loaves-n-Fishes wyniosła się stąd miesiąc temu. Po trochu też z jego winy. Zniknął z nową toyotą, więc na dobrą sprawę z połową naszego taboru. Poza tym zabrał jednego z trzech moich bośniackich pomocników. W Charlestonie byli po prostu wściekli. Krótco wspomnieli o postępkach w rozmowach pokojowych i kazali mi wszystko zwijać. Nawet nie chcieli słuchać, kiedy im mówiłem, że tu wciąż jest dużo roboty. Mam kupę szczęścia, że się zaczęłem w jakiejś innej firmie.

– A co z tym Bośniakiem?

– Z Fadilem? To na pewno nie jego sprawka. To był dobry chłopak. Ciągłe tęsknił za swoją rodziną. Jeśli już kogoś nienawidził, to raczej Serbów niż Amerykanów.

– Pasek z pieniędzmi też się nie znalazł?

– Czysta głupota. Za dużo, by to mieć przy sobie, i za dużo, żeby gdzieś zostawić. Ale Fadil nie był mordercą. Nie zabiłby dla paru baksów.

– Co pan robił w tym samym czasie?

– Właśnie. Gdybym nie wyjechał, to na pewno nic by się nie stało. Zawczasu wybiłbym mu z głowy każdy idiotyczny pomysł. Sęk w tym, że siedziałem na górskiej drodze w Chorwacji. Usiłowałem doholować zepsutą ciężarówkę do najbliższego miasta. Głupi Szwed nawet nie sprawdził poziomu oleju, zanim wybrał się w taką trasę.

– Zauważył pan coś w obozie?

– Niby po powrocie? Podobno chłopak przyjechał rano, jak zwykle na rowerze, pokręcił się, wziął toyotę i zniknął. Drugi Bośniak, Ibrahim, widział go z Fadilem, ale nie rozmawiali. To było cztery dni przed moim przyjazdem. Próbowałem dodzwonić się do niego na komórkę. Nie odpowiadał. Wściekłem się, bo pomyślałem sobie, że pewnie gdzieś balują. Początkowo byłem bardziej zły niż zdenerwowany.

– W którym kierunku pojechali?

– Ibiahim mówił, że na północ. Czyli do centrum Travnika. Stamtąd drogi biegną dosłownie w każdą stronę. Jak zwykle nikt z mieszkańców niczego nie pamiętał.

– Więc jak pan myśli, co się z nimi stało?

– A bo ja wiem? Może ktoś prosił ich o pomoc? Na przykład Fadil coś usłyszał i przybiegł z tym do Ricky’ego... Chłopak bez przerwy ubolewał nad tutejszymi warunkami życia. Jeśli dowiedział się, że komuś w górach potrzeba lekarstw albo coś takiego, to wsiał w samochód i pojechał. Tak się spieszył, że nie zostawił żadnej wiadomości. Powiedz mi, dobrze znasz te strony, stary? Jeździłeś gdzieś po okolicy? Nic, tylko góry, rzeki i doliny. Moim zdaniem obaj chłopcy stoczyli się w jakąś przepaść. Wróc tu zimą, gdy opadną liście. Pewnie w końcu ktoś zobaczy wrak leżący gdzieś na skałach.

Tropiciel wybrał się z powrotem do Travnika, wynajął skromną kwaterę i zatrudnił Ibrahima w roli tłumacza i przewodnika. Bośniak był uszczęśliwiony, że znów ma zajęcie.

Gracey wszędzie nosił ze sobą telefon satelitarny i urządzenie szyfrujące. Na wszelki wypadek chciał mieć stałą łączność z Londynem. To dawało mu większe możliwości.

W sprawie Ricky’ego widział aż cztery rozwiązania – od najgłupszego poprzez możliwe do niemal pewnego. Najgłupszy wniosek mógł być taki, że Colenso skradł samochód i uciekł na południe, na przykład do Belgradu. Tam sprzedał wóz i zaczął całkiem nowe życie. Lecz to nie miało większego sensu. Nie pasowało do chłopaka. No i po jakie licha miałby kraść toyotę, skoro dziadek mógł kupić mu całą fabrykę?

Druga możliwość: Sulejman namówił Ricky’ego na krótki wyjazd poza miasto i zabił go dla pieniędzy. Przy okazji zabrał samochód. Możliwe. Ale Bośniak, w dodatku muzułmanin, nie dotarłby bez paszportu w głąb Serbii lub Chorwacji. Byłby wśród samych wrogów. Poza tym ktoś by zauważył nową toyotę na czarnym rynku.

Trzecia: Ricky i Fadil zginęli z rąk bandytów. Wśród zabójców krążących po bałkańskich

górach było kilka grup mudżahedinów, islamskich fanatyków, którzy przybyli tu z Bliskiego Wschodu, aby „pomóc” swoim umęczonym braciom. Już zabili dwóch najemników z Europy, w dodatku stojących po tej samej stronie, wolontariusza akcji humanitarnej i muzułmanina ze stacji benzynowej, który nie chciał za darmo oddać im paliwa.

Najlogiczniejsze było wyjaśnienie Slacka. Tropiciel wziął ze sobą Ibrahima i dzień po dniu, kawałek po kawałku, przeczesywał wszystkie drogi wokół Travnika. Ibrahim jechał z wolna samochodem, Tropiciel zaś szedł poboczem i zaglądał dosłownie w każdą przepaść.

Prowadził śledztwo najlepiej, jak potrafił. Starannie i powoli szukał śladów opon, pokruszonych kawałków skały, otarć, połamanych krzewów i zgniecionej trawy. I trzy razy, przywiązany liną do zderzaka łady, schodził w głąb gęsto zarośniętej rozpadliny, żeby sprawdzić, czy pod listowiem nie leży wrak samochodu. Nic nie znalazł.

Siadał z lornetką w ręku na skraju urwiska i patrzył w dół, w nadziei, że zobaczy błysk słońca odbitego w kawałku szkła lub metalu. Nic. Po dziesięciu męczących dniach doszedł wreszcie do wniosku, że Slack się pomylił. Pojazd tej wielkości nie mógłby zjechać z drogi i runąć w przepaść, nie zostawiwszy przy tym po sobie żadnych śladów. Coś byłoby widoczne nawet miesiąc później. W górach wokół Travnika nie zdarzył się wypadek.

Tropiciel wyznaczył wysoką nagrodę za wszelkie wieści o zaginionych. W obozie uchodźców zawrzało. Wkrótce pojawili się pierwsi świadkowie. Mówili, że widzieli samochód terenowy jadący środkiem miasta. I nic więcej. Nie wiadomo, dokąd pojechał i co się z nim dalej stało.

Po dwóch tygodniach Tropiciel przeniósł się do Vitez, do kwatery nowo przybyłego kontyngentu brytyjskiego. Zatrzymał się w miejscowej szkole, przekształconej w coś w rodzaju schroniska dla dziennikarzy. Przebywali tam głównie Anglicy. Budynek stał przy ulicy powszechnie zwanej Telewizyjną, poza terenem jednostki, ale wystarczająco blisko, aby w razie czego zapewnić mu ochronę.

Tropiciel wiedział, co wojskowi myślą o dziennikarzach, więc porzucił swoje dotychczasowe *alter ego* i na wartowni przedstawił się jako były żołnierz służb specjalnych. Potem poprosił o rozmowę z pułkownikiem.

Dowódca kontyngentu miał brata w elitarnym pułku brytyjskich spadochroniarzy. Wspólne przeżycia, wspólne interesy... Nie ma problemu. Czym możemy służyć?

Owszem, słyszał o zaginionym amerykańskim chłopcu. Paskudna sprawa. Wysłał patrole na poszukiwania, ale powróciły z niczym. Z zainteresowaniem wysłuchał oferty Tropicielea, dotyczącej pokaźnej wpłaty na Wojskowy Fundusz Dobroczynny. Potem rozkazał swoim ludziom zorganizować zwiad lotniczy. Wzięto lekki samolot od artylerzystów. Tropiciel też poleciał. Przez godzinę krążyli nad górami i dolinami. Ani śladu.

– Chyba pan musi na to spojrzeć od trochę mniej przyjemnej strony – mruknął pułkownik przy kolacji.

– Mudżahedini?

– Bardzo możliwe. To wredne świnie. Utluką pana już na samym wstępie, bo nie wygląda pan jak muzułmanin. Co gorsza, nie jest pan fundamentalistą. Piętnasty maja? Byliśmy tutaj zaledwie dwa tygodnie. Prowadziliśmy rozpoznanie. Ale sprawdziłem w raportach dziennych. Nikt ich nie widział w tej okolicy. A może niech pan przejrzy doniesienia ECMM? W gruncie rzeczy są do niczego, ale mam trochę tego w swoim biurze. Znajdzie się pewnie też coś z piętnastego maja.

Misja Obserwacyjna Wspólnoty Europejskiej (ECMM* – European Community Monitoring Mission) była niemrawą próbą, podjętą przez Brukselę, włączenia się w bieg wydarzeń, nad czym kraje Unii nie miały żadnej kontroli. Sprawa Bośni leżała w gestii ONZ-etu – aż do czasu kiedy z dobrym skutkiem przejęli ją Amerykanie. Lecz Bruksela też w tym wszystkim chciała odegrać jakąś rolę. Stworzono zatem grupę obserwatorów, czyli ECMM. Nazajutrz rano Tropiciel wziął się do lektury obszernych raportów.

Wysłannikami Unii Europejskiej byli zazwyczaj oficerowie powołani na to stanowisko przez swoich ministrów obrony, bo w kraju nic lepszego nie mieli do roboty. Rozrzucano ich po całej Bośni. Każdy dostał odrębne biuro, mieszkanie, samochód i pensję. Część ich raportów wyglądała niczym kronika towarzyska. Tropiciel przejrzał dosłownie wszystko, co dotyczyło piętnastego maja. Sprawdził też trzy kolejne dni po tej dacie. Zwrócił uwagę na wpis z szesnastego maja. Raport pochodził z Banja Luki.

Banja Luka była silnym skupiskiem Serbów, na północ od Travnika, po drugiej stronie gór Vlasic. Obserwatorem ECMM w tym rejonie został pewien Duńczyk, major Lasse Bjerregaard. Zapisał, że minionej nocy, to znaczy piętnastego maja, w barze hotelu Bośnia przypadkowo widział gwałtowną kłótnię dwóch Serbów ubranych w panterki. Jeden z nich krzyczał coś po serbsku i był wyraźnie wściekły na drugiego. W pewnym momencie wymierzył mu kilka siarczystych policzków. Uderzony tylko pochylił głowę, co raczej wskazywało na to, że był niższy stopniem.

Po całym zajściu major – który swobodnie mówił po angielsku – zapytał barmana, o co im poszło. Barman co prawda słabo znał angielski, lecz zazwyczaj nie wzbraniał się od rozmowy. Teraz jednak po prostu wzruszył ramionami i odszedł. Nazajutrz rano Serbowie w mundurach zniknęli i major już ich więcej nie zobaczył.

Tropiciel w dachu przyznał, że nigdy przedtem nie podążał tak wątlym i niepewnym śladem, ale zadzwonił do biura ECMM w Banja Luce. Znow nie miał szczęścia; jakiś Grek podniósł słuchawkę. Tak, Duńczyk tydzień temu wyjechał do kraju. Tropiciel wezwał kwaterę w Londynie i poprosił ich o interwencję w duńskim Ministerstwie Obrony. Odpowiedź dostał trzy godziny później. Na szczęście były obserwator ECMM nosił mniej popularne nazwisko. Z Jensenem byłyby kłopoty. Major Bjerregaard przebywał z rodziną na urlopie w Odense.

Tropiciel złapał go dopiero wieczorem, po powrocie z plaży. W Danii już panowały letnie upały. Major Bjerregaard starał się być pomocny. Dobrze pamiętał wydarzenia z piętnastego

maja. W gruncie rzeczy niewiele miał do roboty w Banja Luce. Nudził się i tęsknił za domem.

Codziennie o wpół do ósmej schodził do hotelowego baru na jedno małe piwko przed kolacją. Tamtego dnia, jakieś pół godziny później, zjawiała się grupa Serbów. Wszyscy byli w mundurach. Parę kolejek później zaczęli hałasować. Wrzeszczeli tak głośno, że major podniósł się, aby przejść do restauracji. W tej samej chwili do baru wszedł jeszcze jeden Serb – chyba dowódca, bo pozostali natychmiast ucichli.

Mówił po serbsku. Pewnie kazał im iść ze sobą, bo szybko dopili piwo i schowali papierosy. Jeden z nich chciał zapłacić.

Dowódca wściekł się nie na żarty. Wydzierał się na całe gardło. Wokół umilkły wszystkie rozmowy. Inni goście siedzieli w głuchym milczeniu. Dowódca aż dwa razy strzelił podkomendnego w głowę. Nikt się za nim nie ujął. Nareszcie wyszli; dowódca pierwszy, a reszta za nim, ze spuszczoneymi łbami. Żaden nawet nie wspomniał o rachunku.

– Ilu z nich zostało zbesztanych przez dowódcę? – spytał Tropiciel.

– Tylko ten, który zamierzał płacić – odpowiedział Bjerregaard.

– Ale dlaczego, panie majorze? W raporcie nie wspomniał pan o przyczynie kłótni.

– Och, naprawdę? Musiałem to przeoczyć. Przepraszam. Chyba im poszło o to, że tamten wyciągnął z kieszeni sto dolarów.

Rozdział 7

Wolontariusz

Tropiciel spakował się i pojechał na północ od Travnika. Opuścił muzułmańską Bośnię i znalazł się na terenie kontrolowanym przez Serbów. Na antenie łady wysoko zawiesił angielską flagę, żeby przypadkiem ktoś go nie ostrzelał. W razie kontroli miał brytyjski paszport, dowody na to, że pisuje do poczytnych gazet i mały prezent w postaci kilkunastu kartonów amerykańskich papierosów, kupionych w koszarach w Vitez. Gdyby jednak i to zawiodło, to zawsze mógł polegać na swoim pistolecie. Trzymał go tuż pod ręką, z pełnym magazynkiem.

Dwa razy trafił na patrole. Raz na bośniackich milicjantów, tuż za granicą terytorium Bośni, i raz na jugosłowiańskie wojska, na południe od Banja Luki. W obu sytuacjach wystarczyły obszernie wyjaśnienia, dokumenty i podarki. Pięć godzin później dotarł do Banja Luki.

Hotel Bośnia nie mógłby wprawdzie konkurować z Ritzem, ale i tak był najlepszy w mieście. Tropiciel wynajął pokój. Miał w czym wybierać. Poza nim w hotelu przebywała tylko ekipa francuskiej telewizji. O siódmej wieczór wybrał się do baru. Zobaczył kilku serbskich gości siedzących przy stolikach i barmana. Wgramolił się na wysoki stół przy szynkwasio.

– Cześć. Ty pewnie jesteś Dusko.

Zachowywał się po przyjacielsku, otwarcie, niemal jowialnie. Barman uściśnął jego wyciągniętą dłoń.

– Był pan już u nas?

– Nie, pierwszy raz. Fajny bar. Miła atmosfera.

– Skąd pan wie, jak mam na imię?

– Od kumpla. Mieszkał tutaj. Taki Duńczyk, Lasse Bjerregaard. Powiedział mi przy pożegnaniu: „Jak już tam będziesz, to pamiętaj, pozdrów ode mnie barmana”.

Dusko odetchnął z ulgą. Z tej strony nic mu nie groziło.

– Pan też z Danii?

– Nie, z Anglii.

– Wojskowy?

– Ależ broń Boże! Zwykły dziennikarz. Piszę artykuły o akcji humanitarnej. Napijemy się na przywitanie?

Dusko nalał sobie dobrego koniaku.

– Też chciałbym być dziennikarzem. Poznałbym nowych ludzi, pojeździł po świecie...

– Co ci przeszkadza? Posiedź trochę w tutejszej redakcji, nabierz doświadczenia, a potem przenieś się do większego miasta. Ja też tak zaczynałem.

Barman z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Tu? W Banja Luce? Tu nie ma żadnych gazet.

– To spróbuj w Sarajewie. Albo w Belgradzie. Przecież jesteś Serbem. Spokojnie możesz stąd wyjechać. Wojna nie będzie trwała wiecznie.

– Żeby wyjechać, trzeba mieć pieniądze. Nie ma pracy, nie ma pieniędzy. Nie ma pieniędzy, nie ma podróży i też nie ma pracy.

– Właśnie, pieniądze. Z tym zawsze kłopot. A może nie?...

Tropiciel wyjął z kieszeni plik banknotów. Same studolarówki. Starannie odliczył je na kontuarze.

– Jestem człowiekiem starej daty – mruknął. – Moim zdaniem czasami powinniśmy sobie pomagać. To nam ułatwia życie. Pomożesz mi, Dusko?

Barman gapił się na tysiąc baksów leżących tuż koło jego ręki. Nie mógł oderwać od nich oczu.

– Czego pan chce ode mnie? – spytał, zniżając głos do szeptu. – Co pan tu robi? Nie jest pan dziennikarzem.

– Po trochu jestem. Też dużo pytam. Ale za odpowiedzi lepiej płacę. Chcesz być bogaty tak jak ja, Dusko?

– Czego pan chce? – powtórzył barman. Rzucił okiem na pozostałych gości, którzy patrzyli w stronę baru.

– Widziałeś przedtem sto dolarów. To było w maju... Chyba piętnastego, prawda? Młody żołnierz chciał ci zapłacić za piwo. Dowódca zrobił mu straszną awanturę. Mój kumpel Lasse był tego świadkiem. Potem o wszystkim mi opowiedział. Co tu się stało i dlaczego?

– Nie tutaj. Nie teraz – syknął przerażony Serb. Jeden z gości podniósł się od stolika i ruszył w kierunku baru. Dusko wprawnym ruchem położył ścierkę na pieniądzech. – Zamykam o dziesiątej. Niech pan tu wtedy wróci.

O wpół do jedenastej przekręcił klucz w zamku i siedli przy stoliku przy zgaszonych światłach.

– To nie było jugosłowiańskie wojsko – powiedział barman. – To oddziały paramilitarne. Bardzo źli ludzie. Mieszkali u nas trzy dni. Zajęli najlepsze pokoje, żądali najlepszych

potraw... Dużo pili. Potem odeszli, za nic nie płacąc.

– Jeden próbował ci zapłacić.

– Owszem. Tylko ten jeden. Dobry chłopak, lepszy od innych. Nie wiem, co z nimi robił. Był po szkole. Bo reszta to sami gangsterzy... Prosto z rynsztoka.

– Nie żądałeś od nich pieniędzy za trzy dni pobytu?

– Ja? A co ja mogłem? Mieli broń. Mordują wszystkich, nawet rodowitych Serbów. To bandyci.

– A kim był ten, który spoliczkował tamtego chłopaka?

Dusko drgnął jak dźgnięty nożem i sprężył wszystkie mięśnie.

– Nie mam pojęcia. To ich dowódca, szef całej grupy. Nie wiem, jak się nazywał. Nikt nie mówił do niego po nazwisku.

– Dusko... Wszyscy bojówkarze są żądni doczesnej chwały. Arkan i jego Tygrysy, Frenki i jego chłopcy... Nie lubią być anonimowi.

– Nie znam go. Przysięgam.

Kłamał. Tropicieł dobrze o tym wiedział. Tajemniczy Serb budził zabobonny strach wśród swoich ziomków.

– A ten... dobry chłopak? Miał jakieś imię?

– Nie słyszałem.

– Rozmawiamy o sporej forsie, Dusko. Nigdy więcej go nie zobaczysz, nigdy więcej się nie spotkamy. Zgarnąłeś dość, żeby po wojnie zacząć zupełnie nowe życie w Sarajewie. Imię chłopaka.

– Przed wyjazdem przyszedł i zapłacił. Jakby wstyd mu było, że zadaje się z taką hołotą. Wrócił i dał mi czek.

– Bez pokrycia? Dostałeś zwrot z banku?

– Nie. Wszystko poszło gładko. Kasa sypnęła dinarami. Prosto z Belgradu, pełna satysfakcja.

– Więc nie masz czeku?

– Został w belgradzkim banku. Do tej pory na pewno poszedł na przemiał. Ale spisałem numer dowodu chłopaka, na wypadek gdyby mnie oszukał.

– Gdzie go zapisałeś?

– Długopisem, z tyłu na bloczku rachunkowym.

Tropicieł poszedł tym śladem. W bloczku, po licznych drinkach i skomplikowanych obliczeniach, których nie dało się wykonać w pamięci, pozostały już tylko dwie kartki. Jutro zapewne trafiłyby do kosza. Na tekturce z tyłu widniało siedem cyfr i dwie duże litery – wciąż czytelne, chociaż minęło już półtora miesiąca.

Tropicieł wręczył barmanowi tysiąc dolarów od pana Edmonda i wyszedł. Najkrótszą drogą udał się na północ, do Chorwacji, na lotnisko w Zagrzebiu.

W ciągu minionych pięciu lat we krwi i chaosie zginęło dawnych siedem krain

federacyjnej republiki Jugosławii. Na północy najwcześniej oderwała się Słowenia, szczęśliwie bez okrutnej wojny. Po drugiej stronie Macedonia też ogłosiła niepodległość. Lecz w centrum kraju serbski dyktator Slobodan Miloszević imał się wszelkich środków, aby zachować władzę w Chorwacji, Bośni, Kosowie, Czarnogórze i rodzinnej Serbii. Chorwację stracił, ale to wcale nie umniejszyło jego apetytów.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku Belgrad był jeszcze nietknięty. Dopiero później wojna w Kosowie doprowadziła do wyludnienia miasta.

Tropiciel dostał wiadomość z Londynu, że w Belgradzie działa prywatna agencja detektywistyczna, prowadzona przez byłego oficera policji. Hazard Management w przeszłości już korzystał z jego usług. Agencja nosiła niezbyt wymyślną nazwę „Chandler” – i nietrudno było ją znaleźć.

– Chciałbym odszukać pewnego chłopca – powiedział Tropiciel w rozmowie z detektywem Draganem Stojiciem. – Nie wiem, jak się nazywa. Mam tylko numer jego dowodu.

Stojic mruknął coś pod nosem.

– Co on przeszkrobał?

– Zapewne nic. Ale coś widział... albo nie.

– Jasne. Nazwisko?

– Muszę z nim porozmawiać. Nie mam samochodu i nie znam serbskochorwackiego. On pewnie mówi po angielsku... a może nie.

Stojic znów mruknął. To chyba była jego specjalność. Wyglądało na to, że znał na pamięć wszystkie książki i filmy o przygodach Philipa Marlowe’a. Zachowywał się niczym Robert Mitchum w *Wielkim śnie*, ale nie bardzo mu to wychodziło. Być może dlatego, że był łysy i miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu.

– Moja stawka wynosi... – zaczął.

Tropiciel położył na biurku kolejny tysiąc dolarów.

– Żądam pańskiej niepodzielnej uwagi – mruknął.

Stojic rozpromienił się. Cytat pochodził prosto z *Żegnaj, laleczko* Chandlera.

– Załatwione – odparł.

Trzeba przyznać, że jak już brał się do roboty, to na całego. Zajęli miejsca w zdezelowanym jugo, buchającym kłębamii spalin, i pojechali do dzielnicy Konjarnik, do siedziby belgradzkiej policji przy ulicy Lermontowa. Był to ogromny, paskudny gmach w żółte i czarne pasy, trochę przypominający leżącego na boku szerszenia.

– Niech pan zostanie w samochodzie – powiedział Stojic. Nie było go pół godziny. Chyba się spiknął z dawnym kolegą, bo kiedy wrócił, załatywało od niego śliwownicą. Ale miał w ręku jakąś kartkę.

– Dowód należy do niejakiego Milana Rajaka, lat dwadzieścia cztery, studenta wydziału prawa. Jego ojciec też jest prawnikiem. Solidna, średnio zamożna rodzina. Jest pan pewny, że

to o niego chodzi?

– Dwa miesiące temu był w Banja Luce. No, chyba że ma sobowtóra.

– Skąd się tam wziął, do diabła?

– Zajrzał do baru. W mundurze.

Stojć pomyślał chwilę. Pokazano mu akta Rajaka, ale nie pozwolono ich skopiować.

– Pewnie odbywał służbę wojskową. To obowiązek wszystkich Jugosłowian między osiemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia.

– Był żołnierzem?

– Nie, łącznościowcem. Radiooperatorem.

– Czyli nie brał udziału walkach? A może szukał przygód? Może na ochotnika dołączył do oddziału i pojechał do Bośni bić się za serbską sprawę? Dał się wrobić. I co pan na to?

Stojć wzruszył ramionami.

– Bardzo możliwe. Ale w oddziałach paramilitarnych są sami wykolejeńcy. To w gruncie rzeczy banda gangsterów. Co by tam robił student prawa?

– Może się wybrał na wakacje?

– Z kim? Mamy go zapytać?

Spojrzał na kartkę.

– Mieszka w Senjak. Stąd to niecałe pół godziny.

– Jedziemy.

Bez kłopotów trafili pod wskazany adres, czyli do schludnego, porządnego domku przy Istarskiej. Rajak senior nie zaznał krzywdy ani pod rządami marszałka Tita, ani Miloszevicia. Otworzyła im jakaś blada, nerwowa kobieta. Pewnie miała koło czterdziestki, ale wyglądała na znacznie starszą.

Stojć porozmawiał z nią po serbskochorwacku.

– To matka Milana – oznajmił. – Tak, chłopak jest u domu. Spytała, czego od niego chcemy.

– Porozmawiać. Chodzi o krótki wywiad dla angielskiej prasy.

Pani Rajak ze zdumieniem wpuściła ich do środka i zawołała syna. Ruchem ręki wskazała im drogę do salonu. Kiedy mijali schody, do przedpokoju wszedł jakiś młodzieniec. Przez chwilę szeptem rozmawiał z matką. Widać było, że się czegoś boi. Tropiciel obdarzył go szerokim przyjaznym uśmiechem i wyciągnął rękę na powitanie. Uścisnęli sobie dłonie. Drzwi od salonu pozostały lekko uchylone. Pani Rajak stała przy telefonie i coś szybko mówiła do słuchawki. Stojć ostrzegawczo popatrzył na Anglika, jakby chciał powiedzieć: „Zróbmy to w miarę szybko. Nadciąga artyleria”.

Tropiciel wyjął z kieszeni bloczek rachunkowy. Dwie ostatnie kartki wciąż tkwiły na swoim miejscu, z wyraźną nazwą „Hotel Bośnia”. Tropiciel uniósł rękę, żeby pokazać Milanowi siedem cyfr i dwie litery.

– Podoba mi się, że spłacasz swoje długi, chłopcze – powiedział. – Barman był bardzo

wdzięczny. Niestety czek okazał się bez pokrycia.

– To niemożliwe! Bank wypłacił... – Milan urwał nagle i zbladł jak ściana.

– Nikt o nic cię nie oskarża. Powiedz mi jedynie, co naprawdę robiłeś w Banja Luce?

– Po prostu byłem w odwiedzinach.

– U znajomych?

– Tak.

– W mundurze? Milanie, przecież tam trwa wojna. Co się stało przed dwoma miesiącami?

– Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi. – Resztę zdania powiedział po serbskochorwacku i Tropiciel nic nie zrozumiał. Zerknął na Stojicia.

– Tatko wraca – mruknął detektyw.

– Było z tobą dziesięciu innych. Wszyscy w mundurach. Wszyscy uzbrojeni. Co to za jedni?

Milan Rajak cały się spocił i miał taką minę, jakby zamierzał się rozplakać. Wyraźnie cierpiał na pogłębiony rozstrój nerwowy.

– Pan jest Anglikiem? Ale nie dziennikarzem. Co pan tu robi? Dlaczego mnie pan wypytuje? Nic nie wiem!

Przed domem rozległ się pisk opon i szybki tupot kroków po chodniku. Pani Rajak otworzyła drzwi. Jej mąż jak burza wpadł do mieszkania i z gniewną miną pognął do salonu. Starszy o całe pokolenie od swojego syna, nie znał angielskiego. Krzyknął coś w języku serbskochorwackim.

– Pyta, co pan tu robi i dlaczego dręczy pan Milana – przetłumaczył Stojic.

– Nikogo nie dręcę – spokojnie odparł Tropiciel. – Po prostu zadaję pytania. Co nasz młodzieniec robił w Banja Luce i kim byli ludzie, z którymi go widziano?

Stojic powtórzył jego słowa. Pan Rajak zaczął krzyczeć jeszcze głośniejsze.

– Mówi, że jego syn nigdzie nie wyjeżdżał. O niczym nie wiedzą – przetłumaczył Stojic.

– Lato spędzają razem. Jeśli natychmiast nie wyjdziemy, to zaraz dzwoni na policję. Moim zdaniem – dodał – lepiej się wynosić. Na pewno ma niezłe plecy.

– Zgoda – mruknął Tropiciel. – Ostatnie pytanie.

(Na jego prośbę były dyrektor sił specjalnych, czyli obecny szef Hazard Management, spotkał się na obiedzie z pewnym pracownikiem wywiadu brytyjskiego wydziału do spraw Bałkanów. Spotkanie okazało się bardzo pomocne).

– To były Wilki Zorana? A może to sam Zoran Žilić cię uderzył?

Stojic przetłumaczył pytanie do połowy, zanim zająknął się i umilkł. Milan zrozumiał wszystko po angielsku. Przez kilka sekund panowała niczym niezmacona, lodowata cisza. A potem wybuchła wrzawa, jakby w pokoju eksplodował granat.

Pani Rejak krzyknęła przeraźliwie i uciekła. Jej syn padł na fotel, chwycił się za głowę i trząsł się jak w febrze. Ojciec zbladł, później poczerwieniał, wskazał na drzwi i na całe gardło ryknął pojedyncze słowo, które Tropiciel zrozumiał jako „Won!”. Stojic posłusznie ruszył w

stronę wyjścia. Gracey poszedł za nim.

Na odchodnym zatrzymał się przy Milanie i wsunął mu do górnej kieszeni kurtki swoją wizytówkę.

– Gdybyś przypadkiem się namyślił, to zadzwoń – mruknął. – Albo napisz. Zaraz przyjadę.

Stojąc i Gracey uparcie milczeli w drodze na lotnisko. Detektyw doszedł do słusznego wniosku, że nadzwyczaj uczciwie zapracował na każdego centa z otrzymanego tysiąca dolarów. Gdy podjechali pod halę odlotów, powiedział do Anglika:

– Przyjacielu, jeśli jeszcze kiedyś zjawisz się w Belgradzie, to nawet w żartach nie wymieniaj tego nazwiska. Zwłaszcza w żartach. To, co się dzisiaj stało, nigdy się nie zdarzyło.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Tropiciel sporządził listę wszystkich wydatków oraz sprawozdanie dla pana Stephena Edmonda. Zakończenie brzmiało:

Niestety, wiele wskazuje na to, że Pański wnuk nie żyje. Zapewne nigdy się nie dowiemy, w jaki sposób zginął i gdzie spoczywa jego ciało. Nie chciałbym robić Panu fałszywych nadziei, mówiąc, że być może znajdziemy go żywego. W tej chwili jestem dogłębnie przekonany, że zginął, prawdopodobnie zamordowany.

Nie wierzę w to, że spadł gdzieś w przepaść razem z towarzyszącym mu Bośniakiem. Na własną rękę sprawdziłem wszystkie drogi i szosy dojazdowe do Travnika. Nie wierzę też, że wspomniany Bośniak zabił go, aby ukraść pieniądze lub samochód.

Moim zdaniem nie byli świadomi tego, co im grozi. Obaj zostali zamordowani przez nieznaną sprawców, najpewniej należących do bandyckich oddziałów paramilitarnych, działających w tamtym rejonie. Nie mamy jednak na to żadnych dowodów, świadków, wskazówek ani zaprzysiężonych zeznań. Nie można zatem wysunąć formalnego oskarżenia.

Z prawdziwym żalem przekazuję Panu tak smutne wieści, ale moim zadaniem było dociec prawdy.

*Z poważaniem,
Pański uniżony sługa
Philip Gracey*

Był dwudziesty drugi lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

Rozdział 8

Prawnik

Calvin Dexter nie podał głównego powodu odejścia z wojska. Bał się, że to tylko wzbudzi śmiech wśród kolegów i przełożonych. Miał zamiar skończyć studia i zostać prawnikiem. Podczas pobytu w Wietnamie udało mu się zaoszczędzić kilka tysięcy dolarów i dodatkowo był objęty specjalnym funduszem dla weteranów.

Wspomniany fundusz, zwany GI Bill, miał swoje wady i zalety. Każdy amerykański żołnierz – z wyjątkiem zwolnionych karnie – po demobilizacji ma prawo rozpocząć wyższe studia. Rząd łoży wówczas na jego wykształcenie dopóty, dopóki wspomniany student pozostaje pełnoprawnym słuchaczem uczelni.

Dexter był świadom tego, że w mniejszym mieście nauka będzie o wiele tańsza. Ale z drugiej strony ciągnęło go na rzetelną katedrę prawa. Wiedział, że w przyszłości łatwiej znajdzie pracę w Nowym Jorku niż w New Jersey. Po przejrzeniu co najmniej pięćdziesięciu różnych ulotek i broszur wybrał Uniwersytet Fordham w Nowym Jorku.

Dokumenty wysłał późną jesienią, wraz z najważniejszą kartą DD214, którą dostaje każdy żołnierz idący do cywila. Zdążył w sarną porę.

Wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku społeczeństwo – zwłaszcza akademickie – wciąż jeszcze narzekało na wojnę w Wietnamie, lecz weteranów postrzegano teraz nie jako agresorów, ale raczej jako bezwolne ofiary barbarzyńskich planów waszyngtońskiej administracji.

Nastroj zmieniał się dwa lata później po nieskładnym i gorączkowym odwołaniu, przez niektórych wręcz zwanym ucieczką. Richard Nixon i Henry Kissinger robili dobrą minę do złej gry, a naród odetchnął z ulgą, że to już definitywny koniec wietnamskiej awantury, lecz klęska pozostawała klęską.

Klęska to coś, z czym przeciętny Amerykanin nie chce mieć nic wspólnego. Żołnierze wracający do domu po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku byli przekonani, że ojczyzna powita ich z otwartymi ramionami. Przecież naprawdę wiele wycierpieli i stracili

przyjaciół. Tymczasem natrafili na mur obojętności zmieszanej z pogardą. Lewicowcy bardziej martwili się My Lai.

Papiery Dextera trafiły latem do komisji kwalifikacyjnej. Przyjęto go na czteroletnie studia magisterskie na wydziale nauk politycznych. W rubryce „doświadczenie” policzono mu trzy lata służby w Big Red One. Dwa lata później za to samo miałby poważne tyły.

Dexter wynajął tanią kawalerkę na Bronksie, niedaleko miasteczka uniwersyteckiego Rose Hill. Obliczył sobie, że jeśli chce dotrzeć do dyplomu, to na zajęcia musi chodzić piechotą albo jeździć środkami komunikacji miejskiej, jeść skromnie i w wakacje pracować na budowie. W ciągu trzech lat trafiały mu się przeróżne roboty. Był nawet jednym z tych, którzy stawiali nowy cud świata – wieżowce World Trade Center.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku zdarzyły się dwie rzeczy, które zupełnie odmieniły jego życie. Poznał niejaką Angelę Marozzi, z pochodzenia Włoszkę, która pracowała w kwiaciarni przy Bathgate Avenue. Była piękna, wesoła i pełna życia. Zakochał się w niej i wzięli ślub jeszcze tego samego lata. Wspólnych pieniędzy wystarczyło im na przeprowadzkę do większego mieszkania.

Jesienią, na rok przed dyplomem, Cal złożył podanie o przyjęcie na wydział prawa Uniwersytetu Fordham, działającego w ramach tej samej uczelni, lecz mieszczącego się po drugiej stronie rzeki, na Manhattanie. Nie każdy mógł tam studiować – liczba miejsc była znacznie mniejsza od liczby kandydatów.

Studia prawnicze oznaczały trzy dodatkowe lata na uczelni i egzamin końcowy, dający prawo do prowadzenia własnej praktyki adwokackiej w stanie Nowy Jork.

Egzaminów wstępnych nie było. O wszystkim decydowała wysoka komisja kwalifikacyjna, na której ręce trafiały różne stosy papierów. W wypadku Cala było to świadectwo maturalne – zresztą okropne – plus wyniki z poprzednich studiów, własnoręcznie napisana prośba i rekomendacje od dotychczasowych profesorów i wykładowców. Te ostatnie miał naprawdę świetne. A gdzieś w tej całej masie spoczywała także jego stara karta DD214.

Pomyślnie przeszedł pierwszą selekcję. Członkowie komisji spotkali się na końcowym posiedzeniu. Było ich sześciu pod przewodnictwem siedemdziesięciosiedmioletniego patriarchy, profesora Howarda Kella, który już bardzo dawno osiągnął wiek emerytalny, lecz wciąż zadziwiał wnikliwością i bystrością umysłu.

Na ostatnie miejsce czekało dwóch chętnych. Jednym z nich był Dexter. Wybuchła zażarta dyskusja. Profesor Kell wstał z honorowego miejsca u szczytu stołu i podszedł do okna. Popatrzył na niebieskie letnie niebo.

– Ciężka sprawa, co, Howard? A ty kogo byś wolał?

Zapytany trzepnął palcami w papier, który trzymał w dłoni, i podsunął go przewodniczącemu. Ten przebiegł wzrokiem listę odznaczeń i medali. Zagwizdał cicho.

– Tyle zgarnął przed ukończeniem dwudziestu jeden lat życia?

– Czego dokonał?

– Moim zdaniem zasłużył sobie na to, żeby być uczniem naszej szkoły – stwierdził profesor.

Obaj wrócili do stołu i Kell zarządził głosowanie. Padły trzy głosy za i trzy przeciw, lecz w tym wypadku głos przewodniczącego liczył się podwójnie. Kell wyłożył zebrany swoje racje. Wszyscy zerknęli na DD214.

– Może być groźny – zaproponował politycznie poprawny dziekan wydziału.

– Mam nadzieję, że nie – odparł profesor Kell. – Nie chciałbym, żeby nasza praca przypadkiem poszła na marne.

Dwa dni później radosna wieść dotarła do Dextera. Leżał w łóżku obok Angeli i głaskał ją po wydatnym brzuchu. Opowiadali sobie, co będą robić, gdy już zostanie bogatym prawnikiem i zamieszkają w pięknej willi, gdzieś w Westchesterze lub Fairfield Country.

Ich córka Amanda Jane przyszła na świat wczesną wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Niestety poród był skomplikowany. Lekarze dokładali starań, by opanować sytuację, ale w końcu wydali wyrok – nie mogą mieć więcej dzieci. Chyba że adoptowane. Znajomy ksiądz poradził Angeli, by pomodliła się do Boga i w pokorze przyjęła Jego wolę.

Cał Dexter znalazł się w pierwszej piątce absolwentów swojego wydziału i jesienią rozpoczął trzyletnie studia prawnicze. Było im ciężko, lecz z pomocą pospieszyła rodzina Marozzich. Mama pilnowała maleńkiej Amandy Jane, więc Angela mogła podjąć pracę w pobliskiej restauracji. Cał wolał pozostać na studiach dziennych, bo wieczorowe oznaczały dodatkowy rok nauki.

Przez dwa pierwsze lata podczas wakacji miał się różnych zajęć, ale później znalazł pracę na stanowisku asystenta w poważanej kancelarii prawniczej Honeyman i Fleischer w Nowym Jorku.

Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku zmarł mu ojciec. Trochę boczyli się na siebie po powrocie Cala z Wietnamu, bo pan Dexter nie mógł zrozumieć, dlaczego syn nie chce wrócić na budowę i jak dawniej być zwykłym robotnikiem.

Odwiedzali go czasem z Angelą. Pożyczyli samochód Marozzich, żeby pokazać starszemu Dexterowi wnuczkę. Koniec nadszedł nagle i szybko. Ojciec zmarł na zawał serca, na placu budowy. Syn sam przyjechał na skromny pogrzeb. Miał nadzieję, że się zobaczą na ceremonii wręczenia dyplomów. Że ojciec będzie dumny z niego. Śmierć przekreśliła te marzenia.

W tym samym roku Dexter ukończył studia, zdał egzamin i otrzymał skromną, ale nareszcie stałą posadę u Honeymana i Fleischera. Pierwszy raz, odkąd siedem lat temu wyszedł z wojska, miał zapewnione stanowisko pracy.

Honeyman i Fleischer – podkreślali z dumą, że ich firma „pomaga wszystkim”, bez względu na stan majątkowy. Na dowód tego prowadzili wiele spraw *pro bono*, czyli dla dobra biednych i skrzywdzonych.

Nie wpadali jednak w przesadę i do takich pośledniejszych zadań wyznaczali swoich najmłodszych i najgorzej płatnych pracowników. A jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku Cal Dexter stał na najniższym stopniu w hierarchii u Honeymana i Fleischera.

Nie narzekał. Cieszył się, że zarabia, i lubił swoją pracę. Stałe kontakty z ludźmi „z nizin” dały mu sporo doświadczenia, którego nigdy by nie zyskał przy wąskiej specjalizacji. Bronił zatem drobnych złodziejasków, włóczęgów i bezdomnych – jednym słowem, wszystkich biedaków, których sprawy trafiały na wokandę.

Pewnego zimowego dnia zajrzała do niego sekretarka. W ręku trzymała jakąś cienką teczkę.

– Co to? – zapytał.

– Z biura imigracyjnego – powiedziała. – Roger na to nie ma czasu.

Najlepsze z najgorszych spraw szef Dextera z reguły zatrzymywał dla siebie. Lubił zgarniać śmietankę, o ile taka była. Sprawy imigrantów traktował jak chude mleko.

Dexter westchnął i zaczął czytać akta. Przesłuchanie wyznaczono na jutro.

Rozdział 9

Uciekinier

W tamtych latach działała w Nowym Jorku organizacja charytatywna o nazwie Refugee Watch, zajmująca się sprawami uchodźców i imigrantów. Jej członków uważano drwiąco za „dobroczyńców”. Sami woleli miano „troskliwych obywateli”.

Refugee Watch, zgodnie z nazwą, pilnie obserwowała strumień ludzkich istot z różnych zakątków świata, spływający na amerykańskie brzegi ze statków i samolotów. Część przybyszów dosłownie traktowała napis na cokole Statuy Wolności i chciała zostać na stałe.

Zazwyczaj byli to zahukani i zrozpaczeni ludzie, ofiary setek nieszczęść, ledwie mówiący po angielsku, bez pieniędzy i środków do życia, czepiający się resztek nadziei. W Stanach czekało na nich potężne Biuro Imigracyjne, słynny INS*, którego główna filozofia opierała się na przekonaniu, że dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent imigrantów to przestępcy zasługujący tylko na to, aby jak najszybciej odesłać ich z powrotem do rodzinnego kraju lub dokądkolwiek indziej.

Akta, które trafiły na biurko Cala Dextera pewnego zimowego ranka tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, dotyczyły pary małżonków przybyłych z Kambodży, państwa Hom Moung.

Pan Moung złożył na piśmie obszerne zeznanie – po francusku, należał zatem do wykształconej warstwy społeczeństwa – przełożone następnie na angielski.

W Stanach Zjednoczonych już od trzech lat znana była prawda o Kambodży, spopularyzowana potem przez film *Pola śmierci*. Wiedziano więc, że kraj jęczy w rękach zbrodniczego tyrana Pol Pota i jego fanatycznej armii Czerwonych Khmerów.

Pol Pot był owładnięty szaleńczą myślą zepchnięcia społeczeństwa do poziomu epoki kamienia tupanego i stworzenia czegoś na kształt wspólnoty pierwotnej. Wręcz w chorobliwy sposób nienawidził ludzi „z miasta”, zwłaszcza tych, którzy mieli jakieś wykształcenie. Ci podlegali eksterminacji.

* Immigration and Naturalization Service

Pan Moung zaręczał, że był dyrektorem znanego liceum w Phnom Penh, a jego żona – pielęgniarką w prywatnej klinice. Oboje znaleźli się na czarnej liście. Kiedy sprawy przybrały groźny obrót, zaczęli się ukrywać. Kątem mieszkali u przyjaciół i wciąż zmieniali miejsce pobytu, ale przyjaciół ciągle ubywało, bo znikali w khmerskich obozach i więzieniach.

Pan Moung twierdził, że nie mógł się przedostać do Wietnamu albo do Tajlandii, bo na prowincji było mnóstwo szpicli, a on nawet przy najlepszych chęciach nie potrafił udawać chłopca. W końcu jednak przekupił pewnego szofera, który po cichu zawiózł ich z Phnom Penh do portu Kompong Son. Tam pan Moung wydał resztkę oszczędności, ale znalazł miejsce dla siebie i dla żony na pokładzie południowokoreańskiego frachtowca. W ten sposób wydostali się z piekła.

Nie miał pojęcia, dokąd płynie *Inchon Star*. Okazało się, że statek zmierza do Nowego Jorku, z ładunkiem drewna korkowego. Pan Moung nie zamierzał się ukrywać. Prosto z pokładu udał się do władz imigracyjnych i poprosił o azyl.

Całą noc poprzedzając przesłuchanie Dexter spędził w kuchni, po raz kolejny przeglądając wszystkie dokumenty. Żona i córka spały tuż za ścianą. Pierwszy raz miał do czynienia z taką apelacją, więc zrozumiałe, że chciał wypaść jak najlepiej. Przeczytał wniosek, a potem zerknął na odpowiedź INS. To był o wiele twardszy orzech do zgryzienia.

W amerykańskich miastach wszechmocnym władcą INS jest dyrektor danego oddziału. To w jego biurze zapadają pierwsze decyzje. Zastępca dyrektora odrzucił prośbę pana Mounga pod dziwnym pretekstem, że petent od razu przyjechał do Stanów, zamiast posłusznie i zgodnie ze zwyczajem stanąć w kolejce do ambasady albo konsulatu.

Dexter uznał, że z tym akurat nie będzie problemu. Amerykańscy dyplomaci uciekli z Kambodży już w pierwszych latach rządów Czerwonych Khmerów.

Odmowa pierwszej instancji oznaczała jednak, że państwo Moung zostali objęci procedurą deportacji. W tym momencie do sprawy włączyli się pracownicy Refugee Watch i wnieśli apelację.

Zgodnie z prawem kolejne przesłuchanie miało się odbyć w wyższej instancji, w obecności przedstawiciela administracji państwowej, zajmującego się uchodźcami.

Dexter odkrył, że drugi paragraf uzasadnienia odmowy INS odnosił się do pięciu punktów, które określały status azylanta: rasy, narodowości, wyznania, zapatrywań politycznych i klasy społecznej. Jego zdaniem pan Moung, jako zaciekle antykomunista (bo za takiego miał się podawać) i oraz dyrektor szkoły, spełniał przynajmniej dwa ostatnie z wymienionych powyżej warunków.

W czasie przesłuchania zamierzał postawić wniosek o tak zwane wstrzymanie deportacji, zgodnie z paragrafem 243(h) *Ustawy o imigracji i obywatelstwie*.

Na jednej z kartek znalazł mały dopisek zrobiony przez kogoś z Refugee Watch, informujący, że ze strony rządu w przesłuchaniu będzie uczestniczył niejaki Norman Ross. Dexter poszperał trochę i dowiedział się o nim kilku ciekawych rzeczy.

Godzinę wcześniej zjawił się siedzibie INS przy Federal Plaza 26, by porozmawiać z klientami. Sam był średniego wzrostu, ale państwo MOUNG okazali się jeszcze niżsi. Pani MOUNG wręcz wyglądała jak lalka. Spoglądała na świat przez okulary o szklach tak grubych, jakby były wycięte z dna butelki od coca-coli. Z akt wynikało, że pan MOUNG miał czterdzieści osiem lat, a jego żona – czterdzieści pięć.

Pan MOUNG był spokojny i zrezygnowany. Cal Dexter nie znał francuskiego, więc korzystał z usług tłumaczki przydzielonej mu przez Refugee Watch.

W godzinę omówili wszystkie punkty sprawy. Nie znalazł nic, co mógłby dopisać lub wykreślić.

Przesłuchanie nie odbywało się w sali rozpraw, ale w obszernym biurze, z wstawionymi na tę okazję fotelami. Do środka zawezwano ich pięć minut przed wyznaczonym czasem.

Zgodnie z przewidywaniami urzędnik INS powtórzył po prostu te punkty odmowy, które zawarte były wcześniej w dokumentach. Nic dodać, nic ująć. Pan Ross siedział za biurkiem, z nosem wbitym w papiery. Na koniec pytającym wrokiem spojrzął na żółtodzioba przybyłego tutaj z kancelarii Honeymana i Fleischera.

Pan MOUNG mruknął do żony za plecami DEXTERA:

– Miejmy nadzieję, że mu się powiedzie, bo inaczej odślą nas stąd do grobu.

Mówił w swoim ojczyństym języku.

DEXTER najpierw rozprawił się z pierwszym punktem. Wspomniał, że od samego początku „pól śmierci” w Phnom Penh nie było żadnej amerykańskiej placówki dyplomatycznej lub konsularnej. Najbliższa działała w Tajlandii, w Bangkoku. Państwo MOUNG nie mieli żadnej możliwości, żeby tam dotrzeć. Urzędnik INS mocno poczerwieniał, i pan Ross pozwolił sobie na lekki uśmiezek.

Teraz jednak DEXTERA czekało ważniejsze zadanie. Musiał udowodnić, że każdy mieszkaniec Kambodży o tak ugruntowanych antykomunistycznych poglądach jak jego klient narażał się na tortury i śmierć z rąk Czerwonych Khmerów. Wystarczyło liźnąć nieco wykształcenia, żeby trafić w ręce oprawców.

DEXTER wiedział, że Norman Ross nie zawsze był Normanem Rossem. Jego ojciec przybył do Ameryki na początku dwudziestego wieku i nazywał się Samuel Rosen. Pochodził z małego sztetl w obecnej Polsce i uciekał przed kozakami wycinającymi w pień całe miasta na rozkaz cara.

– Bardzo łatwo odepchnąć kogoś, kto przychodzi z niczym, prosząc jedynie o prawo do dalszego życia. Łatwo powiedzieć „nie” i odejść. Nikt nie pomyśli, że nasze „nie” dla tych Azjatów oznacza powrót, uwięzienie, tortury i pewną śmierć pod murem straceń. Pytam jednak, w imieniu naszych ojców i dziadów, ilu z nich po powrocie do zbrukanego krwią kraju mówiło: „Wyjechałem z nadzieją na prawdziwą wolność, lecz tam zamknięto mi drzwi przed nosem i kazano umrzeć”? Pytam, ilu ich było? Milion, panie Ross? Prawie dziesięć milionów. Proszę więc pana, nie w imieniu prawa i nie dla popisów elokwencji, lecz dla

zwycięstwa tego, co Szekspir nazywał „cnotą miłosierdzia”, o zapewnienie, że w tym wielkim kraju znajdzie się kawałek miejsca dla dwojga uchodźców, którzy stracili już wszystko prócz życia. Dajmy im nową szansę.

Norman Ross podejrzliwie patrzył na niego przez minutę. Potem stuknął ołówkiem w stół niczym młotkiem i oznajmił:

– Deportacja wstrzymana. Następna sprawa.

Tłumaczka z Refugee Watch po francusku zwróciła się do państwa Moun. Z podnieceniem wytłumaczyła im, że od tej pory jej organizacja zajmie się ich losem. Że wprawdzie będzie trochę biurokracji, ale już nie potrzeba adwokatów. Mogą pozostać w Stanach pod opieką rządu. Z czasem na pewno dostaną pracę, azyl i obywatelstwo. Dexter pożegnał ją z uśmiechem. Kiedy wyszła, spojrzął na pana Mouna.

– Chodźmy do kawiarni. Chcę wiedzieć, kim pan jest naprawdę i po co pan tu przyjechał – powiedział w ojczystym języku Mounów, po wietnamsku.

Zeszli do maleńkiej kafejki w suterenie i usiedli przy stoliku w rogu. Dexter starannie obejrzał paszporty z godłem Kambodży.

– Te dokumenty przeszły przez ręce naszych najlepszych ekspertów – mruknął. – Wszyscy uznali je za prawdziwe. Gdzie pan je zdobył?

Pan Moun zerknął na swoją maleńką żonę.

– To jej dzieło. Pochodzi z rodziny Nghi.

Klan Nghi z rejonu Hue przez całe wieki był znany ze swoich umiejętności. To właśnie z niego na dwór cesarski przyjmowano najlepszych pisarzy. Kaligrafię doprowadzili tu wyżyny sztuki. Spisywali najważniejsze dokumenty dla kolejnych pokoleń władców.

W nowszych czasach, a zwłaszcza po wybuchu wojny z Francją, czyli po tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, znaleziono dla nich nowe zajęcie. Niesłuchanie cierpliwi, pracowici i drobiazgowi, stali się najlepszymi fałszerzami świata.

Mała kobietka w grubych okularach popsowała wzrok podczas następnej wojny wietnamskiej, siedząc skulona w podziemnym schronie i podrabiając paszporty. Zrobione przez nią dokumenty były tak doskonałe, że agenci Wietkongu bez kłopotów poruszali się po całym Wietnamie Południowym i nigdy nie zostali złapani.

Cał Dexter oddał im papiery.

– Powtórzę zatem swoje pytanie. Kim jesteście i co tu i obicie?

Żona zaczęła cicho płakać. Pan Moun położył jej rękę na dłoni.

– Nazywam się Nguyen Van Tran – powiedział. – Uciekłem z wietnamskiego obozu koncentracyjnego. Przesiedziałem w nim równo trzy lata. Przynajmniej ta część mojej opowieści jest całkowicie zgodna z prawdą.

– W takim razie skąd ten pomysł z Kambodżą? Do Ameryki trafia wielu Wietnamczyków, którzy nam pomagali w czasie wojny.

– Byłem majorem Wietkongu.

Dexter powoli skinął głową.

– To już może być pewien kłopot – przyznał. – Niech mi pan wszystko opowie.

– Urodziłem się w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, na południu, tuż przy granicy kambodżańskiej. Dlatego mogę udawać Khmera. W mojej rodzinie nikt nie lubił komunistów, chociaż ojciec był nacjonalistą. Uważał, że nasz kraj musi się wyzwolić spod wpływu Francuzów. Wychował mnie w podobnym duchu.

– Nie ma w tym nic zdrożnego. Dlaczego przystał pan do komunistów?

– O to chodzi, że nie przystałem. To było kłamstwo. Dlatego też trafiłem do obozu.

– Proszę opowiadać dalej.

– W dzieciństwie, jeszcze przed drugą wojną światową, chodziłem do francuskiej szkoły. Wciąż marzyłem, że jak będę duży, to przyłączę się do ruchu oporu przeciwko kolonizatorom. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku przyszli Japończycy. Przepędzili Francuzów, choć teoretycznie rząd Vichy stał po ich stronie. Walczyliśmy zatem z Japończykami. Najlepiej radzili sobie komuniści: pod wodzą Ho Szi Mina. Byli sprawniejsi, skuteczniejsi i bardziej bezwzględni od nacjonalistów. Wielu z nas zmieniło szeregi. Ojciec jednak pozostał przy starych przekonaniach. Po klęsce Japończyków w czterdziestym piątym roku Ho Szi Min stał się bohaterem. Miałem wtedy piętnaście lat i poznałem już zapach prochu. Potem wrócili Francuzi. Kolejna wojna trwała dziewięć lat. Większość grup ruchu oporu została po prostu wchłonięta przez komunistyczne oddziały Viet Minh, dowodzone przez Ho Szi Mina. Tych, którzy usiłowali protestować, zwyczajnie zabijano. Też brałem udział w tej wojnie. Byłem częścią ludzkiego mrowia przenoszącego lufy armat na wzgórza otaczające Dien Bien Phu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Później doszło do rozmów w Genewie i następnej tragedii... kraj został podzielony na północ i południe.

– Wrócił pan do oddziału?

– Nie tak od razu. Przez pewien czas panował spokój. Czekaliśmy na referendum gwarantowane nam przez traktat. Niestety nic z tego nie wyszło, bo dynastia Diem, rządząca na południu, bała się przegranej. Znow zaczęliśmy walczyć. Mieliśmy do wyboru albo zramolałych i skorumpowanych Diemów, albo „wujaszka Ho” i generała Giapa. Byłem u Giapa. Podziwiałem go. Wybrałem komunistów.

– Nie ożenił się pan?

– Owszem, ożeniłem. Z pierwszą żoną mieliśmy trójkę dzieci.

– Gdzie są teraz?

– Wszyscy nie żyją.

– Epidemia?

– B-pięćdziesiąt dwa.

– Co dalej?

– Zjawili się Amerykanie przysłani przez Kennedy’ego. Początkowo jako doradcy. Dla nas jednak rząd Diema stał się marionetką w rękach kolejnego mocarstwa. Tak samo było

przedtem, za Japończyków i Francuzów. Nasz kraj znów znalazł się pod obcą okupacją. Wróciłem do dżungli.

– Kiedy?

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim.

– Na całe dziesięć lat?

– Właśnie. W chwili zakończenia wojny miałem już czterdzieści dwa lata i połowę życia spędziłem jak zwierzę, wśród chorób, głodu, nieszczęść i ustawicznego strachu przed śmiercią.

– Ale w siedemdziesiątym drugim miał się pan z czego cieszyć – mruknął Dexter.

Wietnamczyk pokręcił głową.

– Nawet pan nie wie, co się stało po śmierci Ho w sześćdziesiątym ósmym. Partia i rząd przeszły w innej ręce. Wielu z nas wciąż walczyło o kraj naszych marzeń. Liczyliśmy na tolerancję. Następcy Ho byli wyzuci z sentymentów. Przez kraj przetoczyła się fala aresztowań. Ginęli kolejni patrioci. Do głosu doszli Le Doan i Le Duc Tho. Żaden z nich nie miał tej wewnętrznej siły, która cechowała przedtem Ho Szi Mina. Aby utrzymać się przy władzy, wprowadzili rządy terroru. Wzrosło znaczenie tajnej policji. Pamięta pan Ofensywę Tet?

– Tak.

– Amerykanie byli przekonani, że wygrana jest po naszej stronie. Nic podobnego. Główne decyzje zapadły w Hanoi, ale praktycznie bez udziału generała Giapa. On był bezsilny wobec Le Doana. Rozkazy szły prosto do Wietkongu. Chciano nas zniszczyć. Czterdzieści tysięcy naszych najlepszych ludzi zginęło w samobójczych akcjach. Wśród nich byli wszyscy przywódcy południa. Bez nich Hanoi sięgnęło po najwyższą władzę. Wojska Wietnamu Północnego kontrolowały obszar całego kraju. Znalazłem się wśród niewielu ocalałych. Chciałem wolnego i zjednoczonego państwa, niepozbawionego swobód kulturalnych, sektora prywatnego i gospodarstw indywidualnych. I to był błąd.

– Co się stało?

– Cóż... Po ostatecznej klęsce południa w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku zaczęły się prawdziwe jatki. Na pierwszy ogień poszli Chińczycy. Dwa miliony ludzi z dnia na dzień straciło wszystko. Część z nich podjęła niewolniczą pracę, a część dołączyła do grona wyrzutek, do *boat people*. Próbowałem się temu sprzeciwić. W tym samym czasie powstawały pierwsze obozy dla dysydentów. Dzisiaj przebywa w nich ponad dwieście tysięcy więźniów. Pod koniec siedemdziesiątego piątego roku przyszli po mnie funkcjonariusze Gong Ang, czyli wietnamskiej służby bezpieczeństwa. Napisałem o jeden list za dużo. Wspomniałem w nim, że moim zdaniem rząd zdradził nasze ideały. Nie przypadło im to do gustu.

– Ile pan dostał?

– Trzy lata. Przepisowy okres na „reedukację”. Potem jeszcze trzy lata kurateli. Wysłano

mnie do obozu w prowincji Hatay, około sześćdziesięciu kilometrów od Hanoi. Zawsze wywożą więźniów daleko od domu, żeby zniechęcić ich do ucieczki.

– Panu jednak się to udało.

– Wyłącznie przy pomocy żony. Nie tylko fałszowała różne dokumenty, ale naprawdę była pielęgniarką. Ja też pracowałem w szkole przez kilka lat pokoju. Poznaliśmy się już w obozie, i to w izbie chorych. Nabawiłem się wrzodów na obu nogach. Dużo rozmawialiśmy. Zrodziło się uczucie. Przeszmuglowała mnie na zewnątrz i opłaciła podróż. Miała nieco schowanych złotych świecełek. Wykupiliśmy sobie za nie miejsce na frachtowcu. Teraz wie pan już wszystko.

– I myśli pan, że w to uwierzę? – spytał Dexter.

– Mówi pan po naszymu. Był pan w Wietnamie?

– Byłem.

– Walczył pan?

– Owszem.

– Więc powiem panu coś, jak żołnierz do żołnierza. Trzeba umieć przyznać się do przegranej. Ja zaś przegrałem na wszystkich frontach. Idziemy?

– Niby dokąd?

– Z powrotem do biura. Musi pan przecież złożyć odpowiedni raport.

Cał Dexter dopił kawę i wstał. Major Nguyen Van Tran chciał pójść w jego ślady, ale Dexter położył mu rękę na ramieniu i pchnął go z powrotem na krzesło.

– Dwa słowa, panie majorze. Wojna dobiegła końca. To było dawno i całkiem gdzie indziej. Niech pan teraz korzysta z życia.

Wietnamczyk przyglądał mu się z otępiałym zdumieniem. Jak zahipnotyzowany powoli skinął głową. Dexter odwrócił się i odszedł.

Wchodził po schodach z zamyśloną miną. Coś go gryzło. Gdzieś już widział podobną twarz, zastygłą w bezbrzeżnym zdziwieniu.

Pomału wyszedł na ulicę i nagle odrzucił głowę w tył i wybuchnął donośnym śmiechem. Przechodnie przyglądali mu się podejrzliwie. A on śmiał się z szaleństwa losu. Odruchowo potarł lewą rękę, poparzoną kiedyś przez wroga gorącym olejem.

Był dwudziesty drugi listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku.

Rozdział 10

Dziwak

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku Cal Dexter porzucił pracę w kancelarii Honeyman i Fleischer, ale nie po to, aby osiąść w wymarzonej willi w Westchesterze. Znalazł zatrudnienie w Biurze obrońcy Publicznego, czyli inaczej mówiąc – zwłaszcza w Nowym Jorku – stał się adwokatem niejako „z urzędu”. Nie był to ani popłatny zawód, ani szczególnie szanowany, dawał mu jednak coś, czego nie zaznałby, zajmując się na przykład prawem podatkowym. Nazywało się to „zadowolenie z pracy”.

Angela przyjęła tę decyzję z dużym zrozumieniem. Prawdę mówiąc, o wiele lepiej, niż sobie wyobrażał. Nie tęskniła za przeprowadzką. Cała rodzina Marozzich lubiła być blisko siebie, niczym winogrona. Pod tym względem przypominali typowych mieszkańców Bronxu. Amanda Jane chodziła do porządnej szkoły i miała mnóstwo koleżanek. Lepsza praca i związany z tym awans społeczny nikomu nie były potrzebne.

Dla Dextera nowa posada oznaczała ciągle nadgodziny i kontakty z każdym nieszczęśnikiem, który prześliznął się przez oczko wątlej sieci, utkanej z marzeń o Ameryce.

Bronił tych, którzy na własną rękę nie mogli sobie pozwolić na obrońcę.

Nie traktował ich z góry jako winowajców. To, że niektórzy byli bardzo biedni, nie czyniło z nich jeszcze przestępców. Cieszyło go, kiedy jakiś „klient” – bez względu na to, co przeszkrobał w życiu – okazał się niewinny w tej czy tamtej sprawie. A pewnej upalnej letniej nocy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku poznał Washingtona Lee.

W samym tylko Burrough of Manhattan notuje się co roku sto dziesięć tysięcy różnych spraw kryminalnych, nie licząc powództwa cywilnego. Sądy pękają w szwach i grożą nagłą zapadnięciem, ale udaje im się jakoś przetrwać. W tamtych latach przez okrągłą dobę trwały przesłuchania w wielkim granitowym gmachu przy Center Street 100.

Nad drzwiami sądu, jak w dobrym kabarecie, mógłby wisieć błyszczący napis „Zawsze otwarte”. I choć zapewne byłoby przesadą twierdzić, że właśnie tutaj się kłębiło dosłownie „całe życie”, to jednak ów gmach był istotną częścią egzystencji mieszkańców dolnego

Manhattanu.

Wspomnianego dnia, w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, Dexter miał nocną zmianę, pomagając przepracowanym sędziom. Dochodziła już druga w nocy i miał ochotę wymknąć się do domu, gdy usłyszał, że ktoś go z powrotem wzywa do sali rozpraw AR2A. Westchnął ciężko. Nikt nie śmiał się sprzeciwić sędziemu Hasselbladowi.

Wszedł na salę i stanął obok pomocnika prokuratora okręgowego, ściskającego w dłoni akta sprawy.

– Wygląda pan na zmęczonego, panie Dexter.

– Jak wszyscy tutaj, Wysoki Sądzie.

– W to nie wątpię, ale chciałbym, żeby pan zerknął na tę sprawę. Nie jutro, lecz właśnie teraz. Tu są akta. Wydaje mi się, że ów młody człowiek napisał sobie niezłej biedy.

– Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem, Wysoki Sądzie.

Hasselblad uśmiechnął się szeroko.

– Wprost uwielbiam takie pochlebstwa – odwzajemnił się Dexterowi.

Cał wzięł teczkę od prokuratora i razem wyszli na korytarz. Napis na aktach brzmiał: „Stan Nowy Jork przeciwko Washingtonowi Lee”.

– Gdzie on jest? – spytał Dexter.

– Tu, w areszcie – odparł prokurator.

Klient wyglądał dokładnie tak samo jak na policyjnym zdjęciu. Był to chuderlawy Murzyn o mocno wystraszonej i niepewnej minie, jak ktoś, kto zupełnie nie wie, w co się wpakował i co mu naprawdę grozi. Nie było w nim nic z cwaniaka.

Miał zaledwie osiemnaście lat i pochodził z paskudnej dzielnicy Bedford Stuyvesant, czyli z tej części Brooklynu, gdzie mieściło się czarne getto. To od razu wzbudziło ciekawość Dextera. Dlaczego trafił do sądu na Manhattanie? Prawdopodobnie wybrał się na drugą stronę rzeki, żeby skraść samochód albo wyciągnąć komuś portfel.

Nie, w oskarżeniu była mowa o oszustwie. I to na dodatek w banku. Może sfalszował czek lub posługiwał się skradzioną kartą kredytową? Nie.

Opis czynu był dość niesprecyzowany. Prokurator postawił chłopakowi „goły” zarzut defraudacji ponad dziesięciu tysięcy dolarów na szkodę East River Savings Bank, z siedzibą w centrum Manhattanu. To tłumaczyło, dlaczego młody Murzyn stawał przed tutejszym sądem, a nie gdzieś na Brooklynie. Kradzież została wykryta przez ochronę banku i natychmiast zarządzono śledztwo.

Dexter obdarzył chłopaka krzepiącym uśmiechem, przedstawił się i podsunął mu paczkę papierosów. Sam nie palił, lecz dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego klientów nie stroniło od mocniejszego dymka. Washington Lee pokręcił głową.

– To niezdrowe, chłopie.

Dexter miał ochotę mu powiedzieć, że siedem lat w kiciu też nie wpływa na poprawę zdrowia, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zauważył, że pan Lee był nie tylko

zaniedbany, lecz także potwornie brzydki. Jak więc przekonał bank do wypłacenia mu tak wielkiej kwoty? Z takim wyglądem, chudy i zgarbiony, wręcz nie pasował do marmurowych wnętrz szacownego East River Savings Bank.

Cał potrzebował dużo więcej czasu i uwagi, by naświetlić tę sprawę. Niestety, na wszystko miał tylko parę minut. Na razie chciał jak najszybciej przebrnąć przez wstępne formalności i dowiedzieć się, czy była jakaś szansa na kaucję. Pewnie nie było.

Godzinę później wrócił do sali rozpraw. Washington Lee zjawił się tam chwilę później, doprowadzony przez strażnika. Wciąż wyglądał na mocno zdumionego.

– Możemy zaczynać? – spytał sędzia Hasselblad.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, prosiłbym o odroczenie – powiedział Dexter.

– Podejdźcie bliżej. – Sędzia skinął na niego i prokuratora. Kiedy stanęli przed pulpitem, mruknął:

– Jakież kłopoty, panie Dexter?

– Wysoki Sądzie, ta sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż początkowo przypuszczałem. Tu nie chodzi o jakąś tam drobną kradzież. Akt oskarżenia wymienia kwotę ponad dziesięciu tysięcy dolarów wyłudzonych od znanego banku. Nie ukrywam, że przydałoby mi się na to trochę czasu.

Sędzia spojrział na prokuratora. Ten wzruszył ramionami na znak, że mu wszystko jedno.

– Za tydzień – oznajmił sędzia.

– Wnoszę o wyznaczenie kaucji – powiedział Dexter.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – zaproponował prokurator.

– Wyznaczam kaucję w wysokości domniemanie skradzionej kwoty. Dziesięć tysięcy dolarów – oświadczył sędzia Hasselblad.

Stało się jasne, że zwolnienie nie wchodzi w rachubę. Washington Lee nie miał nawet dziesięciu dolarów i nikogo, kto mógłby mu coś pożyczyć. Musiał więc wracać do celi. Po wyjściu z sądu Dexter poprosił prokuratora o małą przysługę.

– Bądź człowiekiem i zatrzymaj go tutaj, w Tombs, a nie na wyspie.

– Nie ma sprawy. Leć do domu trochę się zdrzemnąć, dobrze?

Na Manhattanie są dwa areszty dla czekających na rozprawę. Tombs, chociaż z nazwy można by pomyśleć, że to katakumby, w istocie rzeczy mieści się w wysokim gmachu tuż obok budynku sądu. Adwokaci mają tutaj o wiele bliżej niż na Riker's Island, w górnym biegu East River. Dexter chętnie poszedłby za przyjacielską radą i wałnął się do łóżka, ale wpierw musiał dokładnie przeczytać całe akta. Rano czekała go kolejna pogawędka z Washingtonem.

Wprawnym okiem od razu wyłowił ze stosu kartek historię o tym, jak doszło do aresztowania młodego Murzyna. Przekręt został wykryty przez pracowników banku. Szef ochrony, niejaki Dan Mitkowski, okazał się byłym policjantem z NYPD. To on przekonał dawnych kolegów, żeby wybrali się na Brooklyn i tam zgarnęli pana Washingtona.

Najpierw zamknięto go w areszcie policyjnym w śródmieściu. Stamtąd grupowo przewożono więźniów do gmachu Sądu Karnego, gdzie od lat byli niezmiennie karmieni bananami i kanapkami z serem.

A potem wszystko szło utartym trybem. Jeden z załączników zawierał krótki wykaz drobniejszych przestępstw, dekle samochodowe, włamania do automatów, kradzieże w sklepach. Po zakończeniu wstępnej procedury Washington Lee był gotów, by stanąć przed sądem. Tu zaczynała się właściwa rola sędziego Hasselblada.

Z pozoru zatem szło o chłopaka, który urodził się wyłącznie po to, aby żyć w ustawicznej nędzy i awansować z wagarowicza najwyżej na złodziejaska. Raz wałęsałby się po ulicach, a raz siedział na państwowym wikcie, gdzieś tam „w górze rzeki”. Jak więc udało mu się wycygnąć dziesięć tysięcy baksów od banku, który nawet nie miał swojej filii w Bedford Stuyvesant? Na to pytanie zabrakło odpowiedzi. W aktach nie było o tym ani słowa. Suche zarzuty plus garść pretensji od mocno rozgniewanego banku. Kradzież na pokaźną skalę, na pewno trzeciego stopnia. Siedem lat więzienia jak w mordę strzelił.

Dexter przespał się trzy godziny, wyprawił Amandę Jane do szkoły, pocałował Angelę na pożegnanie i wrócił na Center Street. Wiedział, że tylko od chłopaka może wyciągnąć całą prawdę.

Washington Lee był bardzo słabym uczniem. Oceny miał katastrofalne. Rysowała się przed nim czarna przyszłość, prostą drogą wiodąca do wykolejenia, zbrodni i wyroku. Aż tu nagle jeden z nauczycieli, może mądrzejszy, a może tylko nieco wrażliwszy od innych, dopuścił go do komputera marki Helwett-Packard. (Połowy Dexter się domyślał, słuchając rwanej opowieści).

Murzyn zrobił dokładnie to, co zapewne zrobiłby młody Jehudi Menuhin, gdyby dano mu potrzymać skrzypce. Przez chwilę zerkał na klawisze, potem popatrzył na monitor, a chwilą później zaczął grać symfonię. Nauczyciel, maniak komputerów w czasach kiedy ich jeszcze było niczym na lekarstwo, przyglądał mu się ze zdumieniem. Pięć lat minęło od tamtej pory.

Washington Lee zaczął się uczyć. Przy okazji gromadził oszczędności. Kiedy okradał uliczne automaty, to tych pieniędzy nie przeznaczał ani na piwo, ani na papierosy, ani na to, by dać sobie w żyłę. Nie wydawał także na ubrania. Za uzbieraną sumę kupił sobie tani komputer na jakiejś wyprzedazy.

– Jak wyciągnąłeś forszę z East River Savings Bank?

– Włamałem się do ich *mainframe* – odparł chłopak.

Dexter początkowo myślał, że chodzi o prucie sejfu, więc zażądał dodatkowych wyjaśnień. Chłopak wyraźnie się ożywił. Wreszcie mógł coś powiedzieć na swój ulubiony temat.

– Stary, nawet nie masz pojęcia, jak słabo są zabezpieczone wszelkie bazy danych!

Po prawdzie Dexter akurat tym nigdy się nie kłopotał. Jak każdy laik, wiedział tylko, że informatycy wymyślili system zwany *firewall*, chroniący przed dostępem z zewnątrz

superczule zasoby pamięci komputera. Jak im się to udało, nawet nie pytał. Do głowy mu nie przyszło, że można się tam włamać. Słuchał więc tego, co miał mu do powiedzenia Washington Lee.

Wszystkie banki East River Savings przechowywały informacje o swoich klientach w centralnym komputerze. Większość ludzi traktuje swój stan majątkowy jako bardzo prywatną sprawę, więc dostęp do każdego konta był obwarowany skomplikowanym szyfrem, znanym wyłącznie pracownikom banku. W razie pomyłki na monitorze pojawiały się tylko dwa słowa: „Brak dostępu”. Po trzecim mylnym wpisaniu szyfru w centrali zaczynały migać lampki alarmowe.

Washington Lee złamał wszystkie szyfry, omijając alarm. Dotarł aż do głównego komputera w podziemiach głównego banku na Manhattanie i podporządkował go swoim rozkazom. Innymi słowy, dokonał *coitus noninterruptus* z bardzo kosztownym wynalazkiem współczesnej elektroniki.

Wydawał bardzo proste polecenia. Najpierw kazał komputerowi przejrzeć i sprawdzić wszystkie rachunki oszczędnościowe i depozytowe, potem zaś odjąć po dwadzieścia pięć centów od oprocentowania każdej miesięcznej wpłaty i przelać je na nowe konto.

Ponieważ jednak nie miał konta, to musiał je otworzyć. Wybrał miejscowy Chase Manhattan. Gdyby na przykład przyszło mu do głowy, by zrobić przelew na Bahamy, to pewnie nikt by go nie złapał.

Trudno wyliczyć właściwą kwotę, wynikającą z oprocentowania, zależy ona bowiem od sumy wszystkich wpłat dokonanych w danym okresie, zatem ulega ciągłym zmianom. Na to, by „na piechotę” sprawdzić, czy się zgadza aż do dwudziestu pięciu centów, potrzeba ładnych paru godzin. Większość ludzi tym się nie przejmuje. Pozostawiają obliczenia pracownikom banku, wierząc w ich uczciwość.

Pan Tolstoy był wyjątkiem. Co prawda był już po osiemdziesiątkę, lecz zachował wrodzoną bystrość. Nudziło mu się w ciasnym mieszkanku przy West 108 Street. Przez całe życie był księgowym w dużej agencji ubezpieczeniowej, zatem znał wartość każdego centa, zwłaszcza pomnożonego wystarczającą liczbę razy. Od lat próbował przyłapać bank na jakimś błędzie. Wreszcie mu się to udało.

Zauważył, że w kwietniu jego oprocentowanie było niższe o dwadzieścia pięć centów. Sprawdził marzec. Znów to samo. Cofnął się jeszcze o dwa miesiące. A potem złożył zażalenie.

Kierownik miejscowego banku najchętniej oddałby mu dolara, ale przepisy były przepisami. Skargę przekazał dalej. W centrali pomyśleli najpierw, że to przypadek, lecz wrywkowa kontrola innych depozytów wykazała tę samą prawidłowość. Wtedy wezwano informatyków.

Niemal od razu wyszło na jaw, że główny komputer banku odliczał wspomnianą kwotę z każdego konta. Co gorsza, i robił to już od dwudziestu miesięcy. Padło pytanie: dlaczego?

– Bo mi tak kazaliście – odpowiedział komputer.

– Nieprawda – obruszyli się informatycy.

– Ktoś kazał – upierał się komputer.

Na scenę wkroczył Dan Mitkowski. Reszta nie trwała długo. Ustalono, że ćwierćdolarówki spływały na to samo konto w banku Chase Manhattan. Imię i nazwisko klienta: Washington Lee.

– Powiedz mi, ile na tym zarobiłeś? – spytał Dexter.

– Prawie milion.

Dexter przygryzł koniec ołówka. Nic dziwnego, że oskarżyciel był tak wstrzemięźliwy w słowach. Faktycznie „ponad dziesięć tysięcy dolarów”. Sama zuchwałość tej kradzieży podsunęła mu pewien pomysł.

* * *

Pan Lou Ackerman uwielbiał śniadania. Uważał je za najlepsze – niespieszne w porównaniu z lunchem i mniej obfite od firmowych przyjęć i kolacji. Lubił smak zmrożonego soku, chrząst płatków kukurydzianych, konsystencję smażonych jaj i aromat świeżo parzonej kawy Blue Mountain. Zazwyczaj jadł śniadanie na balkonie, skąd miał wspaniały widok na zachodnią część Central Parku. Z przyjemnością wdychał rześki powiew ranka, nieskażony letnim upałem – i szlag go trafiał, że pan Calvin Dexter próbował mu to popsuć.

Służący, Filipińczyk, podał mu wizytówkę, na której widniało słowo „adwokat”. Pan Ackerman zmarszczył brwi i pomyślał: Kim w istocie może być ów intruz? Gdzieś już spotkał się z tym nazwiskiem... Spojrzał na służącego, aby i mu powiedzieć, że pan Dexter powinien przyjść później do banku. Zanim jednak otworzył usta, rozległ się głos:

– Przepraszam pana za wtargnięcie. Wiem, że to niegrzeczne z mojej strony, ale proszę, aby poświęcił mi pan tylko dziesięć minut swojego cennego czasu. Wolałbym porozmawiać tutaj niż w obecności świadków.

Ackerman wzruszył ramionami i wskazał gościowi krzesło po drugiej stronie stołu.

– Powiedz pani Ackerman, że mam małe spotkanie – mruknął do Filipińczyka. Potem przeniósł wzrok na Dextera. – Niech pan się streszcza, z łaski swojej.

– Oczywiście. Oskarża pan mojego klienta, pana Washingtona Lee, o bezprawne przywłaszczenie niemal miliona dolarów z depozytów bankowych. Moim zdaniem rozsądniej będzie wycofać te zarzuty.

Dyrektor East River Savings Bank westchnął z wyraźną niechęcią. Oto do czego dziś prowadzi odrobina uprzejmości... Wpuścisz takiego typu do mieszkania, a on od razu ci popsuje humor...

– Nie ma najmniejszej mowy, panie Dexter. Pogawędka kończona. Chłopak pójdzie za kratki. Musi być jakaś kara. To zresztą zgodne z polityką banku. Do widzenia.

– Szkoda... bo widzi pan, przestępstwa dokonano w bardzo ciekawy sposób. Pan Lee po

cichu i niepostrzeżenie prześliznął się przez wszystkie wasze solidne zabezpieczenia. Teoretycznie to niemożliwe.

– Pański czas dobiegł końca, panie Dexter.

– Jeszcze chwileczkę. Na tym śniadaniu świat się nie kończy. Ma pan około miliona klientów, którzy lokują pieniądze w banku. Ufają panu. Są przekonani, że ich pieniądze będą bezpieczne. A w tym tygodniu jakiś chudzielec z czarnego getta stanie przed sądem i wszystkim powie, że praktycznie każdy, kto ma smykałkę do elektroniki, może buszować po bankowych sejfach. Co na to ludzie?

Ackerman odstawił kawę i popatrzył na drugą stronę parku.

– Wierutne kłamstwo. Dlaczego mieliby mu wierzyć?

– Uwierzą, bo na miejscu będą dziennikarze. Prasa, radio i telewizja... Podejrzewam, że jedna czwarta pańskich klientów zdecyduje się na zmianę banku.

– Powiemy im, że zakładamy nową instalację. Najlepszą i najnowszą w świecie.

– Taką podobno już mieliście przedtem. A jednak chłopak bez matury bez trudu sobie z nią poradził. Może pan mówić o prawdziwym szczęściu. Odzyskał pan milion doków. Ale co będzie, jeśli znowu nadejdzie jakiś czarny weekend i ktoś przeleje dziesięć milionów na przykład na Kajmany? Bank będzie musiał pokryć wszelkie straty. Jakaż to hańba dla zarządu!

Lou Ackerman pomyślał o zarządzie. Wśród udziałowców banku byli tacy ludzie, jak Shearson Lehman i Morgan Stanley – drażliwi na swoim punkcie i skłonni do zwady. Ci na pewno zażądałiby zmiany dyrektora.

– Kiepska sprawa... – westchnął.

– No właśnie.

– Zgoda. Zatelefonuję do prokuratora i wycofam oskarżenie. Powiem mu, że nie mamy już żadnych pretensji, bo odzyskaliśmy zagarniętą sumę. Proszę wziąć jednak pod uwagę, że on może w dalszym ciągu obstawać przy swoim.

– Niech pan spróbuje go zatem przekonać. Przecież i dobrą sprawę wystarczy powiedzieć: „Szwindel? Jaki szwindel?”.

Dexter podniósł się, żeby odejść. Ackerman umiał przegrywać.

– Przydałby nam się dobry prawnik, panie Dexter.

– Mam lepszy pomysł. Niech pan zatrudni Washingtona Lee. Pięćdziesiąt tysięcy rocznie z pewnością mu wystarczy.

Ackerman zerwał się na równe nogi. Blue Mountain rozlała się brązową plamą po obrusie.

– Po co miałbym mu dawać pracę, do ciężkiej cholery?!

– Zna się na komputerach. W tym jest najlepszy. Wyraźnie nam to udowodnił. Za pomocą puszek po sardynkach, wartej nie więcej niż pięćdziesiąt baksów, oszukał program, który kosztował pana huk pieniędzy. Tylko on da panu właściwą ochronę. Może pan z tego ukuć

slogan reklamowy w stylu: „Najbezpieczniejszy bank poza Szwajcarią”. A Washingtona lepiej mieć u siebie.

Dwadzieścia cztery godziny później pan Lee był już na wolności. Nie bardzo wiedział, jak to się stało. Zastępca prokuratora też drapał się w głowę. Bank jednak cierpiał na zanik pamięci, a w biurze zbyli go półsłówkami. Po co ten upór?

Washington Lee wszedł do samochodu podesłanego mu przez pracodawcę. Jak dotąd nigdy nie był w żadnym banku. Powoli zajął miejsce na tylnym siedzeniu i przez okienko spojrzął na swego adwokata.

- Stary, zupełnie nie wiem, co i jak zrobiłeś. Pewnego dnia ci się odwdzięczę.
- Wiem, Washingtonie. Może tak będzie?

Rozdział 11

Zabójca

Pod rządami marszałka Tita Jugosławia była praktycznie wolna od przestępców. Kobiety czuły się bezpiecznie na ulicy, nikt nie zaczepiał przyjezdnych i turystów i nikt praktycznie nie prowadził lewych interesów.

To było dziwne, bo z siedmiu krain – sfastrygowanych przez aliantów w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku w twór zwany Jugosławią – zgodnie z tradycją wywodzili się najgroźniejsi i najbrutalniejsi gangsterzy Europy.

Chodzi o to, że po tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku rząd Jugosławii zawarł drobną umowę z jugosłowiańskim światem przestępczym. Układ był prosty: róbcie, co chcecie, a my się w to nie wtrącamy. Jeden warunek – działacie za granicą. Belgrad po prostu „wyeksportował” zbrodnię z całego kraju.

Szefowie mafii mieli na oku Włochy, Austrię, Niemcy; i Szwecję. Dlaczego? Bo w połowie lat sześćdziesiątych to właśnie tam dotarła pierwsza większa fala gasterbeiterów z Turcji i Jugosławii. Ktoś przecież musiał zająć się robotą uwłaczającą mieszkańcom bogatszych państw północy.

Każda wędrówka ludów pociąga za sobą migrację przestępców. Cosa Nostra przybyła do Nowego Jorku wraz z rzeszą włoskich imigrantów. Turecka mafia zadomowiła się wśród gasterbeiterów w całej Europie. Z jugosłowiańską było tak samo, ale tutaj decydowały o wszystkim trochę inne siły.

Belgrad działał na obie strony. Jugosłowiańscy robotnicy co tydzień przysyłali do domu twardą walutę. W ich ojczyźnie – jak wszędzie w komunizmie – panował gospodarczy chaos, lecz nieprzerwany strumień marek i dolarów pozwalał ukryć to przed światem.

Tito mógł liczyć na pobłażliwość NATO i Amerykanów dopóty, dopóki stał okoniem wobec poczynań Moskwy. W okresie „zimnej wojny” był uważany wręcz za przywódcę państw niezaangażowanych. Piękne wybrzeża Adriatyku w słonecznej Dalmacji stały się mekką dla turystów – i dodatkowym punktem wymiany walutowej.

Z punktu widzenia dysydentów kraj był rządzony twardą ręką, ale po cichu i spokojnie. Zwykła policja nie miała wpływu na potajemny pakt z gangsterami. Tym zajmowała się na ogół Służba Ochrony Państwa, czyli DB.

To właśnie DB ustalała główne reguły. Gangsterzy ciągnęli zyski z jugosłowiańskich osad na Zachodzie i bezkarnie wracali do kraju na urlop i wypoczynek. Stawiali sobie wille nad morzem i luksusowe domy w stolicy. Hojnie płacili szefom DB, lecz w zamian czasem byli proszeni o wykonanie „mokrej roboty” – bez kontraktu i pokwitowania. Przedsięwzięciem kierował wieloletni szef wywiadu, gruby i okrutny Słoweniec, Stane Dolanc.

W Jugosławii była prostytutka – kontrolowana przez policję – i istniał lukratywny przemysł, z którego część dochodów trafiała do kieszeni wyższych urzędników. Wszelkie rozboje były surowo zabronione. Bandy wyrostków kradły co najwyżej samochody (nienależące do turystów) i tłukły się między sobą. Ci, co myśleli o grubszej robocie, musieli wyjechać za granicę.

Opornych umieszczano w odległych obozach, za zamkniętymi drzwiami celi. Marszałek Tito nie był głupcem, lecz nie był także nieśmiertelny. Po jego śmierci w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku wszystko zaczęło się rozpadać.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku w robotniczej dzielnicy Belgradu, Zemunie, przyszedł na świat syn mechanika. Nadano mu imię Zoran. Już od najmłodszych lat zdradzał upodobania do okrucieństw. Nauczyciele dostawali dreszczy, słysząc dwa słowa: Zoran Žilić. Miał jednak w sobie pewną cechę, która wyraźnie odróżniała go od innych belgradzkich gangsterów, pokroju choćby Željka Ražnjatovicia, alias „Arkana”. Był sprytny.

Ze szkoły uciekł jako czternastolatek. Stał się przywódcą bandy uliczników i wspólnie z nimi kradł samochody, bił się, pił wódkę i uganiał się za dziewczętami. Pewnego razu, po gwałtownej „bitwie” z konkurencyjnym gangiem, trzech nastolatków, ciężko pobitych łańcuchem od roweru, trafiło do szpitala. Przez kilka dni nie wiadomo było, czy przeżyją. Wówczas komendant miejscowej policji uznał, że dość tego.

Žilić został schwytany, wzięty do piwnicy i tłuczony gumową pałą tak długo, aż nie mógł ustać o własnych siłach. Nie wynikało to ze złej woli. Policja chciała tylko, żeby zrozumiał, co się do niego mówi.

Komendant osobiście udzielił mu kilku porad. Było to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Tydzień później szesnastoletni Žilić wyjechał z Jugosławii. Miał jednak właściwe referencje. W Niemczech przyłączył się do gangu Ljuby Zemunaca, zwanego tak od nazwy rodzimej dzielnicy. Obaj, Ljuba i Zoran, pochodzili z Zemunu.

Zemunac był wyjątkowym draniem. Jakiś czas później zginął, zastrzelony na korytarzu gmachu sądu we Frankfurcie. Zoran Žilić wiernie trwał przy nim przez całe dziesięć lat, budząc prawdziwy podziw szefa swoim zamiłowaniem do sadyzmu. Terror i strach są najlepszą przykrywką ciemnych interesów, a Žilić wręcz uwielbiał bawić się czymś

strachem.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku odszedł od Zemunaca i stworzył własną bandę. To mogło doprowadzić do krwawej wojny gangów, ale Zemunac wkrótce potem odszedł z tego świata. Žilić przez pięć lat kontrolował przestępcze podziemie w Niemczech i Austrii. Od dawna świetnie władał niemieckim i angielskim. Lecz w starym kraju wiele się zmieniło.

Nikt nie umiał zastąpić zmarłego marszałka Tita. Jedyne on, dawny bohater partyzanckich walk z Niemcami, potrafił siłą swej osobowości utrzymać w ryzach ów dziwny, wielonarodowy twór państwowy, zwany Jugosławią.

W latach osiemdziesiątych powołano wprawdzie parę koalicyjnych rządów, ale wszędzie, od Słowenii i Chorwacji aż po Macedonię, dominował ruch separatystyczny i niepodległościowy.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku Žilić zwrócił uwagę na pewnego drobnego partyjniaka lekceważonego przez resztę dawnych „towarzyszy”. Dostrzegł w nim dwie przydatne cechy: bezwzględną żądzę władzy i spryt, którym wprowadzał w błąd swoich oponentów. Bez namysłu postawił na niego i zaproponował, że sam „zajmie się” przeciwnikami. Slobodan Miloszević dał mu wolną rękę.

Dwa lata później Miloszević doszedł do słusznego wniosku, że komunizm jest już zimnym trupem. Znalazł więc nowego konia, czyli serbski nacjonalizm. Prawdę mówiąc, to pchnął w głąb państwa nie jednego, ale czterech jeźdźców, wziętych wprost z Apokalipsy. Žilić służył mu prawie do końca.

Jugosławia zaczęła się rozpadać. Miloszević głosił chęć zachowania kraju, nie dodawał jednak, że zamierza zrobić to za pomocą „czystek”, czyli zwykłego ludobójstwa. W samej Serbii postrzegany był wręcz jako mąż opatrnościowy, który miał ratować Serbów przed obcymi prześladowaniami.

Tyle że jakoś nikt nie chciał ich zbyt prześladować. W tej sytuacji Miloszević musiał pogonić opieszłych Chorwatów i Bośniaków. Drobną masakrą na prowincji pobudzała nienawiść do Serbów. Potem mogło już wkroczyć wojsko. Dawni gangsterzy, przekształceni w gorących „patriotów”, praktycznie nie cofali się przed żadną prowokacją.

Do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku jugosłowiańskie władze trzymały świat przestępczy na długość ramienia. Miloszević dopuścił bandytów do swojego stołu.

Jak wielu parweniuszy, po objęciu rządów myślał wyłącznie o pieniądzach. Szelest banknotów działał na niego niczym dźwięk fujarki na jadowitą kobrę. Ale na co dzień stronił od luksusów. Do samego końca żył bardzo oszczędnie. Pieniądze urzekały go jako symbol władzy. Jego następcy wyliczyli, że wraz ze swoją świtą wpłacił na zagraniczne konta coś około dwudziestu miliardów dolarów.

Inni nie byli równie skromni jak Słobo. Dotyczyło to zwłaszcza jego upiornej żony i

jednakowo wrednych dzieci, syna i córki. W porównaniu z Miloszeviciami rodzina Potwornickich wygłądała na mieszkańców *Domku na prerii*.

Wśród „stołowników” znalazł się też Zoran Žilić, który stał się przybocznym dyktatora i zabójcą na zawołanie. Miloszević nigdy nie dawał pieniędzy swoim pomagierom. W zamian za wierność mogli czerpać zyski z lewych interesów i cieszyć się bezkarnością. Kradli, torturowali, gwałcili i mordowali na oczach bezradnej policji. Gwarancją władzy Miloszevicia byli zwyczajni bojówkarze upozowani na patriotów. Serbowie i niektórzy zachodni politycy nabierali się na to przez lata.

Przelana krew nie powstrzymała upadku Jugosławii. Nie spełnił się sen Miloszevicia o wielkiej i potężnej Serbii. Najpierw oddzieliła się Słowenia, po niej Macedonia i Chorwacja. Układ z Dayton, z listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, zmieniał status Bośni. W lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Miloszević nie tylko stracił Kosowo, ale był świadkiem nalotów NATO na Serbię.

Tymczasem Žilić, biorąc wzór z Arkana, stworzył niewielki oddział paramilitarny. Byli też inni, choćby tacy jak Frenki Stamatović – nawet nie Serb, ale chorwacki bandzior z Istrii – i jego brutalni, do cna niebezpieczni „chłopcy”. Arkan ostentacyjnie szukał sławy – i w końcu zginął, zastrzelony w Holiday Inn w Belgradzie. Žilić nie miał zamiaru popełniać tych samych błędów. Swoich ludzi trzymał w ukryciu, z dala od ludzkich oczu. Lecz podczas wojny z Bośnią trzy razy szedł z oddziałem na północ, by palić, gwałcić i plądrować. Przyczał się dopiero wtedy, gdy interwencja Amerykanów położyła kres dalszym walkom.

Trzecia okazja przytrafiła mu się w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Arkan nazywał swoich ludzi Tygrysami i miał ich około dwustu. Wilki Zorana chadzały dużo mniejszym stadem. Na trzeci wypad zabrał ze sobą zaledwie dwunastu. Wszyscy – z jednym wyjątkiem – mieli już za sobą co najmniej po kilka morderstw. Brakowało tylko radiotelegrafisty. Ktoś z oddziału napomknął, że ma brata, studenta prawa, i że ten brat zna kogoś, kto był w wojsku operatorem radiostacji.

Dalej już poszło bez problemu. Kolega brata zgodził się na czas wielkanocnych ferii dołączyć do Zorana.

Žilić spytał, co to za jeden. Brał kiedyś udział w prawdziwej akcji? Nie, całą służbę spędził w korpusie łącznościowym i dlatego był ciekaw „walki”.

– Skoro nie strzelał, to nie zabijał – sentencjonalnie stwierdził Žilić. – Coś mi się zdaje, że dostanie niezapomnianą lekcję.

Wyruszyli na północ w pierwszej dekadzie maja, ciągle klnąc na kłopoty z ruskimi gazikami. Minęli były kurort narciarski Pale, czyli stolicę tak zwanej Republiki Serbskiej, zajmującej mniej więcej jedną trzecią Bośni. Etniczne czystki osiągnęły cel; nikt tam nie mieszkał oprócz samych Serbów. Potem skręcili w stronę Sarajewa. Kiedyś to miasto było gospodarzem wielkich zimowych igrzysk olimpijskich. Wojna zmieniła je w ruinę. Wreszcie wjechali na teren Bośni i stanęli na dłuższy popas w twierdzy Banja Luka.

Stąd Žilić robił krótsze wypadki. Omijał groźnych mudžahedinów i szukał łatwiejszego celu pośród bośniackich muzułmanów pozbawionych zbrojnej ochrony.

Czternastego maja znalazł małą wioskę w górach Vlasic i oddał ją na pastwę Wilków. Wymordowali wszystkich mieszkańców, noc spędzili w lesie i piętnastego późnym wieczorem wrócili do Banja Luki.

Rekrut uciekł nazajutrz rano, krzycząc, że musi wracać na studia. Žilić nawet go nie zatrzymywał. Powiedział tylko, że jeśli chłopak puści parę z gęby, to osobiście mu oberżnie jaja stłuczoną szyjką od butelki i wraz ze szkłem wepchnie do gardła. Rekrut nie przypadł mu do gustu – był głupi i płaczliwy.

Układ z Dayton zakończył polowania w Bośni. Sezon łowiecki trwał w Kosowie. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku Žilić obiecał, że rozbije miejscową Armię Wyzwolenia. W rzeczywistości spalił kilka wsi i zajął się szabrowaniem.

Nigdy jednak nie zapomniał, po co się związał z Miloszevicem. Za usługi na rzecz dyktatora zbierał spore dywidendy. Przy okazji, jak przystało na gangstera, sam prowadził różne „interesy”, na dodatek korzystając z prezydenckich przywilejów.

Największe zyski, sięgające nawet kilkuset procent, czerpał z przemytu papierosów, perfum, whisky i koniaku, i innych luksusowych rzeczy. Na tym polu nikt mu nie dorównał, z wyjątkiem Arkana. Inni wlekli się wyraźnie z tyłu. Choć nie szczędził wydatków na „ochronę” i protekcję polityczną, to w połowie lat dziewięćdziesiątych był już milionerem.

Wtedy zajął się prostytutkami, prochami i handlem bronią. Znając angielski i niemiecki, o wiele szybciej dogadywał się z zagranicznymi partnerami niż jego mniej zdolni koledzy.

Dwie dziedziny dawały mu najwięcej: broń i narkotyki. Na jego koncie widniała już ośmiocyfrowa kwota. Znalazł się także w aktach amerykańskiej Agencji do Spraw Walki z Narkotykami (DEA – Drug Enforcement Agency), CIA, Agencji Wywiadu Obronnego (DIA – Defense Intelligence Agency, zajmującej się walką z nielegalnym handlem bronią) i FBI.

A tymczasem niemal cała świta Miloszevicia, duma we własne bogactwo i potęgę, ostentacyjnie pławiła się w luksusach, korupcji i rozpuście. Jego współpracownicy stali się leniwi. Sądzili, że wielka ucztą będzie trwała wiecznie. Žilić był odmiennego zdania.

Nie korzystał z osławionych banków, które przelewały za granicę pieniądze prominentów. Każdego zarobionego centa lokował w miejscu zupełnie nieznanym w Serbii i ze spokojem czekał na pierwsze wyraźniejsze rysy w pękającym murze. Wiedział, że nawet opieszali i dziwnie słabi politycy Anglii i Zjednoczonej Europy dostrzegą wreszcie grę Miloszevicia i zażądają skutecznej akcji. Tak też się stało w wypadku Kosowa.

Rolnicze Kosowo, razem z Czarnogórą, stanowiło resztkę dawnych serbskich włości, pozostałych po Jugosławii. Zamieszkiwane było przez sto osiemdziesiąt tysięcy Kosowian – głównie muzułmanów, bardzo podobnych do sąsiadujących z nimi Albańczyków – i dwieście tysięcy Serbów.

Miloszević przez dziesięć lat z premedytacją drażnił Kosowian, czekając, kiedy się

zbuntują. Wreszcie usłyszał o wznowieniu działań przez dogorywającą do niedawna Armię Wyzwolenia Kosowa. Taktyka nic się nie zmieniła. Ciągłe prowokacje, bunt ludności, gwałtowne słowa potępienia pod adresem „terrorystów” i użycie siły dla ochrony Serbów. Tak wyglądał „porządek” w wydaniu Belgradu. NATO oznajmiło jednak, że tym razem nie puści tego płazem. Miloszević w to nie uwierzył. Błąd. Oświadczenie było poważne.

Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Trzecia Armia, wspomagana przez tajną policję państwową i oddziały paramilitarne Tygrysów Arkana, chłopców Frenkiego i Wilków Zorana, przystąpiła do etnicznego czyszczenia Kosowa. Zgodnie z przewidywaniami tysiące muzułmanów w panice uciekło do Albanii i Macedonii. Mieli do tego pełne prawo. Zachód zaś miał nadać im status uchodźców. Ale tak się nie stało. W zamian bomby spadły na Serbię.

Belgrad bronił się przez siedemdziesiąt osiem dni. Na froncie pomstowano przeciwko akcji NATO. Lecz Serbowie po kryjomu zaczęli utyskiwać, że to ten wariat Miloszević wpakował ich w kabałę. Ciekawe, jak nastroje szybko się zmieniają, gdy zaczynają płonąć domy. Žilić wyraźnie słyszał te poszeptywania.

Trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Miloszević przyjął warunki rozejmu. Przynajmniej tak brzmiał oficjalny komunikat. Žilić widział w tym bezwarunkową kapitulację. Uznał, że najwyższa pora wziąć rozwód z dyktatorem.

Walki dobiegły końca. Trzecia Armia, która praktycznie nie poniosła strat podczas bombardowania Kosowa, nietknięta wycofała się do Serbii. Siły NATO zajęły prowincję. Serbowie, pełni żalu i rozgoryczeni, poszli za uchodzącym wojskiem. Swój gniew przenieśli na Miloszevicia, oskarżając go o zniszczenie kraju.

Žilić pospiesznie wysłał za granicę ostatnią część swojej fortuny i rozpoczął przygotowania do wyjazdu. Jesienią wystąpienia przeciwko Miloszevicowi wyraźnie przybrały na sile.

Podczas prywatnej rozmowy w listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Žilić wręcz błagał dyktatora, by ten skorzystał z ostatniej szansy i wezwał wierne mu oddziały do rozgromienia opozycji. Serbom należało siłą wybić z głowy myśli o demokracji. Miloszević zbyt długo jednak żył we własnym świecie, w którym wciąż cieszył się popularnością.

Žilić wyszedł z gabinetu z zamyśloną miną. Zachodził w głowę, jak to się dziwnie dzieje, że ci ludzie, którym przyszło dźwżyć absolutną władzę, w trudniejszych chwilach tracą nerwy i rozsypują się w kawałki. Nie ma w nich krzty odwagi, siły woli, zdecydowania i rozsądku... Wszystko to znika niczym zamek z piasku, rozmyty nadchodzącą falą. W grudniu Slobodan Miloszević nie miał już w sobie nic z przywódcy, a Zoran Žilić kończył się pakować.

Na koncie miał zgromadzone pół miliarda dolarów. Z takim majątkiem mógł sobie znaleźć dowolną kryjówkę, Arkan zginął, zabity za to, że stał po stronie Miloszevicia.

Głównych rzeźników z Bośni, Karadžicia i generała Mladicia, odpowiedzialnych między innymi za masakrę w Srebrenicy, ścigano nawet w Republice Serbskiej. Innych dawno już schwytano i postawiono przed trybunałem w Hadze, gdzie mieli odpowiadać za zbrodnie wojenne. Miloszević był skończony.

Dla porządku, dwudziestego siódmego lipca dwutysięcznego roku zapowiedział wybory prezydenckie. Datę ustalił na dwudziestego czwartego września. Mimo żarliwej akcji wyborczej nie miał najmniejszych szans na zwycięstwo. Tłum ludzi wdarł się do parlamentu i ustanowił jego następcę. Nowy rząd niemal natychmiast podjął się oceny działalności Miloszevicia. Wszczęto śledztwo w sprawie masowych morderstw i zagarnięcia dwudziestu miliardów.

Dawny tyran zaszył się w swojej willi w ekskluzywnej dzielnicy Dedinje. Pierwszego kwietnia dwutysięcznego pierwszego roku prezydent Kosztunica miał już w ręku wszystkie dowody. Zażądał aresztowań.

Zorana Žilicia jednak od dawna nie było w Serbii. Zniknął w styczniu dwutysięcznego roku. Nie wziął ze sobą żadnych bagaży i z nikim się nie pożegnał. Zamierzał zacząć całkiem nowe życie w zupełnie innym kraju. Chciał odciąć się od przeszłości.

Nie zabrał nic ani nikogo poza ślepo mu oddanym ochroniarzem, wielkoludem imieniem Kulać. Po tygodniu ulokował się w kryjówce przygotowywanej na tę chwilę już od ponad roku.

Żaden wywiad nie zauważył jego przeprowadzki. Z jednym wyjątkiem. W Ameryce pewien spokojny i cichy człowiek z ciekawością patrzył na poczynania dawnego gangstera.

Rozdział 12

Mnich

To był sen. Ten sam sen. Nie potrafił od niego uciec. Nie potrafił się odeń wyzwolić. Noc w noc budził się z przeraźliwym krzykiem, cały spocony i cały drżący, póki nie znalazł chwili wytchnienia w ramionach wystraszonej matki.

Rodzice nie wiedzieli, jak można mu pomóc, bo nie umiał lub nie chciał dokładnie powiedzieć, co mu się przytrafiło. Jedyne matka była przekonana, że przed powrotem z Bośni sypiał całkiem spokojnie, bez żadnych koszmarów.

We śnie zawsze widział twarz wykrzywioną strachem, bladą i umazaną odchodami, na wpół zwierzęcą, na wpół ludzką... i usta rozdziawione w krzyku, błagające o litość. Nie znał angielskiego tak dobrze jak Žilić, lecz; słowa: „Nie, nie! Proszę...” brzmią podobnie w każdym języku.

Ludzie z drągami w dłoniach zarechotali gromkim śmiechem i zepchnęli ofiarę z powrotem do dołu. I tak to trwało, aż wreszcie Žilić uderzył chłopaka kijem w usta, wcisnął w głąb mazi i przytrzymał. I znów się budził z potwornym krzykiem, i znowu płakał w objęciach matki... Słyszał jej zapewnienia, że już wszystko dobrze, że jest bezpieczny w swoim domu w Senjak. Nie potrafił jej szczerze wyznać, co uczynił, myśląc, że spełnia patriotyczny obowiązek na rzecz Serbii.

Ojciec był mniej wyrozumiały. Burczał, że po ciężkiej pracy chociaż w nocy chciałby mieć chwilę wytchnienia. Jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku Milan Rajak po raz pierwszy poszedł na spotkanie z doświadczonym psychoterapeutą.

Dwa razy w tygodniu bywał w szarym pięciopiętrowym gmachu przy ulicy Palmoticeva, w którym mieścił się najlepszy szpital psychiatryczny w całym Belgradzie. Ale nawet tamtejsi lekarze nie wiedzieli, jak mu dopomóc. Nie wiedzieli, bo także nie znali prawdy.

Mówiono mu, że ulga przyjdzie wraz z oczyszczeniem – lecz to wymagało szczerego wyznania. A Miloszević ciągle trwał u steru władzy... chociaż o wiele gorsze było wspomnienie złowrogiego wzroku Zorana Žilicia tamtego ranka w Banja Luce, kiedy

powiedział, że chce wracać do domu, do Belgradu. W uszach wciąż słyszał przeokropne słowa o tym, że zginie straszną śmiercią, jeśli ośmieli się ich zdradzić.

Ojciec Milana był zdeklarowanym ateistą i wiernym członkiem partii, wychowanym za komunistycznych rządów Tita. Matka jednak wierzyła w Boga i chodziła do cerkwi prawosławnej. Mąż i syn kręcili nosem, kiedy rano szła się pomodlić. Pod sam koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku Milan zaczął jej w tym towarzyszyć.

Modły, śpiewy i kadzidła przyniosły mu ukojenie. Strach jakby nie miał wstępu do tej świątyni, odległej tylko o trzy przecznice od ich rodzinnego domu. Nic dziwnego, matka wciąż tu zaglądała.

Z początkiem następnego roku Milan przerwał studia na wydziale prawa i naraził się na gniew ojca. Rajak senior przez dwa dni z hukiem miotał się po domu. Gdy usłyszał następne wieści, to ze zdumienia aż mu dech zaparło.

– Nie będę adwokatem, tato. Chcę wstąpić do klasztoru.

Trochę to trwało, ale w końcu pan Rajak ochłonął nieco i poszedł na ugodę z synem. Rozumował, że powołanie też może łączyć się z profesją. Wprawdzie to zawód niedający zysku, wiąże się jednak z poszanowaniem. Mógł przecież śmiało spojrzeć ludziom w oczy i powiedzieć: „Wiecie co? Mój syn został kapłanem”.

Potem się dowiedział, że przyszli księża długo studiują w seminarium. Milan miał jednak inne plany. Chciał jak najprędzej oderwać się od ludzkich zmartwień. Chciał być zakonnikiem i porzucić wszystko na rzecz bogoboju i prostego życia.

To, czego szukał, znalazł we wsi Slanci, piętnaście kilometrów na południowy wschód od Belgradu. Był tam niewielki klasztor pod wezwaniem św. Stefana. Przebywało w nim nie więcej niż dwunastu mnichów pod wodzą opata, czyli *igumana*. Pracowali na polu, mieli własną trzodę, jedli to, co zebrali, przyjmowali datki od nielicznych turystów i pielgrzymów, modlili się i medytowali. Prowadzili także listę kandydatów – i nie sposób ją było przeskoczyć.

Los jednak sprzyjał Milanowi i wtrącił się w rozmowę z opatem Wasilijem. Starszy pan Rajak ze zdumieniem popatrzył na mnicha. Mimo gęstej czarnej brody, przetykanej siwizną, rozpoznał w nim Gorana Tomicia, z którym przed czterdziestu laty chodził do tej samej szkoły. *Iguman* mruknął, że bardzo chętnie spotka się z Milanem i pogawędzi z nim trochę o przyszłości.

Natychmiast poznał, że młodzieńca dręczą jakieś złe wspomnienia, które nie dają mu spokoju w zgiełku zewnętrznego świata. Takie objawy widział już wcześniej. Bez ogródek przyznał, że nie mógłby od razu przyjąć go na zakonnika, lecz dodał także, że „miastowi czasami pozostają u nas dla duchowego wyciszenia”.

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, już po zakończeniu wojny w Bośni, Milan Rajak zjawił się w klasztorze w Slanci, by codziennie pielic pomidory i ogórki, modlić się i medytować. Straszny sen minął i już nie powrócił.

Po miesiącu opat Wasilije łagodnie skłonił go do spowiedzi. Milan nawet się nie opierał. W blasku świecy stojącej na ołtarzu, pod czułym wzrokiem męża z Nazaretu, po cichu wyznał opatowi wszystkie swoje czyny.

Stary zakonnik kilka razy przeżegnał się zamaszystym ruchem i pomodlił za obie dusze – chłopca leżącego w szambie i grzesznika klęczącego obok. Potem usiłował namówić Milana, aby złożył doniesienie władzom.

Nie doceniał jednak siły Miloszevicia i strachu, który w ludziach budził Zoran Žilić. Nikt nie wątpił, że tak zwane władze nawet palcem nie kiwną w wypadku Žilicia. Nie obchodziło ich, że komuś groził. Tak więc cisza trwała w dalszym ciągu.

Milan poczuł pierwsze bóle zimą dwutysięcznego roku. Zauważył, że przy wysiłku czuje się jeszcze gorzej. Po dwóch miesiącach wspomniął o tym ojcu. Ten był co prawda przekonany, że to najwyżej „jakiś wirus”, lecz wysłał syna na badania do Szpitala Głównego w Belgradzie.

Belgrad zawsze podkreślał z dumą, że ma najlepsze szpitale w Europie, a Klinicki Centar należał do największych i najnowocześniejszych. Milan odbył trzy tury badań – na proktologii, urologii i onkologii. Wreszcie sam ordynator trzeciego oddziału poprosił go do gabinetu.

– Słyszałem, że masz zamiar wstąpić do klasztoru – powiedział na wstępie.

– Tak.

– Więc wierzysz w Boga?

– Tak.

– Czasem też chciałbym w niego wierzyć. Ale nie mogę. Teraz jednak muszę poddać próbie twoje przekonania. Mam złe wieści.

– Niech pan będzie ze mną zupełnie szczery.

– Rak jelita grubego.

– Operacja?

– Niestety, nie.

– Leczenie? Chemioterapia?

– Za późno. Bardzo mi przykro, chłopcze.

Milan popatrzył w okno. Właśnie wydano na niego wyrok śmierci.

– Ile mam czasu, panie profesorze?

– Wszyscy o to zawsze mnie pytają i nigdy nie znam pełnej odpowiedzi. Przy właściwej opiece, na diecie, z radioterapią... Rok. Mniej więcej. Niewiele więcej.

Było to w marcu dwutysięcznego pierwszego roku. Milan Rajak wrócił do Slanci i opowiedział o wszystkim opatowi. Stary zakonnik gorzko płakał nad losem chłopca, którego zdążył już pokochać jak własnego syna.

Pierwszego kwietnia aresztowano Slobodana Miloszevicia. Zoran Žilić przepadł bez śladu. Ojciec Milana użył swoich wpływów w najwyższych policyjnych kręgach, by ustalić,

że najpotężniejszy gangster Jugosławii zniknął już jakiś rok temu i zapewne ukrył się gdzieś za granicą, w odległym i nieznanym miejscu. Wraz z nim przepadła jego władza.

Drugiego kwietnia Milan Rajak przetrząsnął stare papierzyska, chcąc znaleźć pewną wizytówkę. Potem napisał list po angielsku i wysłał go do Londynu. Treść listu zawarł w pierwszym zdaniu:

Namyśliłem się i chcę złożyć pełne zeznanie.

Trzy dni później list dotarł do rąk adresata. Zanim minęła następna doba, Tropicieł odbył krótką rozmowę z panem Stephenem Edmondem z Windsoru i ponownie zjawił się w Belgradzie.

Zeznanie spisano po angielsku, w obecności tłumacza przysięgłego i notariusza. Potem zostało podpisane przez Milana i poświadczono.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku młodzi Serbowie wierzyli w to, co im mówiono. Pod tym względem nie należałem do wyjątków. Dzisiaj już wszyscy słyszeliśmy o potwornych zbrodniach w Chorwacji, Bośni i Kosowie, ale wtedy wmawiano nam, że ofiarami są mieszkańcy serbskich osiedli w tamtych rejonach dawnej Jugosławii. Wierzyłem temu. Nawet do głowy mi nie przyszło, że nasze wojska mogą mordować bezbronnych starców, kobiety i dzieci. Wpajano nam dogłębne przekonanie, że to Chorwaci i Bośniacy zdolni są do takich czynów. Nasi żołnierze jechali bronić serbskiej mniejszości przed pogromem.

W kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku kolega z wydziału prawa wspomniał mi, że jego brat razem z oddziałem wybiera się do Bośni, aby chronić tamtejszych Serbów. Potrzebowali radiotelegrafisty. Nie podejrzewałem niczego złego.

Służbę wojskową spędziłem w łączności, ale z daleka od pola walki. Zgodziłem się więc, że podczas wiosennych ferii trochę pomogę moim rodakom w Bośni.

Kiedy poznałem ludzi z oddziału, w liczbie dwunastu, byłem zdumiony ich brutalnym, wręcz obcesowym zachowaniem. Wziąłem to jednak za typową cechę zahartowanych w boju weteranów i poczułem się nieco głupio, że sam jestem od nich słabszy.

Nasza kolumna składała się z czterech pojazdów terenowych. Dowódca dotarł do nas dosłownie w ostatniej chwili przed wyruszeniem w drogę. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że był to Zoran Žilić, o którym słyszałem wcześniej jako o człowieku mającym raczej groźną i mętną reputację. Przez

dwa dni jechaliśmy na północ, przez Republikę Serbską aż do środkowej Bośni. Naszą bazą stała się Banja Luka, a dokładniej mówiąc, hotel Bośnia, w którym zarekwirowaliśmy kilka najlepszych pokojów.

Wysłaliśmy trzy patrole na północ, wschód i zachód od Banja Luki, lecz żaden z nich nie znalazł śladów wroga ani gnębionych Serbów. Czternastego maja pojechaliśmy na południe, w góry Vlasic. Wiedzieliśmy, że po drugiej stronie leżą miasta Travnik i Vitez. Był to obszar zdecydowanie wrogi Serbom.

Popołudniem wjechaliśmy w las. W pewnej chwili na drogę wyszły dwie dziewczynki. Žilić wysiadł z samochodu i wdał się z nimi w rozmowę. Uśmiechał się. Chyba był dla nich bardzo miły. Starsza powiedziała, że ma na imię Laila. Nic z tego nie rozumiałem. To było muzułmańskie imię. Dziecko wydało wyrok śmierci na siebie i swoich bliskich.

Žilić zabrał obie dziewczynki do samochodu na czele kolumny. Pokazały mu, gdzie mieszkają. To była maleńka wieś, przycupnięta w lesnej dolinie, w której mieszkało ze dwudziestu chłopów i tuzin dzieci. Wszystkiego razem siedem zagród, parę stodół i ogrodzone łąki. Zobaczyłem półksiężyc nad maleńkim meczetem i domyśliłem się, że to muzułmanie. Nie wyglądali jednak na groźnych.

Nasi ludzie wyskoczyli z wozów i otoczyli całą wioskę. Niczego złego jeszcze nie podejrzewałem, gdy zaczęli przetrząsać zagrody. Dużo słyszałem o fanatykach, mudżahedinach z Bliskiego Wschodu, Iranu i Arabii Saudyjskiej, którzy trafili także do Bośni i zabijali wszystkich Serbów. Myślałem, że paru z nich może się tu ukrywać.

Po skończonej rewizji Žilić wrócił do samochodu i stanął za erkaemem zamontowanym tuż za przednimi fotelami. Krzyknął na swoich, żeby zabili wszystkich wieśniaków spędzonych wcześniej do jednej niewielkiej zagrody.

Wypadki potoczyły się o wiele szybciej, niż można sobie wyobrazić. Chłopi zaczęli dziwnie płasnąć i podskakiwać pod gradem śmiercionośnych pocisków. Reszta oddziału strzelała do nich z peemów. Niektórzy wieśniacy próbowali własnym ciałem zasłonić dzieci. Dzięki temu kilkorgu z nich udało się ujsć z życiem i uciec do lasu. Później dowiedziałem się, że było ich sześcioro.

Dostałem okropnych mdłości. W powietrzu unosiła się woń krwi i wnętrzności. Takiego smrodu nie czuć w hollywoodzkich filmach. Nigdy przedtem nie byłem świadkiem czyjejś prawdziwej śmierci. Tym razem na moich oczach ginęli ludzie – zwykli ludzie, a nie żołnierze albo partyzanci. W całej wsi znaleźliśmy tylko jedną starą strzelbę, prawdopodobnie

używaną do polowań na wrony lub króliki.

Ludzie z oddziału nie kryli swojego rozczarowania. We wsi nie było alkoholu ani niczego, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. Podpalili chałupy i stodoły. Potem odjechaliśmy.

Noc spędziliśmy w lesie. Nasi wyciągnęli własną śliwownicę i po prostu się upili. Też próbowałem pić, lecz nie mogłem. Ciągłe zbierało mi się na mdłości. Leżąc w śpiworze, zrozumiałem, że popełniłem straszną pomyłkę. To nie był oddział serbskich patriotów, ale banda gangsterów zabijających dla samej przyjemności zabijania.

Nazajutrz rano pojechaliśmy górskim szlakiem, wiodącym z grubsza w stronę przełęczy, przez którą biegła szosa do Banja Luki. To właśnie tam znaleźliśmy dawno spaloną chatę. Stała samotnie w innej dolinie. Jadący w pierwszym samochodzie Žilić gwałtownie wstał z fotela i uniósł rękę, dając sygnał „Stać!”. Potem kazał wyłączyć silniki. Zapanowała głucha cisza. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy czyjeś głosy.

Wysiedliśmy po cichu, zabraliśmy broń i podkradliśmy się na skraj lasu. Jakies sto metrów przed nami zobaczyłem dwóch młodych ludzi prowadzących dzieci ze stodoły. Nie mieli mundurów i nie byli uzbrojeni. Nieco dalej, koło spalonej chaty, stała czarna toyota landcruiser z napisem na drzwiach „Loaves-n-Fishes”. Jeden z mężczyzn chyba nas zauważył i coś powiedział, bo nagle wszyscy spojrzeli w naszą stronę. Najstarsza dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia, zaczęła głośno płakać. Rozpoznałem ją po wstążce we włosach. To była Laila.

Žilić z peemem gotowym do strzału zbliżył się do całej grupy. Nikt jednak nie zamierzał z nim walczyć. Reszta oddziału stanęła luźnym półkolem. Wyższy z dwóch młodych ludzi coś do nas powiedział i wtedy się domyśliłem, że to Amerykanin. Žilić też chyba to rozumiał. Oprócz niego i mnie nikt w oddziale nie znał angielskiego. Amerykanin spytał: „Coście za jedni?”.

Žilić nie odpowiedział. Podeszedł bliżej, żeby obejrzeć nową toyotę. W tej samej chwili Laila rzuciła się do ucieczki. Jeden z naszych próbował ją złapać, ale mu się wymknęła. Žilić odwrócił się od samochodu, wyjął pistolet, wycelował i wpakował jej kulę w głowę. Był bardzo dumny ze swoich umiejętności strzeleckich.

Amerykanin stał trzy metry od niego. Dał dwa kroki, zamachnął się i z całej siły uderzył Žilicia prosto w usta. W ten sposób zaprzepaścił swą ostatnią szansę na to, że może wyjdzie z tej sytuacji żywy. Žilić dał się zaskoczyć, bo przecież nikt w całej Jugosławii nie podniósłby na niego ręki.

Przez dwie sekundy wszyscy gapili się na nich w kompletnym osłupieniu. Žilić upadł na ziemię. Strużka krwi ciekła mu z rozbitej wargi. A potem sześciu naszych pochwyciło Amerykanina. Bili go, kopali i tłukli kolbami. Zrobili z niego krwawą miazgę. Zabili go, gdyby Žilić im nagle nie przeszkodził. Wstał, otarł krew z twarzy i ostrym głosem odwołał swoich ludzi.

Amerykanin leżał, ciężko dysząc, w podartej koszuli, podrapany i z posiniaczoną twarzą. Za pazuchą miał gruby pasek z pieniędzmi. Na znak Žilicia jeden z naszych odebrał mu ten pasek. W środku był gruby plik studolarówek. Žilić z uwagą spojrzął na szaleńca, który ośmielił się go uderzyć. „Fuj! – mruknął. – Aleś się upaprał. Zimna kąpiel dobrze ci zrobi, stary. Powinieneś się trochę odświeżyć”. Zerknął na swoich. Wydawali się mocno zdumieni jego troskliwym zachowaniem. Žilić jednak już dostrzegł na polance pełne po brzegi szambo. Walały się w nim resztki ubitych zwierząt i odchody. Być może wyschło przez minione lata, ale po wiosennych deszczach było wypełnione gęstą cuchnącą mazią. Na rozkaz Žilicia dwóch naszych wrzuciło tam Amerykanina.

Wskutek nagłego zimna odzyskał przytomność. Znalazł grunt pod nogami i zaczął wypełzać z dołu. Tuż obok była zagroda okolona drewnianym ogrodzeniem. Część pali już się połamała, lecz na ziemi leżały ze trzy, cztery długie drągi. Nasi zepchnęli nimi chłopaka z powrotem do szamba.

Wołał o litość za każdym razem, kiedy wystawiał głowę z mazi. Błagał, żeby mu darowano życie. Po szóstym albo siódmym razie Žilić wyrwał komuś drąg z ręki i walnął końcem wprost w otwarte usta Amerykanina. Chyba mu wybił kilka zębów. Wepchnął go głębiej i przytrzymał, aż tamten przestał się szamotać.

Poszedłem w las i zwymiotowałem kielbasą z razowym chlebem, który jedliśmy na śniadanie. Chętnie bym wszystkich naszych pozabijał, ale nie miałem na to odwagi. Poza tym było ich za dużo. Za sobą usłyszałem kilka strzałów. Zamordowali pięcioro pozostałych dzieci i bośniackiego przewodnika. Ich ciała też wylądowały w szambie. Powoli tonęły w gęstej mazi, aż wreszcie zupełnie zniknęły. Jeden z naszych zobaczył, że napis „Loaves-n-Fishes” jest tylko naklejony na drzwi toyoty i że z łatwością można go oderwać.

Kiedy odjeżdżaliśmy, po naszej zbrodni nie było widać żadnych śladów, z wyjątkiem dziwnie jasnoczerwonych plam na trawie, tam gdzie upadły martwe dzieci, i kilku błyszczących łusek. Wieczorem Zoran Žilić obdzielił

nas dolarami. Każdy dostał po stówie. Wcale nie chciałem tego przyjąć, ale wcisnął mi banknot w rękę, mówiąc, że to na dowód, iż jestem „jednym z jego chłopców”.

Próbowałem wydać te pieniądze w barze. Žilić zobaczył to i wtedy wściekł się nie na żarty. Rano powiadomiłem go, że wracam do domu, do Belgradu. Zagroził mi, że jeśli chociaż słowem wspomnę o tym, co widziałem, odnajdzie mnie, okaleczy i zabije.

Przyznam szczerze, że nie należę do zbyt odważnych. Strach przed Žiliciem przez te wszystkie lata zmuszał mnie do milczenia. Nie powiedziałem nic nawet wtedy, gdy latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku pytał mnie o to pewien Anglik. Teraz jednak już osiągnąłem spokój i jestem gotów powtórzyć me zeznania przed każdym sądem w Holandii albo Ameryce, o ile wszechpotężny Bóg na tak długo zachowa mnie przy życiu.

Przysięgam zatem, że mówiłem prawdę i tylko prawdę.

Spisane w Senjak, Belgrad, 7 kwietnia 2001 roku.

Milan Rajak

Tego samego dnia Tropiciel wysłał długi list do pana Stephena Edmonda z Windsoru w kanadyjskiej prowincji Ontario. Odpowiedź, którą wnet otrzymał, nie pozostawiała żadnych wątpliwości: „Niech pan pojedzie, dokąd trzeba, i niech pan zrobi, co należy. Proszę znaleźć mojego wnuka i przywieźć go do domu”.

Rozdział 13

Dziura

W listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, po negocjacjach w Dayton, w Bośni zapanował pokój. Ale jeszcze po pięciu latach wojenne rany były tam ciągle widoczne, dalekie od wyleczenia.

Bośnia nigdy nie należała do bogatych krain. Nie miała plaż, które mogłyby ściągnąć turystów, ani zasobów mineralnych. Nic, tylko biedne pola i zagrody rozrzucone wśród gór i lasów.

Musiały minąć całe lata, by gospodarka dźwignęła się ze zniszczenia. Lecz o wiele gorzej było z ludźmi. Nikt nie wierzył, że przed upływem jednego lub dwóch pokoleń Serbowie, Chorwaci i bośniaccy muzułmanie nauczą się znów spokojnie mieszkać obok siebie, bezpieczni w dobrze strzeżonych i czujnych osiedlach.

Organizacje międzynarodowe dużo mówiły o pojednaniu oraz odnowie zaufania, jakby zapominając o przysłowiu, że nie da się skleić rozbitego jajka. Wciąż nie przyznawały, że doszło do rozłamu.

Władzę nad okaleczonym krajem przejął wysoki przedstawiciel ONZ-et, kreowany prawie na prokonsula i obdarzony niemal absolutną, władzą, dodatkowo wspierany przez wojska UNPROFOR-u. Pośród pomniejszych zadań, przeznaczonych dla zwykłych ludzi, którzy po prostu nie mieli czasu, aby błyszczeć na politycznej scenie, najniewdzięczniejsza rola przypadła pracownikom ICMP*, czyli Międzynarodowej Komisji do spraw Zaginionych.

Szefem komisji był sprawny i cichy dawny angielski policjant Gordon Bacon. Do ICMP codziennie napływały dziesiątki listów z prośbami o odszukanie osób, które „zniknęły” w wojennej zawierusze. Do biura przychodziły tłumy zrozpaczonych krewnych. Trzeba ich było wszystkich wysłuchać, a potem sprawdzić setki raportów zbieranych od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku z miejsc ekshumacji ofiar masowych mordów. Odnalezione szczątki – czaszkę i garść kości – raz jeszcze poddawano starannym oględzinom

* International Commission on Missing Persons

i oddawano w ręce rodziny, by mogły spocząć we właściwym grobie, zgodnie z właściwym obrządkiem religijnym.

Lecz ustalenie tożsamości ofiar byłoby niemożliwe bez badań DNA. Krew pobraną od członków najbliższej rodziny porównywano z próbkami szpiku z kości ofiary. To dawało stuprocentową pewność. A w dwutysięcznym roku najlepsze laboratorium DNA nie istniało w żadnej z bogatych europejskich stolic, ale w Sarajewie. Założył je i utrzymywał z niewielkich funduszy właśnie Gordon Bacon. Tropiciele spotkał się z nim w dwa dni po złożeniu zeznań przez Milana Rajaka.

Nie wziął ze sobą świadka. Rajak stwierdził, że zabity Bośniak, Fadil Sulejman, zdradził przed śmiercią swoim mordercom, że mieszkał kiedyś wraz z rodziną w spalonej zagrodzie. Gordon Bacon przeczytał zeznanie Milana z ciekawością, lecz nie znalazł w nim nic nowego.

Takich historii znał już całe setki. Nigdy jednak nie czytał relacji „z drugiej strony” i nie, z czym dotychczas miewał do czynienia, nie dotyczyło Amerykanów. Pomyślał zaraz, że być może wreszcie „sprawa Colensa” znajdzie rozwiązanie. Natychmiast skontaktował się z komisarzem ICMP w Travniku i poprosił go o współpracę z panem Graceyem. Tropiciele został na noc w domu Bacona i nazajutrz rano wyruszył w dalszą podróż.

Droga do Travnika zajęła mu zaledwie dwie godziny. Przed wyjazdem zadzwonił do Stephena Edmonda. Próbkę krwi dziadka już wysłano z Ontario na Bałkany.

Jedenastego kwietnia z Travnika wyruszyła ekipa śledcza, prowadzona przez miejscowego przewodnika. Popytali w meczecie, kto mógł znać Fadila Sulejmana. Z dwóch ludzi, którzy się zgłosili, jeden znał drogę do zagrody w górach. To właśnie on jechał teraz na czele konwoju.

Ekipa zabrała ze sobą sprzęt do ekshumacji: kombinezony, maski tlenowe, szpadle, pędzelki, sita i plastikowe torby na szczątki. Jednym słowem – wszystko, co jest potrzebne do tak niewdzięcznej roboty.

Dolina wyglądała tak samo jak przed sześcioma laty. Może trawa była tylko trochę wyższa. Od dawna nikt tu nie zaglądał. Rodzina Sulejmanów zniknęła z powierzchni ziemi.

Bez trudu znaleziono szambo. Wiosenne deszcze nie były tak ulewne, jak w dziewięćdziesiątym piątym, więc dół przypominał teraz wyschniętą gliniankę. Kopacze włożyli wysokie wędkarskie gumowce i grube kamizelki. Smród zdawał się im nie przeszkadzać.

Rajak zeznał, że w dniu morderstwa dół był pełny po same brzegi. Skoro jednak Ricky Colenso sięgnął nogą do dna, to głębokość szamba nie mogła przekraczać stu siedemdziesięciu centymetrów. Po wyschnięciu wierzch opadł o ponad pół metra.

Po zdjęciu pierwszej, prawie metrowej warstwy komisarz kazał swoim ludziom odrzucić szpadle i wziąć saperki. Godzinę później znaleziono pierwsze kości. Po dalszej godzinie pracy z użyciem skrobaczek i pędzli odsłonięto całe miejsce zbrodni.

Z braku powietrza, które nie dostawało się w głąb mazi szczątki były nietknięte przez

robactwo. Ich rozkład następował wyłącznie wskutek działania enzymów i bakterii.

Zniknęły wszystkie fragmenty tkanki. Pierwsza czaszka, przetarta wilgotną szmatką, zajaśniała czystą bielą. Znalaziono fragmenty grubej skóry, prawdopodobnie z butów ofiar, zdobioną sprzączkę od paska – bez wątplenia amerykańską – metalowe nity od dżinsów i takie same guziki od dżinsowej kurtki.

Jeden z kopiących klęknął, podniósł jakiś przedmiot i pokazał go pozostałym. Był to zegarek. Na kopercie, nawet po sześciu latach, widać było czytelny napis: „Ricky’emu od mamy. Matura 1994”.

Dzieci wrzucono do dołu już martwe. Utonęły jedno na drugim lub bardzo blisko siebie. Czas i postępujący rozkład zmieniły ich ciała w kupkę zmieszanych kości, lecz można było je odróżnić choćby po wielkości czaszek.

Sulejman także zginął wcześniej. Leżał na plecach, tak jak zatonął, z rozrzuconymi rękami i nogami. Bośniak-przewodnik stanął na skraju dołu, popatrzył weń i pomodlił się do Allaha. Potwierdził, że jego dawny kolega ze szkoły miał ponad metr siedemdziesiąt wzrostu.

Ósmy szkielet był dużo większy; mógł mieć ponad metr osiemdziesiąt. Leżał przy brzegu, jakby umierający chłopiec próbował po omacku wypełznąć na powierzchnię, układ szczątków wskazywał na to, że skulił się przed śmiercią. W tym samym miejscu znaleziono sprzączkę od paska i zegarek. Dokładne oględziny czaszki wykazały brak kilku przednich zębów, tak jak to zeznał Rajak.

Zapadał zmierzch, kiedy ostatnią najdrobniejszą kostkę umieszczono w plastikowym worku. Szczątki dorosłych złożono oddzielnie, dzieci na razie razem. Rozdzielenia sześciu małych szkieletów miano dokonać w kostnicy.

Tropiciel na noc pojechał do miasta Vitez. Angielskie wojska dawno stąd odeszły, ale zatrzymał się w tej samej prywatnej kwaterze, co poprzednim razem. Rano wrócił do biura ICMP w Travniku i zadzwonił do Sarajewa.

Gordon Bacon polecił mu przekazać domniemane szczątki Richarda Colensa. Tropiciel zabrał je ze sobą do stolicy, na dalsze oględziny.

W tym samym czasie nadeszła przesyłka z Ontario. Próby DNA ukończono w niewiarygodnie krótkim czasie. Po dwóch dniach szef ICMP ogłosił wyniki. Znaleziony szkielet rzeczywiście należał do Richarda „Ricky’ego” Colensa. Teraz potrzebna była już tylko oficjalna zgoda bliskiego członka rodziny, by major Philip Gracey z Andover, w Hampshire w Wielkiej Brytanii, mógł wysłać szczątki do Stanów. Załatwienie wszystkich niezbędnych formalności trwało kolejne dwie doby.

Tymczasem, na bezpośrednią prośbę z Kanady, Tropiciel zamówił trumnę w najlepszym zakładzie pogrzebowym w Sarajewie, kazał w niej złożyć kości Ricky’ego i obciążyć do odpowiedniej wagi. Potem zamknięto ją na zawsze.

Szesnastego kwietnia przyleciał grumman IV, z pismem od Stephena Edmonda. Tropiciel przekazał pierwszemu pilotowi trumnę i gruby plik papierów, a potem wrócił do siebie, do

zielonej Anglii.

Wieczorem Stephen Edmond osobiście zjawił się lotnisku Dullesa, gdzie – po nabraniu paliwa w Shannon – miał wylądować samolot z Europy. Strojny karawan zabrał trumnę. Przez najbliższe dwa dni trwały ostatnie przygotowania do pogrzebu.

Ceremonia żałobna odbyła się osiemnastego kwietnia na elitarnym cmentarzu Oak Hill przy R Street w Georgetown. Pogrzeb był skromny i prywatny, w katolickiej części cmentarza. Matka chłopca, pani Annie Colenso, z domu Edmond, popłakiwała cicho, stojąc u boku męża. Profesor Colenso ukradkiem ocierał oczy i zerkał na swojego teścia jakby od niego oczekiwał rady lub pomocy.

Osiemdziesięcioletni Kanadyjczyk stał prosto niczym słup pentlandytu po drugiej stronie grobu i bez zmrużenia oka spoglądał na trumnę wnuka. Nie pokazał zięciowi i córce raportu Tropiciela ani tym bardziej zeznania Milana Rajaka.

Wiedzieli tylko, że pojawił się jakiś nowy świadek, który podobno znalazł w dolinie rozbitą toyotę. W dalszym toku postępowania odkryto dwa ciała. Oficjalna wersja głosiła, że obaj wolontariusze zostali zabici i pochowani. Jedynie w ten sposób Stephen Edmond mógł wyjaśnić sześćoletnią lukę w poszukiwaniach.

Uroczystość dobiegła końca i żałobnicy z wolna zaczęli się rozchodzić, robiąc miejsce grabarzom. Pani Colenso podbiegła do ojca, objęła go i przycisnęła twarz do jego piersi. Popatrzył na nią i delikatnie pogładził po głowie, tak samo jak to robił niegdyś, kiedy się czegoś przestraszyła.

– Tato... Złap mordercę mojego dziecka. Nie pozwól tylko, aby zginął. Chcę, żeby budził się co rano w celi, świadom tego, że już nigdy nie wyjdzie na wolność... Aby wiedział, że odbywa karę za bezduszną i okrutną zbrodnię...

Nie musiała go dłużej przekonywać.

– Poruszę niebo, jeśli trzeba – mruknął – albo wybiorę się do piekła.

Pożegnał się z nią, skinął głową zięciowi i wsiadł do swojej limuzyny. Kiedy samochód skręcił w R Street, podniósł słuchawkę telefonu. Wystukał odpowiedni numer. Chwilę później usłyszał głos sekretarki w biurze na Kapitolu.

– Chciałbym rozmawiać z senatorem Peterem Lucasem – powiedział.

* * *

Twarz wiekowego senatora z New Hampshire rozjaśnił radosny uśmiech. Wojenna przyjaźń może czasami zgasnąć po godzinie, czasem zaś może trwać aż do końca życia. Pięćdziesiąt pięć lat minęło od pamiętnej chwili, gdy Stephen Edmond i Peter Lucas, siedząc na trawniku, oplakiwali tych, którzy nie dożyli dnia zwycięstwa. Wszystkich młodych ludzi poległych na tamtej wojnie. Stali się sobie bliscy niczym bracia. Każdy z nich skoczyłby w ogień za drugiego, gdyby ten tylko tego zażądał. A Stephen Edmond właśnie miał zamiar wystąpić z takim żądaniem.

* * *

Jednym z przejawów geniuszu Franklina Delano Roosevelta było to, że choć sam zaliczał się do demokratów, umiał korzystać z właściwych ludzi, niezależnie od ich przekonań. Zaraz po Pearl Harbor wezwał do siebie pewnego konserwatywnego republikanina, którego spotkał na meczu futbolowym, i powierzył mu powołanie Urzędu Służb Strategicznych (OSS* – Office of Strategic Services).

Owym człowiekiem był generał William „Dziki Bill” Donovan, syn irlandzkich imigrantów. Dowodził Sześćdziesiątym Dziewiątym Pułkiem na zachodnim froncie podczas pierwszej wojny światowej. Później, jako doświadczony prawnik, objął funkcję zastępcy prokuratora generalnego za czasów Herberta Hoovera i całe lata spędził na Wall Street. Ale Roosevelta nie obchodziła jego kariera zawodowa. Wybrał go z powodu dużej zadziorności, którą uważał za istotną cechę przy tworzeniu pierwszej amerykańskiej komórki wywiadu i służb specjalnych.

Stary wojak bez wahania zgromadził wokół siebie sztab młodych, zdolnych i zdecydowanych ludzi z dobrymi koneksjami. Byli wśród nich: Arthur Schlesinger, David Bruce i Henry Hyde, którzy szybko trafili do centrali.

W tym samym czasie Peter Lucas, chowany w zbytku i bogactwie gdzieś między Manhattanem i Long Island, znalazł się na pierwszym roku studiów w Princeton. Po Pearl Harbor zdecydował, że też chce iść na wojnę. Ojciec stanowczo mu tego zabronił.

W lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku młody człowiek złamał rodzicielski zakaz i porzucił uczelnię, wciąż myśląc o wojsku. Nie bardzo wiedział, gdzie się chce zaciągnąć. Marzył o lotnictwie i nawet brał prywatne lekcje pilotażu, lecz okazało się, że cierpi na permanentny lęk wysokości.

W czerwcu powołano OSS. Peter Lucas natychmiast złożył tam podanie i został przyjęty do pracy. Oczami wyobraźni widział się, jak z uczernioną twarzą przemyka nocą gdzieś na tyłach wroga. Zamiast tego uczestniczył w przyjęciach i koktajlach. Generał Donovan szukał pierwszorzędnego adiutanta, błyskotliwego i z dużą klasą.

Lucas z bliska widział przygotowania do desantu na Sycylii i w Salerno. Agenci OSS brali w nich udział. Prosił zwierzchników, by go włączyli do prawdziwej akcji. Usłyszał tylko: cierpliwości. Miał wrażenie, że jest małym chłopcem zamkniętym w szklanym pudle we wnętrzu cukierni. Mógł patrzeć, ale nie mógł dotknąć.

Wreszcie postawił generałowi twarde ultimatum.

– Albo zacznę walczyć pod pana rozkazami, albo złożę dymisję i przejdę do sił powietrznych.

„Dziki Bill” nie przywykł do takich sytuacji, ale popatrzył chłopcu prosto w oczy i chyba dostrzegł w nim coś z siebie, gdzieś tak sprzed ćwierci wieku.

– Zrób to i to – odparł poważnie. – Lecz w odwrotnej kolejności.

Z błogosławieństwem Donovana wszystkie drzwi stały otworem przed Lucasem. Wreszcie mógł zrzucić zniechęcone cywilne ciuchy, jechać do Fort Benning i przejść „przyspieszony kurs oficerski”, po którym otrzymał stopień kapitana lotnictwa.

Przegapił D-Day w Normandii, bo był w szkole spadochronowej. Kiedy ją skończył, ponownie przyszedł do generała Donovana.

– Obiecał pan – powiedział.

Zimnej jesiennej nocy, z uczernioną twarzą skoczył za liniami Niemców w północnych Włoszech. Najpierw spotkał miejscowych partyzantów, zdeklarowanych komunistów, potem angielskich komandosów, zbytnio zblazowanych, żeby w ogóle składać jakieś deklaracje.

Po dwóch tygodniach, doszedł do wniosku, że typowa „angielska flegma” to tylko gra pozorów. W grupie Jedburgh, do której trafił, działali jedni z najlepszych i najwaleczniejszych agentów tej wojny.

Przetrwiał w górach siarczystą zimę tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku i bez najmniejszej rany doczekał niemal aż do wiosny. W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, razem z pięcioma kolegami, natknął się na niewielki oddział esesmanów, którzy dotychczas nie złożyli broni. W strzelaninie dostał dwie kule ze schmeissera w lewą rękę i ramię.

Byli o całe kilometry od najbliższego miasta i nikt nie miał ani krzty morfiny. Dopiero po tygodniu upiornej wędrówki udało im się spotkać angielskie patrole. Lekarz pospiesznie zaszył ranę, nafaszerował go prochami, wsadził do liberatora i wysłał do Londynu. Tam Lucas przeszedł kolejną operację.

Kiedy poczuł się już nieco lepiej, przeniesiono go do szpitala dla rekonwalescentów w Sussexie. Dzielił pokój z kanadyjskim lotnikiem, rannym w obie nogi. Dla zabicia czasu całymi dniami grywali w szachy.

Po powrocie do kraju rzucił się w wir interesów. Podjął pracę na Wall Street w firmie własnego ojca, przejął ją z czasem i stał się prawdziwym magnatem. Już jako sześćdziesięcioletek zaczął się ubiegać o mandat do Senatu. W kwietniu dwutysięcznego pierwszego roku pełnił swoją funkcję po raz czwarty i ostatni, jako republikański senator z New Hampshire. Był naocznym świadkiem objęcia urzędu przez prezydenta-republikanina.

Usłyszawszy, kto do niego dzwoni, kazał sekretarce nie łączyć innych rozmów i po chwili jego łagodny głos zabrzmiał w odległej o piętnaście kilometrów limuzynie:

– Cześć, Steve. Miło mi cię znów usłyszeć. Gdzie jesteś?

– Tu, w Waszyngtonie. Chciałbym się z tobą spotkać, Peter. To bardzo poważna sprawa. Senator wyczuł nastroj przyjaciela i natychmiast zrezygnował z jowialnego tonu.

– Oczywiście. Powiesz mi, o co chodzi?

– Przy obiedzie. Możesz się wyrwać?

– Zaraz odwołam wszystkie spotkania. Pojedź na Hay Adams i poproś o mój stolik. Tam jest zupełnie cicho i spokojnie. O pierwszej.

Spotkali się w holu restauracji. Kiedy Lucas wszedł do środka, Stephen Edmond już na niego czekał.

– Wracam z małej uroczystości w Georgetown. Właśnie pochowałem mojego jedyne­go wnuka.

Wyraz współczucia pogłębił bruzdy na twarzy senatora.

– Boże... Strasznie mi przykro, Steve.

– Porozmawiajmy przy stoliku. Dam ci coś do przeczytania.

Usiedli. Kanadyjczyk odpowiedział na pytanie przyjaciela.

– Zamordowano go. Z zimną krwią. Nie, nie tutaj i nie teraz. Sześć lat temu w Bośni.

Krótko opisał poczynania wnuka, jego przemożną chęć niesienia pomocy bośniackim uchodźcom, europejską odyseję, która zawiodła go do Travnika, i obietnicę daną Fadiłowi. Potem sięgnął po zeznanie Rajaka.

Kelner przyniósł im dry martini. Senator zamówił wędzonego łososa, ciemne pieczywo i schłodzoną butelkę meursaulta. Edmond skinął głową na znak, że się z nim zgadza.

Lucas potrafił szybko czytać, lecz tym razem w połowie zwolnił i cicho zagwizdał pod nosem.

Steve Edmond ani słowem nie przerwał mu lektury. W milczeniu rozejrzał się po sali. Lucas jak zwykle świetnie wybrał stolik, w rogu za fortepianem, tuż przy oknie, z którego widać było narożnik Białego Domu. Restauracja Lafayette przy Hay Adams bardziej przypominała wiejską rezydencję z osiemnastego wieku niż lokal w samym sercu ruchliwej metropolii.

Senator Lucas uniósł głowę.

– Zupełnie nie wiem, co powiedzieć, Steve. To najstraszniejsze sprawozdanie, jakie czytałem. Co mogę dla ciebie zrobić?

Kelner zebrał nakrycia i podał dwie małe czarne kawy i po kieliszku armaniaku. Obaj milczeli, póki nie odszedł.

Steve Edmond spojrział na swoje dłonie leżące na białym obrusie. Potem na dłonie Petera. Na starcze dłonie o niebieskich żyłach i nabrzmiąłych palcach, upstrzone brązowymi plamami. Na dłonie, które kiedyś skierowały hurricane'a w sam środek eskadry dornierów, które naciskały spust karabinu w gospodzie pełnej esesmanów gdzieś na przedmieściach Bolzano, brały udział w niezliczonych bójkach, pieściły kobiety, kołysały dzieci, podpisywały czeki, liczyły pieniądze, zmieniały politykę i oblicze świata. Kiedyś.

Peter Lucas zauważył spojrzenie przyjaciela i przejrzał jego myśli.

– Tak, tak, Steve... Jesteśmy starzy. Ale wciąż żyjemy. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Może wspólnie z działamy coś dobrego. Mój wnuk był obywatelem Stanów Zjednoczonych. Ameryka ma pełne prawo zażądać ekstradycji tego zbrodniarza. Sprowadzimy go do naszego kraju i postawimy przed tutejszym sądem. Ale w tym celu konieczne jest współdziałanie Departamentu Stanu i Sprawiedliwości. Pogadasz może tam,

gdzie trzeba.?

– Steve, tylko tu, w Waszyngtonie, znajdą się tacy, co cię wysłuchają. Nikt oprócz nas ci lepiej nie pomoże. – Uniósł kieliszek. – Wspólnie z działamy coś dobrego – dodał.

Był jednak w błędzie.

Rozdział 14

Ojciec

W gruncie rzeczy była to rodzinna sprzeczka, którą mógł zakończyć jeden zwykły całus. Ale córka miała włoski temperament, ojciec zaś okazał się głupio uparty.

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku szesnastoletnia Amanda Jane Dexter olśniewała wszystkich niezwykłą urodą. Po rodzinie Marozzich z Neapolu odziedziczyła tak zgrabną figurę, że na jej widok nawet biskup wyskoczyłby przez witraż. Anglosaskie geny Dextera dały jej buzię młodej Bardotki. Chłopcy wręcz Ignęli do niej jak muchy i ojciec musiał to zaakceptować. Nie polubił tylko Emilia.

W zasadzie nie miał nic przeciwko Latynosom, ale Emilio pod powłoką młodego amanta skrywał w sobie coś groźnego. Czaiło się w nim jakieś okrucieństwo. Jednak Amanda Jane zakochała się w nim na zabój.

Przyszły wakacje. Emilio zaproponował jej wspólną wycieczkę nad morze. Roztaczał przed nią rozkoszne wizje. Zaręczał, że pojedą z nimi inni młodzi ludzie, że znajdą się pod opieką starszych, że będą gry, świeże powietrze i romantyczny szmer fal Atlantyku. Na pozór brzmiało to normalnie i całkiem niewinnie. Ale kiedy Cal Dexter spojrział na Emilia, ten szybko odwrócił głowę. Wrodzony instynkt ostrzegł Dextera, że święci się coś złego. Powiedział: „nie”.

Tydzień później Amanda Jane uciekła z domu. Zostawiła wiadomość, że wszystko będzie dobrze i żeby się nie martwić. Na końcu dopisała: „Jestem już dorosła i nie chcę, żeby ciągle traktowano mnie jak dziecko”. Nigdy nie wróciła.

Wakacje dobiegły końca. Amandy Jane wciąż nie było. Matka, która wcześniej poparła jej pomysł, teraz z niepokojem patrzyła na męża. Nie wiedzieli, dokąd miał być wyjazd, kim w gruncie rzeczy był Emilio i gdzie mieszkał. Adres na Bronksie, który im podał, okazał się zwykłą stacją. Jego samochód miał numery z Wirginii, więc Dexter wybrał się do Richmond. Tam usłyszał, że auto sprzedano za gotówkę już w lipcu. Nawet nazwisko Emilia, Gonzales, było tak popularne jak Smith.

Swoim kanałem Cal Dexter dotarł do sierżanta policji nowojorskiej z wydziału poszukiwań osób zaginionych. Sierżant okazał mu wiele współczucia, ale bezradnie rozłożył ręce.

– W dzisiejszych czasach, panie mecenasie, szesnastolatki są już dorosłe. Razem sypiają, razem podróżują i mieszkają pod jednym dachem...

Wydział wkraczał do akcji tylko wtedy, kiedy istniały dowody na to, że ktoś działał pod wpływem groźby, szantażu, narkotyków, lub w razie porwania.

Dexter, chcąc nie chcąc, przyznał, że otrzymał wiadomość od córki. Amanda Jane zadzwoniła w czasie, gdy rodziców nie było w domu. Dobrze wiedziała, że ich nie zastanie, i nagrała się na sekretarkę.

Powiedziała, że nic jej się nie stało, wręcz przeciwnie, że czuje się szczęśliwa i żeby się nie martwili. Podobało jej się nowe życie. Obiecała, że znów zatelefonuje, gdy już będzie gotowa na spotkanie.

Dexter sprawdził numer telefonu. Okazało się, że dzwoniła z komórki, na kartę SIM kupowaną w kiosku. Nie można było ustalić właściciela. Dexter odtworzył nagranie sierżantowi, lecz ten tylko wzruszył ramionami. Każdy wydział osób zaginionych pękał w szwach od nadmiaru zgłoszeń. Ta sprawa wcale nie była najpilniejsza.

Nadeszła Gwiazdka. U Dexterów panował smutny nastrój. Pierwszy raz od szesnastu lat spędzali święta bez dziecka.

* * *

Ciało znalazł pewien urzędnik ćwiczący jogging o poranku. Nazywał się Hugh Lamport i pracował w niewielkiej firmie konsultingowej. Był uczciwym obywatelem i dbał o swoje zdrowie. Codziennie rano, między szóstą trzydzieści i siódmą, biegał na pięć kilometrów. Nigdy z tego nie rezygnował – nawet w zimny i posępny ranek osiemnastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Biegł wówczas trawiastym skrajem Indian River Road w Virginia Beach, czyli tam, gdzie mieszkał. Wolał biegać po trawie niż po asfalcie lub betonie. Kiedy dotarł do kładki nad wąskim kanałem, mógł skręcić na beton lub skoczyć przez wodę. Skoczył.

W momencie skoku zauważył coś bardzo dziwnego, połyskującego blado w zamglonym świetle poranka. Zawrócił i ostrożnie przykucnął nad kanałkiem. Zwłoki leżały w dziwnym położeniu, częściowo w wodzie, częściowo na brzegu.

Lamport rozejrzał się gwałtownie. Jakies czterysta metrów dalej, za drzewami, błyszczało wątle światelko. Zapewne inny ranny ptaszek szykował sobie pierwszą kawę. Lamport jak oszalały pognał w tamtą stronę i załomotał w drzwi. Gospodarz wyjrzał przez okno, wysłuchał jego gorączkowych krzyków i wpuścił do środka.

Telefon odebrała oficer dyżurna w centrali na Komendzie Głównej w Virginia City, przy Princess Anne Road. Natychmiast przekazała wiadomość patrolom. Najbliższy wóz z

pierwszego posterunku znajdował się półtora kilometra od miejsca wezwania. Dotarł tam w minutę. Dwaj ludzie, jeden w piżamie, a drugi w przepoconych dresach, doprowadzili policjantów do kanału, w którym spoczywało ciało.

Niecałe dwie minuty później patrol wezwał ekipę śledczą i detektywów z wydziału zabójstw. W oczekiwaniu na ich przyjazd wszyscy popijali świeżo parzoną kawę.

Całą wschodnią część Wirginii zajmuje sześć połączonych ze sobą miast, ciągnących się kilometrami po obu stronach James River i Hampton Roads. Wokół są liczne bazy lotnictwa i marynarki, bo główne drogi wiodą stamtąd do Chesapeake Bay i nad Atlantyckie.

Z sześciu wspomnianych miast – Norfolk, Portsmouth, Hampton (wraz z Newport News), James City i Chesapeake – największe jest bez wątpienia Virginia Beach. Zajmuje powierzchnię ponad ośmiuset kilometrów kwadratowych i liczy czterysta trzydzieści tysięcy mieszkańców, na ogólną liczbę półtora miliona. Z czterech lokalnych okręgów policyjnych, drugi, trzeci i czwarty obejmują obszar zabudowany, a pierwszy – i największy – to teren za miastem, rozpostarty na pięciuset kilometrach kwadratowych, aż do granic Karoliny Północnej, i przedzielony Indian River Road.

Ekipa śledcza i karetka przybyły niemal jednocześnie, niecałe pół godziny później. Jeszcze pięć minut czekano na lekarza sądowego. Zrobiło się już całkiem jasno i zaczął siąpić drobny deszczyk.

Lampport wrócił do domu, wziął szybki prysznic i złożył pełne zeznanie. Kawosz też podał swoją wersję wypadków, sprowadzającą się do tego, że w ciągu nocy nic nie zauważył i nie słyszał żadnych hałasów.

Lekarz szybko stwierdził zgon i ustalił, że denatka była młodą kobietą rasy białej i że zginęła zapewne gdzieś indziej, a ciało przywieziono nad kanał samochodem i wrzucono do wody. Potem fotograf policyjny zrobił kilka zdjęć i zezwolił, by karetka zabrała ciało do kostnicy w Norfolku, obsługującej wszystkie sześć ludzkich skupisk.

Detektywi doszli do wniosku, że morderca – albo mordercy – miał zapewne iloraz inteligencji mniej więcej na poziomie prześwitu od powierzchni ziemi do brzucha pełzającego węża, bo gdyby wpadł na pomysł, by pojechać pięć kilometrów dalej, to mógłby utopić zwłoki w bagnach przy Back Bay. Tam na pewno nikt by ich nie znalazł. Najwidoczniej zabrakło mu cierpliwości.

W Norfolku dalsze działania postępowały dwutorowo. Przede wszystkim wykonano sekcję, aby poznać właściwą przyczynę, czas i – jeśli to możliwe – miejsce zgonu, a poza tym wszczęto wstępne dochodzenie w celu ustalenia tożsamości denatki. Przy jej ciele nie znaleziono żadnych wyraźniej szych śladów. Miała na sobie skąpą, zapewne niegdyś kuszącą bieliznę i mocno podartą obcisłą sukienkę. Żadnych bransolet, medalionów, tatuaży ani torebki.

Zanim patolog wziął się do roboty, zmaltretowaną i posiniaczoną twarz dziewczyny, noszącą ślady licznych pobić, uwieczniono na kolejnym zdjęciu, które następnie rozesłano do

wszystkich wydziałów zabójstw w sześciu okolicznych miastach. Ubiór denatki sugerował, że mogła być związana z tym, co określane jest eufemistycznie „nocnym życiem”.

Ekipa śledcza potrzebowała grupy krwi i odcisków palców. Potem zwłoki trafiły w ręce patologa. Większe nadzieje wiązano jednak z odciskami.

Z sześciu miast nadeszła odpowiedź negatywna. Wszystkie dane przekazano do Richmond, do centralnej kartoteki na całą Wirginię. Mijały dni. Wreszcie przysłano wyniki poszukiwań. Przykro nam, ale nic nie mamy. Następnym krokiem był kontakt z FBI.

Protokół z sekcji zwłok nawet najtwardszych wyjadaczy przyprawił o lekkie mdłości. Dziewczyna miała nie więcej niż osiemnaście lat. Kiedyś musiała być bardzo ładna, ale styl życia i czyjeś pięści odarły ją z urody. Otarcia pochwy i odbytu wyraźnie wskazywały na to, że wielokrotnie miewała styczność z przedmiotami dużo większymi od męskiego członka. Już dawniej bywała bita – nie tylko tym ostatnim razem. Mniej więcej od pół roku zażywała heroinę.

Dla detektywów z Norfolku protokół nasuwał tylko jeden wniosek: prostytutka. Dobrze wiedzieli, że od narkotyków droga wiedzie wprost do półświatka. Każda dziewczyna, która potem próbowała umknąć z rąk dealerów, dostawała „przykładną karę” i zmuszana była do udziału w wyuzdanych i bestialskich orgiach. Nie brak bydlaków, którzy za to płacą, więc są i tacy, którzy dostarczają „towar”.

Zwłoki zamknięto w chłodni, a śledztwo wciąż trwało. Nikt nie znał imienia dziewczyny. Wreszcie pewien policjant z posterunku w Portsmouth napomknął, że twarz na zdjęciu wydaje mu się znajoma, choć trudno ją rozpoznać przez te opuchlizny. Dodał przy tym, że dziwkę podobną do denatki nazywano „Lorraine”.

Przepytano kolejnych świadków. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że Lorraine zniknęła przed paroma miesiącami. Przedtem była związana z latyńskim gangiem, znanym z tego, że słał na północ przystojnych „naganiaczy”, wabiących ładne dziewczęta obietnicą ślubu, wspólnych wakacji i tak dalej.

Obyczajówka w Portsmouth zajęła się członkami gangu, ale to nie przyniosło żadnych rezultatów. Zgodnie twierdzili, że nie wiedzą, kim naprawdę była Lorraine, że poznali ją już jako zawodową dziwkę i że nosiła się z zamiarem wyjazdu na Zachodnie Wybrzeże. Samo zdjęcie nie wystarczało, by im coś udowodnić.

Wreszcie z Waszyngtonu nadeszło potwierdzenie i pełne dane, wzięte z kartoteki. Amanda Jane Dexter usiłowała popełnić kradzież w miejscowym supermarkecie. Zauważyły ją kamery. Sąd dla nieletnich przyjął jej tłumaczenie poparte zeznaniami pięciu koleżanek i zwolnił ją za kaucją. W policji nowojorskiej zostały jednak jej odciski palców.

– Może wreszcie zdołamy przyskrznić tych drani – mruknął sierżant Austin z obyczajówki w Portsmouth, przeglądając akta.

Brzydkiego zimowego ranka w mieszkaniu na Bronksie zadzwonił telefon. Ktoś smętnym głosem – w sam raz odpowiednim do pogody – poprosił ojca, by przejechał pięćset

kilometrów i zidentyfikował zwłoki swojej jedynaczki. Cal Dexter usiadł na brzegu łóżka. Żałował, że nie zginął w tunelach Cu Chi i że dożył tak okropnej chwili. Wreszcie powiedział o wszystkim Angeli i tulił ją w ramionach, aż się wyplakała. Potem zatelefonował do teściowej. Obiecała, że się zaraz zjawi.

Nie mógłby czekać na lot z La Guardia na Norfolk International. Nie wysiedziałyby na lotnisku, słuchając komunikatów, że samolot wystartuje z niewielkim opóźnieniem ze względu na mgłę, deszcz, grad albo tłok w powietrzu. Po prostu wsiadł do samochodu i pojechał. Przez Nowy Jork, przez most do Newark, przez kraj, na którym poznał niemal wszystkie budowy, przez New Jersey, strzępek Pensylwanii i potem Delaware, wzdłuż Baltimore i Waszyngtonu, dalej na południe, aż na skraj Wirginii.

W kostnicy w Norfolkku spojrzął na niegdyś tak piękną i kochaną buzię i tępo skinął głową w stronę detektywa. Poszli na górę. Przy kubku kawy dowiedział się najważniejszych rzeczy. Amanda Jane została pobita przez nieznaną sprawców. Zmarła wskutek krwotoku i wewnętrznych obrażeń. Jej ciało włożono do bagażnika, wywieziono na odludne przedmieścia Virginia City i tam porzucono, śledztwo w toku. Cal zdawał sobie sprawę, że to tylko część prawdy.

Złożył długie oświadczenie i dokładnie opisał Emilia, ale to imię nie wzbudziło żadnych emocji u policjantów. Potem poprosił o wydanie ciała. Nie spotkał się z odmową, lecz oficjalna zgoda musiała nadejść z biura koronera. To zajęło trochę czasu. Wciąż formalności, liczne procedury... Na chwilę wrócił do Nowego Jorku, zostawił wóz i z powrotem zjawił się w Wirginii. Czekał. Zwłoki córki przywiózł na Bronx karawanem.

Trumna była zamknięta. Nie chciał, żeby Angela lub ktokolwiek z Marozzich zobaczył, co jest w środku. Odbył się krótki pogrzeb. Amanda Jane spoczęła w grobie na trzy dni przed swoimi siedemnastymi urodzinami. Po tygodniu Dexter był znowu w Wirginii.

Sierżant Austin siedział za biurkiem w swoim gabinecie w kwaterze policji w Portsmouth, przy Crawford Street 711. Oficer dyżurny zawiadomił go, że przyszedł jakiś pan Dexter. Austin nie pamiętał takiego nazwiska. Nie skojarzył go z widokiem opuchniętej twarzy zabitej dziwki o ksywce Lorraine. Zapytał więc, o co chodzi. W odpowiedzi usłyszał, że pan Dexter ma coś do powiedzenia w sprawie pewnego śledztwa. Mruknął, żeby go wpuścić.

Portsmouth jest najstarszym z sześciu miast; założyli je Brytyjczycy na długo przed rewolucją. Dziś leży przycupnięte na południowo-wschodnim brzegu Elizabeth River, patrząc oknami niskich ceglanych domów za rzekę, na błyszczące wieżowce Norfolkku. Ale to tu trafiają żołnierze na przepustce, poszukujący „nocnych uciech”. Sierżant Austin nie pełnił swojej służby wyłącznie symbolicznie.

Potent wyglądał krucho w porównaniu z potężnym detektywem. Austin był kiedyś niezłym futbolistą. Przystanął przed biurkiem i powiedział spokojnie:

– Może pamięta pan nastolatkę zabitą przed miesiącem, narkomankę i prostytutkę na

usługach gangu? Jestem jej ojcem.

W głowie sierżanta zabrzmiał dzwonek alarmowy. Austin wstał i wyciągnął rękę. Potrząsnął dłonią Dextera. Darzył współczuciem zrozpaczonych i wściekłych rodziców, lecz poza tym nie mogli liczyć na nic więcej. Dla policjantów byli zawadą, i to czasami niebezpieczną.

– Bardzo mi przykro, proszę pana. Naprawdę, robimy wszystko...

– Sierżancie, niech się pan nie denerwuje. Mam tylko jedno pytanie. Potem dam panu święty spokój.

– Panie Dexter, rozumiem, co pan teraz czuje, ale nie potrafię...

Gość sięgnął prawą ręką do kieszeni kurtki. Wpuścili go tu z bronią? Jak na złość pistolet Austina leżał dwa metry dalej, w zamkniętej szufladzie biurka.

– Co pan robi?

– Pokażę panu kilka blaszek.

Coś stuknęło o blat. Sierżant Austin odbył służbę wojskową, bo był mniej więcej w tym samym wieku co Dexter, ale nigdy nie wyjeżdżał ze Stanów. Patrzył teraz na dwie Srebrne Gwiazdy, trzy Brązowe, Medal Wojska i cztery Purpurowe Serca. Pierwszy raz widział coś takiego.

– Dawno temu i w całkiem innym kraju nabyłem prawa, żeby wiedzieć, kto mi zamordował dziecko. Opłaciłem to własną krwią. Jest mi pan coś winien, sierżancie Austin.

Detektyw podszedł do okna i popatrzył na Norfolk. To, co zamierzał zrobić, wykraczało poza regulamin. Z łatwością mógł stracić pracę.

– Madero. Benyamin „Benny” Madero. Główny szef bandy Latynosów. Podstępny i gwałtowny. Wiem, że to on, ale nie mam dowodów, by go zamknąć.

– Dziękuję – usłyszał za plecami. Dexter zebrał z biurka odznaczenia.

– Niestety, jeśli chce pan złożyć mu wizytę, to raczej się pan spóźnił. Ja też się spóźniłem. Wyjechał. Wrócił do Panamy.

* * *

Czyjaś dłoń pchnęła drzwi niewielkiej galerii sztuki azjatyckiej przy Dwudziestej Piątej Ulicy na Manhattanie. Zabrzączał dzwonek na futrynie.

Gość rozglądał się po półkach, pełnych nefrytu i seledynu, kamieni i porcelany, kości słoniowej i ceramiki. Patrzył na słonie i rozmaite bóstwa, szkatułki, zwoje, pergaminy i niezliczone figurki Buddy. Ktoś wysunął się z zaplecza.

– Potrzebuję nowej tożsamości – powiedział Calvin Dexter.

Czternaście lat temu złożył dar nowego życia na ręce byłego partyzanta Wietkongu i jego żony. Major Nguyen nie zastanawiał się ani chwili. Skinął głową.

– Oczywiście – odparł. – Chodźmy do mnie.

Rozdział 15

Wyrok

Szybki kuter *Chiquita* tuż przed świtem odbił od nabrzeża portu Golfito i kanałem pomknął na otwarte morze.

Przy sterze stał właściciel i kapitan łodzi, Pedro Arias. Jeśli nawet miał jakieś wątpliwości co do amerykańskiego pasażera, to nie zdradził ich ani słowem. Facet zjawił się w porcie wczoraj, na motorowerze z kostarykańską rejestracją. Prawdę mówiąc, kupił go – z drugiej ręki, ale w dobrym stanie – przy Interamerican Highway w Palmar Norte, dokąd przyleciał krajowym lotem z San Jose.

Przywiązał motorower stalową linką do latarni i przeszedł się wzdłuż pirsu, oglądając zacumowane kutry. Wreszcie dokonał wyboru. Z małym plecakiem na ramieniu wyglądał na doświadczonego turystę-globtrotera.

A jednak plik pieniędzy, wyłożony na stół, zupełnie nie pasował do tego wizerunku. Za taką sumę można było złowić niejedną rybę. Tylko że gość wcale nie wybierał się na połów. Wszystkie wędkę wisiały pod sufitem niewielkiej kajuty, gdy *Chiquita* wyszła w morze przy Punta Voladera i wpłynęła na Golfo Dulce. Arias skierował ją w stronę odległego o godzinę rejsu Punta Banco.

Gringo najbardziej liczył na dwie dodatkowe beczki z benzyną, umocowane na tylnym pokładzie. Chciał opuścić wody Kostaryki, przepłynąć koło Punta Burica i skręcić w kierunku Panamy. Powiedział, że jego rodzina spędza urlop w Panama City, a on chciał zobaczyć „dzikie krajobrazy”, jadąc wzdłuż wybrzeża. Dla Pedra Ariasa jego wyjaśnienia były równie mocne jak poranna mgła, znikająca właśnie w promieniach wschodzącego słońca.

Señor Arias jednak miał w sobie wiele tolerancji, zwłaszcza gdy chodziło o sąsiednią Panamę. Nie obchodziło go, że ktoś chciał się tam dostać od morza, pominąwszy wszelkie przewlekłe formalności. W porze śniadania prawie jedenastometrowa łódź Bertram Moppie o nazwie *Chiquita* pruła spokojne wody z prędkością dwunastu węzłów. Za Punta Banco rozciągał się Pacyfik. Arias zmienił kurs o czterdzieści stopni w lewo, aby po dwóch

godzinach dopłynąć do Burica Island i niewidocznej granicy.

O dziesiątej rano zobaczyli nad horyzontem cienki palec latarni morskiej na Burica Island. Pół godziny później znowu zmienili kurs i popłynęli z powrotem na północny wschód.

Pedro Arias wskazał ręką na pas lądu po lewej stronie, czyli wschodnie wybrzeże półwyspu Burica.

– To już Panama – powiedział.

Amerykanin podziękował mu skinieniem głowy i popatrzył na mapę. Po chwili stuknął w nią palcem.

– *Por aqui* – mruknął.

W pobliżu wybranego miejsca nie było żadnego miasta. Nic, tylko kilka pustych plaż i parę zarośniętych ścieżek wiodących w głąb dżungli. Szyper pokiwał głową i zakręcił sterem, żeby nieco krótszym i mniej krętym kursem przeciąć zatokę Charco Azul. Czterdzieści kilometrów. Ponad dwie godziny.

Dotarli tam o pierwszej. Kilka rybackich kutrów rozrzuconych po całej zatoce nie zwracało na nich najmniejszej uwagi.

Amerykanin kazał płynąć wzdłuż wybrzeża, jakieś sto metrów od brzegu. Pięć minut później, na wschód od Chiriqui Viejo zobaczyli piaszczystą plażę i kilka słomianych szałasów, w których miejscowi rybacy czasami zostawali na noc. To oznaczało, że w pobliżu musi być jakaś większa droga – niedostępna dla samochodów, lecz w sam raz dla motoroweru.

Sapiąc i pomrukując, ściągnęli pojazd z łodzi. Gringo zabrał swój plecak i pożegnał Ariasa. Połowę umówionej ceny wręczył mu w Golfito, a połowę na miejscu. Zapłacił co do centa.

Dziwak, pomyślał Arias, ale wziął dolary, bo pamiętał, że ma w domu czwórkę głodnych dzieci do nakarmienia. *Chiquita* odbiła od brzegu i odpłynęła na pełne morze. Milę dalej szyper przelał paliwo z beczek do baku i pociągnął na południe, do kraju i do swojej chaty.

Na plaży Cal Dexter wyciągnął śrubokręt, zdjął z motoroweru tablice z Kostaryki i wrzucił je do morza. Na ich miejsce przykręcił nowe, panamskie, wyjęte z plecaka. Dokumenty miał w porządku. W paszporcie, który dała mu pani Nguyen na nowe nazwisko, widniała pieczętka z lotniska w Panamie, wbita jakoby przed paroma dniami. Dodatkowo dostał drugie prawo jazdy.

Hiszpański znał bardzo słabo – tyle, ile się nauczył w nowojorskich sądach i na przesłuchaniach, bo w jednej trzeciej przychodziło mu bronić Latynosów. Nie mógł więc uchodzić za Panamczyka. Był zatem zapalonym amerykańskim wędkarzem, zwiedzającym mniej znane łowiska w głębi kraju.

Właśnie minęły dwa lata od chwili, gdy w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Stany Zjednoczone obróciły w perzynę sporą część Panamy, aby dopaść i aresztować dyktatora Noriegę. Dexter był przekonany, że miejscowa policja wciąż miała w

pamięci tę dotkliwą lekcję.

Wąska przecinka w gęstej dżungli prowadziła z plaży do odległej o piętnaście kilometrów polnej drogi. Dexter mijał z rzadka rozrzucone farmy. Wiedział, że w końcu dotrze do Panamanian Highway, czyli ogromnej autostrady, przecinającej obie Ameryki, od Alaski po krańce Patagonii.

W David City zatrzymał się, żeby nabrać paliwa, i ruszył w pięćsetkilometrową podróż do stolicy. Zapadła noc. Zjadł kolację w przydrożnej knajpce dla szoferów, znów zatankował i pojechał dalej. Minął bramkę na autostradzie w Panama City, zapłacił w pesos i o świcie dotarł na przedmieścia Balboa. Wyszukał w parku wygodną ławkę, założył linkę na motorower i przespał się trzy godziny.

Po południu wszczął poszukiwania. Na podstawie dokładnej mapy kupionej w Nowym Jorku wyobraził sobie wygląd miasta. Szybko znalazł slumsy Chorillo, w których niemalże po sąsiedzku dorastali Noriega i Madero.

Madero też się wyrwał z nizin i gonił za luksusem. Teraz podobno mieszkał w eleganckiej dzielnicy Paitilla, po drugiej stronie zatoki, naprzeciwko Starego Miasta.

* * *

Była druga nad ranem, kiedy bandzior uznał, że ma serdecznie dość Papagayo Bar and Disco. Postanowił wrócić do siebie. Anonimowe czarne drzwi z mosiężną plakietką i zakratowanym wizjerem otworzyły się bezszelestnie i na ulicę wyszli najpierw dwaj mięśniacy – osobista ochrona Madera.

Jeden z nich wszedł do lincolna i zapuścił silnik. Drugi rozejrzał się po okolicy. Na krawężniku siedział jakiś żebrak, z nogami w rynsztoku. Uniósł głowę i uśmiechnął się, ukazując popsute zęby. Tłuste siwe włosy opadały mu na ramiona, spłowiwały płaszcz przeciwdeszczowy kleił się do ciała. Powoli wsunął prawą rękę do papierowej torby, którą tulił do piersi. Ochroniarz błyskawicznie sięgnął pod lewą pachę i napiął wszystkie mięśnie. Żebrak wydobył z torby flaszkę taniego rumu, pociągnął solidny łyk i z hojnością właściwą pijakom skinał na goryla, wskazując na butelkę.

Ochroniarz burknął coś pod nosem, splunął na chodnik, opuścił rękę i odwrócił się tyłem do włączęgi. Poza nimi i kierowcą lincolna na ulicy nie było nikogo. Zastukał w czarne drzwi. Emilio – ten sam, który kiedyś uprowadził córkę Dextera – wyszedł pierwszy, tuż przed swoim szefem. Dexter czekał, aż zgrzytnie zamek w drzwiach. Potem wstał i ponownie sięgnął do papierowej torby. Tym razem wyjął z niej rewolwer Smith & Wesson magnum .44 ze skróconą lufą.

Goryl, który pluł na chodnik, nie dowiedział się, w jaki sposób zginął. Wystrzelony pocisk rozpadł się na cztery części. Wszystkie trafiły w cel z odległości trzech metrów, wyrządzając w plecach ochroniarza niepowetowane szkody.

Zabójczo przystojny Emilio otworzył usta do krzyku, ale w tej samej chwili odłamki

drugiej kuli ugrzęzły mu w twarzy, szyi, ramieniu i jednym płucu.

Drugi ochroniarz zdążył zaledwie do połowy wychylić się z samochodu, zanim spotkał się ze swoim Stwórcą, użądłony czterema brzęczącymi i wirującymi kawałkami metalu.

Benyamin Madero z wrzaskiem dobijał się do czarnych drzwi. Za jego plecami huknęły dwa kolejne strzały. Jakiś bohater odważył się uchylić drzwi na dwa palce, ale zatrzasnęła je natychmiast, kiedy drzazga odłupana z futryny wplątała mu się w wypomadowane włosy.

Madero upadł, wciąż krzycząc, żeby go wpuścili. Z wolna osunął się na chodnik, zostawiając na błyszczących drzwiach długie szkarłatne smugi. Krew przesiąkała mu koszulę.

Żebrak podszedł do niego, bez strachu i bez pośpiechu. Pochylił się, odwrócił gangstera na plecy i spojrzał mu prosto w twarz. Madero żył jeszcze, ale już omdlewał.

– Amanda Jane, *mi hija* – powiedział obcy i wpakował mu w brzuch szóstą kulę.

Ostatnie półtorej minuty życia Benyamina Madera nie należało do najprzyjemniejszych.

Jakaś kobieta, przyglądająca się tej scenie z okna na piętrze, po przeciwnej stronie ulicy, zeznała później przed policją, że włóczęga uciekł w przecznicę i że słyszała warkot motoru. To wszystko.

Zanim nastał świt, motorower stał samotnie pod ścianą, dwie dzielnice dalej, bez linki i kłódki, z kluczykiem w stacyjce. Nie upłynęła nawet godzina, kiedy stał się częścią łańcucha pokarmowego.

Peruka, sztuczne zęby i płaszcz przeciwdeszczowy wylądowały w śmietniczce w parku. Pusty plecak trafił na wysypisko gruzu przy jakiejś budowie.

O siódmej rano amerykański biznesmen w jasnych spodniach, mokasynach, koszulce polo i lekkiej sportowej marynarce, z miękką torbą podróżną w dłoni, zatrzymał taksówkę przed hotelem Miramar i kazał się zawieźć na lotnisko.

Trzy godziny później ten sam Amerykanin siedział już w fotelu przedziału pierwszej klasy samolotu linii Continental Airlines, lecącego do Newark w New Jersey.

Rewolwer Smith & Wesson, przystosowany do strzelania specjalnymi nabojami, leżał w kanale, gdzieś w zaułkach miasta malejącego pod skrzydłem samolotu.

Zabroniono go używać w tunelach Cu Chi, ale po dwudziestu latach przydał się jak cholera na ulicach Panamy.

* * *

Dexter wyczuł, że stało się coś złego, zanim jeszcze otworzył drzwi swojego mieszkania na Bronksie. W środku nastał zapłakaną teściową, panią Marozzi.

Smutek łączył się z poczuciem winy. Angela Dexter pierwsza wyraziła zgodę, by Emilio zajął się ich córką. Nie sprzeciwiała się „wakacjom” zaproponowanym przez młodego Panamczyka. Kiedy jej mąż oświadczył, że wyjeżdża, by dokończyć jakąś rozgrzebaną sprawę, była pewna, że to ma coś wspólnego z jego pracą.

Powinien zostać. Powinien jej powiedzieć. Powinien wyczuć, co się z nią naprawdę

działo. Tuż po jego wyjeździe wyszła od rodziców, z którymi mieszkała od pogrzebu córki, wróciła do mieszkania i zażyła śmiertelną dawkę środków nasennych.

Dawny robotnik, żołnierz, student, prawnik i ojciec popadł w głęboką depresję. Pomału doszedł do dwóch wniosków. Po pierwsze, nie chciał już pracować w Biurze obrońcy Publicznego i ciągle biegać z sądu do aresztu. Obrzydło mu to. Przekazał akta, sprzedał mieszkanie, ze łzami w oczach pożegnał pocziwą rodzinę Marozzich i wrócił do New Jersey.

Znalazł maleńkie miasto Pennington, dumne ze swoich sielskich krajobrazów, lecz pozbawione radcy prawnego. Kupił więc tam niewielkie biuro i przybił na drzwiach mosiężną tabliczkę. Nabył niewiele większy domek przy Chesapeake Drive i furgonetkę. Zaczął uprawiać morderczy triathlon, by choć na chwilę zapomnieć o bólu.

Po drugie, utwierdził się w przekonaniu, że Madero poniósł zbyt łagodną karę. O wiele bardziej zasługiwał na to, aby stanąć przed amerykańskim sądem i otrzymać wyrok dożywocia, bez prawa do zmniejszenia kary. Żeby budził się co rano w celi, świadom tego, że już nigdy nie zobaczy błękitnego nieba. Żeby wiedział, że do końca życia przyjdzie mu płacić za popełnione czyny.

Calvin Dexter zdawał sobie sprawę, że pobyt w wojsku i dwa lata w cuchnącym piekle podziemnych korytarzy Cu Chi były dlań niezwykle doświadczeniem. Umiał działać w milczeniu, cierpliwie i niemal niewidocznie. Miał instynkt łowcy i wytrzymałość urodzonego tropiciela.

Z gazet dowiedział się o pewnej rodzinie, która przeżyła podobną tragedię. Zginęło dziecko, a morderca uciekł za granicę. Dexter po cichu skontaktował się z rodzicami, wypytał o szczegóły sprawy, wyruszył w pogoń i sprowadził mordercę z powrotem. A potem zniknął, znowu wchodząc w rolę spokojnego prawnika z Pennington w New Jersey. Trzy razy w ciągu siedmiu lat zamykał biuro i zawieszał na drzwiach kartkę z napisem URLOP, aby uganiać się po świecie za sprytnymi złoczyńcami. Każdego z nich czekała swoista „ekstradycja”. Trzy razy alarmował Amerykańską Służbę Szeryfów i usuwał się w cień, czekając na kolejne zadanie.

Ciągle przeglądał kolumnę ogłoszeń w czasopiśmie „Vintage Airplane”. To był jego jedyny kontakt ze światem, znany wyłącznie garstce wybrańców, których dopuścił do tajemnicy.

Aż wreszcie nadszedł słoneczny ranek trzynastego maja dwutysięcznego pierwszego roku. Anons brzmiał: „AVENGER poszukiwany. Tylko poważne oferty. Cena nie gra roli. Czekam na telefon”.

Rozdział 16

Akta

Senator Peter Lucas od lat znał wszystkie tajniki Kapitolu. Jeśli chciał zmusić władze do wszczęcia oficjalnego postępowania w sprawie Ricky’ego Colensa na podstawie zeznań Milana Rajaka, to musiał dotrzeć bardzo wysoko – aż do samego szczytu.

Nawet nie zabiegał o rozmowę z tym lub tamtym szefem departamentu. Na tym poziomie państwowi urzędnicy uprawiali zwykłą „spychówkę”. Utrzymywali, że dana sprawa leży w gestii kogoś innego. Przystępowali do działania tylko na wyraźny rozkaz z góry.

Jako republikanin i wieloletni przyjaciel George’a Busha seniora, Peter Lucas miał dostęp do sekretarza stanu Colina Powella i nowego prokuratora generalnego Johna Ashcrofta. To dawało mu dobre układy w Departamencie Stanu i Sprawiedliwości, czyli dwóch kluczowych instytucjach, które mogły cokolwiek zrobić.

Droga jednak nie była łatwa. Żaden sekretarz gabinetu nie lubił pytań i problemów. Wolał raczej pytania i gotowe odpowiedzi. A Peter Lucas nigdy przedtem nie zajmował się ekstradycją. Musiał wiedzieć, co w takiej sytuacji mogą i powinny począć Stany Zjednoczone. Wymagało to pewnych przygotowań, ale od tego miał sztab młodych, zdolnych ludzi. Zagonił więc ich do pracy. Najlepsza z jego asystentek, bystra dziewczyna z Wisconsin, już tydzień później przedstawiła mu pierwsze wyniki.

– Tego bydlaka Żilicia można aresztować i sprowadzić do nas na podstawie *Ustawy o zapobieganiu zbrodni* z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku – oznajmiła.

Odszukany przez nią fragment pochodził z protokołu przesłuchań przed komisją Kongresu na temat wywiadu i bezpieczeństwa państwa, prowadzonych w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Zeznawał wówczas wicedyrektor FBI Robert M. Bryant, adresując swoją wypowiedź do Komisji do spraw Kryminalnych Izby Reprezentantów.

– Podkreśliłam najważniejsze zdania, panie senatorze – dodała.

Lucas podziękował jej i popatrzył w akta.

„Ponadpaństwowa działalność FBI datuje się od połowy lat osiemdziesiątych, czyli od

chwili kiedy Kongres po raz pierwszy ustanowił prawo zezwalające agentom federalnym na poczynienie odpowiednich kroków za granicą w wypadku popełnienia morderstwa na obywatelu Stanów Zjednoczonych” – powiedział pan Bryant przed czterema laty.

Za tą fasadą słów krył się przedziwny dokument, na dobrą sprawę nieznanym reszcie świata i większości mieszkańców Ameryki. Przed ustawą z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku każde morderstwo, popełnione na przykład we Francji lub w Mongolii, podlegało miejscowej jurysdykcji. W praktyce oznaczało to, że tylko rządy Francji i Mongolii miały prawo ścigać, aresztować i sądzić zbrodniarzy. Nieważne było, czy ofiara pochodziła z Francji, czy z Mongolii, czy może z Ameryki.

Po pewnym czasie Stany Zjednoczone przyznały sobie inne przywileje. Ten, kto zabił Amerykanina za granicą, równie dobrze mógłby go zabić na Broadwayu. Jednym słowem – amerykańskie prawo obowiązywało na całym świecie. Nie zwołano w tej sprawie żadnej międzynarodowej konferencji. Wystarczyła zwykła ustawa. Pan Bryant poszedł w swoich zeznaniach jeszcze dalej:

„...a Zbiorowa ustawa o bezpieczeństwie służb dyplomatycznych i antyterrorystycznym z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku określała nowy ponadnarodowy status działań podejmowanych w odpowiedzi na akty terrorystyczne wymierzone w amerykańskich obywateli za granicą”.

Kłopot z głowy, pomyślał senator. Żilić nie był jugosłowiańskim żołnierzem ani policjantem. Działał na własną rękę, więc można oskarżyć go o terroryzm. Można go przywieźć do Stanów na podstawie obu ustaw.

Czytał dalej: „Po uzyskaniu zgody rządu danego kraju FBI ma pełne prawo do wysłania swojego personelu w celu wdrożenia ponadnarodowego śledztwa na miejscu zbrodni popełnionej przeciwko obywatelom Stanów Zjednoczonych”.

Senator zmarszczył brwi. To nie miało żadnego sensu. Czegoś tu brakowało. Kluczowe słowa brzmiały: „Po uzyskaniu zgody rządu danego kraju...”. Ale przecież współpraca między policjantami różnych państw nie była niczym nowym. Oczywiście, że FBI włączyłoby się w śledztwo na prośbę miejscowej prokuratury... Robiono tak przecież latami. I po co nagle dwie oddzielne ustawy, z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego i osiemdziesiątego szóstego roku?

Odpowiedź, której jeszcze nie znał, była taka, że druga ustawa szła o wiele dalej od pierwszej, a zwrotem „po uzyskaniu zgody” pan Bryant chciał po prostu uspokoić – zaniepokojonych członków komisji. Nie ośmielił się użyć słowa „ekstrakcja”.

W ustawie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku Senat przyznawał sobie prawo do wyrażenia uprzejmej prośby o ekstradycję mordercy lub morderców obywateli Stanów Zjednoczonych. Jeśli odpowiedź brzmiała „nie” lub dany kraj wyraźnie grał na zwłokę, nie bawiono się dłużej w kurtuazję. Grupa agentów, zgodnie z ustawą, jechała za granicę, łapała sprawcę i sprowadzała go do Stanów.

Znany pogromca terrorystów, John O'Neill z FBI, powiedział tuż po ogłoszeniu wspomnianych dokumentów: „Od teraz zgoda innych rządów jest najzwyczajniej gównem warta”. Połączone działania CIA i FBI, zmierzające do chwytania morderców, nosiły nazwę ekstrakcja. Od czasów prezydentury Ronalda Reagana przeprowadzono dziesięć takich tajnych operacji. A wszystko się zaczęło od pewnego włoskiego statku.

W październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku pasażerski liniowiec *Achille Lauro* wypłynął z Genui i skierował się ku północnym wybrzeżom Egiptu. W dalszej drodze miał jeszcze zawinąć do kilku izraelskich portów. Na jego pokładzie znajdowała się spora grupa turystów, w tym paru Amerykanów. Nikt nie wiedział, że jest tam także czterech bojowników Frontu Wyzwolenia Palestyny, grupy terrorystycznej blisko związanej z OWP Jasira Arafata, który zresztą w tym czasie przebywał na emigracji w Tunezji.

Terrorysty nie chcieli porwać statku, lecz zamierzali wysiąść w Izraelu, konkretnie w porcie Ashdod, i tam wziąć kilku żydowskich zakładników. Ale siódmego października, w połowie drogi między Aleksandrią i Port Saidem, do ich kabiny zajrzał steward, zobaczył broń i zaczął krzyczeć. Palestyńczycy wpadli w panikę i zawładnęli statkiem. Przez trzy dni trwały napięte negocjacje. Z Tunisu przybył Abu Abbas, który podawał się za wysłannika Arafata. Tel Awiw odrzucił jego deklaracje. Zdaniem rządu Izraela Abbas był szefem Frontu Wyzwolenia Palestyny, więc nie nadawał się na mediatora. Na koniec doszło do ugody: terrorysty mieli spokojnie zejść ze statku i egipskim samolotem odlecieć do Tunisu. Włoski kapitan pod lufą pistoletu przyznał, że żadnemu z pasażerów nic się nie stało. Zmuszono go do kłamstwa. Po uwolnieniu statku okazało się, że trzeciego dnia z rąk Palestyńczyków zginął siedemdziesięciodziewięcioletni nowojorczyk Leon Klinghoffer, przykuty do wózka inwalidzkiego. Terrorysty strzelili mu prosto w twarz i wraz z wózkiem zepchnęli do morza.

Reaganowi to wystarczyło. Wszystkie układy zostały natychmiast zerwane. Ale zabójcy byli w drodze do domu, na pokładzie samolotu lecącego w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, należącego do suwerennego państwa, w dodatku przyjaznego Ameryce. Nic więc nie można było zrobić. Przynajmniej na pozór. Tak się bowiem złożyło, że w tym samym czasie amerykański lotniskowiec USS *Saratoga* płynął po Adriatyku. Na pokładzie miał eskadrę tomcatów F-16. Po zapadnięciu zmroku egipski samolot odnaleziono na wysokości Krety. Kierował się na zachód, w stronę Tunisu. Nagle z mroku, tuż przy nim, wychynęły cztery tomcaty. Przerażony egipski pilot poprosił o zezwolenie na awaryjne lądowanie w Atenach. Odmówiono mu. Dowódca tomcatów ostrzegł go, że ma lecieć z nimi, jeśli nie chce ponieść poważnych konsekwencji. Ten sam EC2 Hawkeye, także z *Saratogi*, który pierwszy wypatrzył egipski samolot, przekazywał rozmowy pilotów myśliwców z załogą.

Dramat skończył się wraz z chwilą, w której samolot z czterema Palestyńczykami i Abu Abbasem na pokładzie wylądował pod eskortą w amerykańskiej bazie Sigonella na Sycylii. I wtedy pojawiły się pierwsze komplikacje.

Sigonella w połowie należała do amerykańskiej marynarki, a w połowie do włoskich sił

powietrznych. Oficjalnie była częścią terytorium Włoch – Amerykanie płacili za jej wynajem. Władze w Rzymie, aż niemal pięjąc z podniecenia, głosiły, że mają pełne prawo sądzić terrorystów. *Achille Lauro* był włoski, baza też włoska. Prezydent Reagan osobiście zadzwonił do dowódcy amerykańskich sił specjalnych w Sigonelli i nakłonił go do ustępstwa. Palestyńczycy zostali przekazani Włochom.

Proces odbył się w macierzystym porcie *Achille Lauro*, czyli w Genui. Zapadły wręcz symboliczne wyroki. Szef terrorystów, Abu Abbas, dwunastego października wyszedł z gmachu sądu wolny jak ptaszek i do dzisiaj przebywa na swobodzie. Włoski minister obrony z niesmakiem podał się do dymisji. Na czele rządu stał w tym czasie Bettino Craxi. Później zmarł na wygnaniu, także w Tunisie, oskarżony w kraju o gigantyczne malwersacje, jakich dopuścił się, pełniąc urząd premiera.

Odpowiedzią Reagana na tę perfidną zdradę była wspomniana wyżej *Zbiorowa ustawa*, ochrzczona krótko: „Nigdy więcej”. Lecz to nie bystra dziewczyna z Wisconsin, ale weteran walki z terroryzmem, agent FBI w stanie spoczynku, Oliver „Buck” Revell zabrał Lucasa na porządny obiad i opowiedział mu więcej o ekstrakcji.

Żaden z nich nawet nie przypuszczał, by podobna akcja była niezbędna w wypadku Żilicia. Po odejściu Miloszevicia Jugosławia za wszelką cenę chciała wrócić do rodziny państw cywilizowanych. Potrzebowała wysokich pożyczek z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, żeby odbudować swoją infrastrukturę, zniszczoną w czasie trwających siedemdziesiąt osiem dni nalotów NATO. Nowy prezydent, Kosztunica, na pewno zgodziłby się na taki drobiazg jak ekstradycja Zorana Żilicia. Z tą właśnie prośbą senator Lucas zamierzał się za chwilę zwrócić do Colina Powella i Johna Ashcrofta. Gdyby zaś doszło do najgorszego, domagałby się tajnej akcji.

Jego zespół sporządził skróconą, jednostronicową wersję pełnego raportu Tropicielea, w której zawarto wszystkie ważniejsze wydarzenia, od dnia wyjazdu Ricky’ego Colensa do Bośni aż do podróży w góry, do ustronnej doliny, piętnastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

To, co tamtego ranka zdarzyło się w dolinie, wzięto z zeznań Milana Rajaka i skondensowano na dwóch dalszych stronach, wyraźnie zaznaczając drastyczne fragmenty. Całość, wraz z pismem przewodnim senatora Lucasa, zszyto razem i oprawiono do łatwiejszego czytania.

Lucas na pewno jednego się nauczył przez lata spędzone na Kapitolu. Im wyższy urząd, tym krótsze musiało być sprawozdanie. Pod koniec kwietnia doczekał się spotkania z sekretarzami gabinetu.

Obaj z powagą wysłuchali jego opowieści, obiecali przeczytać raport i przekazać go w odpowiednie ręce. Tak też zrobili.

W Stanach Zjednoczonych działa trzynaście głównych agencji wywiadowczych. Wszystkie razem zbierają ponad dziewięćdziesiąt procent jawnych i tajnych wiadomości

dostępnych na całym świecie w ciągu doby.

Liczba danych jest tak olbrzymia, że wprost niemożliwe jest przeprowadzenie głębszej analizy, oceny i selekcji, nie mówiąc już o ich przechowywaniu. Drugim problemem bywa to, że szefowie wspomnianych agencji rzadko komunikują się ze sobą.

Amerykańscy szpiedzy nieraz wzdychają w nocnych barach przy szklaneczce whisky, myśląc o tym, że z chęcią oddaliby nawet całą pensję za coś takiego jak Połączona Komisja Wywiadu Brytyjskiego (JIC – Joint Intelligence Committee).

Odprawy JIC odbywają się co tydzień w Londynie, pod przewodnictwem starego wygi i doświadczonego urzędnika, który umie pogodzić interesy czterech brytyjskich agencji: Secret Intelligence Service MI-6 (wywiad zagraniczny), Security Service MI-5 (kontrwywiad), GCHQ* (satelity SIGINT, nasłuch elektroniczny) i specjalnej komórki Scotland Yardu.

Wymiana danych zapobiega powielaniu tych samych informacji i pozwala ułożyć z maleńkich fragmentów opisów i zeznań, składanych przez rozmaitych ludzi, pełny obraz spraw lub wydarzeń, o które właśnie wszystkim nagle chodzi.

Sprawozdanie senatora Lucasa trafiło do sześciu rządowych agencji. Każda z nich zaraz sięgnęła do archiwum, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś istotnego na temat jugosłowiańskiego gangstera Zorana Žilicia. W Urzędzie do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, określanego skrótem AFT (Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms), niczego nie znaleziono. Žilić nigdy nie działał w Stanach Zjednoczonych, AFT zaś nie wysyłała swoich ludzi za granicę.

Pozostały zatem: Agencja Wywiadu Obronnego (DIA), śledząca światowy handel bronią; Narodowa Agencja Bezpieczeństwa (NSA – National Security Agency) – największa z nich wszystkich, działająca w słynnej „Czarnej Komorze” w Annapolis Junction, w stanie Maryland, dysponująca techniką przekraczającą marzenia pisarzy science fiction i nasłuchująca dziennie trylionów słów mówionych albo przesyłanych faksem lub e-mailem; Agencja do spraw Walki z Narkotykami (DEA), gromadząca dane o wszystkich dealerach na świecie; FBI (oczywiście) i CIA. Dwie ostatnie wciąż rywalizowały ze sobą w pogoni za informacjami o wszelkich terrorystach, zabójcach, wojskowych dyktatorach, wrogich reżimach i tak dalej. Konsultacje trwały przeszło tydzień i kwiecień zmienił się w początek maja. Ponieważ rozkaz wydała góra, nikt się nie lenił.

Ludzie z Obrony, Narkotyków i Fort Meade dostarczyli tony dokumentów. Zoran Žilić znany im był już od dawna. Większość sprawozdań dotyczyła okresu, w którym Žilić grał pierwsze skrzypce na belgradzkiej scenie, był w ekipie Miloszevicia, kradł, wymuszał i mordował, ścigał haracze i handlował bronią.

Nikt jednak nie wiedział, że to właśnie Žilić zamordował amerykańskiego chłopca w czasie wojny w Bośni. Wszyscy się tym przejęli. Chcieli pomóc, ale ich akta miały jedną wadę – ostatni wpis był prawie sprzed półtora roku. Žilić zniknął, przepadł jak kamień w

* Government Communications Headquarters

wodę, wyparował. Sorry. W głównej kwaterze CIA, tonącej wśród letniej zieleni, dyrektor przekazał sprawę swojemu zastępcy. Ten udał się do czterech wydziałów zajmujących się Bałkanami, terroryzmem, działaniami specjalnymi i handlem bronią. Popytał nawet, bardziej z obowiązku niż rzeczywistej potrzeby, w małej i najściślej tajnej komórce wywiadu, powołanej do życia zaledwie rok temu, po masakrze siedemnastu marynarzy na USS *Cole* w Adenie.

Wszędzie otrzymał tę samą odpowiedź: Znamy go, ale mniej więcej od półtora roku nikt o nim nie słyszał. Zgadamy się z naszymi kolegami. Nie ma go w Jugosławii, lecz nie wiadomo, gdzie przebywa. Od dwóch lat nie zwracał na siebie uwagi, więc oszczędziliśmy na nim trochę czasu i wydatków.

Duże nadzieje wiązano z FBI. Przecież na pewno w olbrzymim gmachu u zbiegu Dziewiątej i Pennsylvania Avenue leżała teczka, w której zawarto wszelkie potrzebne wskazówki, gdzie można znaleźć i schwycić zbrodniarza.

Dyrektor Robert Mueller, nowo mianowany następcą Louisa Freeha, opatrzył list Lucasa słynną adnotacją: „podjąć bezzwłoczne działania” i złożył go na biurku swojego zastępcy, Colina Fleminga.

Fleming niemal od zawsze był związany z biurem. Miał wrażenie, że już jako mały chłopiec marzył o tym, aby zostać agentem federalnym. Pochodził z porządnej, szkockiej prezbiteriańskiej rodziny i wierzył w Boga równie mocno jak w prawo, porządek i sprawiedliwość.

W swojej pracy kierował się tymi samymi zasadami. W odniesieniu do zbrodni wszelkie układy, kompromisy i ustępstwa postrzegał tylko jako pretekst do ugody. Pogardzał nimi. Brakowało mu może ogłady, ale nadrabiał to uczciwą pasją i pracowitością.

Przybył z granitowych gór New Hampshire, czyli był jednym z tych pionierów, o których powiadano, że w twardości rywalizują ze skałami. Jako zażarty republikanin popierał Petera Lucasa. Prawdę mówiąc, to nawet brał czynny udział w miejscowej kampanii wyborczej na rzecz senatora.

Po przeczytaniu skąpych informacji zadzwonił do gabinetu Lucasa i poprosił go o pełną wersję raportu Tropicielea i zeznań Milana Rajaka. Kopię wspomnianych dokumentów otrzymał kilka godzin później, dostarczoną przez posłańca. Przeczytał je z narastającym gniewem. On też miał syna, w lotnictwie morskim, i był z niego okropnie dumny. Sprawa Ricky'ego napawała go przeogromną złością. FBI dysponowało przecież odpowiednimi metodami, żeby sprowadzić Żilicia albo wskutek ekstradycji, albo tajnej akcji. Fleming, odpowiedzialny za walkę z terroryzmem praktycznie na całym świecie, był gotów osobiście wysłać grupę agentów po mordercę.

A jednak FBI nic nie mogło zrobić, bo pod pewnym względem cierpiało na tę samą przypadłość, co wszyscy pozostali. Żilić był znany w biurze jako zatwardziały gangster, handlarz bronią i narkotykami, ale nigdy przedtem nie dopuścił się aktów terroryzmu

przeciwko Stanom Zjednoczonym. Kiedy więc zniknął, to nikt go nie szukał. Ostatni wpis w jego aktach był sprzed półtora roku. Z niezwykłym osobistym żalem Fleming dołączył do reszty grupy i musiał przyznać, że sam też nie wie, gdzie można znaleźć Zorana Žilicia.

Bez adresu nie było mowy o wniosku o ekstradycję. Jeżeli nawet Žilić znalazł sobie azyl w jakimś „upadłym” państwie, w którym nie obowiązywały normalne zasady i rządy, to i tak nikt nie mógł go pochwycić, nie znając i ego kryjówki. W prywatnym liście do senatora dyrektor Fleming przeproszał za swoją niewiedzę. Ale po szkockich przodkach odziedziczył upór i wytrwałość. Dwa dni później spotkał się na obiedzie z Fraserem Gibbem. W FBI było dwóch weteranów, uważanych niemal za bożyszcza, których wykłady w ośrodku szkoleniowym w Quantico zawsze przyciągały zwarty tłum studentów.

Jeden z nich to dawny futbolista i były pilot marynarki „Buck” Revell. Drugi to Fraser Gibbs, który połowę życia spędził wśród gangsterów, działając jako wtyczka, a resztę czasu poświęcił na rozbięcie organizacji mafijnej Cosa Nostra, grasującej na wschodnim wybrzeżu kraju. Kiedy na dobre osiadł w Waszyngtonie, kulejąc po postrzale w nogę, powierzono mu nadzór nad wigilantami, najemnikami i płatnymi zabójcami. Ze zmarszczonymi brwiami wysłuchiwał opowieści Fleminga.

– Coś kiedyś słyszałem – mruknął. – O pewnym łapaczu. Swoistym łowcy nagród. Ukrywa się pod pseudonimem.

– Płatny zabójca? Dobrze wiesz, że rząd kategorycznie zabrania takich metod.

– Nie o to chodzi – odparł Gibbs. – Plotka głosi, że wcale nie zabija. Porywa, łapie i przywozi tutaj. Cholera, jak on się nazywał?

– To może być dla nas ważne – powiedział Fleming.

– Działa w zupełnej tajemnicy. Mój poprzednik usiłował go zidentyfikować. Podstawił mu jednego z naszych w roli klienta. Tamten jednak coś zwąchał, na chwilę przeprosił, wyszedł ze spotkania i zniknął.

– Dlaczego nie chce się ujawnić? – zapytał Fleming. – Skoro nie zabija...

– Ponieważ głównie działa za granicą i wie, że federalni nie lubią obcych na swoim terenie. FBI od razu podniosłoby głośny lament i zażądało, by się usunął. Woli więc pozostawać w cieniu i nie dać się przyskrzynić.

– Agent, o którym mówiłeś przedtem, musiał sporządzić jakieś sprawozdanie.

– Pewnie, że musiał. Taka jest procedura. Na pewno podał tam pseudonim... i żadnych nazwisk. O, już pamiętam. Avenger. Mściciel. Wrzuć to do komputera i zobacz, co wyjdzie.

Akta okazały się wyjątkowo cienkie. Jediną formą kontaktu z Mścicielem było ogłoszenie w niewielkim czasopiśmie dla miłośników starych samolotów. Agent przedstawił zmyśloną historię i doszło do spotkania.

Łowca siedział ukryty w mroku, za jasno świecącą lampą. Agent widział jedynie zarys jego sylwetki: średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała, o wadze nieprzekraczającej siedemdziesięciu kilogramów. Twarz pozostawała w głębokim cieniu. Po trzech minutach

Mściciel coś wyczuł. Wyciągnął rękę i zgasił światło. Zniknął, nim jego rozmówca przestał mrugać powiekami.

Jedyną cechą charakterystyczną, zauważoną przez agenta, był tatuaż na ręce Mściciela, przez chwilę widocznej nad stołem, przedstawiający roześmianego szczura z gołym tyłkiem wystawionym w kierunku widza.

Wątpliwe było, że coś z tego zaciekawi senatora Lucasa lub jego przyjaciela w Kanadzie. Ale Fleming przynajmniej mógł im przekazać pseudonim łowcy i sposób kontaktu. Była to jedna szansa na sto, lecz nie miał nic innego.

Trzy dni później, w swoim gabinecie w Ontario, Stephen Edmond przeczytał pismo z Waszyngtonu. Znał już odpowiedź sześciu agencji i stracił wszelką nadzieję.

Zerknął na załączony list Lucasa i zmarszczył brwi. Był przekonany, że potężne Stany Zjednoczone użyją swojej potęgi i siły, aby przekonać obce rządy do wydania mordercy Ricky'ego.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Żilić po prostu zniknie i że amerykańskie agencje wywiadowcze, dysponujące miliardami dolarów, po prostu nie będą wiedziały, gdzie go znaleźć.

Myślał nad tym przez dziesięć minut, a potem wzruszył ramionami i nacisnął przycisk interkomu.

– Jean, chcę zamieścić ogłoszenie w amerykańskim czasopiśmie. Musisz to sprawdzić. Pierwszy raz słyszę o takim tytule... „Vintage Airplane”. Tak, ogłoszenie drobne. Powinno brzmieć: „AVENGER poszukiwany. Tylko poważne oferty. Cena nie gra roli. Czekam na telefon”. Potem podaj numer mojej komórki i telefonu prywatnego. Zrobisz to?

Dwudziestu sześciu ludzi w rozmaitych agencjach rządowych w Waszyngtonie czytało prośbę Lucasa. Wszyscy odpowiedzieli, że nie wiedzą, gdzie ukrywa się Zoran Żilić.

Jeden z nich kłamał.

Część 2

Rozdział 17

Fotografia

Przed sześcioma laty, zaraz po podjętej przez FBI próbie ustalenia jego tożsamości, Dexter uznał, że osobiste spotkania ze zleceniodawcami nie są konieczne. Nauczony doświadczeniem opracował kilkustopniowy system maskujący, który miał go chronić przed namierzeniem oraz identyfikacją.

Jednym z elementów tego systemu było małe, jednopokojowe mieszkanie w Nowym Jorku, ale nie na Bronksie, gdzie ktoś mógłby go rozpoznać. Wynajął je umeblowane, czynsz opłacał kwartalnie z punktualnością szwajcarskiego zegarka i zawsze gotówką. Nie zwracało niczyjej uwagi, a on sam, przemieszkując tam, starał się nie rzucać sąsiadom w oczy.

Zaczął używać wyłącznie telefonów komórkowych na karty SIM, typu płacisz-tylko-kiedy-rozmawiasz. Kupował je hurtem i każdy, po jedno-, góra dwukrotnym wykorzystaniu, wyrzucał do East River. Nawet NSA, dysponująca techniką podsłuchiwania rozmów telefonicznych i bezbłędnej lokalizacji ich źródła, nie jest w stanie ustalić tożsamości nabywcy takiej bezabonamentowej komórki SIM ani skierować policji w miejsce, z którego prowadzona jest rozmowa, jeśli użytkownik znajduje się w ruchu, streszcza się i natychmiast po przerwaniu połączenia pozbywa aparatu.

Innym w miarę bezpiecznym środkiem łączności jest staroświecka budka telefoniczna. Numer wybierany z zainstalowanego w takiej budce automatu wrzutowego można, rzecz jasna, namierzyć, ale budek tych jest tak wiele, że jeśli nie ma się wytypowanego konkretnego automatu lub przynajmniej ich grupy, to trudno przechwycić rozmowę, ustalić, czy rozmówca to rzeczywiście osoba poszukiwana, zlokalizować budkę i na czas posłać na miejsce patrol policji.

Dexter korzystał też z usług niecieszącej się najlepszą opinią poczty amerykańskiej, przy czym cała korespondencja do niego wysyłana była na adres „dziupli”, będącej niewinnym, prowadzonym przez Koreańczyków sklepikiem owocowo-warzywnym w Nowym Jorku, oddalonym o dwie przecznice od budynku, w którym wynajmował mieszkanie. Nie

stanowiłoby to żadnego zabezpieczenia, gdyby zainteresowano się jego pocztą i wzięto pod obserwację sklepik, ale nie było powodu, dla którego miałyby się tak stać.

Skontaktował się z ogłoszeniodawcą, dzwoniąc pod podany numer telefonu komórkowego. Zrobił to z komórki jednorazowego użytku, wjechawszy uprzednio głęboko w odludne rejony New Jersey.

Stephen Edmond, nie robiąc żadnych ceregieli, przedstawił się i w pięciu zdaniach streścił, co spotkało wnuka. Mściciel podziękował mu i rozłączył się.

W Stanach istnieje kilka wielkich bibliotek wycinków prasowych, a najbardziej znane to te, które powstały przy dziennikach „New York Times” i „Washington Post” oraz Lexis Nexis. Wybrał tę trzecią i odwiedził jej nowojorską bazę danych, płacąc gotówką.

Wkrótce wiedział już, kim jest Stephen Edmond, natrafił też na dwa artykuły sprzed kilku lat, traktujące o zaginięciu jego wnuka, który podczas studiów wyjechał jako wolontariusz do Bośni, nieść tam pomoc humanitarną, oba zamieszczone w „Toronto Star”. Zleceniodawca wydawał się i człowiekiem godnym zaufania.

Dexter oddzwonił do Kanadyjczyka i przedstawił mu swoje warunki; pokaźna sumka na pokrycie kosztów operacyjnych, zadatek, a ostateczne rozliczenie po dostarczeniu Żilicia na obszar objęty jurysdykcją Stanów Zjednoczonych, tylko w wypadku pomyślnego zakończenia całej operacji.

– To dużo pieniędzy, zważywszy na to, że mam do czynienia z człowiekiem, którego nie znam i najprawdopodobniej nigdy nie poznam – zauważył Kanadyjczyk. – Przecież może je pan zainkasować i szukać wiatru w polu.

– A pan może ponownie, bo, jak mi nie mam, już pan tego próbował, zwrócić się o pomoc do władz Stanów Zjednoczonych.

Na chwilę zaległo milczenie.

– Zgoda, gdzie to przesłać?

Dexter podyktował mu numer konta w banku na Kajmanach oraz swój nowojorski adres korespondencyjny.

– Pieniądze na to konto, wszystkie materiały zebrane w trakcie przeprowadzonego już dochodzenia pod wskazany adres – powiedział i zakończył rozmowę.

System komputerowy karaibskiego banku automatycznie rozparceluje całą przelaną sumę na tuzin innych kont, jak również otworzy linię kredytową w pewnym banku z siedzibą w Nowym Jorku. Dysponentem wszystkich rachunków będzie obywatel holenderski legitymujący się nie wzbudzającym żadnych podejrzeń holenderskim paszportem.

Po trzech dniach na adres koreańskiego sklepiku warzywnego na Brooklynie nadeszła przesyłka w sztywnej kopercie. Odebrał ją adresat, pan Armitage. Zawierała fotokopię kompletnych raportów Tropicielea z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego oraz z wiosny roku bieżącego, to znaczy dwutysięcznego pierwszego, z załączonym zeznaniem Milana Rajaka. Kanadyjczykowi odmówiono udostępnienia jakichkolwiek akt dotyczących

Zorana przechowywanych w archiwach rozmaitych amerykańskich agencji wywiadowczych, w związku z czym jego wiedza o Zoranie była tylko powierzchowna. Co gorsza, nie było jego zdjęcia.

Dexter wrócił do wertowania archiwów prasowych, które stanowią obecnie przebogate źródło informacji o historii najnowszej. Nie ma chyba takiego wydarzenia ani człowieka, którego nie opisałby jakiś dziennikarz albo nie uwiecznił na zdjęciu fotograf prasowy, jeśli choć na chwilę zainteresowała się nim opinia publiczna. Ale Zoranowi Żiliciowi i to się niemal udało.

W odróżnieniu od goniącego za popularnością Żeljka „Arkana” Ražnjatovicia, Žilić miał wyraźną awersję do wszelkiego rodzaju kontaktów z mediami. Wszystko wskazywało na to, że z rozmysłem od nich stronił. Przypominał pod tym względem palestyńskich terrorystów w rodzaju Sabri-al-Banna, znanego szerzej pod pseudonimem Abu Nidal.

Jedyne, co udało się znaleźć Dexterowi, to pochodzący z „Newsweeka” analityczny artykuł o wojnie w Bośni; autor podjął próbę scharakteryzowania wszystkich serbskich watazków, niestety Žiliciowi, niewątpliwie z braku materiału, poświęcił tylko króciutką wzmiankę.

Dexter wyszperał też dwie fotografie; jedną zrobioną na jakimś koktajlu, a potem chyba wykadrowaną i powiększoną, bo była trochę niewyraźna. Druga, starsza, pochodziła z akt belgradzkiej policji i przedstawiała nastolatka z dzielnicy Zemun w Belgradzie, podejrzanego o członkostwo w jednym z grasujących tam ulicznych gangów. Nie rozpoznałby Serba na podstawie żadnego z tych dwóch zdjęć, gdyby nawet mijał się z nim na ulicy.

Anglik ukrywający się pod pseudonimem Tropiciel wspominał w swoim raporcie o prywatnej belgradzkiej agencji detektywistycznej, z której usług korzystał. Wojna się skończyła, nie było już Miloszevicia. Logika nakazywała rozpocząć poszukiwania od jugosłowiańskiej stolicy, gdzie urodził się i dorastał Žilić i gdzie go ostatnio widziano. Dexter poleciał z Nowego Jorku do Wiednia, a stamtąd do Belgradu i zameldował się w hotelu Hyatt. Z okna na dziesiątym piętrze roztaczała się panorama nosząca jeszcze ślady bombardowań bałkańskiego miasta. Jak na dłoni widać było odległy o niecały kilometr hotel, w którego holu zastrzelono niedawno Ražnjatovicia, mimo że ten nie ruszał się nigdzie bez obstawy.

Dexter pojechał taksówką do agencji Chandler, prowadzonej w dalszym ciągu przez Dragana Stojicia, prywatnego detektywa pozującego na Philipa Marlowe’a. Podał się za dziennikarza, któremu „New Yorker” zlecił napisanie biografii Ražnjatovicia, mającej się zamknąć w dziesięciu tysiącach słów. Stojic kiwnął głową i odchrząknął.

– Wszyscy go znali. Jego żoną była popularna piosenkarka, piękna dziewczyna. Dlaczego przychodzi pan z tym właśnie do mnie?

– Prawdę mówiąc, to mam już właściwie wszystko, co mi potrzeba do napisania tego artykułu – wyjaśnił Dexter, legitymujący się tym razem amerykańskim paszportem wystawionym na nazwisko Alfred Barnes. – Ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że

w tekście wypadałoby wspomnieć o kimś jeszcze. A mianowicie o rówieśniku Arkana, wywodzącym się, podobnie jak on, z belgradzkiego półświatka. Nazywa się Zoran Žilić.

Stojić wydał policzki i pufnął przeciągle.

– I tu zaczynają się schody – stwierdził. – On nie lubił, kiedy o nim pisano, kiedy go fotografowano, a nawet kiedy o nim rozmawiano. Ludziom, którzy podpadli mu pod tym względem... składano wizytę. Niewiele o nim wiadomo.

– Rozumiem. A może mi pan wskazać największe w Belgradzie archiwum wycinków prasowych?

– To proste, bo jest tylko jedno. Nazywa się VIP i ma biuro we Vracarze, a redaktor naczelny nazywa się Slavko Marković.

Dexter wstał.

– To wszystko? – zdziwił się bałkański Marlowe. – Nawet nie warto wystawiać rachunku. Amerykanin położył na biurku studolarowy banknot.

– Każda informacja ma swoją cenę, panie Stojić. Także nazwa i adres.

Złapał drugą taksówkę i kazał się wieźć do archiwum wycinków prasowych. Tam powiedziano mu, że pan Marković wyszedł na lunch. Dexter zamówił w pobliskim barze lekką przekąskę i kieliszek czerwonego wina i przesiedział nad nimi do powrotu redaktora.

Marković był tak samo sceptyczny jak wcześniej prywatny detektyw. Ale dla spokoju sumienia sprawdził w swojej bazie danych, czy nie ma tam przypadkiem czegoś na interesujący klienta temat.

– Jest jeden artykuł – oznajmił – i tak się składa, że w języku angielskim.

Był to, niestety, znany już Dexterowi tekst z „Newsweeka” o wojnie w Bośni.

– Tylko tyle? – spytał Dexter. – To była potężna, wpływowa, prominentna postać. Niemożliwe, żeby na temat takiego człowieka nie zachowała się żadna wzmianka.

– Otóż to – powiedział Marković. – Był potężny, wpływowy, prominentny. I brutalny. Za rządów Miloszevicia nikt mu nie podskoczył. Wychodzi na to, że zanim uciekł, pousuwał wszelkie ślady swojego istnienia. Z policyjnych kartotek, z akt sądowych, z archiwów telewizji państwowej, z mediów, skąd tylko się dało. Rodzina, rówieśnicy ze szkoły, dawni koledzy, nikt z nich nie chce o nim rozmawiać. Kazano im trzymać język za zębami. Istny Człowiek Bez Twarzy.

– Nie obilo się panu może o uszy, czy ostatnio próbowano coś o nim napisać?

Marković zastanowił się.

– Coś mi chodzi po głowie... Tak, słyszałem, że ktoś rzeczywiście niedawno próbował. Ale nic z tego nie wyszło. Po upadku Miloszevicia i zniknięciu Žilicia ten ktoś chciał napisać artykuł. Widać zrezygnował.

– Kto to był?

– Tego nie wiem, lecz mój gadający kanarek podpowiada mi, że zlecenie wyszło z belgradzkiego czasopisma „Ogledalo”... to po serbsku „Zwierciadło”.

„Zwierciadło” w dalszym ciągu istniało, a jego redaktorem naczelnym pozostawał wciąż Vuk Kobać. Chociaż był to dzień zamknięcia numeru, zgodził się poświęcić Amerykaninowi kilka minut swego cennego czasu. Mina mu zrzedła, kiedy usłyszał pytanie.

– Przeklęty zakapior – burknął. – Obym nigdy o nim nie usłyszał.

– Co się stało?

– Był taki jeden młody wolny strzelec. Miły chłopak. Zdolny, pełen zapału. Chciał u nas pracować. Nie miałem wolnego etatu. Ale prosił o jakąś szansę. No i dałem mu zlecenie na artykuł o tym łotrze. Nazywał się Petrović. Sreczko Petrović. Dopiero co skończył dwadzieścia dwa lata, nieborak.

– Co się z nim stało?

– Wpadł pod samochód. Zaparkował przed blokiem, w którym mieszkał z matką, i kiedy przechodził przez ulicę, zza rogu wypadł na pełnym gazie jakiś mercedes i przejechał go.

– Nieszczęśliwy wypadek?

– Jaki tam wypadek. Kierowca dla pewności przejechał po nim dwa razy. I uciekł z miejsca wypadku.

– Chcieli mu zamknąć usta?

– I zamknęli. Raz na zawsze. Ten łotr nawet zza granicy potrafi zlecać i finansować likwidowanie niewygodnych mu osób tu, w Belgradzie.

– Wie pan, gdzie mógłbym znaleźć matkę tego dziennikarza?

– Chwileczkę. Wysyłałiśmy wieniec. Pewnie na jej adres.

Redaktor zajął do notesu, przepisał coś z niego na karteczce i podał ją Dexterowi.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Dexter. – Kiedy to się stało?

– Sześć miesięcy temu. Zaraz po Nowym Roku. Dam panu dobrą radę, panie Barnes. Niech pan pisze o samym Arkanie. Ten już jest niegroźny, bo nie żyje. Żilicia lepiej zostawić w spokoju. On pana zabije. No, muszę lecieć, zamykamy dzisiaj numer.

Dexter przeczytał nabazgrany na karteczce adres: „Blok 23, Novi Beograd”. Znalazł Nowy Belgrad na planie miasta, który nabył w hotelowym kiosku. Była to dosyć ponura dzielnica na półwyspie opływanym przez rzeki Sawa i Dunaj, którego wody nie były tu bynajmniej modre.

W komunistycznych czasach panowała moda na wznoszenie dla mas pracujących wielkich, wielopiętrowych bloków mieszkalnych z prefabrykowanej płyty. Wyrastały kiedyś jak grzyby po deszczu na leżących odłogiem terenach Nowego Belgradu i przywodziły na myśl gigantyczne betonowe ule. Przez całą długość fasady tego architektonicznego koszmaru biegła na każdym piętrze zewnętrzna galeria, z której wchodziło się do ciasnych klatek zwanych szumnie mieszkaniem.

Żywioły nie oszczędzały owych blokowisk, niekonserwowane budynki popadały w coraz większą ruinę. Blok 23 był zakaruszonym horrorem. Pani Petrović mieszkała na dziewiątym piętrze, winda nie działała. Dexterowi to nie przeszkadzało, wbiegłby po schodach na samą

górze, biorąc po dwa stopnie naraz, i nawet by się specjalnie nie zasapał, ale jak w tej sytuacji radzili sobie starsi wiekiem lokatorzy, tym bardziej że większość z nich paliła bez opamiętania. Sam do matki zamordowanego dziennikarza nie miał się po co wybierać. Nie dogadałby się z nią po angielsku, a serbskochorwackiego nie znał. Zgodziła się mu pomóc jedna z ładnych, rezolutnych recepcjonistek z Hyatta. Zbierała pieniądze na ślub i dwieście dolarów za dwie godziny pracy w charakterze tłumaczki po zejściu z popołudniowego dyżuru było dla niej sumą nie do pogardzenia.

Dotarli na miejsce o dziewiętnastej. W samą porę. Pani Petrović była sprzątaczką i codziennie o ósmej wieczór wychodziła na całą noc do pracy w biurkach po drugiej stronie rzeki.

Należała do kobiet, których los nie rozpieszczał. Jej pomarszczona, przedwcześnie postarzała twarz mówiła sama za siebie. Miała pewnie nie więcej niż czterdzieści kilka lat, a wyglądała na siedemdziesiąt. Mąż zginął w wypadku przy pracy, syna zamordowano pod domem. Jak to zwykle bywa z ludźmi klepiącymi biedę, kiedy zwraca się do nich z jakąś sprawą ktoś wyraźnie zamożny, zareagowała w pierwszej chwili nieufnością.

Dexter wręczył jej bukiet kwiatów. Dawno nie dostała od nikogo kwiatów. Anna, recepcjonistka z hotelu, włożyła je do trzech wazonów i rozstawiła po małym, skromnie urządzonym mieszkanku.

– Chcę napisać o tym, co spotkało Sreczkę – zagaił Dexter. – Wiem, że to go pani nie zwróci, ale uda mi się może zdemaskować człowieka, który mu to zrobił. Pomoże mi pani?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Ja nic nie wiem – powiedziała. – Nigdy go nie pytałam o pracę.

– Czy tego wieczoru, kiedy zginął... miał coś przy sobie?

– Nie wiem. Obszukali go. Wszystko zabrali.

– Obszukali ciało? Tam, na ulicy?

– Tak.

– Przynosił wcześniej do domu jakieś dokumenty? Zostały może po nim jakieś notatki? Tutaj, w mieszkaniu?

– Tak, trzymał tu teczki z różnymi papierami. Jedne były pisane na maszynie, inne odręcznie. Ale ja ich nie czytałam.

– Mogę je obejrzeć?

– Już ich tu nie ma.

– A gdzie są?

– Zabrali je. Wszystko zabrali. Nawet taśmę z maszyny do pisania.

– Kto? Policja?

– Nie. Ci ludzie.

– Jacy ludzie?

– Wrócili tu. Dwa dni potem, wieczorem. Kazali mi siedzieć w kącie, o tam. Przewrócili

do góry nogami całe mieszkanie. Szukali czegoś. Zabrali wszystko, co do niego należało.

– I nic nie zostało?

– Tylko fotografia. Zapomniałam o niej.

– Proszę mi opowiedzieć o tej fotografii.

Wyciągnął z niej wszystko mozolnie, zdanie po zdaniu, za pośrednictwem Anny, która tłumaczyła na dwie strony. Trzy dni przed śmiercią Sreczko, początkujący reporter, wrócił z sylwestrowej zabawy w marynarce poplamionej czerwonym winem. Matka wrzuciła ją do worka z rzeczami przeznaczonymi do prania.

Po śmierci syna nie miała do prania głowy. Zapomniała zupełnie o tej poplamionej winem denimowej marynarce, a gangsterom nie przyszło do głowy, żeby zajrzeć do worka z brudami. Znalazła ją dopiero po jakimś czasie, porządkując ubrania syna. Przeszukała odruchowo kieszenie i w jednej znalazła fotografię.

– Ma ją pani jeszcze? – spytał Dexter. – Mógłbym ją zobaczyć?

Kiwnęła głową i podreptała w kąt pokoju. Wyjęła z nocnej szafki pudełko z przyborami do szycia, a z niego zdjęcie.

Przedstawiało sfotografowanego z zaskoczenia mężczyznę, który w ostatniej chwili zauważył skierowany na siebie aparat i próbował jeszcze zasłonić twarz dłonią. Nie zdążył, migawka już trzasnęła. Patrzył prosto w obiektyw, miał na sobie koszulę z krótkim rękawem i bawełniane spodnie.

Zdjęcie było czarno-białe, trochę niewyraźne, ale Dexter uznał, że da się je podrasować, powiększając i poddając stosownej obróbce. Lepszego już raczej nie znajdzie. Zdjęcia nastolatka oraz mężczyzny na koktajlu, które wyszperał w Nowym Jorku i woził ze sobą pod wyściółką nesesera, były trochę ziarniste, lecz niewątpliwie przedstawiały tego samego człowieka. To był Żilić.

– Odkupiłbym od pani to zdjęcie, pani Petrović – zaproponował.

Wzruszyła ramionami i powiedziała coś po serbskochorwacku.

– Mówi, że może je pan sobie wziąć – przetłumaczyła Anna. – Jej nie jest do niczego potrzebne. Nawet nie wie, kto to jest.

– Jeszcze ostatnie pytanie. Czy na krótko przed śmiercią Sreczko gdzieś wyjeżdżał?

– Tak, w grudniu. Nie było go tydzień. Nie powiedział, gdzie był, ale wrócił taki opalony, że aż skóra mu z nosa złaziła.

Pani Petrović odprowadziła gości do drzwi i wyszła za nimi na wietrzną galerię. Dexter, uznawszy, że Anna, która pomaszerowała przodem w kierunku zepsutej windy i klatki schodowej, już go nie usłyszy, nachylił się do doświadczonej przez los Serbki.

– Wiem, że nie zrozumie pani z tego ani słowa – powiedział łagodnie po angielsku – ale zrobię wszystko, żeby tę świnię dopaść i wpakować do amerykańskiego mamra, a działać będę między innymi w pani imieniu. I to gratis.

Nie rozumiała, naturalnie, mimo to uśmiechnęła się ciepło i powiedziała *Hvala*. Po dniu

spędzonym w Belgradzie wiedział już, że znaczy to „Dziękuję”.

Taksówka, którą tu przyjechali, zgodnie z jego instrukcją czekała pod blokiem. Odwiózł Annę na przedmieście Belgradu, gdzie mieszkała, wręczył jej uzgodnione dwieście dolarów, i w drodze powrotnej do centrum wyjął z kieszeni fotografię.

Żilić stał na rozległej otwartej przestrzeni, wylanej betonem albo tarmakiem. W tle widać było duże, niskie hale, jakby magazynowe. Nad jedną powiewała na wietrze flaga, ale w kadrze mieścił się tylko jej fragment.

Na zdjęciu widniał jeszcze fragment jakiegoś sporego, bliżej nieokreślonego obiektu, pozostającego poza kadrem. Dexter popukał w ramię taksówkarza.

– Ma pan może szkło powiększające?

Mężczyzna nie zrozumiał, ale kiedy Dexter zaczął wyjaśniać na migi, o co mu chodzi, kiwnął głową. Trzymał takie w schowku, służyło do studiowania planu miasta, jeśli zaszła taka potrzeba.

Wydłużony, płaski kształt po lewej stronie zdjęcia okazał się czubkiem skrzydła samolotu, choć sądząc po niewielkim prześwicie, jaki dzielił je od ziemi, nie żadnego jumbo jeta, ale maszyny średniej wielkości.

A więc hale w tle to hangary, nie magazyny. Nie te ogromne, w których garażowane są liniowe samoloty pasażerskie, lecz mniejsze, przeznaczone dla kilkunastomiejscowych maszyn prywatnych i firmowych, których statecznik pionowy rzadko sięga wyżej niż cztery metry. Żilicia sfotografowano więc na prywatnym lotnisku, ewentualnie na wydzielonej na prywatny użytek sekcji jakiegoś portu lotniczego.

Dexter zapytał w hotelu o kafejki internetowe. Owszem, jest w Belgradzie kilka takich, wszystkie otwarte do późnych godzin nocnych. Zjadł kolację w barze i pojechał taksówką do najbliższej. Załogował się w sieci, wybrał ulubioną przeglądarkę i wywołał stronę z flagami państw świata.

Powiewająca nad hangarem flaga na czarno-białym zdjęciu zrobionym przez zmarłego tragicznie dziennikarza miała trzy poziome pasy, z których dolny był tak ciemny, że można było go uznać za czarny. Ewentualnie granatowy. Dexter zakładał, że czarny.

Przyglądając się flagom państwowym odpowiadającym owemu kryterium, zauważył, że dobra połowa z nich nosi jakieś logo, herb albo godło naniesione na środkowy pas. Ta, której szukał, nie miała niczego takiego. To zawężyło poszukiwania do drugiej połowy.

Flag z trzema poziomymi pasami i bez logo było nie więcej niż dwa tuziny, a tych z czarnym albo bardzo ciemnym dolnym pasem tylko pięć.

Gabon, Holandia i Sierra Leone miały flagi z trzema poziomymi pasami, przy czym dolny był ciemnoniebieski i na monochromatycznym zdjęciu wyglądałby jak czarny. Flagę z jednym z trzech pasów zdecydowanie czarnym miały tylko dwa państwa: Sudan i jeszcze jedno. Lecz na fładze Sudanu prócz trzech poziomych pasów widniał od strony masztu zielony trójkąt, na tej drugiej zaś, też od strony masztu, pionowy pas. Dexter jeszcze raz

obejrzał zdjęcie przez lupę i dopiero teraz dostrzegł czwarty pas; ledwie się zaznaczał na szarpanej wiatrem fladze, ale tak, bez wątplenia tam był.

Jeden pionowy czerwony pas od strony masztu i odbiegające od niego trzy pasy poziome – zielony, biały i czarny. Żilić stał na jakimś lotnisku w Federacji Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Na arabskiej ziemi jasnoskóry Słowianin nawet w grudniu mógł sobie poparzyć na słońcu nos.

Rozdział 18

Zatoka

W skład Federacji wchodzi siedem emiratów, ale kiedy pada pełna nazwa państwa, na myśl przychodzi nam zazwyczaj tylko trzy największe i najbogatsze z nich – Dubaj, Abu Zabi i Szardża. Pozostałe cztery są o wiele mniejsze i mało kto potrafi wymienić ich nazwy.

Leżą wszystkie w południowo-wschodniej części Półwyspu Arabskiego, na pasie pustyni, który ciągnie się wzdłuż wybrzeży Zatoki Perskiej i sięga aż do Zatoki Omańskiej. Tylko jeden, Al-Fudżajra, wysunięty najbardziej na wschód, graniczy z Zatoką Omańską i stanowi tym samym okno na Morze Arabskie; pozostałe leżą nad Zatoką Perską, naprzeciwko Iranu. Oprócz siedmiu stolic w Zjednoczonych Emiratach jest jeszcze miasto Al-Ajn, wzniesione w pustynnej oazie, gdzie również znajduje się lotnisko.

W Belgradzie Dexter znalazł zakład fotograficzny dysponujący sprzętem umożliwiającym ponowne sfotografowanie zdjęcia Zorana Žilicia, poprawienie jego ostrości i powiększenie do formatu pocztówkowego.

Zleciwszy to zadanie fotografowi, Dexter wrócił do kafejki internetowej, wrzucił zapytanie o Zjednoczone Emiraty Arabskie i zapisał na dyskietce wyniki wyszukiwania. Następnego dnia poleciał liniami JAT przez Bejrut do Dubaju.

Bogate Zjednoczone Emiraty czerpią zyski głównie z eksploatacji złóż ropy naftowej, choć nie gardzą też dochodami z turystyki i handlu wolnocłowego. Większość złóż ropy zalega pod dnem Zatoki Perskiej.

Platformy wiertnicze wymagają stałego zaopatrywania i chociaż cięższe ładunki transportowane są statkami, to ludzi łatwiej i szybciej przerzucić tam i z powrotem drogą powietrzną.

Kompanie naftowe, do których należą platformy, mają, co prawda, własne śmigłowce, ale w tym obszarze jest jeszcze mnóstwo miejsca dla prywatnych firm czarterowych. Dexter znalazł za pośrednictwem Internetu trzy takie z siedzibą w Dubaju. Na początek wybrał najmniejszą, wychodząc z założenia, że przykłada się tam mniejszą wagę do formalistycznego

traktowania przepisów, za to większą do żywej gotówki. I nie pomylił się.

Biuro mieściło się w baraku na przedmieściach Port Rashid, a właściciel i pierwszy pilot okazał się przeniesionym w stan spoczynku lotnikiem sił powietrznych Wielkiej Brytanii, dorabiającym tu sobie do skromnej emerytury. I do powyższego ograniczyła się w zasadzie wzajemna prezentacja.

– Alfred Barnes, adwokat – przedstawił się Dexter, wyciągając rękę. – Mam problem, mało czasu i spory budżet.

Były kapitan brytyjskiego lotnictwa uniósł pytająco brew.

– Mój klient jest, a raczej był, bardzo zamożnym człowiekiem.

– Znaczący, już nie jest? – spytał pilot.

– W pewnym sensie. Zmarł. Moja kancelaria jest głównym wykonawcą testamentu. A ten człowiek – tu Dexter położył na poprzypalanym papierosami blacie biurka fotografię – jest głównym spadkobiercą. Tylko o tym nie wie, a my nie potrafimy ustalić miejsca jego pobytu.

– Jestem pilotem czarterowym, a nie poszukiwaczem zaginionych osób. Zresztą nigdy gościa nie widziałem.

– Nie oczekiwałem, że go pan rozpozna. Mnie chodzi o tło na tym zdjęciu. Proszę mu się uważnie przyjrzeć. To jakieś lotnisko, prawda? On podobno pracował ostatnio w lotnictwie cywilnym w Emiratach. Gdyby udało mi się ustalić, co to za lotnisko, miałbym ułatwione zadanie. Co pan o tym myśli?

Pilot studiował jakiś czas tło fotografii.

– Tutejsze lotniska podzielone są na trzy strefy: wojskową, cywilną i prywatną. To skrzydło, którego koniec tu wystaje, należy do średniej wielkości maszyny dyspozycyjnej. Nad Zatoką Perską są takich dziesiątki, jeśli nie setki. Większość lata w barwach firmowych i należy do bogatych Arabów. O co się panu konkretnie rozchodzi?

Dexterowi rozchodziło się konkretnie o to, żeby kapitan zabrał go swoim helikopterem na wycieczkę po wszystkich tutejszych lotniskach. Trochę to kosztowało i zajęło dwa dni. Pretekstem było za każdym razem odebranie klienta. Kiedy po sześćdziesięciu minutach postoju na prywatnej sekcji danego lotniska fikcyjny klient się nie pojawiał, kapitan zgłaszał wieży kontrolnej, że zrywa czarter i odlatuje.

Porty lotnicze w Abu Zabi, Dubaju i Szardży są ogromne i nawet ich wydzielone prywatne sekcje były bez porównania większe od tego, co przedstawiało tło z fotografii.

Emiraty Adżman i Umm al-Kajwajn nie mają w ogóle lotnisk i korzystają z usług portu lotniczego Szardży, z którą graniczą. Pozostawały więc pustynne miasto Al-Ajn, emirat Al-Fudżajra – ten na wschodzie, nad Zatoką Omańską – oraz najmniej znany emirat Ras al-Chajma na północy.

Polecieli do tego ostatniego rankiem drugiego dnia. Bell jetranger zatoczył koło nad pustynią i wylądował na lotnisku Al K, jak nazwał je Brytyjczyk. Jeszcze z powietrza rozpoznali hangary i maszt z powiewającą flagą.

Dexter zapłacił za dwie pełne doby czarteru garścią studolarowych banknotów, uścisnął pilotowi dłoń, wysiadł i odprowadził wzrokiem odlatującego bella. Potem rozejrzał się i skonstatował, że stoi chyba w tym samym miejscu, co kilka miesięcy temu Sreczko Petrović, pstrykając zdjęcie, które przypieczętowało jego los. Z budynku administracyjnego wyszedł tymczasem urzędnik i dawał mu znaki, że ma się usunąć z płyty lotniska.

Budynek terminalu, mieszczący hale odlotów i przylotów dla pasażerów zarówno regularnych linii lotniczych, jak i maszyn prywatnych, był zgrabny, schludny i mały, przede wszystkim mały. Nic nie wskazywało na to, żeby Międzynarodowy Port Lotniczy Al-Quassimi, wywodzący swą nazwę od nazwiska emirskiej rodziny, gościł kiedykolwiek maszynę któregoś z bardziej znanych międzynarodowych przewoźników.

Przed terminalem stały rosyjskiej konstrukcji jakowlewy i tupolewy oraz stary dwupłatowy antonow. Jeden z rejsowych samolotów pasażerskich nosił barwy i logo tadżykistańskich linii lotniczych. Dexter wspiął się po schodach na piętro, skręcił do znajdującej się tam kawiarni, zajął stolik na tarasie i zamówił kawę.

Na tym samym piętrze mieściły się biura administracji, między innymi powołany chyba trochę na wyrost dział public relations. Jediną urzędującą tam osobą była stremowana młoda kobieta, okutana od stóp do głów w czarny czador, spod którego widać było tylko dłonie i bladą, owalną twarz. Znała od biedy angielski.

Alfred Barnes podał się tym razem za pracownika wydziału do spraw promocji turystyki przy dużej amerykańskiej firmie i spytał, co Ras al-Chajma ma do zaoferowania kadrze kierowniczej, poszukującej jakiegoś egzotycznego centrum konferencyjnego; szczególnie interesowały go warunki obsługi naziemnej samolotów, którymi rzeczona kadra by tu przylatywała.

Kobieta była uprzejma, ale nieugięta. Wszystkie zapytania dotyczące turystyki należy kierować do wydziału turystyki przy Centrum Informacji, mającym swą siedzibę tuż obok Starego Miasta.

Pojechał tam taksówką. Był to mały murowany budynek sąsiadujący z nowym portem głębokowodnym i oddalony o pięćset kroków od hotelu Hilton. Promotorzy i turystyki jakoś go nie oblegali.

Pan Husajn al-Khoury, gdyby go zapytano, za jakiego człowieka się uważa, odparłby bez wahania, że za prawego, ale niezbyt zadowolonego z życia. Na poparcie pierwszego członu swojej samooceny przytoczyłby fakt, że ma tylko jedną żonę i dobrze ją traktuje, dodałby też, że, jak na dobrego ojca przystało, stara się jak najlepiej wychować czwórkę potomstwa, a co piątek chodzi do meczetu i zgodnie z nakazem świętej księgi oraz na miarę swoich możliwości uiszcza datki na cele dobroczynne.

Powinien był daleko zajść w życiu, *inszallah*. Wyglądało jednak na to, że Allah, nie wiedzieć czemu, nie jest dlań łaskaw. Od dłuższego czasu był urzędnikiem średniego szczebla w wydziale turystyki przy Centrum Informacji i na awans wciąż się nie zanosilo; na domiar

złego, wypadło i nu sprawować ten urząd w małym, murowanym, sąsiadującym z portem morskim budyńeczku, do którego pies z kulawą nogą nie zajrzał. Aż tu nagle niespodzianka! Do gabinetu wkracza uśmiechnięty od ucha do ucha Amerykanin.

Pan al-Khoury był wniebowzięty. Wreszcie jakiś petent, no i okazja do podszlifowania angielskiego, na którego naukę poświęcił setki godzin. Po paru minutach wymiany wzajemnych uprzejmości – obyty był ten Amerykanin, wiedział, że Arab nie lubi przechodzić od razu do rzeczy – ustalili zgodnie, że klimatyzacja nie działa najlepiej, a temperatura na zewnątrz sięga czterdziestu stopni, więc pojedą czekającą na Amerykanina taksówką do kawiarni w pobliskim Hiltonie.

Rozsiadłszy się wygodnie w rozkoszonym chłodku hiltonowego barku, pan al-Khoury czekał cierpliwie, aż Amerykanin przejdzie wreszcie do sedna sprawy. Jego cierpliwość szybko się jednak wyczerpała i zagał pierwszy:

– A więc, w czym mogę panu pomóc?

– Widzisz, przyjacielu – odparł z namaszczeniem Amerykanin – cała moja filozofia życiowa wywodzi się z przekonania, że wszechmogący i miłosierny stwórca zesłał nas na ten ziemski padół, byśmy sobie, jeden drugiemu, pomagali. I wydaje mi się, że w tym wypadku to ja przybyłem tutaj, żeby pomóc tobie.

Amerykanin niemal machinalnie zaczął szukać czegoś po kieszeniach marynarki. Z jednej wyciągnął paszport, z innej kilka złożonych we czworo kopert, a na koniec, z jeszcze innej, plik studolarowych banknotów, na widok którego panu al-Khoury'emu zaparło dech w piersiach.

– Przekonajmy się, czy potrafimy sobie nawzajem pomóc.

Urzędnik państwowy spozierał pożądliwie na dolary.

– Jeśli mogę coś dla pana zrobić... – zaczął zduszonym głosem.

– Będę z panem szczery, panie al-Khoury. Tak naprawdę trudnię się windykacją długów. Nie jest to zajęcie lekkie, łatwe ani przyjemne, ale ktoś musi to robić. Jeśli coś się kupuje, trzeba za to zapłacić. Nieprawdaż?

– Bezapelacyjnie.

– Otóż od czasu do czasu na waszym lotnisku pojawia się pewien człowiek. Przylatuje własnym samolotem. Ten człowiek.

Pan al-Khoury przyglądał się przez kilka sekund zdjęciu, potem pokręcił głową. Przeniósł wzrok z powrotem na plik dolarów. Cztery tysiące? Pięć? Byłoby na studia dla Fajsala...

– Tak się składa, że ten człowiek nie zapłacił za samolot, którym teraz lata – podjął Amerykanin. – Można śmiało powiedzieć, że go ukradł. Wniósł kaucję, po czym odleciał, i tyle go widziano. Należy przypuszczać, że zmienił numer rejestracyjny. To drogie zabawki. Dwadzieścia milionów dolarów sztuka. I prawowici właściciele okazaliby w namacalny sposób swoją wdzięczność każdemu, kto pomógłby im ten samolot odzyskać.

– Ale jeśli ten człowiek jest tutaj teraz, to kaźcie go aresztować. Zarekwirujcie samolot.

Nasze prawo...

– Niestety, już odleciał. Ilekroć jednak ląduje tu jakiś samolot, jest to odnotowywane w rejestrze przylotów i odlotów, przechowywanym w archiwach lotniska Ras al-Chajmy. Pan zaś, jako osoba urzędowa, ma prawo poprosić o wgląd w te archiwa.

Urzędnik państwowy osuszył wargi chusteczką.

– Kiedy ostatnio był tutaj ten samolot?

– W grudniu.

Z informacji uzyskanych od pani Petrović wynikało, że jej syn wyjechał z Belgradu trzynastego, a wrócił dwudziestego grudnia. Jeśli założyć, że Sreczko, robiąc zdjęcie, zorientował się, że został zauważony, i natychmiast wrócił do kraju, to w Ras al-Chajmie byłby około osiemnastego grudnia. Skąd wiedział, że przydybie tu Żilicia, Dexter nie miał pojęcia. Musiał być bardzo dobrym albo bardzo fartownym dziennikarzem. Kobać powinien był go zatrudnić.

– Na to lotnisko przylatuje wiele prywatnych samolotów – zauważył pan al-Khoury.

– Mnie interesują tylko numery rejestracyjne i typy wszystkich samolotów prywatnych i firmowych, zwłaszcza z Europy, tych, które lądowały tutaj między piętnastym a dziewiętnastym grudnia ubiegłego roku. Ile ich mogło być w ciągu tych czterech dni? Dziesięć?

Modlił się w duchu, żeby Arab nie zapytał, jak to możliwe, że nie zna typu skradzionego samolotu, skoro reprezentuje jego właścicieli. Zaczął odliczać studolarowe banknoty.

– To na dowód moich dobrych intencji. I zaufania, jakie do ciebie mam, przyjacielu. Pozostałe cztery tysiące potem.

Arab wciąż wyglądał na niezdecydowanego, rozdartego między żądzą zarobienia takiej okrągłej sumki a obawą przed wpadką i zwolnieniem z pracy. Amerykanin kuł żelazo póki gorące.

– Do głowy by mi nawet nie przyszło prosić cię o tę przysługę, gdyby miało to być ze szkodą dla twojego kraju. Ale ten człowiek jest złodziejem. Odebranie mu tego, co do niego nie należy, to wręcz dobry uczynek. Czyż Koran nie nawołuje do wymierzania sprawiedliwości przestępcom?

Pan al-Khoury położył dłoń na kupce dziesięciu studolarówek.

– Zamelduję się tutaj – powiedział Dexter. – Kiedy załatwisz sprawę, pytaj o Barnesę.

Dwa dni potem, rano, zadzwonił telefon. Pan Khoury bardzo się przejął powierzoną mu rolą tajnego agenta. Przede wszystkim telefonował z aparatu publicznego.

– Mówi przyjaciel – zaszemrał w słuchawce niższym konspiracyjnie głosem.

– Witaj, przyjacielu, chcesz się ze mną spotkać? – spytał Pexter.

– Tak. Mam to.

– Tutaj czy w biurze?

– Ani tu, ani tam. Za dużo ludzi. Al Hamra Fort. Pora lunchu.

Pan al-Khoury nie mógł wybrać bardziej trefnego sposobu prowadzenia rozmowy. Gdyby ktoś ją podsłuchiwał, od razu nabrałby podejrzeń, ale Dexter nie przypuszczał, by tajne służby Ras al-Chajmy miały ich na celowniku.

Wymeldował się i zamówił taksówkę. Z miasta do hotelu Al Hamra Fort było ponad piętnaście kilometrów drogi, na szczęście we właściwym kierunku, w stronę granicy z Dubajem. Sam hotel był luksusową adaptacją wznoszącej się nad zatoką starej, najeżonej wieżyczkami arabskiej fortecy na pięciogwiazdkowy kurort.

Dexter dotarł tam w samo południe. Do pory lunchu pozostało jeszcze sporo czasu, znalazł więc wolny klubowy fotel w przestronnym holu, usiadł, zamówił piwo i sącząc je, obserwował łukowe wejście. Pan al-Khoury pojawił się w nim parę minut po pierwszej, zgrzany i zlany potem po stumetrowym spacerze od pozostawionego na parkingu samochodu. Z pięciu działających w hotelu restauracji wybrali libańską z zimnym bufetem.

– Były jakieś problemy? – spytał Dexter, kiedy szli z talerzykami wzdłuż drewnianych stołów na kobyłkach, uginających się pod ciężarem specjałów kuchni libańskiej.

– Nie – odparł urzędnik państwowy. – Powiedziałem, że mój wydział chce nawiązać kontakt ze wszystkimi, którzy odwiedzili ostatnio nasz emirat, i wysłać im broszurę reklamującą nowe i wyjątkowe możliwości spędzania wolnego czasu, oferowane teraz przez Ras al-Chajmę.

– Genialne – zachwyił się Dexter. – Nikt nie robił trudności?

– Wprost przeciwnie, urzędnicy z kontroli ruchu lotniczego udostępnili mi plany lotów z grudnia, i to wszystkie, chociaż prosiłem tylko o te z ostatnich dwóch tygodni.

– Zaznaczyłeś, że chodzi ci głównie o samoloty z Europy?

– Tak, ale, nie licząc maszyn należących do znanych koncernów naftowych, było takich zaledwie cztery czy pięć. Usiądźmy.

Zajęli stolik w kącie i zamówili dwa piwa. Podobnie jak wielu idących z duchem czasu Arabów, pan al-Khoury nie miał żadnych zahamowań, jeśli chodzi o napoje z zawartością alkoholu.

Nie krył też, że gustuje w kuchni libańskiej. Nałożył sobie na talerz *mezzah*, *houmous*, *moutabel*, lekko podwędzany ser *halloumi*, *sambousek*, *kibbeh* i faszerowane liście winorośli. Wręczył Dexterowi kartkę i przystąpił do konsumpcji.

Dexter przebiegł wzrokiem wykaz lotów odbytych w grudniu, z podanymi godzinami lądowań oraz odlotów. Zakreślił czerwonym flamastrem te, które dotyczyły okresu od piętnastego do dziewiętnastego grudnia. Było ich dziewięć.

Dwie maszyny grumman 3 i jedna grumman 4, należące do znanych amerykańskich firm naftowych. Francuski *dassault mystere* i *falcon* stanowiły własność firmy Elf. Pozostawały cztery.

Mniejszy *lear* należał do saudyjskiego księcia, większa *cessna citation* do multimilionera z Bahrajnu. Co do ostatnich dwóch, to izraelskiej konstrukcji *westwind* przyleciał z Bombaju,

a hawker 1000 z Kairu, i tam wrócił. Obok westwinda ktoś zapisał coś odręcznie po arabsku.

– Co to znaczy? – spytał Dexter.

– Ach tak, ten przylatuje do nas regularnie. Należy do hinduskiego producenta filmowego. Z Bombaju. Zatrzymuje się tutaj w drodze do Londynu albo do Cannes. Na festiwale filmowe. Ci z wieży kontrolnej z daleka go rozpoznają.

– Masz zdjęcie?

Al-Khoury oddał mu pożyczoną fotografię.

– Mówią, że człowiek z tego zdjęcia przylatuje hawkerem.

Hawker 1000 miał numer rejestracyjny P4-ZEM i należał do Zeta Corporation z Bermudów.

Dexter podziękował swojemu informatorowi i wypłacił mu obiecane wyrównanie w wysokości czterech tysięcy dolarów. Było to sporo, jak za jedną kartkę papieru, ale ta kartka, zdaniem Dextera, zawierała chyba punkt zaczepienia, którego szukał.

Obiło mu się o uszy, że człowiek zmieniający całkowicie swoją tożsamość nie potrafi się czasem oprzeć pokusie zachowania jakiegoś drobnego szczegółu ze swojej przeszłości.

A tak się składało, że ZEM to trzy pierwsze litery nazwy belgradzkiej dzielnicy Zemun, gdzie urodził się i dorastał Žilić. I tak się składało, że zeta to po grecku i hiszpańsku litera Z.

Žilić z pewnością zadbał o to, żeby swoją osobę i służące mu za przykrywkę firmy, nie wspominając już o samolocie, jeśli hawker rzeczywiście do niego należał, ukryć pod kilkoma warstwami ochronnymi.

Dotyczące go dane gdzieś tam istniały, ale bez wątpienia przechowywane były w bazach danych tak zabezpieczonych, że o dostępie do nich szary poszukiwacz informacji mógł sobie tylko pomarzyć. Dexter potrafił posługiwać się komputerem jak każdy przeciętny człowiek, lecz to za mało, by porywać się na włamanie do profesjonalnie zabezpieczonej bazy danych. Znał jednak kogoś, kto mógłby się tego podjąć.

Rozdział 19

Konfrontacja

W kwestiach takich jak pojmowanie dobra i zła, prawości i nieprawości zastępca dyrektora FBI Colin Fleming był fundamentalistą. Zasadę „Bez pobłażania” miał we krwi, zakodowaną w genach przeplacowanych na amerykański grunt przed stu laty zza Atlantyku, z brukowanych kocimi łbami uliczek Portadown. A dwieście lat wcześniej do Ulsteru przenieśli z zachodniego wybrzeża Szkocji swój prezbiteriański kodeks jego przodkowie.

Jeśli chodzi o zło, to tolerowanie go pod każdą postacią było dlań równoznaczne z obojętnością; obojętność równoznaczna z cichym przyzwoleniem, a ciche przyzwolenie z przyznaniem się do porażki. To ostatnie zaś nie leżało w jego naturze.

Kiedy czytając streszczenie raportu Tropicielea i zeznanie Serba, doszedł do szczegółów śmierci Ricky’ego Colensa, zdanie miał już wyrobione. Należy zrobić wszystko, by odpowiedzialny za tę zbrodnię człowiek stanął przed sądem największego państwa świata, państwa, którego on, Colin Fleming, jest obywatelem.

Z puszczonego w obieg raportem oraz zapytaniem wystosowanym wspólnie przez sekretarza stanu Powella i prokuratora generalnego Ashcrofta zapoznało się już wiele osób z rozmaitych agencji rządowych, ale ze wszystkich tych osób chyba on najbardziej przejął się tym, że wydział, na którego czele stoi, nie wie nic o Zoranie Żiliciu i nie może w niczym pomóc.

W akcie desperacji rozesłał zdjęcie serbskiego gangstera do „legatów” rozsianych po trzydziestu ośmiu krajach świata.

Zdjęcie było o wiele lepszej jakości niż te, które dało się wyszperać w archiwach prasowych, chociaż nie tak aktualne jak fotografia przekazana przez lokatorkę bloku 23 Mścicielowi. Zostało zrobione przez teleobiektyw w Belgradzie, na zlecenie szefa tamtejszej komórki CIA pięć lat wcześniej, gdy efemeryczny Żilić trząsał jeszcze dworem Miloszevicia.

Fotograf uchwycił Żilicia, kiedy ten, wysiadając z samochodu i prostując się, spojrzał w niewidoczny dlań, bo odległy o czterysta metrów obiektyw. „Legat” przy belgradzkiej

ambasadzie Stanów Zjednoczonych wyděbił odbitkę od kolegi z CIA, a więc obie agencje miały teraz to samo zdjęcie.

W zasadzie CIA operuje poza granicami Stanów Zjednoczonych, FBI zaś w ich obrębie. Ale tocząca się obecnie wojna z międzynarodowym szpiegostwem, terroryzmem i zorganizowaną przestępczością rozmyła ów wyraźny do tej pory podział ról. Biuro, nie mając innego wyboru, nawiązało współpracę z pokrewnymi służbami innych krajów, zwłaszcza zaprzyjaźnionych, w wyniku czego ma teraz poza granicami swoich attaché prawnych.

Mogłoby się wydawać, że taki attaché prawny to ktoś w rodzaju dyplomaty podlegającego Departamentowi Stanu. Błąd. „Legaci” przy ambasadach Stanów Zjednoczonych są przedstawicielami FBI. Każdy z nich otrzymał od zastępcy dyrektora fotografię Żilicia z poleceniem pokazywania jej komu popadnie – a nóż-widelec zdarzy się szczęśliwy traf. Ten szczęśliwy traf zmaterializował się niespodziewanie w osobie inspektora bin Zayeeda.

Inspektor Moussa bin Zayeed, gdyby go zapytano, za jakiego człowieka się uważa, również odparłby bez wahania, że za prawego. Służył lojalnie swojemu emirowi, szejkowi Dubaju Maktoumowi, nie brał bakszyszów, był człowiekiem wierzącym i płacił podatki. Jeśli od czasu do czasu dorobił sobie na boku, przekazując użyteczne informacje koledze z ambasady amerykańskiej, to przecież była to tylko współpraca z reprezentantem zaprzyjaźnionego kraju, i nic więcej.

I tak pewnego lipcowego dnia, kiedy temperatura na zewnątrz przekraczała czterdzieści stopni, inspektor bin Zayeed czekał w chłodzie klimatyzowanego holu ambasady na przyjaciela, który miał mu postawić lunch. Błądząc z braku lepszego zajęcia wzrokiem po suficie i ścianach, rzucił w pewnym momencie okiem na tablicę ogłoszeń.

Wstał i podszedł bliżej. Tablica obwieszona była, a jakże, zapowiedziami zbliżających się wydarzeń, informacjami o spotkaniach, przyjazdach i wyjazdach oraz zachętami do wstępowania do rozmaitych klubów. W tym galimatiasie kartek i karteluszków ginęła niemal fotografia z wydrukowanym u spodu zapytaniem: „Czy widziałeś tego człowieka?”.

– No i co? Widziałeś? – spytał ktoś wesoło, kładąc dłoń na ramieniu inspektora bin Zayeeda. Był to Bill Brunton, jego kontakt, fundator lunchu i attaché prawny w jednej osobie. Przywitali się kordialnie.

– A widziałem – odparł oficer służb specjalnych. – Dwa tygodnie temu.

Brunton w jednej chwili spowaźniał. Restauracja rybna w Jumeirah nie zając, nie ucieknie.

– Chodźmy do mnie – zaproponował.

Wstąpili na schody.

– Pamiętasz gdzie i kiedy? – spytał, kiedy znaleźli się w jego gabinecie.

– A jakże. Jakieś dwa tygodnie temu. Odwiedzałem krewnego w Ras al-Chajmie. Jechałem Fajsal Road; wiesz, tą podmiejską nadbrzeżną szosą, która łączy Stare Miasto z

zatoką.

Brunton kiwnął głową.

– Jakaś ciężarówka wjeżdżała tyłem na plac budowy i nie mogła się wpaś w wąską bramę. Musiałem się zatrzymać i poczekać. Po lewej ręce miałem taras kawiarni. Siedziało tam przy stoliku trzech mężczyzn. Jednym z nich był ten tutaj.

Wskazał ruchem głowy fotografię leżącą na biurku.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. To był on.

– I mówisz, że siedziało z nim jeszcze dwóch gości?

– Tak.

– Znasz ich?

– Jednego tylko z widzenia. Drugi nazywa się Bout.

Bill Brunton gwizdnął przez zaciśnięte zęby. Władimir Bout był osobą znaną szeroko w kręgach służb wywiadowczych zarówno Zachodu, jak i dawnego Bloku Wschodniego. Ten major nieistniejącego już KGB cieszył się teraz wątpliwą sławą jednego z największych tuzów czarnorynkowego obrotu bronią, handlarza śmiercią pierwszej wody. Był półkrwi Tadżykiem i urodził się w Duszanbe. Fakt ten świadczył najdobitniej o jego obrotności. Rosjanie są chyba jednymi z największych rasistów świata i w dawnym ZSRR wszystkich mieszkańców nierosyjskich republik nazywali *cziornymi*; nie był to bynajmniej komplement. Jedynie Białorusinów i Ukraińców nie piętnowano tym pogardliwym określeniem i traktowano na równi z rdzennymi Rosjanami. To niezwykle, że ktoś, kto ma w żyłach tadżycką krew, zdołał ukończyć prestiżowy Wojskowy Instytut Języków Obcych w Moskwie i awansować do rangi majora.

Bouta przydzielono do pułku logistyki i transportu lotniczego sowieckich sił powietrznych, jeszcze jednej przykrywki procederu zaopatrywania w broń lewackich partyzantek oraz nienawidzących Zachodu reżimów Trzeciego Świata. Służąc w tej jednostce, miał okazję doszlifować do perfekcji swój portugalski podczas wojny domowej w Angoli. Zdążył też nawiązać mnóstwo kontaktów w sowieckim lotnictwie wojskowym.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym doszło do rozpadu Związku Radzieckiego i na kilka lat zapanował chaos. Nikt nie prowadził już kontroli nad magazynami wojskowymi. Przechowywany w nich sprzęt i wyposażenie dowódcy jednostek wyprzedawali za bezcen. Bout po prostu odkupił od swojej jednostki za psie pieniądze szesnaście iljuszynów 76, wrócił na południe, do rodzinnego Tadżykistanu, i rozkręcił tam firmę czarterowo-przewozową.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim wybuchła wojna domowa w graniczącym z Tadżykistanem Afganistanie, a jednym z przywódców rebelii był ziomek Bouta, Tadżyk, generał Dostum. Barbarzyńskiemu Dostumowi na gwałt potrzebna była broń; Bout mu ją dostarczył.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku Bout pojawił się w Ostendzie. Przygotowywał grunt do skoku na Afrykę – pierwszym etapem miało być Kongo, dawna belgijska kolonia rozdzielana nieustannymi wojnami. Źródłem zaopatrzenia były niewyczerpane, nieprzebrane arsenały dawnego ZSRR, rozliczające się na podstawie fikcyjnych ksiąg przychodów i rozchodów. Wśród nowych klientów znalazła się Interahamwe, krwawa organizacja ludobójców z Rwandy i Burundi.

Tego było już za wiele nawet dla wyrozumiałych Belgów i w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym Bout, wyproszony z Ostendy, pojawił się w Republice Południowej Afryki, skąd zaczął zaopatrywać w broń zarówno angolskich partyzantów z UNITA*, jak również ich wrogów z rządzącej marksistowskiej partii MPLA*. Kiedy jednak prezydentem RPA został Nelson Mandela, grunt zaczął mu się palić pod nogami i czym prędzej się stamtąd wyniósł.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym wypłynął w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i osiadł w Szardży. Wyproszono go stamtąd, kiedy Brytyjczycy i Amerykanie pokazali jego dossier emirowi. Było to trzy tygodnie przed wizytą inspektora bin Zayedda w gabinecie Billa Bruntona.

Bout przeniósł się do odległego jedynie o szesnaście kilometrów Adżmanu i wynajął tam lokal w budynku Izby Handlowo-Przemysłowej. Adżman liczy zaledwie czterdzieści tysięcy mieszkańców, nie ma ropy ani rozwiniętego przemysłu, przez co nie rzuca się tak w oczy jak Szardża.

Informacja, że Żilić spotkał się z Boutem, była dla Billa Bruntona wielką gratką. Nie wiedział, z jakiego powodu jego przełożony Colin Fleming interesuje się Serbem, ale coś mu mówiło, że składając raport o tym spotkaniu, zyska przypuszczalnie parę cennych punktów w Budynku Hoovera.

– A ten trzeci? – spytał. – Powiedziałeś, że znasz go z widzenia. Pamiętasz, skąd?

– Pewnie, że pamiętam. Stąd. To twój kolega.

Jeśli Bill Brunton myślał jeszcze przed chwilą, że to koniec rewelacji na ten dzień, to teraz okazywało się, że był w błędzie. Ścisnęło go w dołku. Nie dał jednak nic po sobie poznać i z kamienną twarzą wyciągnął z dolnej szuflady biurka teczkę. Było to kompendium personelu ambasady. Inspektor bin Zayed bez wahania pokazał palcem zdjęcie attaché kulturalnego.

– Ten – orzekł. – To ten trzeci od stolika. Znasz go?

Brunton znał faceta bardzo dobrze. Chociaż wymiana kulturalna nie była tu specjalnie ożywiona, attaché kulturalny bynajmniej nie próżnował. A to dlatego, że pod przykrywką sprawowania tej niewinnej funkcji szefował tutejszej komórce CIA.

* Uniao Nacional para a Independencia Total de Angola - Związek Narodowy na rzecz Pełnej Niepodległości Angoli.

* Movimento Popular de Liberacao de Angola - Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli.

* * *

Raport z Dubaju wzburzył Colina Fleminga do głębi. Nie, nie z tego powodu, że agencja wywiadowcza z Langley konferuje z człowiekiem pokroju Władimira Bouta. Procedura pozyskiwania informacji usprawiedliwia takie kontakty. Rozwścieczył go fakt, że ktoś wysoko postawiony w CIA najwyraźniej okłamał jego przełożonego, prokuratora generalnego oraz sekretarza stanu Colina Powella. Złamano tu mnóstwo zasad i Fleming domyślał się, kto za tym stoi. Zadzwoił do Langley i zażądał bezzwłocznego spotkania w cztery oczy.

Miał już z tym człowiekiem na pieńku. Starli się niedawno w obecności pani Condoleezy Rice, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Zresztą nigdy specjalnie za sobą nie przepadali. Przeciwieństwa czasami się przyciągają. Lecz nie w tym wypadku.

Paul Devereaux III wywodził się ze starego arystokratycznego rodu z Massachusetts i był intelektualistą w każdym calu. Już w wieku przedszkolnym odznaczał się nieprzeciętną inteligencją, nic więc dziwnego, że z wyróżnieniem ukończył słynną Boston College High School, główną wylęgarnię narybku dla wiodących jezuickich wyższych uczelni w Ameryce.

Nauczyciele z Boston College dostrzegli w nim człowieka niezwykle ambitnego, który powinien powiększyć w przyszłości szeregi samego Towarzystwa Jezusowego, a może nawet objąć eksponowane stanowisko w strukturach akademii.

Studiował nauki humanistyczne, ze szczególnym uwzględnieniem filozofii i teologii, a studentem był nad wyraz pilnym. Zaczytywał się w dziełach klasyków od Ignacego Loyoli*, rzecz jasna, począwszy, a na Tailhardzie de Chardin* skończywszy. Potrafił do późnej nocy prowadzić ze swoim wykładowcą teologii zażarte dysputy dotyczące doktryny mniejszego zła i wyższego celu oraz wypływającego z niej wniosku, że cel może uświęcać środki, a duszy stosującego tę zasadę nie grozi wieczne potępienie, byle tylko nie zostały przekroczone dozwolone granice.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym miał dziewiętnaście lat. Było to apogeum zimnej wojny. Istniała realna groźba, że komunizm rozleje się na kraje Trzeciego Świata i Zachód pozostanie samotną wyspą w oceanie utopii. To wtedy papież Paweł VI zwrócił się do jezuitów z prośbą o stawienie czoła wojującemu ateizmowi.

Dla Paula Devereaux ateizm i komunizm były pojęciami synonimicznymi, może z tym zastrzeżeniem, że ateizm nie zawsze pokrywa się z komunizmem, ale komunizm z ateizmem zawsze. Po głębokim namyśle podjął życiową decyzję. Postanowił, że będzie służył swemu krajowi nie w kościele ani na wyższej uczelni, lecz w instytucji, o której napomknął dyskretnie pewien pykający z fajki mężczyzna, przedstawiony mu w ekskluzywnym klubie przez przyjaciela ojca.

Dwa tygodnie po odebraniu dyplomu ukończenia Boston College Paul Devereaux został zaprzysiężony na pracownika CIA. Był to dla niego poetycko piękny, napawający

* Założyciel zakonu jezuitów.

* Jezuita francuski (1881-1955); próbował pogodzić naukę z chrześcijaństwem.

optymizmem poranek. Wielkie skandale miały dopiero nadejść.

Ze swoimi patrycjuszowskimi korzeniami i kontaktami szybko piął się po szczeblach kariery, pacyfikując zawiść, jaką wzbudzało to w otoczeniu, kombinacją uroku osobistego i wrodzonej przebiegłości. Dowiódł też, że potrafi być lojalny, a to najbardziej wówczas w agencji ceniono. Lojalnemu pracownikowi wiele wybaczano, czasami aż za wiele.

Doświadczenie zdobywał w trzech najważniejszych wydziałach: operacyjnym (ops), wywiadu (analiz) oraz kontrwywiadu (bezpieczeństwa wewnętrznego). Jego marsz w górę uległ nagłemu wyhamowaniu, kiedy stanowisko dyrektora CIA objął John Deutch.

Ci dwaj ludzie zwyczajnie się nie lubili. Bywa. Deutch, niemający żadnego doświadczenia w pozyskiwaniu informacji wywiadowczych, był ostatnim z długiej procesji politycznych mianowańców, którzy fatalnie zapisali się w historii agencji. Podejrzał, że władający płynnie siedmioma językami Devereaux po cichu patrzy na niego z góry, i chyba się nie mylił.

Devereaux widział w nowym dyrektorze niekompetentnego gamonia, mianowanego w imię zasady politycznej poprawności przez arkansaskiego prezydenta, którym, choć należał do tej samej Partii Demokratycznej, pogardzał, i to leszcze przed wybuchem rozporkowych afer z Paulą Jones i Moniką Levinsky.

Krótko mówiąc, nie było to dobrane małżeństwo i mało brakowało, a skończyłoby się rozwodem, kiedy Devereaux stanął w obronie szefa wydziału na Afrykę Południową, któremu zarzucano rekrutowanie informatorów o podejrzanym proweniencji.

A było to tak:

Cała agencja, z wyjątkiem paru dinozaurów pamiętających jeszcze drugą wojnę światową, przełknęła bez zmrużenia oka rozporządzenie numer 12 333 prezydenta Forda, zakazujące stosowania „likwidacji”.

Devereaux od początku miał do tego rozporządzenia poważne zastrzeżenia, ale był wówczas za młody zarówno wiekiem, jak i stażem, by ktoś pytał go o zdanie. W jego przekonaniu na tym dalekim od doskonałości świecie, gdzie toczy się bezpardonowa wojna wywiadów, zdarzają się czasami sytuacje, w których prewencyjna „likwidacja” wroga lub zdrajcy jest w pełni uzasadniona. Innymi słowy, lepiej zlikwidować z premedytacją jednego człowieka, niż mieć potem na sumieniu kilka, jeśli nie więcej, istnień ludzkich. Był zdania, że człowiek, który tego nie rozumie i nie jest na tyle silny psychicznie, żeby w krytycznym momencie podjąć taką decyzję, nie nadaje się na dyrektora.

Później, za prezydentury Clintona, kiedy Devereaux był już weteranem CIA, rozbuchana w jego mniemaniu do granic absurdu polityczna poprawność zaowocowała instrukcją zakazującą korzystania z usług informatorów o niepewnej reputacji. Wychodziło na to, że na tajnych współpracowników nadają się już tylko mnisi i ministranci.

Kiedy więc wybuchła afera z agentem z Afryki Południowej, który informacje o czynnych terrorystach pozyskiwał od zwerbowanych do współpracy byłych terrorystów, i nad

głową nieszczęśnika zaczęły się gromadzić czarne chmury, Devereaux wysmażył i puścił w obieg zjadliwy paszkwil. Pracownicy wydziału operacyjnego, uśmiechając się ironicznie, czytali go pod biurkami, niczym nielegalny samizdat w dawnym Związku Radzieckim.

Rozsierdzony Deutsch chciał w trybie natychmiastowym pozbyć się Paula Devereaux, ale jego zastępca, George Tenet, doradził mu ostrożność, i w końcu to Deutsch odszedł, a schedę po nim objął sam Tenet.

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku wydarzyło się coś, co sprawiło, że nowy dyrektor przypomniał sobie o kontrowersyjnym, ale skutecznym intelektualistcie i przywrócił go do łask, mimo że ten nie krył swojej jak najgorszej opinii o ich wspólnym zwierzchniku. Otóż w Afryce dokonano zamachów bombowych na dwie ambasady Stanów Zjednoczonych. Dla nikogo nie było tajemnicą, że po zakończeniu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku jednej zimnej wojny rozpuściła się nowa zimna wojna z rosnącym wciąż w siłę światowym terroryzmem. Centrum Przeciwdziałania Terroryzmowi, powołane w ramach wydziału operacyjnego, okazało się jak znalazł.

Paul Devereaux nie pracował w Centrum. Był podówczas Numerem Dwa na Bliskim Wschodzie, gdzie oddelegowano go, bo znał biegle arabski i miał już w dorobku trzy udane operacje w tamtym regionie.

Po zamachach na ambasady ściągnięto go do kraju i powierzono kierowanie małą grupą zadaniową, powołaną tylko w jednym celu i podlegającą bezpośrednio samemu dyrektorowi. Zadaniu postawionemu przed grupą nadano kryptonim Operacja Sokół, przez skojarzenie z drapieżnym ptakiem, który, polując, krąży bezszelestnie na wysokościach i wyczekuje stosownego momentu do ataku, a uznawszy, że ten nadszedł, spada na ofiarę jak grom z jasnego nieba.

Na tym nowym stanowisku Devereaux miał nieograniczony dostęp do wszelkich informacji oraz mały, ale kompetentny zespół. Swoim Numerem Dwa uczynił Kevina McBride'a, może nie takiego intelektualistę, jak on sam, za to człowieka doświadczonego, energicznego i lojalnego. To McBride odebrał telefon, by po chwili zakryć dłonią mikrofon.

– Zastępca dyrektora Fleming, z biura – powiedział. – Sądząc po tonie, w nie najlepszym humorze. Mam wyjść?

Devereaux dał mu znak ręką, że może zostać.

– Witaj, Colin... Paul Devereaux z tej strony. Czym mogę służyć?

Słuchał przez chwilę, coraz bardziej ściągając brwi.

– Wiesz, takie spotkanie to chyba dobry pomysł.

Wybrali bezpieczny dom, idealny na klótnie. Sprawdzany codziennie pod kątem ewentualnego podsłuchu. Każde słowo nagrywane za wiedzą uczestników rozmowy, przekąski i napoje na zawołanie.

Fleming bez słowa podsunął Paulowi Devereaux pod nos raport Billa Bruntona. Arabista przeczytał go z kamienną twarzą.

– No więc? – spytał, skończywszy.

– Tylko mi nie mów, że mojemu człowiekowi z Dubaju coś się przywidziało – wyrzucił z siebie Fleming. – Žilić był największym handlarzem bronią w dawnej Jugosławii. Uciekł, zapadł się pod ziemię. Teraz widzą go, jak konferuje z największym w rejonie Zatoki Perskiej i w Afryce handlarzem bronią. Chyba logiczne?

– Jestem jak najdalszy od twierdzenia, że nielogiczne – zapewnił go Devereaux.

– A przy stoliku siedzi z nimi twój człowiek działający w rejonie zatoki.

– Mój? – Devereaux uniósł brew. – Chciałeś chyba powiedzieć: pracownik agencji w rejonie zatoki.

– Nie oszukujmy się, przecież praktycznie to ty miałeś do niedawna pod sobą Bliski Wschód, choć byłeś tam rzekomo Numerem Dwa. To tobie wszyscy agenci firmy, operujący w rejonie zatoki, składali wtedy raporty. I ta sytuacja nie uległa zmianie, pomimo że siedzisz teraz tutaj i kierujesz jakąś operacją specjalną. Poza tym śmiem wątpić, że Žilić był tam przed dwoma tygodniami po raz pierwszy. Podejrzewam, że kiedy pytano cię o Žilicia, znałeś dokładnie jego miejsce pobytu, a przynajmniej wiedziałeś, że pewnego dnia pojawi się nad zatoką i będzie go tam można zdjąć. Ale zataiłeś to.

– Tak sądzisz? Nawet w naszym fachu od podejrzenia do dowodu droga daleka.

– Sprawa jest poważniejsza, niż ci się wydaje, przyjacielu. Wszystko wskazuje na to, że ty i twoi agenci macie konszachty ze znanymi przestępcami, i to najbardziej odrażającego gatunku. Wbrew regułom, wbrew wszelkim regułom.

– No dobrze. Powiedzmy, że złamane zostały jakieś nieżyłociowe reguły. W naszej profesji nie ma miejsca dla mięczaków. Nawet biuro słyszało z pewnością o doktrynie mniejszego zła.

– Tylko bez protekcjonalizmu – warknął Colin Fleming.

– Postaram się – powiedział powoli bostończyk. – Widzę, że nerwy ci puszczają. Co zamierzasz?

Nie było sensu bawić się dalej w konwenanse. Rękawiczki zostały ściągnięte i rzucone.

– Ja tak tego nie zostawię – zapowiedział Fleming. – Žilić to zbrodniarz. Przeczytałeś, co zrobił z tym chłopcem z Georgetown. A ty się z nim zadajesz. Poprzez pośredników, ale mimo wszystko się zadajesz. Dobrze wiesz, do czego zdolny jest Žilić, czego już się dopuścił. Wszystko jest w aktach, które na pewno przestudiowałeś. Weźmy zeznanie, w którym stoi czarno na białym, że jeszcze jako gangster powiesił sklepikarza, który nie chciał mu się opłacać, głową w dół, piętnaście centymetrów nad piecykiem elektrycznym, i trzymał go tak, dopóki mózg mu się nie zagotował. To sadysta bez sumienia. Do czego on ci, u diabła, potrzebny?

– Jeśli nawet do czegoś mi potrzebny, to rzecz jest utajniona. Także dla zastępcy dyrektora biura.

– Wydaj mi tego bydlaka. Powiedz nam, gdzie można go dopaść.

– Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym wiedział, gdzie jest, a wcale nie twierdzę, że wiem.

Colin dygotał z wściekłości i odrazy.

– Jak możesz być tak cholernie cyniczny?! – krzyknął. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku kontrwywiad w okupowanych Niemczech też wchodził w układy z nazistami, którzy mogli pomóc w walce z komunizmem. To było wstrętne. A my, zamiast potępiać tamten proceder, uciekamy się teraz do podobnych metod.

Devereaux westchnął. Ta rozmowa zaczynała go nużyć i od dłuższego czasu była jałowa.

– Oszczędź mi lekcji historii – powiedział. – Pytam jeszcze raz, co zamierzasz w tej sprawie uczynić?

– Idę z tym, co wiem, do twojego dyrektora – odparł Fleming.

Paul Devereaux wstał. Dosyć tego.

– Pozwól, że ci coś wyznam. W grudniu* czułym się spalony. Dziś jestem zaroodporny. Czasy się zmieniają.

Po kompromitującym zamieszaniu z liczeniem głosów na Florydzie w styczniu dwutysięcznego pierwszego roku na prezydenta zaprzysiężono George'a W. Busha, którego najzagorzalszym zwolennikiem był nie kto inny, tylko dyrektor CIA George Tenet.

A grube ryby z otoczenia George'a Wątpliwego nie dopuszczają do rozłożenia Operacji Sokół tylko dlatego, że ktoś postąpił wbrew zaleceniom clintonowskiego kodeksu reguł gry. Zresztą sami nieraz się tego dopuszczali.

– To jeszcze nie koniec – krzyknął Fleming do zwróconego tyłem i wychodzącego z pokoju Paula Devereaux. – Możesz być pewien, że on zostanie odnaleziony i osądzony, bo osobiście się w to zaangażowałem.

Devereaux analizował te słowa w drodze powrotnej do Langley. Nie przetrwałby trzydziestu lat w węzowisku firmy, gdyby nie wrodzony czujnik wczesnego ostrzegania. I ten czujnik informował go teraz, że właśnie przysporzył sobie nowego wroga, i to raczej groźnego.

„Zostanie odnaleziony”. Przez kogo? W jaki sposób? I dlaczego moralista z Budynku Hoovera „osobiście się w to zaangażował”? Westchnął. Jeszcze jeden kłopot na tym pełnym napięć padole. Będzie musiał wziąć na celownik Colina Fleminga i obserwować go jak jastrząb... nie, jak sokół. Ta ostatnia myśl sprawiła, że na jego wargach pojawił się ironiczny uśmiešek, który jednak nie zagościł tam długo.

* W grudniu 2000 roku prezydentem był jeszcze Bill Clinton.

Rozdział 20

Samolot

Na widok tego domu Cal Dexter musiał przyznać, że los bywa czasami przekorny. Pięknej rezydencji w ekskluzywnym okręgu Westchester nie dorobił się weteran wojenny, obecnie prawnik, lecz chudy wypłosz z Bedford Stuyvesant. Wyglądało na to, że Washington Lee nie zmarnował tych trzynastu lat; ustatkował się i stanął mocno na nogi.

Dexter ledwie go rozpoznał w mężczyźnie, który w ów niedzielny lipcowy poranek otworzył mu drzwi. Washington zrobił porządek z wystającymi zębami, poprawił sobie operacyjnie haczykowany nos i ściał wronie gniazdo fryzury afro. Przed Dexterem stał trzydziestodwuletni, żonaty biznesmen, ojciec dwójki dzieci i właściciel ładnego domu oraz niewielkiej, ale dobrze prosperującej firmy doradztwa informatycznego.

Dexter stracił wszystko, co osiągnął; Washington Lee nigdy nawet nie marzył, że osiągnie aż tyle. Zdobywszy jego adres, Dexter zapowiedział się telefonicznie z wizytą.

– Zapraszam, mecenasie – powiedział były haker.

Usiedli ze szklankami wody mineralnej w leżakach rozstawionych na trawniku za domem. Dexter wręczył Lee broszurę. Na okładce widniał średniej wielkości dwusilnikowy samolot pasażerski, kładący się na skrzydło nad błękitną połacią morza.

– Z góry zaznaczam, że nie chodzi o żadne tajemnice państwowe. Szukam pewnego samolotu tego typu. Konkretnego egzemplarza. Interesuje mnie, kto go pierwotnie nabył, kiedy, kto jest obecnie jego właścicielem, a przede wszystkim, gdzie ten osobnik teraz przebywa.

– A on, jak rozumiem, wolałby to przed panem ukryć?

– Jeśli ten aktualny właściciel nie zmienił personaliów i prowadzi normalne życie, to nie ma sprawy. Pudło. Jeśli jednak intuicja mnie nie zawodzi, on zaszył się gdzieś pod fałszywym nazwiskiem, otoczył uzbrojonymi po zęby strażami i zabezpieczył warstwami skomputeryzowanej ochrony danych osobowych.

– I pan by go chciał spod tych warstw wyłuskać.

– Właśnie.

– Trudniej z tym teraz niż przed trzynastu laty – westchnął Lee. – Cholera. Sam się do tego przyczyniłem, od strony technicznej, rzecz jasna. Stroną prawną zajmowali się legislatorzy. To, o co pan prosi, to włamanie. Nawet potrójne. Prokurator w pas się kłania.

– Wiem.

Washington Lee rozejrzał się. Po drugiej stronie trawnika, w nadmuchiwanym basenie pluskały się, popiskując, dwie dziewczynki. Żona, Cora, przygotowywała w kuchni lunch.

– Trzydzieści lat temu czekała mnie długa odsiadka – powiedział. – Po wyjściu z mamra wróciłbym na stare śmieci i dalej przesiadywał na schodkach przed swoją rudera. Ale dostałem szansę. Cztery lata w banku, potem praca na własny rachunek, tworzenie najlepszych, bez fałszywej skromności, systemów zabezpieczeń w Stanach. Pora spłacić dług. Załatwione, mecenasie. Od czego zaczniemy?

Na pierwszy ogień poszedł samolot. Nazwa Hawker zaistniała podczas pierwszej wojny światowej w lotnictwie brytyjskim. Na hawker hurricane latał w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Stephen Edmond. Ostatnim myśliwcem frontowym tego typu był wielozadaniowy harrier. Potem przyszły lata siedemdziesiąte i pojedynczych mniejszych firm nie było już zwyczajnie stać na prowadzenie prac badawczo-rozwojowych nad nowymi modelami samolotów bojowych. Pozwolić mogły sobie na to tylko amerykańskie giganty, a i one zaczynały łączyć swoje potencjały. Zakłady Hawker przestawiały się coraz bardziej na produkcję samolotów cywilnych.

Z nastaniem lat dziewięćdziesiątych niemal wszystkie brytyjskie firmy lotnicze znajdowały się już pod jednym dachem BEA, czyli British Aerospace. Kiedy rada nadzorcza podjęła decyzję o restrukturyzacji, Hawkera kupiła amerykańska Raytheon Corporation z Wichita w stanie Kansas. W Wielkiej Brytanii po Hawkerze pozostało małe biuro sprzedaży w Londynie i zakład serwisowy w Chester.

Raytheon miał w ofercie cieszący się dużym popytem popularny mały samolot dwusilnikowy krótkiego zasięgu HS 125, średniego zasięgu hawkera 800 oraz hawkera 1000, który był z nich wszystkich największy i miał zasięg pięć tysięcy kilometrów.

Przeszukując już wcześniej zasoby Internetu, Dexter ustalił, że produkcję typu 1000 zakończono w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym, jeśli więc Zoran Žilić miał taką maszynę, to musiał ją nabyć z drugiej ręki. Poza tym wyprodukowano w sumie pięćdziesiąt dwa egzemplarze hawkera 1000, z czego trzydzieści latało aktualnie w barwach rozmaitych firm czarterowych, działających na terenie Stanów Zjednoczonych.

Wystarczyło zatem sprawdzić te z pozostałych dwudziestu dwóch maszyn, które w ciągu ostatnich dwóch, najdalej trzech lat zmieniły właściciela. Na rynku wtórnym niewielu było dealerów poruszających się w rozrzedzonej atmosferze tak drogich samolotów, ale można było iść o zakład, że przed zmianą właściciela samolot poddany został gruntownemu przeglądowi technicznemu, a więc niemal na pewno wrócił do zakładów raytheonowskiego

Hawkera. I niewykluczone, że to tam finalizowana była transakcja.

– Coś jeszcze? – spytał Lee.

– Rejestracja. P cztery-ZEM. Nie figuruje w żadnym z ważniejszych międzynarodowych rejestrów lotnictwa cywilnego. Ale tego typu oznaczenia noszą maszyny rejestrowane na Arubie.

– Pierwsze słyszę – przyznał Lee.

– To mała wysepka, która wchodziła kiedyś, wraz z Curaçao i Bonaire, w skład Antyli Holenderskich. Tamte dwie pozostały przy Holandii, Aruba oderwała się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym. Przeszła na własny garnuszek. Można sobie teraz na niej założyć tajne konto bankowe, zarejestrować firmę i tak dalej. Jest solą w oku międzynarodowym instytucjom walczącym z praniem brudnych pieniędzy, ale z czego w końcu ma się utrzymywać wysepka, która nie ma żadnego przemysłu. Do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego działała tam, co prawda, miniaturowa rafineria ropy naftowej, lecz ją zamknięto. Teraz wyspa zarabia na turystach, których przyciąga spora rafa koralowa, no i na tych tajnych kontach bankowych, a także na pstrokatych znaczkach pocztowych i lewych tablicach rejestracyjnych. A założę się, że mój obiekt wymienił stary numer rejestracyjny na nowy.

– Czyli w rejestrach Raytheona oznaczenia P cztery-ZEM nie znajdę?

– Prawie na pewno nie. Zresztą oni nie udostępniają żadnych informacji o swoich klientach. Nikomu.

– To się jeszcze okaże – mruknął Washington Lee. Przez minione trzynaście lat geniusz komputerowy wiele się nauczył, sam też wniósł niemały wkład w rozwój informatyki. I musiał być w tym dobry, skoro nawet kwiat amerykańskich czarodziejów komputerowych z Krzemowej Doliny z uznaniem wypowiadał się o jego opracowaniach, a oni z wyższością traktują mieszkańców Wschodniego Wybrzeża.

Przymierzając się w myślach do pierwszej od trzynastu lat nielegalnej operacji, Lee założył na samym wstępie, że nie wolno mu dopuścić, by ktoś kiedyś trafił po cyberśladach do domu w Westchesterze. Podstawowa sprawa to nie dać się znowu przyłapać.

– Jak wysoki ma pan budżet? – spytał.

– Adekwatny. Czemu pytasz?

– Chcę wynająć kamper Winnebago, wie pan, taki dom na kółkach, i wyposażyć go w przenośne źródło zasilania dużej mocy dla sprzętu. Po każdej sesji muszę szybko zwijać kramik i zmieniać miejsce pobytu. Poza tym potrzebny mi najlepszy komputer osobisty dostępny obecnie na rynku, i z góry uprzedzam, że po wszystkim będę go musiał utopić w jakiejś odpowiednio głębokiej rzece.

– Nie ma sprawy. Z której strony zamierzasz przypuścić szturm?

– Ze wszystkich naraz. Najpierw zajrzę do wykazu samolotów zarejestrowanych na Arubie. Musi tam być odnotowane, jakie oznaczenie nosił ten hawker, kiedy po raz ostatni

widziano go u Raytheona. Potem w rejestrze bermudzkich firm poszukam informacji o tej Zeta Corporation. Główna siedziba, adres, na który wysyłana jest cała korespondencja, transfery pieniędzy. Takie rzeczy. Później prześlę plany lotów. Musiał przylecieć do tego emiratu... jak pan powiedział?

– Ras al-Chajma.

– Właśnie. Ras al Coşam. Musiał tam skądś przylecieć.

– Z Kairu. Przyleciał z Kairu.

– Czyli jego plan lotu jest przechowywany w archiwach kairskiej kontroli ruchu powietrznego. W skomputeryzowanych archiwach. Będę musiał w nich pomyszkować. Wątpię, żeby mieli tam jakieś wyrafinowane zabezpieczenia przed intruzami.

– Polecisz do Kairu? – spytał Dexter.

Washington Lee spojrział na niego skonsternowany.

– Do Kairu? Po co miałbym lecieć do Kairu?

– Powiedziałeś, że musisz „pomyszkować” w tamtejszym archiwum.

– Miałem na myśli wizytę w cyberprzestrzeni. Kairską bazę danych mogę odwiedzić z byle leśnej polanki w Vermoncie. Wie pan co, mecenasie? Niech pan wraca do domu i spokojnie czeka, na wiadomość ode mnie. To nie pańska bajka.

Washington Lee wynajął kamper i nabył komputer osobisty z niezbędnym oprogramowaniem. By zachować anonimowość, płacił za wszystko gotówką, niewiele sobie robiąc z wysoko uniesionych brwi sprzedawców. Wyjątkiem była wypożyczalnia kamperów, bo tam musiał okazać prawo jazdy, ale kto by skojarzył człowieka wynajmującego kamper z wkraczającym do akcji hakerem? Kupił również benzynowy generator o wyjściowych parametrach standardowej, domowej instalacji elektrycznej.

Pierwszym i najłatwiejszym krokiem było włamanie do arabskiego skomputeryzowanego banku rejestracji samolotów, który ma swoją centralę w Miami. Nie zrobił tego w weekend, bo w poniedziałek rano system zabezpieczenia zgłosiłby fakt nieautoryzowanych odwiedzin, lecz w zwykły dzień roboczy, kiedy baza danych odpowiada na wiele zapytań, i te jego ginęły w zalewie innych.

Hawker 1000 P4-ZEM nosił poprzednio oznaczenie VP-BGG, co wskazywało, że był zarejestrowany gdzieś w brytyjskiej strefie rejestracyjnej.

Żeby ukryć swoją tożsamość i miejsce pobytu, Lee korzystał z systemu PGP*, gwarantującego tak skuteczną ochronę przed namierzeniem, że został już zdelegalizowany. Ustawił dwa klucze, publiczny i prywatny. Pierwszy do szyfrowania i wysyłania zapytań, drugi do odbioru i deszyfrowania odpowiedzi. Szyfr, opracowany przez jakiegoś patriotę z zamiłowaniem do czysto teoretycznej matematyki, był praktycznie nie do złamania. Prawdopodobieństwo, że ktoś zdoła ustalić, kim jest i gdzie przebywa Lee, równało się w zasadzie zeru. Jeśli będzie ograniczał do minimum wizyty w sieci i często zmieniał miejsce

* PGP - Pretty Good Pnvacy, w wolnym tłumaczeniu „solidne incognito”.

pobytu, powinien pozostać anonimowy.

Druga linia zabezpieczenia była o wiele bardziej przyziemna; wszystkie e-maile będzie wysyłał i odbierał tylko w kafejkach internetowych w mijanych po drodze miasteczkach.

Z danych przechowywanych w archiwach kairskiej kontroli ruchu powietrznego wynikało, że samolot Hawker 1000 P4-ZEM ilekroć lądował na Ziemi Faraonów celem uzupełnienia paliwa, przylatywał zawsze z Azorów.

Jeśli przedłużyło się dalej na zachód linię prostą pociągniętą z Ras al-Chajmy przez Kair do tych portugalskich wysepek pośrodku Atlantyku, nasuwał się wniosek, że P4-ZEM rozpoczynał zawsze swoje podróże gdzieś z basenu Karaibów albo z Ameryki Południowej. Pewności nie było, ale wszystko na to wskazywało.

Washington Lee, zaszyty na jakimś odludziu w Karolinie Północnej, przejrzał zasoby bazy danych azorskiej kontroli ruchu powietrznego i znalazł tam potwierdzenie, że P4-ZEM przylatywał z zachodu. Niestety maszyna lądowała zawsze na prywatnym lotnisku, należącym do Zeta Corporation. Tak więc trop w postaci planów lotu tu się urywał.

Bermudy również oferują tajemnicę bankową i szeroko pojętą poufność klientom gotowym płacić najwyższe stawki za najwyższe gwarancje bezpieczeństwa i reklamują się, że są w tym najlepsze.

Baza danych w Hamilton skapitulowała w końcu przed wprowadzonym do niej przez Washingtona Lee koniem trojańskim i ujawniła, że Zeta Corporation jest rzeczywiście zarejestrowana na wyspach i legalnie tam działa. Ale zapytana o dyrektorów, potrafiła wymienić tylko trzech lokalnych nominatów, z których wszyscy cieszyli się nieposzlakowaną opinią. Nie było w niej najmniejszej wzmianki o Zoranie Žiliciu ani o żadnej innej osobie noszącej serbsko brzmiące nazwisko.

Tymczasem w Nowym Jorku Cal Dexter, zainspirowany słowami Washingtona Lee, który zasugerował, że interesujący go hawker ma swoją bazę gdzieś na Karaibach, skontaktował się ze znajomym pilotem. Swego czasu bronił faceta w sprawie wytoczonej mu przez pewnego pasażera, który porzygał się w powietrzu i miał pretensję do pilota, że ten nie wybrał na rejs czarterowy lepszej pogody.

– Niech pan spróbuje w Rejestrach Informacji Lotniczej – doradził mu pilot. – Oni prowadzą ewidencję wszystkich samolotów stacjonujących w ich strefie.

Rejestr Informacji Lotniczej na południowe Karaiby, z siedzibą w Caracas, stolicy Wenezueli, potwierdził, że hawker 1000 P4-ZEM figuruje w ewidencji. Dexter pomyślał, że być może niepotrzebnie zwracał głowę Washingtonowi Lee. Przecież nic prostszego, jak zwrócić się do lokalnego Rejestru Informacji Lotniczej i tam się wszystkiego dowiedzieć.

Znajomy pilot szybko wyprowadził go z błędu.

– Bez euforii – powiedział. – Ta maszyna wcale nie musi się tam fizycznie znajdować. Fakt, że jest w ewidencji, o niczym jeszcze nie świadczy.

– Nie rozumiem.

– To proste – wyjaśnił pilot. – Jacht może mieć wypisane wołami na rufie „Wilmington, Delaware”, bo tam został zgłoszony do ewidencji, a w rzeczywistości pływa od dnia zwodowania wokół Bahamów. Hangar, w którym parkuje ten hawker, może znajdować się wiele kilometrów od Caracas.

Washington Lee zaproponował Dexterowi pewien fortel i wydał mu odpowiednie instrukcje. Sam skierował się do Wichita w Kansas. Po dwóch dniach jazdy non stop dotarł do celu. Kiedy był gotowy, zadzwonił do Dextera.

Wiceprezes do spraw sprzedaży w Raytheonie odebrał telefon z Nowego Jorku w swoim gabinecie na piątym piętrze budynku będącego siedzibą firmy.

– Dzwonię w imieniu Zeta Corporation z Bermudów – usłyszał w słuchawce. – Kilka miesięcy temu kupiliśmy za waszym pośrednictwem hawкера tysiąc z oznaczeniem VP-BGG. Od Brytyjczyków. Pamięta pan? Jestem jego nowym pilotem.

– Oczywiście, że pamiętam, proszę pana. A z kim mam przyjemność?

– Pan Żilić nie jest zadowolony z konfiguracji kabiny pasażerskiej i chciałby ją przystosować do swoich upodobań. Świadczyć takie usługi?

– Owszem, modernizujemy wnętrza kabin tu na miejscu, w naszych zakładach, panie... eee...

– Przy okazji przydałoby się też przeprowadzić generalny remont silników.

Wiceprezes zeszywniał. Pamiętał bardzo dobrze tamtą transakcję. Maszyna została przekazana klientowi po gruntownym przeglądzie technicznym, po którym główne podzespoły przez co najmniej dwa lata powinny funkcjonować bez zarzutu. Do następnego remontu generalnego silników pozostawał co najmniej rok, chyba że nowy właściciel spędzał cały czas w powietrzu, lądując tylko w celu uzupełnienia paliwa.

– Mogę wiedzieć, z kim konkretnie rozmawiam? – zaczął ostrożnie. – Nie sądzę, żeby te silniki wymagały już teraz generalnego remontu.

Z głosu rozmówcy ulotniła się pewność siebie. Gość wyraźnie się stropił.

– Tak pan mówi? O, kurczę... To przepraszam. Pewnie zaszła jakaś pomyłka... – Trzasnęła odkładana pośpiesznie słuchawka.

Cała ta rozmowa wydała się wiceprezesowi do spraw sprzedaży wielce podejrzana. Nie przypominał sobie, żeby w trakcie zawierania i finalizowania transakcji wspominał o oznaczeniu, które nosił uprzednio brytyjski hawker wystawiony na sprzedaż przez firmę Avtech z Biggin Hill w hrabstwie Kent. Postanowił, że zleci ochronie namierzenie aparatu, z którego dzwoniono, i zidentyfikowanie telefonującego.

Oczywiście byłoby już za późno, bo telefon komórkowy na kartę SIM opadał właśnie na dno East River. Tak czy inaczej, wiceprezes nie wprowadził swego zamiaru w czyn, bo do głowy przyszło mu inne rozwiązanie. Przypomniawszy sobie mianowicie pilota z Zeta Corporation, który w imieniu nowego właściciela zgłosił się do Wichita po odbiór hawкера.

Był to bardzo sympatyczny Jugosłowianin, były pułkownik sił powietrznych kraju, z

którego pochodził. Przedstawił niewzbudzające żadnych podejrzeń dokumenty, między innymi potwierdzone przez Federalną Komisję Lotnictwa świadectwo ukończenia doszkalającego kursu pilotowania hawkerów w renomowanej szkole pilotażu. Rzut oka do dokumentów sprzedaży: kapitan Svetomir Stepanović, adres e-mailowy. Wiceprezes zredagował krótki e-mail, w którym powiadamiał kapitana Stepanovicia o dziwnym, niepokojącym telefonie, i wysłał go.

Washington Lee, siedząc w kamperze zaparkowanym za kępą drzew, na skraju wypielegnowanego trawnika otaczającego siedzibę firmy, czytał przechwytywaną przez monitor promieniowania elektromagnetycznego wiadomość i dziękował Bogu, że wiceprezes do spraw sprzedaży nie korzysta z systemu Tempest, który uczyniłby jego komputer niewidzialnym dla takich monitorów. Sam tekst był dla Lee nieistotny. Interesowały go jedynie namiary adresata.

Trzy dni później kamper stał z powrotem na parkingu nowojorskiej wypożyczalni, a twardy dysk komputera i całe oprogramowanie zdążyły już porządnie namoknąć gdzieś na dnie Missouri.

Washington Lee pochylił się nad mapą i dźgnął w nią czubkiem zatemperowanego ołówka.

– To tu – powiedział. – Republika San Martin. Jakieś osiemdziesiąt kilometrów na wschód od San Martin City. Kapitan samolotu jest Jugosłowianinem. Chyba ma pan swojego człowieka na widelcu, mecenasie. A teraz, pan wybacz, ale czekają na mnie dom, żona, dwójka dzieci i interesy. Powodzenia.

* * *

Mściciel zdobył mapy w największej możliwej skali i jeszcze bardziej je powiększył. Wąski pas lądu w kształcie jaszczurki, spinający obie Ameryki, południowym końcem trafia w sam środek Kolumbii, która od wschodu graniczy z Wenezuelą.

Z kolei na wschód od Wenezueli leżą cztery Gujany. Pierwszą jest była Gujana Brytyjska, teraz nazywana po prostu Gujaną. Następna to była Gujana Holenderska, teraz Surinam. Najdalej na wschód wysunięta jest Gujana Francuska, do której należy Diabelska Wyspa rozślawiona przez legendarnego Papillona. W Gujanie Francuskiej, w Kourou, znajduje się również kosmodrom Europejskiej Agencji Kosmicznej. Trójkąt dżungli wkliniowany między Surinam a Gujaną Francuską to dawna Gujana Hiszpańska, która po odzyskaniu niepodległości przyjęła nazwę San Martin.

Bliższe dociekania ujawniły, że San Martin to małe kraik uważany za ostatnią z republik bananowych, rządony przez bezwzględnego dyktatora wojskowego, ostracyzowany, biedny, zapyziały i malaryczny; za pieniądze każdy może sobie kupić w nim bezpieczny azyl.

Pod koniec pierwszego tygodnia sierpnia wzdłuż wybrzeża San Martin, mniej więcej czterysta metrów nad ziemią, czyli dostatecznie wysoko, żeby nie wzbudzać podejrzeń – ot,

jakiś biznesmen w drodze z Surinam do Gujany Francuskiej – i na tyle nisko, że zdjęcia powinny dobrze wyjść, leciał piper cheyenne II.

Samolot wyczarterowany został w Georgetown w Gujanie i miał zasięg około dwóch tysięcy metrów, wystarczający, by dotrzeć do granicy Gujany Francuskiej i bezpiecznie wrócić do bazy. Klient legitymujący się paszportem wystawionym na obywatela Stanów Zjednoczonych, Alfreda Barnes, podał się za przedsiębiorcę budowlanego, który poszukuje atrakcyjnych miejsc pod budowę nowych ośrodków wypoczynkowych. Gujański pilot, słysząc to, pomyślał, że on osobiście nie spędziłby urlopu w San Martin nawet gdyby mu dopłacano, ale zachował tę refleksję dla siebie. Nie jego sprawa, grunt, że trafia się dobry czarter, i to płatny w dolarach.

Zgodnie z instrukcją leciał nad morzem. Pasażer usadowił się z prawej strony, na miejscu drugiego pilota, skąd mógł swobodnie fotografować przez teleobiektyw interesujące go odcinki linii brzegowej.

Od kiedy zostawili za sobą ujście Commini, rzeki, wzdłuż której biegnie granica Surinamu, nie zauważyli jeszcze najmniejszego spłachetka terenu choćby z grubsza przypominającego piaszczystą plażę. Wybrzeże, kilometr za kilometrem, porastała splątana gęstwa mangrowców, wypływająca z dżungli w morze po brunatnej, rojącej się od węży wodzie.

Minęli San Martin City, stolicę drzemącą w obezwładniająco parnym upale. Kawalek dalej na wschód, w La Bahia, zobaczyli wreszcie plażę z prawdziwego zdarzenia, i to nawet z ośrodkiem wypoczynkowym, ale była to enklawa zarezerwowana dla możnych i wpływowych obywateli San Martin, innymi słowy, dla samego dyktatora i jego przyjaciół.

Na szesnaście kilometrów przed wschodnią granicą republiki na rzece Moroni, za którą zaczyna się Gujana Francuska, ich oczom ukazał się El Punto – trójkątny półwysep wbijający się w morze niczym żąb rekina, odcięty od interioru ciągnącym się przez całą szerokość nasady pasmem sierry czy też kordyliery, które w połowie długości przecinała wąska przełęcz. O dziwo, półwysep był zamieszkały.

Pilot nigdy nie zapuścił się tak daleko na wschód i znał ten półwysep tylko z map. Teraz widział w dole strzeżoną hacjendę. Pasażer zaczął robić zdjęcia.

Krażenie nad półwyspem nie wchodziło w ogóle w rachubę. Dexter używał więc małoobrazkowego nikon F5, wyposażonego w zasilany bateryjnie silniczek, który w trybie pracy automatycznej przesuwając film z szybkością pięciu klatek na sekundę, czyli w skrajnym wypadku umożliwia naświetlenie w ciągu siedmiu sekund całego filmu.

Czas otwarcia migawki nastawił na jedną pięćsetną sekundy. Ze względu na wibracje samolotu, zdjęcia robione z dłuższymi czasami wyszłyby nieostre. Optymalnym dopełnieniem tej nastawy był film o czułości ASA 400 i przesłona F8.

Podczas pierwszego przelotu sfotografował od strony morza rezydencję na cyplu półwyspu, wysoki mur z wielkimi wrotami, rozciągające się za nim pola uprawiane przez

robotników rolnych, rzędy stodół i zabudowań gospodarczych oraz ogrodzenie z drucianej siatki, oddzielające pola od skupiska pudełkowatych białych *cabañas*, małych chat, w których prawdopodobnie kwaterowali robotnicy.

Kilka osób spojrzało w górę i Dexter zdążył jeszcze zauważyć, że dwie z nich zerwały się do biegu. Jeśli wzrok go nie mylił, były w mundurach. Zaraz potem półwysep z hacjendą został za nimi. Kiedy zawracali nad terytorium Gujany Francuskiej, poprosił pilota, żeby tym razem poleciał nad interiosem. Chciał sfotografować hacjendę od strony lądu. Patrzył znad szczytów sierry na pola ciągnące się całą szerokością półwyspu aż po mur rezydencji. W ostatniej chwili zauważył wartownika pełniącego służbę u wylotu przełęczy. Z nadzieją, że ten nie zanotował numeru pipera, wypstrykał drugą rolkę filmu, utrwalając na niej prywatny pas startowy równoległy do podnóża sierry, wioskę robotników, budynki warsztatów i główny hangar, do którego ciągnik wciągał właśnie dwusilnikowy samolot pasażerski. Na stateczniku pionowym, zanim ten skrył się w cieniu, Dexter zdążył jeszcze odczytać oznakowanie: P4-ZEM.

Rozdział 21

Jezuita

Paula Devereaux, chociaż był pewien, że FBI nie jest w stanie rozmontować jego Operacji Sokół, zaniepokoiła jednak burzliwa konfrontacja z Colinem Flemingiem. Nie, niestraszne mu były inteligencja, wpływy ani determinacja tego człowieka. Obawiał się tylko kłód, jakie ten zacznie mu rzucać pod nogi.

Po dwóch latach u steru operacji tak utajnionej, że oprócz niego wiedzieli o niej tylko dyrektor CIA George Tenet i Richard Clarke, specjalista od spraw walki z terroryzmem przy Białym Domu, był wreszcie bliski, podniecająco bliski uruchomienia pułapki, do której zastawienia poruszył niebo i ziemię.

Obiekt nazywano po prostu UBL. A to dlatego, że w waszyngtońskich kręgach związanych z wywiadem wymawiano i pisano imię tego człowieka nie Osama, jak słyszało i czytało się w mediach, lecz Usama.

Latem dwutysięcznego pierwszego roku przeświadczenie, że lada dzień należy się spodziewać inspirowanego przez UBL i wymierzonego w Stany Zjednoczone aktu terroru, graniczyło już w tych kręgach z obsesją. Dziewięćdziesiąt procent wtajemniczonych uważało, że będzie to spektakularne uderzenie w jakąś ważną placówkę Stanów poza granicami kraju; zaledwie dziesięć procent przewidywało uwieńczony powodzeniem atak przeprowadzony na terytorium amerykańskim.

Owa obsesja ogarnęła wszystkie agencje rządowe, zwłaszcza zaś antyterrorystyczne wydziały CIA i FBI, które za główny cel obrały sobie przejrzenie zamiarów UBL oraz postawienie tamy jego knowaniom.

Paul Devereaux, za nic sobie mając prezydencki dekret numer 12 333, zakazujący „mokrych robót”, nie zamierzał utrudniać życia UBL; on chciał go po prostu zabić.

Już na samym początku swojej kariery absolwent Boston College zorientował się, że jeśli chce awansować w firmie, musi się zdecydować na jakąś specjalizację. Wietnam i zimna wojna skłaniały wówczas większość debiutantów do wyboru wydziału sowieckiego. Jasno

określonym wrogiem był ZSRR; językiem, którego należało się uczyć – rosyjski. Devereaux, którego odstręczał ów owczy pęd, wybrał świat arabski i szeroko pojęte studia islamistyczne. Koledzy pukali się w czoło.

On zaś, nic sobie z tego nie robiąc, zaprzął do pracy swój potężny intelekt i w niedługim czasie opanował język arabski w takim stopniu, że z powodzeniem mógłby uchodzić za Araba, a znajomością islamu bił na głowę przeciętnego absolwenta szkoły koranicznej.

Czas zbierania owoców podjętej decyzji nadszedł w dzień Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to ZSRR dokonał inwazji na Afganistan i większość agentów z centrali CIA w Langley sięgnęła po atlasy.

Okazało się, że Devereaux nie tylko zna perfekcyjnie arabski, ale też włada nieźle urdu; językiem urzędowym Pakistanu, i potrafi się dogadać w paszto, którym posługują się plemiona zamieszkujące północno-zachodnie pogranicze Pakistanu oraz przylegające doń tereny Afganistanu.

Jego kariera ruszyła ostro z miejsca. Był jednym z pierwszych, którzy utrzymywali, że ZSRR nie zdaje sobie jeszcze sprawy, na co się porwał, że afgańskie plemiona nie pogodzą się z żadną, obcą okupacją, że sowiecki ateizm jest dla fanatycznych wyznawców islamu obelgą, że wspomagane materialnie przez Stany Zjednoczone wojownicze górskie plemiona stawiają zaciekły opór, w którego przełamaniu wykrwawi się z czasem Czterdziesta Armia generała Borysa Gromowa.

Zanim stało się to faktem, sporo się zmieniło. Mudżahedini rzeczywiście odesłali do domu w trumnach ponad dwadzieścia pięć tysięcy rosyjskich żołnierzy; armia okupacyjna widziała, że pomimo stosowania odrażających represji wobec Afgańczyków sytuacja wymyka się spod kontroli, a morale wojska spada.

To afgańska awantura i pojawienie się na scenie Michaiła Gorbaczowa były czynnikami, które doprowadziły w końcu do rozpadu ZSRR i zakończenia zimnej wojny. Paul Devereaux przeszedł z wydziału analiz do operacyjnego i wraz z Miltem Beardenem pomagał rozdzielać wart miliardy dolarów amerykański sprzęt do prowadzenia wojny podjazdowej między „górnymi partyzantami”.

Dzieląc z afgańskimi góralami trudy partyzanckiej egzystencji, przemierzając z nimi górskie przełęcze i doliny, biorąc czynny udział w zasadzkach i potyczkach, oczy miał przez cały czas szeroko otwarte. Zaintrygowały go między innymi setki przybywających z Bliskiego Wschodu, młodych, ideowych i nastawionych antysowiecko ochotników, którzy nie znali ani paszto, ani dari, ale gotowi byli walczyć i, jeśli zaszła taka potrzeba, ginąć daleko od domu.

Devereaux dobrze wiedział, co robi w Afganistanie; walczył z supermocarstwem, które zagrażało jego krajowi. Ale czego szukali tu młodzi Saudyjczycy, Egipcjanie i Jemeńczycy?

Waszyngton nie reagował na jego meldunki, lecz Devereaux był tymi ludźmi zafascynowany. Potrafił godzinami przysłuchiwać się ich rozmowom, udając, że zna zaledwie

kilka słów po arabsku, choć władał płynnie tym językiem. Z tego, co słyszał, wynikało, że walczą nie tyle z komunizmem, co z ateizmem.

Co więcej, taką samą nienawiścią i pogardą pałali do chrześcijaństwa, Zachodu, a zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych. Była wśród nich frenetyczna, pełna temperamentu, zblazowana latorośl bajecznie bogatej saudyjskiej rodziny, człowiek łożący miliony dolarów na obozy treningowe w bezpiecznym Pakistanie; fundujący schroniska dla uchodźców; kupujący i rozdzielający między innych mudżahedinów żywność, koce i lekarstwa. Na imię miał Usama.

Pragnął uchodzić za wielkiego wojownika, drugiego Ahmada Szaha Massouda, ale tak naprawdę brał udział tylko w jednej potyczce wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, i na tym się skończyło. Milt Bearden nazywał go rozpuszczonym gówniarzem, ale Devereaux przyglądał mu się bacznie. Spod odwołań do Allaha, jakimi ten młody człowiek szafował przy każdej okazji, wyzierała zaciekle nienawiść do Rosjan, która jednak pewnego dnia mogła się obrócić przeciwko komuś innemu.

Paul Devereaux powrócił do Langley, gdzie czekały nań zasłużone laury. Nie zamierzał zakładać rodziny; żona i dzieci przeszkadzałyby mu w pracy. Odziedziczył po zmarłym ojcu sporą fortunę; jego elegancki dom w starej Alexandrii słynął z kolekcji sztuki islamskiej i autentycznych perskich kobierców.

Próbował ostrzegać przed pozostawieniem Afganistanu na pastwę wojny domowej po klęsce Gromowa, ale euforia po zburzeniu muru berlińskiego zaowocowała przeświadczeniem, że wraz z rozpadem ZSRR oraz gremialnym zwracaniem się odzyskujących wolność satelitów sowieckiego imperium ku Zachodowi, a co za tym idzie, dezintegracją europejskiego komunizmu, widmo zagrożenia wiszące nad jedynym supermocarstwem, jakie ostało się na świecie, wyparowało raz na zawsze.

Devereaux nie zdążył się jeszcze dobrze zaaklimatyzować po powrocie do kraju, kiedy w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku Saddam Husajn dokonał inwazji na Kuwejt. Prezydent Bush i Margaret Thatcher, zwycięzcy w zimnej wojnie, doszli w Aspen do wspólnego wniosku, że takiego zuchwalstwa nie wolno im tolerować. Niespełna czterdzieści osiem godzin później pierwsze F-15 eagle wzbijały się w powietrze i obierały kurs na Thumrait w Omanie; Paul Devereaux był już w tym czasie w drodze do ambasady amerykańskiej w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej.

Gdyby nie to oszałamiające tempo i napięty harmonogram zajęć, może by coś zauważył. Młody Saudyjczyk, który również opuścił Afganistan, zaoferował królowi Fahdowi pomoc w obronie Arabii Saudyjskiej przed agresywnym sąsiadem z północy, podając się za przywódcę grupy partyzantów oraz organizacji zwanej po prostu „Bazą”.

Saudyjski monarcha też prawdopodobnie zignorował tego militarnego moskita i jego ofertę; zamiast tego wpuścił do swego kraju pół miliona zagranicznych żołnierzy i lotników z związanej przez pięćdziesiąt krajów koalicji, która miała wyprzeć iracką armię z Kuwejtu i

chronić saudyjskie pola naftowe. Dziewięćdziesiąt procent tych żołnierzy i lotników było niewiernymi, czyli chrześcijanami, i, o zgrozo, ich żołdackie buciory deptały ziemię, na której znajdują się takie święte miejsca, jak Mekka i Medyna. Blisko czterysta tysięcy z nich było Amerykanami.

Dla fanatycznego Saudyjczyka było to znieważenie Allaha i jego proroka Mahometa, czego nie wolno puścić płazem. Wypowiedział prywatną wojnę najpierw rządzącemu domowi, który dopuścił do takiej sytuacji. Co więcej, kipiąca nienawiść, którą Devereaux wyczuwał już w górach Hindukuszu, wreszcie znalazła sobie nowy cel. UBL wypowiedział wojnę Ameryce i zaczął planować.

Gdyby Paul Devereaux zaraz po zwycięskim zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej został przeniesiony do wydziału antyterrorystycznego, być może historia potoczyłaby się inaczej. Ale wydział ów miał w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku zbyt niski priorytet, a CIA i FBI weszły w najgorszą dekadę swej bliźniaczej egzystencji. W wypadku CIA okres ten zapoczątkowało wstrząsające odkrycie, że Aldrich Ames od ponad ośmiu lat zdradza swój kraj. Potem wyszło na jaw, że to samo czyni Robert Hansen z FBI. Obie agencje, miast święcić zwycięstwo po czterdziestu latach zimnej wojny, przeżywały kryzys z powodu niskiego morale przywództwa i niekompetencji.

Afera Irangate i nielegalna pomoc nikaraguańskim contras prowokowały do nerwowych reakcji. Dobrzy fachowcy odchodzili stadami; biurokratów i buchalterów awansowano na szefów wydziałów. Ludzi z wieloletnim doświadczeniem w pracy na pierwszej linii odsuwano na margines.

Paul Devereaux uśmiechał się kurtuazyjnie, kiedy na wystawnych kolacjach jakiś napuszony kongresman albo senator zapewniał go, że świat arabski kocha Stany Zjednoczone. A twierdził tak na podstawie rozmów z kilkoma szejkami, z którymi dane mu było ostatnio się spotkać. Jezuita, który przez lata snuł się jak cień po uliczkach muzułmańskich miast, na usta cisnęło się sprostowanie: „Nie, oni nas z całej duszy nienawidzą”. A jednak milczał.

Dwudziestego szóstego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku czterej arabscy terroryści wjechali wynajętą furgonetką na drugi poziom podziemnego parkingu pod World Trade Center. W samochodzie było od pięciuset pięćdziesięciu do sześciuset pięćdziesięciu kilogramów materiału wybuchowego, sporządzonego domowym sposobem na bazie nawozu sztucznego o nazwie azotan mocznika. Na szczęście dla Nowego Jorku nie był to najsilniejszy ze znanych materiałów wybuchowych. Ale huku było co niemiara. Mało kto podejrzewał wtedy, że była to tylko inauguracyjna salwa, obwieszczająca początek nowej wojny.

Devereaux zajmował wówczas stanowisko zastępcy szefa wydziału na cały Bliski Wschód i w zasadzie urzędował w Langley, ale często podróżował. Zaniepokojony po części własnymi obserwacjami poczynionymi podczas tych podróży, po części tym, co docierało do niego ze strumienia meldunków napływających z placówek CIA, rozsianych po świecie

islamu, przestał się przyglądać ambasadam i pałacom świata arabskiego, którymi z racji pełnionej funkcji się zajmował, i skierował swą uwagę w inną stronę.

Z własnej inicjatywy zaczął prosić podległe sobie placówki o meldunki uzupełniające, które nie miały opisywać tego, co robi dany premier, lecz ukazywać nastroje panujące na ulicy, na sukach, w medynach, meczetach i w szkołach – madrasach – które wychowują kolejne pokolenie muzułmańskiej młodzieży. Im pilniej patrzył i słuchał, tym głośniejsze dźwięczały dzwoneczki alarmowe.

„Oni nas z całej duszy nienawidzą – podpowiadał mu głos wewnętrzny – potrzeba im tylko charyzmatycznego koordynatora”. W ramach prywatnego śledztwa, które w wolnych chwilach prowadził, podjął ponownie trop saudyjskiego fanatyka UBL. Okazało się, że wydalono go z Arabii Saudyjskiej za impertynencję w krytykowaniu decyzji monarchy o wypuszczeniu niewiernych na święte piaski.

Ustalił, że UBL przebywał potem przez jakiś czas w Sudanie, jeszcze jednym czysto islamskim państwie, gdzie do głosu dochodził fundamentalistyczny fanatyzm. Chartum chciał go wydać Stanom Zjednoczonym, ale tam jakoś nikt nie wyraził zainteresowania tą ofertą. A UBL tymczasem znikł, powrócił w góry Afganistanu, gdzie w zakończonej właśnie wojnie domowej zwyciężyła najbardziej fanatyczna frakcja – ultrareligijni talibowie.

Devereaux ustalił, że Saudyjczyk nie przybył tam bynajmniej z pustymi rękami. Obsypał talibów milionami dolarów w osobistych podarkach, i niemal z dnia na dzień stał się jedną z najbardziej prominentnych postaci w kraju. Sprowadził ze sobą kilkudziesięcioosobową gwardię przyboczną, na miejscu zastał kilkuset cudzoziemskich mudżahedinów ochotników, którzy nie opuścili jeszcze Afganistanu po zakończeniu działań wojennych. Na bazarach pakistańskich miast granicznych Kwety i Peszawaru rozeszła się pogłoska, że powracający bojownik zainicjował dwa szeroko zakrojone programy: budowy skomplikowanych kompleksów jaskiniowych w kilkunastu miejscach jednocześnie oraz zakładania obozów szkoleniowych przeznaczonych nie dla afgańskiej armii, lecz dla terrorystów ochotników. Paul Devereaux, kiedy pogłoska ta dotarła do jego uszu, nie miał już żadnych wątpliwości. Islamska nienawiść do jego kraju znalazła koordynatora.

Wkrótce potem nastąpiła seria tragicznych wydarzeń. Zapoczątkowała ją krwawa rzeź amerykańskich rangersów w Somalii, do której doszło wskutek nierzetelnej pracy wywiadu. Nie dość, że nie doceniono sił kacyka Aideeda, to jeszcze nie zauważono, że u jego boku oprócz Somalijczyków walczą również lepiej od nich wyszkoleni Saudyjczycy. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym potężna bomba zniszczyła wieże Al Kobar w Dżahranie w Arabii Saudyjskiej. Zginęło dziewiętnastu amerykańskich żołnierzy, wielu odniosło rany.

Paul Devereaux poprosił dyrektora George’a Teneta o spotkanie.

– Pozwól mi przejść do wydziału antyterrorystycznego – powiedział.

– Mają tam komplet i dobrze sobie radzą – odparł dyrektor.

– Sześć ofiar śmiertelnych na Manhattanie, dziewiętnaście w Dżahranie. To al-Kaida. To UBL ze swoją bandą za tym stoi, jeśli nawet to nie oni fizycznie podkładali te bomby.

– Wiemy o tym, Paul. Pracujemy nad tym. Biuro też. Zapewniam cię, że tak tego nie zostawimy.

– George, biuro gównie wie o al-Kaidzie. Nie mają arabisty, nie znają mentalności tych ludzi, są dobrzy na naszych gangsterów, ale wszystko, co leży na wschód od Sudanu, to dla nich ciemna strona Księżyca. Mógłbym wnieść do tego interesu świeże spojrzenie.

– Potrzebuję cię na Bliskim Wschodzie, Paul. Masz tam pełne ręce roboty. Król Jordanii umiera. Nie wiemy, kto zostanie jego następcą. Syn Abdullah czy brat Hassan? Dyktator Syrii upada; kto przejmie po nim rządy? Saddam coraz bardziej utrudnia życie inspektorom ONZ-etu. Co będzie, jeśli ich wyrzuci? Cała ta izraelsko-palestyńska awantura rozlewa się coraz dalej na południe. Jesteś mi potrzebny na Bliskim Wschodzie.

Dopiero pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku Devereaux doczekał się zgody na przeniesienie. Siódmego września pod dwiema ambasadami Stanów w Afryce – w Nairobi i w Dar es-Salam – wybuchły dwie potężne bomby.

W Nairobi zginęło sto trzynaście osób, cztery tysiące siedemset dwadzieścia dwie odniosły rany. Wśród zabitych było dwunastu Amerykanów. Eksplozja w Tanzanii była słabsza: jedenastu zabitych, siedemdziesięciu dwóch rannych. Nie zginął żaden Amerykanin, ale dwóch zostało kalekami. Szybko ustalono, że za obydwoma zamachami stoi sieć al-Kaidy. Paul Devereaux przekazał swoje bliskowschodnie obowiązki wybijającemu się młodemu arabiście, którego wziął pod swoje skrzydła, i przeniósł się do wydziału antyterrorystycznego.

Objął tam stanowisko drugiego zastępcy dyrektora, bo dotychczasowy beneficjent zachował swój stołek. Nie był to przejrzysty układ. Pętając się po peryferiach działu analiz jako ktoś w rodzaju konsultanta, Devereaux szybko doszedł do przekonania, że reguła werbowania na informatorów wyłącznie ludzi o nieposzlakowanej opinii to kompletne nieporozumienie.

Najlepszym tego dowodem było fiasko interwencji w Afryce. Pociski cruise zrównały z ziemią zakłady farmaceutyczne na przedmieściach Chartumu, stolicy Sudanu, gdzie UBL, który przecież dawno wyniósł się z tego kraju, produkował jakoby broń chemiczną. Okazało się po fakcie, że była to Bogu ducha winna fabryczka aspiryny.

Siedemdziesiąt pocisków samosterujących Tomahawk, wystrzelonych z kolei na Afganistan, miało uśmiercić UBL. Rozkruszyły na żwir parę skał i głazów, zabawa kosztowała kilka milionów dolarów, a UBL był w tym czasie w drugim końcu kraju. To właśnie po tej kompromitacji i na wniosek samego Paula Devereaux zapadła decyzja o wszczęciu Operacji Sokół.

W Langley zachodzono w głowę, jakież to ciężkie działa musiał wytoczyć Devereaux, że zaakceptowano jego warunki. Operacja Sokół była tak utajniona, że tylko dyrektor Tenet wiedział, co zamierza Devereaux. Jeśli chodzi o ludzi z zewnątrz, Jezuita wyjawiał swe plany

tylko jednej osobie, a mianowicie szefowi do spraw walki z terroryzmem przy Białym Domu, Richardowi Clarke'owi, który zaczynał urzędowanie w czasie prezydentury George'a Busha seniora i sprawował dalej swój urząd w administracji Clintona.

Clarke był w Langley znienawidzony za swój otwarty, bezkompromisowy krytycyzm, ale Devereaux miał powody, dla których starał się go pozyskać dla swojej sprawy. Po pierwsze, było pewne, że człowiek z Białego Domu wręcz przykłaśnie drastycznym środkiem, do których Devereaux zamierzał się uciec; po drugie, będzie trzymał język za zębami, jeśli się go o to poprosi; po trzecie, w razie potrzeby będzie w stanie dostarczyć niezbędnych narzędzi.

Na początek Devereaux dostał pozwolenie na spuszczenie z wodą całego tego bajdurzenia o niedopuszczalności zabijania obiektu zainteresowania albo nieuzasadnionego stosowania przeciwko niemu „środków drastycznych”. Od tej chwili Devereaux prowadził bardzo prywatną grę na śmierć i życie, bez taryfy ulgowej.

Utworzył własną komórkę i osobiście dobrał sobie personel. Ściągnął samych najlepszych, a dyrektor mógł tylko zgrzytać po cichu zębami. Nie będąc nigdy budowniczym imperiów, poprzestał na małym, zwartym zespole, w którym każdy był specjalistą. Załatwił składające się z trzech pomieszczeń biuro na szóstym piętrze głównego gmachu, z widokiem na prześwitujący między brzoźami i łożyną Potomac. W zimie, kiedy liście opadły już z drzew, rzekę widać było z okien jak na dłoni.

Potrzebował dobrej, niezawodnej prawej ręki – człowieka solidnego, godnego zaufania, lojalnego, człowieka, który bez dyskusji wykonywałby wszelkie polecenia. Wybrał Kevina McBride'a. Obaj mężczyźni stawiali pierwsze kroki w firmie przed trzydziestu laty, mając wtedy po dwadzieścia kilka lat, i od tamtego czasu byli z nią związani. Na tym podobieństwa się kończyły. Jezuita był szczupły, wysportowany, ćwiczył codziennie w salce gimnastycznej w swoim domu; McBride zaokrąglił się z upływem lat, wypijał w każdy weekend sześciopak piwa, a włos na ciemieniu i czubku głowy mocno mu się przerzedził. Z jego dorocznej ankiety personalnej wynikało, że małżeństwo z Molly jest stabilne jak skała, ma dwoje dzieci, które niedawno wyfrunęły w świat, oraz skromny domek w osiedlu po drugiej stronie obwodnicy Beltway. Żadnych oszczędności ani dodatkowego źródła dochodu nie miał i wiązał koniec z końcem, utrzymując się z gołej pensji.

Większą część swojej kariery zawodowej spędził w zagranicznych ambasadach, nigdy jednak nie awansował na szefa placówki. Nie stanowił żadnego zagrożenia, był wymarzoną Numerem Dwa. Jest coś do zrobienia, zrobi się. Na nim można było naprawdę polegać. Z jego strony można się było nie obawiać żadnego pseudointelektualnego filozofowania. Cnoty McBride'a były tradycyjne, swojskie, amerykańskie.

Dwunastego października dwutysięcznego roku, dwanaście miesięcy po zainaugurowaniu Operacji Sokół, al-Kaida uderzyła ponownie. Tym razem wykonawcami było dwóch Jemeńczyków, którzy świadomie oddali życie, by osiągnąć swój cel. Był to pierwszy od zamachu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku w Bejrucie atak samobójczy na

siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. W wypadku zamachów na Dwie Wieże, w Mogadiszu, Dżahranie, Nairobi i Dar es-Salam, UBL nie żądał od swoich ludzi najwyższego poświęcenia, W Adenie zażądał. Podbijał stawkę.

USS *Cole*, niszczyciel klasy Burke, cumował w porcie, w starym angielskim basenie węglowym, na terenie należącym dawniej do brytyjskiego garnizonu usytuowanego na samym czubku Półwyspu Arabskiego. W Jemenie urodził się ojciec UBL. Obecność Amerykanów musiała być temu ostatniemu solą w oku.

Dwaj terroryści w szybkim pontonie wyładowanym TNT* przemknęli z rykiem zaburtowego silnika wśród flotylli łodzi dostawczych, wbili się między kadłub a nabrzeże i wysadzili w powietrze. Siła eksplozji, skompresowana między kadłubem a betonową ścianą nabrzeża, wyrwała w burcie ogromną dziurę. We wnętrzu okrętu zginęło siedemnastu marynarzy, trzydziestu dziewięciu odniosło rany.

Devereaux studiował terror, jego przygotowywanie i sianie. Wiedział, że – obojętnie, czy stosowany przez państwo, czy przez źródło pozarządowe – dzieli się zawsze na pięć poziomów.

Pierwszy stanowią spiskowcy, planiści, zatwierdzacze, inspiratorzy. Następny tworzą działacze i sponsorzy, bez których plan nie ma szans powodzenia. To oni rekrutują, szkolą, finansują, zaopatrują. Trzeci poziom to wykonawcy, ci wyzuci z wszelkich zasad moralnych ludzie, którzy wrzucają puszki z cyklonem B do komór gazowych, podkładają bomby, pociągają za spusty. Poziom czwarty składa się z aktywnych kolaborantów; ci wskazują drogę zabójcom, denuncjują sąsiadów, ujawniają kryjówki, wydają dawnych szkolnych kolegów. Na samym dnie zalegają szare masy – bezmyślne, oglupione, wiwatujące na cześć tyrana, oddające cześć mordercom.

W terrorze wymierzonym przeciwko Zachodowi w ogóle, a Stanom Zjednoczonym w szczególności, funkcje dwóch pierwszych poziomów spełniała al-Kaida. Ani UBL, ani jego ideologiczny Numer Dwa, Egipcjanin Ayman Al Zawahiri, ani jego szef operacji Mohamed Atef, ani jego międzynarodowy emisariusz Abu Zubaydah nigdy nie podłożyli bomby i nie usiedli za kierownicą wyładowanej materiałami wybuchowymi ciężarówki.

Szkoły przy meczetach, tak zwane madrasy, wypuszczały strumień nastoletnich fanatyków, przesyconych już głęboką nienawiścią do całego niefundamentalistycznego świata, z głowami nabitymi wypaczoną wersją kilku przeinaczonych wersetów Koranu. Do nich można było doliczyć paru bardziej dojrzałych neofitów, którzy dali sobie wmówić, że dokonując masowego mordy na niewiernych, zapewniają sobie miejsce w koranicznym raju.

Al-Kaidzie pozostawała tylko wyznaczać cele, werbować, szkolić, wyposażać, instruować, opłacać i obserwować.

Wracając limuzyną z burzliwej rozmowy z Colinem Flemingiem, Devereaux jeszcze raz przeanalizował to, co robi, pod kątem moralności. No dobrze, ten odrażający Serb

* TNT - trotyl.

zamordował jednego Amerykanina. Ale gdzieś tam cieszy się wolnością człowiek, który zabił już pięćdziesięciu i na tym nie poprzestanie.

Przypomnił sobie problem moralny, który postawił kiedyś przed nim ojciec John Heaney.

– Przychodzi do ciebie człowiek z zamiarem pozbawienia cię życia. Ma nóż. Może cię nim dosięgnąć z odległości metra. Masz prawo do samoobrony. Nie masz tarczy, ale masz włócznię. Możesz dosięgnąć nią przeciwnika z odległości trzech metrów. Zaatakujesz pierwszy, czy będziesz czekał?

Kazał mu przedyskutować tę sytuację z innym uczniem. Devereaux nawet się nie zawahał. Większe dobro okupione mniejszym złem. Czy człowiek uzbrojony we włócznię szukał zwady? Nie. No to ma prawo zaatakować pierwszy, zamiast czekać, aż zostanie zaatakowany i dopiero wtedy się bronić; na obronę będzie miał czas potem, jeśli przeżyje pierwsze starcie. Uderzenie prewencyjne. Jeśli chodzi o UBL, Devereaux nie miał żadnych skrupułów. W obronie swojego kraju będzie zabijał, nie oglądając się na protesty sprzymierzeńców, których musi poprosić o pomoc. Fleming nie miał racji. Żylić jest mu potrzebny.

Paul Devereaux nie mógł kiedyś zrozumieć, skąd bierze się powszechna niechęć do jego ojczyzny. Teraz już to chyba pojął. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, w którym przyszedł na świat, i przez całą następną dekadę, aż do zakończenia wojny koreańskiej i początku zimnej wojny, Stany Zjednoczone były nie tylko najbogatszym i najpotężniejszym militarnie krajem świata, ale też krajem najbardziej kochanym, podziwianym i szanowanym.

Minęło pięćdziesiąt lat i dwie pierwsze cechy w dalszym ciągu odzwierciedlały rzeczywistość. Stany Zjednoczone były teraz silniejsze i bogatsze niż kiedykolwiek, pozostały jedynym supermocarstwem, niekwestionowanym panem sytuacji.

I nienawidziły ich serdecznie całe połacie globu – czarna Afryka, świat arabski, lewicująca Europa. Dlaczego? Co się stało? Pytanie to spędzało sen z powiek ludziom ze Wzgórza Kapitolińskiego i przedstawicielom mediów.

Devereaux zdawał sobie sprawę, że jego krajowi daleko do doskonałości; popełniał błędy, często w nadmiarze. Jeśli jednak chodzi o ducha i intencje, był jak każdy inny kraj, mało tego – zdecydowanie wybijał się ponad przeciętność. Devereaux zjechał cały świat i niejedno widział. To, co obserwował w odwiedzanych krajach, jego zdaniem było często poniżej krytyki.

Większość Amerykanów nie potrafi ogarnąć przemian, jakie zaszły na świecie w latach między rokiem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym a dwutysięcznym pierwszym, udają więc, że nic się nie zmieniło, przyjmują za dobrą monetę ugrzecznioną maskę, pod którą Trzeci Świat skrywa swoje prawdziwe oblicze.

Czyż Wuj Sam nie stara się zastępować tyranii demokracją? Czyż nie przeznaczył co

najmniej tryliona dolarów na pomoc? Czyż przez pięć dziesięcioleci Europa Zachodnia nie dostawała od niego stu miliardów dolarów rocznie na obronę? Skąd w takim razie te demonstracje nienawiści, pikiety pod ambasadami, palenie flag, tablice ze zjadliwymi hasłami?

Pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy wojna w Wietnamie stawała się coraz brudniejsza i nasilały się protesty, wyjaśnił mu to w pewnym londyńskim klubie stary brytyjski superszpieg:

– Drogi chłopcze, gdybyście byli bardzo słabi, nikt by was nie nienawdził. Gdybyście byli biedni, też nikt by was nie nienawdził. Nie jesteście nienawidzeni mimo tego tryliona dolarów; nienawdzą was za ten trylion dolarów. – Tu stary biurokrata wskazał w kierunku Grosvenor Square, gdzie pod wzniesioną z kamienia ambasadą odbywała się manifestacja lewicowych polityków i brodatych studentów. – Nienawiść do twojego kraju nie jest spowodowana tym, że napada na ich kraj; oni nienawdzą was za to, że zapewnacie im bezpieczeństwo. Nie szukajcie popularności. Możecie dominować albo być kochanymi, ale nigdy jedno i drugie. To, co ludzie do was czują, to w dziesięciu procentach szczerą niezgodą na waszą politykę, a w dziewięćdziesięciu zazdrość. Nie zapominaj nigdy o dwóch rzeczach! Żaden człowiek nigdy nie wybaczy temu, komu coś zawdzięcza. Taka już jest ludzka natura... najbardziej nienawdzimy swoich dobroczyńców.

Stary szpieg dawno już nie żył, ale Devereaux znalazł potwierdzenie jego cynicznego wywodu w co najmniej pięćdziesięciu stolicach. Jego kraj, czy mu się to podoba, czy nie, był największą, potęgą świata. Kiedyś ten wątpliwy zaszczyt przypadła starożytnym Rzymianom. Oni jednak tępiłi przejawy nienawiści bezwzględna siłą oręża.

Przed stu laty rozgrywającym było imperium brytyjskie. Na nienawiść reagowało flegmatyczną pogardą. Teraz przyszła kolej na Amerykanów, a oni zachodzą w głowę, gdzie popełnili błąd. Jezuicki naukowiec i tajny agent w jednej osobie dawno już podjął decyzję. W obronie swojego kraju zrobi to, co uważa za słuszne, a o wybaczenie poprosi, kiedy stanie przed Stwórcą. Do tego czasu niech się mają na baczności wszyscy, którzy nienawdzą Ameryki.

W biurze czekał już na niego z ponurą miną Kevin McBride.

– Odezwał się nasz przyjaciel – powiedział. – Jest wściekły i panikuje. Podejrzewa, że ktoś wziął go na celownik.

– A niech go piorun strzeli – mruknął pod nosem Devereaux, nie mając bynajmniej na myśli skarżącego się podopiecznego, lecz Fleminga z FBI. – Niech go piekło pochłonie. Nie sądziłem, że się na to poważy, a już na pewno, że tak szybko.

Rozdział 22

Półwysep

Pomiędzy strzeżoną enklawą na wybrzeżu Republiki San Martin a maszyną stojącą na biurku McBride'a istniało bezpośrednie łącze komputerowe, zabezpieczone przed ewentualnym przechwytywaniem transmisji przez osoby niepowołane systemem niemożliwych do złamania cyberkodów PGP, tym samym, który wykorzystywany był przez Washingtona Lee, tyle że zalegalizowanym.

Devereaux przeczytał uważnie tekst nadesłanej z San Martin korespondencji. Autorem był przypuszczalnie szef ochrony hacjendy, Południowoafrykańczyk van Rensberg. Świadczył o tym przesadnie formalny styl, właściwy osobom, dla których angielski jest drugim językiem.

Znaczenie było jasne. Donoszono o małym samolocie Piper Cheyenne, który poprzedniego ranka pojawił się dwukrotnie nad posiadłością; najpierw przeleciał w kierunku Gujany Francuskiej, po dwudziestu minutach wrócił. W prawym oknie zaobserwowano błysk – prawdopodobnie słońce odbiło się w obiektywie aparatu fotograficznego – udało się również spisać numer rejestracyjny, kiedy maszyna na bardzo małej wysokości przelatywała nad przełęczą.

– Zidentyfikuj ten samolot, Kevin – warknął Deve-reaux. – Chcę wiedzieć, do kogo należy, kto nim lata, kto siedział wczoraj za sterami i kto był pasażerem. I pośpiesz się.

* * *

Cal Dexter wywołał w swoim anonimowym mieszkaniu na Brooklynie obie rolki filmu i ze wszystkich siedemdziesięciu dwóch klitek zrobił odbitki, powiększając je do maksymalnych rozmiarów, przy których rozdzielczość pozwalała jeszcze rozróżniać szczegóły. Z części oryginalnych klitek wykonał również slajdy, żeby wyświetlając je w razie potrzeby na zawieszonym na ścianie ekranie, dokładniej analizować dany fragment w większej skali. Z odbitek ułożył mapę, która pokryła od sufitu do podłogi całą jedną ścianę

salonu. Siedział przed tą mapą godzinami i patrzył, sięgając od czasu do czasu po stosowny slajd, żeby przyrzeć się bliżej jakiemuś wycinkowi. Na slajdach dokładniej i wyraźniej widać było detale, ścienna mapa pozwalała lepiej orientować się w całości.

Tego, kto zlecił przekształcenie bezludnego niegdyś półwyspu w niezdobytą i genialnie zaprojektowaną twierdzę, przedsięwzięcie musiało kosztować miliony. Bardzo pomogła mu natura. Ten jezioro łądu, jakby dosztukowany do rozciągającej się za nim wilgotnej dżungli, która porastała sporą część terytorium małej republiki, sterczał z linii brzegowej niczym trójkątne ostrze sztyletu, a dostępu do niego broniło od strony łądu wznoszące się na wysokość trzystu metrów pasmo sierry, które przed milionami lat wypiętrzyła jakaś pierwotna siła. Pasma to ciągnęło się przez całą szerokość nasady półwyspu i z obu końców opadało pionowymi klifami w błękitne morze. Nie było szans, żeby, przedarłszy się tutaj przez dżunglę, obejść je i dostać się tym sposobem na półwysep.

Od strony interioru opadała pod dość łagodnym kątem ku nadbrzeżnej nizinie gęsto porośniętymi zboczami. Od strony morza ziała niemal pionowa przepaść o ścianach wypłenionych z wszelkiej roślinności, nie wiadomo, czy przez naturę, czy ręką człowieka. Przypadkowy obserwator przebywający na terenie hacjendy, kierując lornetkę na tę nagą ścianę, dostrzegłby bez trudu każdego, kto próbowałby się spuścić z grani na zakazaną stronę.

Pasma wzgórz przecinała pojedyncza przełęcz, którą wiodł wąski szlak pnący się od strony łądu, a potem opadający ku posiadłości. Na samym szczycie szlak przegrodzony był szlabanem, obok stał budynek wartowni. Dexter zauważył go w ostatniej chwili, kiedy nad nim przelatowali, a wtedy było już za późno na reakcję.

Przystąpił do sporządzania listy niezbędnego ekwipunku. Dostanie się na półwysep nie będzie problemem. Wydostanie się stamtąd z obiektem, mając przeciwko sobie spore siły uzbrojonych strażników, graniczyło z niemożliwością.

* * *

– Należy do firmy czarterowej z Georgetown w Gujanie, dysponującej jednym samolotem i zatrudniającej jednego pilota – zameldował jeszcze tego wieczoru Kevin McBride. – Firma nazywa się Lawrence Aero Enterprises, a jej właścicielem i zarazem tym jedynym pilotem jest George Lawrence, obywatel Gujany. Firma działa legalnie i jest nastawiona na obsługę cudzoziemców, którzy chcą się przelecieć nad interiorem... albo, w naszym wypadku, nad wybrzeżem.

– Masz numer do tego pana Lawrence'a? – spytał Devereaux.

– Jasne. Proszę.

– Próbowałeś się z nim skontaktować?

– Nie. Musiałbym skorzystać z otwartej linii. Poza tym wątpliwe, czy chciałby udzielać informacji o swoim kliencie przez telefon komuś zupełnie obcemu. No i mógłby ostrzec tego klienta, że ktoś się nim interesuje.

– Masz rację. Musisz tam polecieć. Rejsowym samolotem. Niech Cassandra zabukuje ci bilet na najbliższy lot. Znajdź pana Lawrence’a. Zapłać mu, jeśli będzie trzeba. Dowiedz się, kim był nasz wścibski przyjaciel z aparatem i co tam robił. Mamy placówkę w Georgetown?

– Nie, po sąsiedzku. W Caracas.

– Komunikuj się ze mną przez bezpieczną linię w Caracas. Załatwię to z szefem tamtejszej placówki.

* * *

Cal Dexter, studiując swoistą fototapetę własnej produkcji, przeniósł wzrok z urwiska na półwysep El Punto. Równoległe do podnóża urwiska, przez dwie trzecie jego wynoszącej tysiąc pięćset metrów szerokości, biegł pas startowy. Cały teren lotniska – pas startowy, hangar, budynki warsztatów, składu paliwa, stacji generatorów i tak dalej – otaczało ogrodzenie z drucianej siatki.

Posiłkując się cyrklem i zakładając, że hangar ma trzydzieści metrów długości, Dexter przystąpił do obliczania i zaznaczania odległości między kluczowymi punktami. Wyszło mu, że same pola uprawne zajmują około trzech tysięcy akrów. Wszystko wskazywało na to, że z biegiem stuleci z pyłu nanoszonego przez wiatr i z ptasich odchodów powstała tu bardzo żyzna gleba, bo dostrzegał bujne łąki, na których pasły się stada bydła, oraz falujące na wietrze łany upraw. Ten, kto tworzył El Punto, dążył do pełnej samowystarczalności półwyspu odciętego od świata z jednej strony sierrą, a z pozostałych dwóch oceanem. Problem nawadniania rozwiązywał skrzący się strumień, który tryskał ze ściany urwiska, przepływał przez hacjendę i spadał kaskadą w morze. Był to zapewne końcowy odcinek jakiegoś ciekłu wodnego, który swoje źródło miał gdzieś na wyżynach interioru i docierał tu podziemnym korytem. Dexter zanotował sobie: „Może przepłynąć?”. Później skreślił te słowa. Próba przedostania się na półwysep nieznanym podziemnym tunelem bez uprzedniego rozpoznania tej drogi byłaby szaleństwem. Dobrze pamiętał, jak z duszą na ramieniu przeczołgiwał się przez pułapki wodne w tunelach Cu Chi, a one miały zaledwie kilka metrów długości. Ta tutaj ciągnie się pewnie całymi kilometrami, a na dodatek nie wiadomo, gdzie bierze swój początek.

Na końcu pasa startowego, oddzielone od niego drucianą siatką, znajdowało się osiedle około pięciuset małych białych chatynek, prawdopodobnie kwater mieszkalnych, poprzecinane siecią gruntowych uliczek. Dexter wypatrzył tam też kilka większych baraków, pewnie stołówek, i mały kościółek. Czyli była to swego rodzaju wioska, ale czemu taka wyludniona? Jeśli nawet założyć, że mężczyźni pracują na polach i w stodołach, to gdzie kobiety, gdzie dzieci? Przy chatkach nie było ogródków ani zwierząt domowych. Jak w kolonii karnej. Całkiem możliwe, że robotnicy pracujący u człowieka, którego ściga, nie robią tego z własnej, nieprzymuszonej woli.

Dexter przeniósł wzrok na główną, rolniczą część posiadłości. Pola uprawne, stada

zwierząt, stodoły, spichlerze i drugie osiedle niskich, białych budynków. Przed jednym stał umundurowany człowiek, co sugerowało, że to koszary personelu ochrony, strażników i nadzorców. Z wyglądu, liczby i wielkości tych kwater wynikało, że samych strażników jest około setki.

W pewnej odległości od tych domniemanych koszar wznosiło się pięć bardziej okazałych willi z ogrodami, zamieszkiwanych zapewne przez oficerów wyższych rangą i personel latający.

Fotografie i slajdy spełniły swoją funkcję. Ale do wyrobienia sobie poglądu o warunkach, w jakich przyjdzie mu działać, Dexterowi potrzebny był jeszcze trzeci wymiar oraz znajomość panujących w hacjendzie zwyczajów i obowiązujących tam procedur. Z trzecim wymiarem nie będzie kłopotu, wystarczy zbudować makietę półwyspu. Ale zapoznanie się ze zwyczajami i procedurami pociągało za sobą konieczność kilkudniowej obserwacji z ukrycia na miejscu.

* * *

Nazajutrz Kevin McBride wsiadł na waszyngtońskim lotnisku Dullesa na pokład samolotu rejsowego, lecącego bezpośrednio do Georgetown w Gujanie. Wylądował tam o czternastej. Szybko załatwił formalności na lotnisku i z walizką, w której miał wszystko, co potrzebne na jedną dobę pobytu, zajął miejsce w taksówce.

Bez problemu znalazł małe biuro firmy czarterowej Lawrence Aero Enterprises. Znajdowało się w bocznej uliczce odchodzącej od Waterloo Street. Na jego pukanie nikt nie reagował. Koszula nasiąkała powoli potem wyciskany przez wilgotny upał. Zajrzał do środka przez zakurzone okno i zapukał jeszcze raz.

– Tam nikogo nie ma, panie – usłyszał za plecami.

Obejrzał się. W głębokim cieniu sieni domu naprzeciwko siedział zasuszony staruszek wachlujący się palmowym liściem.

– Szukam George’a Lawrence’a – wyjaśnił McBride.

– Pan Anglik?

– Amerykanin.

Staruszek rozważał przez jakiś czas tę informację, jak gdyby dopuszczenie przed oblicze pana Lawrence’a, pilota czarterowego, zależało od narodowości petenta.

– Pański przyjaciel?

– Nie. Ja w sprawie wyczarterowania samolotu, ale widzę, że go nie zastałem.

– Od wczoraj go nie ma – powiedział stary. – Zgarnęli go i jeszcze nie wrócił.

– Kto go zgarnął, przyjacielu?

Stary wzruszył tylko ramionami, tak jakby zgarnianie sąsiadów było tutaj czymś zupełnie normalnym.

– Policja?

– Nie. Nie oni. Ci byli biali. Wynajętym samochodem przyjechali.

– Turyści... klienci? – drążył McBride.

– Kto ich tam wie – mruknął staruszek. Nagle się ożywił. – Niech pan spyta na lotnisku.

On tam trzyma swój samolot.

Piętnaście minut później złany potem Kevin McBride był z powrotem na lotnisku. Odszukał stanowisko prywatnych firm lotniczych i spytał o George'a Lawrence'a. I tym sposobem poznał Floyda Evansa. Inspektora Evansa z Komendy Policji miasta Georgetown.

Zawieziono go z powrotem do śródmieścia, tym razem radiowozem, i wepchnięto do klimatyzowanego biura, gdzie z miejsca poczuł się jak w rozkosznej, długo odwlekanej zimnej kąpieli.

– Co konkretnie robi pan w Gujanie, panie McBride? – spytał inspektor Evans, bawiąc się jego paszportem.

– Wpadłem na jeden dzień, żeby się trochę rozejrzeć, bo za miesiąc zamierzam przyjechać tutaj z żoną na urlop – odparł agent.

– W sierpniu? W sierpniu żar leje się tu z nieba. Znał pan pana Lawrence'a?

– Nie. Kumpel z Waszyngtonu dał mi jego adres. Powiedział, że to najlepszy pilot czarterowy i może mnie zabrać samolotem nad interior. Byłem u niego w biurze, żeby zapytać, kiedy ma wolne terminy. I to wszystko. Co ja takiego zrobiłem?

Inspektor zatrzasnął paszport i oddał go agentowi.

– Przyleciał pan dzisiaj z Waszyngtonu. Nie ma co do tego wątpliwości. Świadczy o tym bilet i stempel wjazdowy w paszporcie. Hotel Meridien potwierdza, że zarezerwował pan u nich pokój na jedną dobę.

– Panie inspektorze, wciąż nie rozumiem, po co mnie tu przywieziono. Wie pan, gdzie mogę znaleźć George'a Lawrence'a?

– A jakże. Wiem. W kostnicy naszego szpitala miejskiego. Wczoraj zabrało go z biura trzech mężczyzn, którzy podjechali tam wynajętym samochodem terenowym. Wieczorem zwrócili wóz do wypożyczalni i odlecieli. Czy te trzy nazwiska coś panu mówią, panie McBride? – Inspektor podsunął agentowi karteczkę. McBride przeczytał nazwiska. Wszystkie były fałszywe, sam je wymyślał.

– Przykro mi, ale nie, nic mi nie mówią. Co pan Lawrence robi w kostnicy?

– Nie żyje. Pewien sprzedawca warzyw udający się na targ znalazł go o świcie martwego w przydrożnym rowie na przedmieściach. Pan, rzecz jasna, był w tym czasie w powietrzu.

– To straszne. Nie znałem go, ale bardzo mi przykro.

– Tak, straszne. Straciliśmy naszego pilota czarterowego. Pan Lawrence stracił życie, a przy okazji osiem paznokci. Jego biuro przewrócono do góry nogami i zabrano stamtąd całą dokumentację z danymi dotychczasowych klientów. Jak pan myśli, panie McBride, czego mogli od niego chcieć porywacze?

– Nie mam pojęcia.

– No tak, zapomniałem. Pan jest tylko komiwojażerem, dobrze mówię? Doradzam zatem powrotny wojaż do Stanów, panie McBride. Jest pan wolny.

– Ci ludzie to zwyrodnialcy – wyrzucił z siebie wzburzony McBride; rozmawiał z Paulem Devereaux, korzystając z bezpiecznej linii łączącej placówkę w Caracas z Langley.

– Wracaj do domu, Kevin – powiedział jego zwierzchnik. – Spytam naszego przyjaciela z południa, co udało mu się ustalić, o ile w ogóle coś ustalił.

* * *

Paul Devereaux, wychodząc z założenia, że w jego fachu źródeł informacji nigdy za wiele, a biuro nie będzie się z nim raczej dzieliło wszystkimi swoimi perełkami, jak by to nakazywała braterska miłość, miał od dawna kultywowany kontakt w FBI.

Poprosił swoją „wtyczkę” o sprawdzenie w archiwalnych bazach danych, do jakich akt zaglądał zastępca dyrektora wydziału dochodzeniowego Colin Fleming od czasu, kiedy stało się głośno o chłopcu zamordowanym w Bośni. Z teczek figurujących w otrzymanym wkrótce potem wykazie jego uwagę przyciągnęła od razu ta, która była opatrzona kryptonimem MŚCICIEL.

Nazajutrz w biurze pojawił się zmęczony i wymięty po podróży Kevin McBride.

Wypoczęty i odprasowany Paul Devereaux, który jak zwykle od wczesnego ranka urzędował w swoim gabinecie, wręczył podwładnemu teczkę.

– To on – powiedział. – Nasz intruz. Rozmawiałem z przyjacielem z południa. Zgadza się, to jego trzy zbiry tak brutalnie potraktowały pilota czarterowego. Miałeś rację. To zwyrodnialcy. Ale teraz bardzo użyteczni zwyrodnialcy. Przykre, lecz prawdziwe.

Postukał palcem w teczkę.

– Kryptonim Mściciel. Wiek około pięćdziesiątki. Wzrost, budowa ciała... masz tu wszystko. Nawet krótką charakterystykę. Obecnie podaje się za obywatela Stanów Zjednoczonych Alfreda Barnes'a. To on wynajął nieszczęsnego pana Lawrence'a na przelot nad hacjendą naszego przyjaciela. A w aktach Departamentu Stanu figuruje kilku obywateli Stanów z paszportem na nazwisko Alfred Barnes, ale żaden nie odpowiada jego rysopisowi. Znajdź go, Kevin, i zneutralizuj. Żeby nam więcej nie wchodził w paradę.

– Mam nadzieję, że nie masz na myśli likwidacji.

– Nie, to zabronione. Mam na myśli identyfikację. Skoro ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem, to może mieć takich więcej. Ustal, pod jakim będzie próbował wjechać do San Martin. Potem daj cynk niezbyt sympatycznemu, ale bardzo skutecznemu pułkownikowi Morenowi z San Martin. On już załatwi resztę.

Kevin McBride wrócił do swojego pokoju i przestudiował zawartość teczki. Zdążył już poznać szefa tajnej policji Republiki San Martin. Obiło mu się o uszy, że każdy oponent dyktatora, który wpada w łapy tego człowieka, umiera, i to powolną, śmiercią. Akta Mściciela przeczytał z właściwą sobie uwagą.

* * *

W Nowym Jorku płomienie kończyły właśnie trawić paszport wystawiony na nazwisko Alfred Barnes. Dexter nie był do końca pewien, czy pozostawił po sobie ślad, ale kiedy przelatywali z pilotem czarterowym nad przełęczą w sierrze, napotkał wzrok patrzącego w górę człowieka. Byli tak nisko, że tamten mógł odczytać numer pipera. Na wszelki wypadek Alfred Barnes przestał istnieć.

Po ceremonii kremacji Dexter zabrał się do budowania makiety ufortyfikowanej hacjendy. Po drugiej stronie miasta, na Manhattanie, krótkowzroczna pani Nguyen Van Tran ślęczała nad trzema nowymi paszportami.

Był trzeci sierpnia dwutysięcznego pierwszego roku.

Rozdział 23

Głos

Jeśli czegoś nie można kupić w Nowym Jorku, to prawdopodobnie dlatego, że ta rzecz w ogóle nie istnieje. W materiał na stół na kobyłkach z blatem z calowej sklejki, który zajął niemal cały salon, Cal Dexter zaopatrzył się w składzie drewna.

Farby w dziesięciu rozmaitych kolorach i odcieniach na pomalowanie morza i lądu pochodziły ze sklepu z artykułami dla artystów plastyków. Z zielonego rypsu zakupionego w sklepie z tkaninami powstały pola uprawne i łąki; z drewnianych klocków domki i stodoły; imperium modelarskie dostarczyło drewna balsa, szybko schnącego kleju i kalkomanii z wzorami cegiełek, drzwi i okien.

Rezydencja zbiega na cyplu półwyspu powstała z klocków Lego, nabytych w sklepie z zabawkami, a reszta makiety z tego, co oferował magiczny magazyn zaopatrujący entuzjastów modelarstwa kolejowego.

Modelarze kolejowi nie poprzestają na torach, pociągach i semaforach, komponują całe krajobrazy, ze wzgórzami, dolinami, wykopami i tunelami, farmami i stadami bydła. W ciągu trzech dni Dexter odtworzył w skali całą hacjendę. Nie było tu tylko tego, czego nie mogło dostrzec z powietrza oko aparatu fotograficznego: pułapek, zamaskowanych dołów, szyfrowych zamków, kłódek, pełnej siły prywatnej armii, sprzętu, jakim dysponowała, oraz wnętrza.

Lista niewiadomych była długa i większości z nich nie dało się wyeliminować inaczej niż tylko metodą długotrwałej cierpliwej obserwacji. Ale zebrane do tej pory informacje pozwoliły Dexterowi na opracowanie wstępnego planu, obejmującego przedostanie się na półwysep, właściwą akcję oraz ewakuację. Potem wybrał się na zakupy.

Buty, tropikalne ubranie, żelazne racje żywnościowe, nożyce, najsilniejsza na świecie lorneta, nowy telefon komórkowy... Wypełniający się szybko plecak ważył na koniec prawie trzydzieści sześć kilogramów. A to nie było jeszcze wszystko; po niektóre artykuły uzupełniające musiał się wyprawiać do stanów o bardziej liberalnym prawie, innych szukał na

czarnym rynku, jeszcze inne kupował legalnie, ale ściągając na siebie zdziwione spojrzenia sprzedawców. Dziesiątego sierpnia był gotów, gotowe były też jego pierwsze dokumenty.

* * *

– Masz wolną chwilę, Paul?

Zza uchylających się drzwi wyrzała czerstwa twarz Kevina McBride'a. Devereaux dał podwładnemu znak ręką, że może wejść. McBride przyniósł ze sobą mapę północnego wybrzeża Ameryki Południowej, obejmującą obszar od Wenezueli po Gujanę Francuską. Rozpostarł ją na biurku przełożonego i postukał palcem we wciśnięty między rzeki Commini i Moroni trójkąt Republiki San Martin.

– Moim zdaniem wybierze drogę lądową – orzekł. – Powietrzna raczej odpada. San Martin City ma tylko jedno lotnisko, i to małe. Lądują na nim dziennie jedynie dwa samoloty linii lokalnych – jeden z Cayenne na wschodzie, jeden z Paramaribo na zachodzie. – Pokazał palcem stolicę Gujany Francuskiej i Surinamu. – To takie polityczne i gospodarcze zadupie – ciągnął – że odwiedzających je biznesmenów można policzyć na palcach jednej ręki, a turyści się nie uświadczą. Nasz człowiek to biały Amerykanin, z dokumentacji i zeznań tego nieszczęsnego pilota czarterowego znamy jego wzrost i budowę. Ludzie pułkownika Morena zatrzymaliby go natychmiast po opuszczeniu samolotu. Co więcej, musiałyby mieć ważną wizę, a żeby ją uzyskać, musiałyby odwiedzić jeden z dwóch istniejących konsulatów San Martin: w Paramaribo albo w Caracas. Wątpię, żeby zdecydował się na drogę powietrzną.

– Zgadzam się z tobą – przyznał Devereaux. – Ale mimo to Moreno powinien mieć lotnisko na oku dzień i noc. Może przecież spróbować prywatnym samolotem.

– Uczulę go na to. Teraz droga morska. Port jest tam tylko jeden; też w San Martin City. Nie zawijają do niego statki turystyczne; same handlowe, a i to nieliczne. Załogi składają się głównie z Hindusów, Filipińczyków i Kreolów; gdyby chciał zejść na ląd jako członek załogi albo pasażer, od razu rzuciłby się w oczy.

– A gdyby przybił do brzegu szybkim pontonem, gdzieś na odludziu?

– Owszem, istnieje taka możliwość, ale musiałyby ten ponton wynająć, ewentualnie nabyć albo w Gujanie Francuskiej, albo w Surinamie. Mógłby też przekupić kapitana jakiegoś frachtowca, żeby ten spuścił go z pokładu na wodę na pełnym morzu, w odległości, powiedzmy, trzydziestu kilometrów od lądu, potem dopłynąć do brzegu, porzucić ponton, przedziurawić go, zatopić. Ale co dalej?

– No właśnie, co? – mruknął Devereaux.

– Moim zdaniem będzie potrzebował sporego ekwipunku, który przecież swoje waży. Gdzie by się z tym wylądował na brzeg? W San Martin nie ma plaż. Jedyna znajduje się w Bahii, o, tutaj. Ale tam co krok to willa jakiegoś bogacza, pilnowana przez ochroniarzy, nocnych dozorców i psy. Resztę wybrzeża zarasta zbita gęstwa mangrowców, w której roi się od węży i kajmanów. Jak by się przedarł przez to piekło ze swoim majdanem? No dobrze,

założmy, że jakoś by sobie poradził. Dociera do głównej szosy wschód-zachód, i co dalej? Nie sądzę, żeby wybrał tę drogę, nawet gdyby był zielonym beretem.

– A gdyby od razu przybił pontonem do półwyspu naszego przyjaciela?

– Nie, Paul, odpada. Półwysep ze wszystkich stron chronią klify i silny przybój. Nawet gdyby udało mu się wdrapać na klif, to zwęszyłyby go albo usłyszały psy, z którymi strażnicy patrolują teren.

– Czyli stawiasz na drogę lądową. Od której strony?

McBride znowu posłużył się palcem.

– Przypuszczam, że od zachodu, z Surinamu, samochodem, na fałszywych papierach, na pokładzie promu pasażerskiego, który kursuje przez rzekę Commini do przejścia granicznego w San Martin.

– W tym wypadku też byłaby mu potrzebna wiza San Martin, Kevin.

– A gdzie ją załatwić, jeśli nie w Surinamie? Przecież tam znajdują się jedyne dwa konsulaty San Martin. I to chyba logiczne, że uzyskawszy wizę, wypożyczy na miejscu samochód i ruszy do San Martin.

– Co zatem proponujesz?

– Zaczniemy od nawiązania współpracy z ambasadą Surinamu tu, w Waszyngtonie, i z jego konsulem w Miami. Ich wizy też będzie potrzebował. Poproszę o wykaz osób, które starały się o wizę turystyczną w ciągu ostatniego tygodnia, oraz o informowanie mnie na bieżąco o każdym, kto o nią od teraz wystąpi. Wszystkich delikwentów będę sprawdzał w sekcji paszportowej Departamentu Stanu.

– Widzę, Kevin, że stawiasz wszystko na jedną kartę.

– Niezupełnie. Zdam się na swoje przecucie, które mówi mi, że nasz intruz załaduje swój ekwipunek do samochodu wynajętego w Surinamie i stamtąd będzie próbował wjechać do San Martin. Tamtejszemu przejściu granicznemu daleko do najbardziej uczęszczanego. A wschodnią granicę, lotnisko, port i wybrzeże niech bierze pod obserwację pułkownik Moreno ze swoimi *Ojos Negros*.

Devereaux uśmiechnął się, słysząc w ustach McBride'a to hiszpańskie określenie. Peoni z San Martin panicznie się bali tajnej policji swojego kraju i nazywali jej funkcjonariuszy „Czarnymi Oczami” z uwagi na noszone przez nich ciemne okulary. Pomyślał o pomocy, jaką Stany Zjednoczone ślą w tamtym kierunku. Nie było wątpliwości, że ambasada Surinamu pójdzie na pełną współpracę.

– Okej, akceptuję. Rób, jak mówisz. Ale się sprężaj.

– A co, mamy jakiś nóż na gardle, szefie? – zdziwił się McBride.

– Nawet nie wiesz jak ostry, przyjacielu.

* * *

Port Wilmington w stanie Delaware należy do największych i najruchliwszych na

wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Położony w ujściu rzeki Delaware, w zaciszu długiej i wąskiej zatoki o tej samej nazwie, łączącej go z Atlantykiem, obsługuje nie tylko wielkie oceaniczne liniowce, ale również tysiące małych jednostek żeglugi przybrzeżnej.

Carib Coast Ship and Freight Company była agencją spedycyjną pośredniczącą w pozyskiwaniu ładunków dla dziesiątek takich mniejszych statków, i wizyta pana Ronalda Proctora nikogo tam nie zdziwiła. Był przyjacielski, pogodny, przekonujący, a pod budynkiem biura stał jego wynajęty pikap ze sporych rozmiarów skrzynią zajmującą całą przestrzeń ładunkową.

Spedytor załatwiający pana Proctora nie miał powodu do powątpiewania w jego prawdomówność, zwłaszcza że klient, zapytany o dokumentację, przedstawił wszystkie wymagane papiery.

Paszport miał w najlepszym porządku, a do tego dyplomatyczny. Listy polecające i skierowanie wystawione przez Departament Stanu poświadczały, że Ronald Proctor, zawodowy dyplomata Stanów Zjednoczonych, oddelegowany zostaje na placówkę do ambasady swego kraju w Paramaribo w Surinamie.

– Koszty przeprowadzki pokrywa oczywiście rząd, ale żona namiętnie kolekcjonuje pamiątki z naszych podróży i niestety przekroczyliśmy o tę jedną skrzynię dopuszczalny limit. Wie pan, jakie potrafią być kobiety. Boże, czegoż to one nie zbierają.

– Wiem coś o tym – urzędnik pokiwał ze zrozumieniem głową. Nic tak nie zbliża mężczyzn jak obmawianie żon. – Za dwa dni w morze wychodzi frachtowiec płynący do Miami, Caracas i Parbo.

Użył skróconej wersji nazwy stolicy Surinamu, ale wiadomo było, o co chodzi. Przesyłka została nadana i opłacona. Skrzynia za dwa dni miała wypłynąć w morze, a za dwadzieścia znaleźć się w zaplombowanym magazynie w porcie Parbo. Jako ładunek dyplomatyczny zostanie wydana zgłaszającemu się po nią panu Proctorowi bez odprawy celnej.

* * *

Ambasada Surinamu w Waszyngtonie mieści się przy Connecticut Avenue 4301. Kevin McBride okazał legitymację wyższego rangą pracownika Centralnej Agencji Wywiadowczej i usiadł z przejętym urzędnikiem konsularnym, kierującym sekcją wizową. Nie była to najbardziej oblegana placówka dyplomatyczna w Waszyngtonie i wszystkie wnioski o wizę rozpatrywała jedna osoba.

– Podejrzewamy, że mężczyzna ten handluje narkotykami i ma konszachty z terrorystami – powiedział człowiek z CIA. – Jak dotąd, udaje mu się. Jego nazwisko nie ma znaczenia, bo występując o waszą wizę, jeśli w ogóle o nią wystąpi, na pewno poda fałszywe personalia. Mamy podstawy do przypuszczeń, że dla zmylenia śladów może podjąć próbę przedostania się najpierw do Surinamu, stamtąd do Gujany, a dopiero potem do Wenezueli, gdzie czekają na niego kumple.

– Ma pan jego fotografię? – spytał urzędnik.

– Niestety nie – McBride rozłożył bezradnie ręce. – W tym względzie również liczymy na waszą pomoc, jeśli się tu pojawi. Dysponujemy jedynie jego rysopisem.

Posunął po biurku kartkę z krótkim, mieszczącym się w dwóch wierszach opisem mężczyzny lat około pięćdziesięciu – wzrost sto siedemdziesiąt centymetrów, krępa budowa ciała, oczy niebieskie, włosy jasne.

McBride opuścił ambasadę Surinamu z kserokopiami dziewiętnastu wniosków o wizę do tego kraju, złożonych i rozpatrzonych w ciągu ostatniego tygodnia. Po trzech dniach sprawdzania ustalono, że wszyscy wnioskodawcy są praworządymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, a informacje, które podali we wnioskach złożonych w ambasadzie Surinamu, oraz zdjęcia w paszportach pokrywają się w pełni z tym, co wie na ich temat Departament Stanu.

Jeśli tajemniczy Mściciel z teczki, którą dał mu Devereaux, miał się objawić, to ten czas jeszcze nie nadszedł.

Inna sprawa, że McBride odwiedził niewłaściwy konsulat. Surinam nie jest krajem dużym, a już na pewno nie bogatym. Oprócz ambasady w Waszyngtonie i konsulatu w Miami ma jeszcze swoją placówkę dyplomatyczną w Monachium (ale już nie w stolicy Niemiec, Berlinie) oraz dwie w byłej potędze kolonialnej, Holandii – jedną w Hadze, drugą, większą, w Amsterdamie przy 11 De Cuserstraat.

To właśnie w tej ostatniej pani Amelie Dykstra, rodowita Holenderka na etacie holenderskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, sprawnie obsłużyła mężczyznę, który zgłosił się po wizę.

– Jest pan Brytyjczykiem, panie Nash?

W paszporcie, który miała przed sobą, stało czarno na białym, że pan Henry Nash faktycznie jest Brytyjczykiem, a ponadto biznesmenem.

– Jaki jest cel pańskiej wizyty w Surinamie? – ciągnęła pani Dykstra.

– Moja firma buduje nowe ośrodki wypoczynkowe – wyjaśnił Anglik. – Specjalizujemy się w nadmorskich hotelach turystycznych. Chcę zobaczyć, czy znajdzie się dla nas jakieś pole do popisu w waszym kraju, znaczy się w Surinamie. Potem jadę jeszcze do Wenezueli.

– Niech pan zacznie od Ministerstwa Turystyki – poradziła mu młoda Holenderka, której noga nigdy nie postąpiła w Surinamie.

Z tego, co po przeprowadzonym wcześniej rozpoznaniu wiedział o tym malarycznym wybrzeżu Cal Dexter, takie ministerstwo byłoby tam raczej przerostem optymizmu nad realiami.

– Właśnie tam zamierzam skierować pierwsze kroki po wylądowaniu, proszę pani.

Nadmienił jeszcze, że spieszony na ostami samolot odlatujący z lotniska Schiphol do Londynu, zapłacił trzydzieści pięć euro, odebrał wizę i wyszedł. Tak naprawdę nie leciał do Londynu, lecz do Nowego Jorku.

* * *

McBride ponownie wyruszył w podróż na południe, do Surinamu, z krótkim przystankiem w Miami. Na lotnisku w Parbo przesiadł się do czekającego nań samochodu z San Martin i pojechali na wschód. Do przeprawy promowej przez graniczną rzekę Commini czekała kolejka aut. Eskortujący McBride'a *Ojos Negros* przejechali bez ceremonii na jej początek, zarekwirowali prom i nie płacąc, kazali się wieźć na stronę San Martin.

W trakcie przeprawy McBride wysiadł z samochodu, żeby popatrzeć na brązową ciec spływającą ospale do akwamarynowego morza, ale chmary moskitów i wilgotny upał zmusiły go szybko do ponownego szukania ochłody w klimatyzowanym wnętrzu mercedesa. Po wargach tajnych policjantów wysłanych przez pułkownika Morena przemknęły uśmieški politowania, lecz ich oczy skryte za ciemnymi okularami pozostały bez wyrazu.

Od przejścia granicznego na rzece Commini do San Martin City było sześćdziesiąt pięć kilometrów jazdy wyboistą, dziurawą drogą. Po obu jej stronach pieniała się dżungla. Po lewej, na pewnym odcinku dżungla ustępowała miejsca moczarom, a te z kolei płataninie mangrowców, które porastały szerokim pasem wybrzeże, praktycznie uniemożliwiając dostęp do morza. Po prawej biegła zwarta ściana gęstego lasu deszczowego, który ciągnął się w głąb lądu aż po widły rzek Moroni i Commini i rozpełzał dalej, na terytorium Brazylii. Człowiek straciłby tam orientację po przebrnięciu niecałego kilometra, pomyślał McBride. Co pewien czas mijali wyloty odbiegających w busz drózek prowadzących przypuszczalnie do jakichś małych farm albo plantacji w pobliżu głównej drogi. Z niewielu pojazdów, które spotykali na trasie, większość stanowiły pikapy i poobtłukiwane land-rowery należące zapewne do lepiej sytuowanych farmerów, od czasu do czasu trafiał się też zdążający na targ rowerzysta z koszem produktów rolnych na bagażniku nad tylnym kołem.

Po drodze minęli kilkanaście małych wiosek i waszyngtończyka uderzyło, jak bardzo pod względem typu etnicznego różni się tutejszy wieśniak od swoich odpowiedników z Surinamu. Miało to swoją przyczynę. Inne potęgi kolonialne, zajmując i zasiedlając praktycznie bezludne obszary Ameryki Południowej, wybierały najpierw miejsce na posiadłość, a potem rozglądały się za siłą roboczą. Miejscowi Indianie, zwietrywszy pismo nosem, rozplywali się w dżungli jak duchy.

Większość kolonistów sprowadzała więc afrykańskich niewolników z posiadanych już majątków albo kupowała nowych z transportów, które napływały nieprzerwanym strumieniem z zachodniej Afryki. Współczesną populację tworzyli tam potomkowie owych nieszczęśników, w przeważającej mierze przemieszani genetycznie z Indianami albo z białymi.

Imperium hiszpańskie obejmowało niemal wyłącznie Nowy Świat, i na Afrykę się nie rozciągało. Na zajętych przez nie terenach o czarnych niewolników było trudno, lecz sytuację ratowały miliony bezrolnych meksykańskich peonów; zresztą z Jukatanu do Gujany

Hiszpańskiej było o wiele bliżej.

Przydrożnych wieśniaków, których McBride widział przez okno mercedesa, słońce spaliło na brąz, ale nie byli ani czarnymi, ani Kreolami. Cała siła robocza San Martin genetycznie pozostawała latynoska.

* * *

Szekspirowski Cezar wyraził życzenie, że chce być otoczony ludźmi otyłymi, bo miał ich za pogodnych i dobroduszych. Nie znał pułkownika Hernana Morena.

Człowiek, na którym ciążyło odpowiedzialne zadanie czuwania nad spokojnym snem nadętego, obwieszono medalami prezydenta Mufioza, lokatora pałacu na wzgórzu pod miastem stołecznym tej ostatniej bananowej republiki, był gruby jak ciężarna ropucha, ale dobroduszością nie grzeszył. O metodach, jakie stosował wobec podejrzanych o nieprawomyślność albo mogących mu udzielić informacji o tychże, mówiono tylko najciemniejszym szeptem w najciemniejszych kątach.

Podobno istniało w głębi kraju miejsce na takie przesłuchania, z którego nikt nie wracał. Topienie trupów w morzu, jak to czyniła argentyńska policja Galtieri, nie było konieczne; odpadało też kopanie grobów, wiążące się z mozolnym machaniem kilofem i łopatą. Nagie ciało, przywiązane za ręce i nogi do wbitych w ziemię palików i pozostawione w dżungli, przyciąga czerwone mrówki, a te potrafią w jedną noc zrobić z miękką tkanką to, na co normalnie natura potrzebuje miesięcy, a bywa, że lat.

Pułkownik Moreno zaprosił gościa z CIA na lunch do klubu jachtowego. Była to najlepsza, najbardziej ekskluzywna restauracja w mieście, a znajdowała się u podstawy portowego muru, i roztaczał się z niej widok na roziskrzone, błękitne fale. Wiatr od morza wygrywał tam wreszcie walkę z zaduchem wąskich uliczek.

W odróżnieniu od swego pracodawcy, szef tajnej policji unikał ostentacji, mundurów, medali i blichtru; na tę okazję przyobłókl swe pingwinowate kształty w czarną koszulę i czarny garnitur. Z sylwetki przypominał trochę McBride'owi Orsona Wellesa pod koniec życia, z twarzy podobny był bardziej do Hermana Göringa. Tak czy inaczej, trzymał twardą ręką ten mały, zabiedzony kraik.

Słuchał, nie przerywając. Wiedział bardzo dobrze, co łączy uchodźcę z byłej Jugosławii, który znalazł azyl w San Martin i mieszkał teraz w godnej pozazdrosczenia rezydencji na terenie hacjendy – w jej posiadanie Moreno sam kiedyś miał nadzieję wejść – z prezydentem. Wiedział, jak bajecznie bogaty jest uchodźca i ile płaci rocznie prezydentowi Muñozowi za gościnę i ochronę, choć tę ochronę w zasadzie sam sobie zapewniał.

Nie wiedział tylko, dlaczego najwyższe władze z Waszyngtonu postanowiły skojarzyć uchodźcę z tyranem. Ale to nie miało znaczenia. Serb wydał blisko pięć milionów dolarów na zagospodarowanie półwyspu i kolejne dziesięć na budowę rezydencji. Część materiałów trzeba było, rzecz jasna, importować, lecz połowę tych pieniędzy wydatkowano w samej

republice, przy czym pokaźny procent wartości każdego kontraktu wędrował do kieszeni pułkownika Morena.

Moreno zarobił również na dostarczeniu hacjendzie niewolniczej siły roboczej, a teraz pobierał prowizję od uzupełniania na bieżąco jej wykruszających się szeregów nowymi aresztantami i osadzonymi. Dopóki żaden peon nie uciekł ani nie wrócił stamtąd żywy, był to lukratywny i bezpieczny układ. Pracownik CIA nie musiał namawiać pułkownika do współpracy.

– Wystarczy, że postawi nogę na ziemi San Martin – wycedził Moreno – a będę go miał. Więcej go nie zobaczycie, ale przekażę wam wszystko, co mi wyśpiewa. Ma pan na to moje słowo.

W drodze powrotnej do przeprawy przez rzekę i czekającego w Parbo samolotu McBride rozmyślał o misji, do której przygotowywał się nieznanemu łowcy nagród; rozmyślał o licznych przeszkodach, jakie napotka, oraz o cenie niepowodzenia – śmierci z rąk pułkownika Morena i jego „czarnookich” specjalistów od zadawania bólu. Wzdrygnął się, i to wcale nie z zimna panującego w klimatyzowanym wnętrzu mercedesa.

* * *

Dzięki cudom współczesnej techniki Calvin Dexter nie musiał wracać do Pennington, żeby odsłuchać ewentualne wiadomości zarejestrowane przez automatyczną sekretarkę podłączoną do jego biurowego telefonu. Mógł to zrobić z dowolnej budki telefonicznej na Brooklynie. I zrobił. Piętnastego sierpnia. Większość wiadomości pozostawili ludzie, których głosy rozpoznawał, zanim ich właściciele zdążyli się przedstawić. Sąsiedzi, klienci szukający porady prawnej, miejscowi biznesmeni życzący mu przeważnie udanego wędkarskiego urlopu i pytający, kiedy wraca za swoje biurko.

Przedostatnia wiadomość sprawiła jednak, że omal nie wypuścił słuchawki z ręki. Zdrętwiały, przez dłuższy czas patrzył niewidzącymi oczami na sznur samochodów, przesuwały się za szklaną ścianą budki. Odwiesił w końcu słuchawkę, wyszedł z budki i przez godzinę snuł się ulicami, usiłując dociec, jak to możliwe, kto ujawnił jego nazwisko i kryptonim, i, co najważniejsze, czy ten anonimowy głos należał do przyjaciela, czy do zdrajcy.

Nie rozpoznał właściciela. Głos był bezbarwny, monotony, przytłumiony, jakby dochodził zza kilku warstw bibuły. Powiedział tylko: „Mścicielu, strzeż się. Wiedzą, że nadchodzisz”, i rozłączył się.

Rozdział 24

Plan

Po wyjściu profesora Medversa Watsona surinamski konsul jeszcze długo nie mógł ochłonać. Był tak skołowany, że mało brakowało, a nie umieściłby nazwiska uczonego na liście ubiegających się o wizę, którą miał wysłać na wskazany przez Kevina McBride'a prywatny adres miejski.

– *Callicore maronensis!* – wykrzyknął profesor spytany o cel podróży do Surinamu. Konsul wyraźnie nie kojarzył. Widząc jego niepewną minę, profesor Watson pogrzebał w neseserze i wydobyl dzieło Andrew Neilda *Motyle Wenezueli*.

– Widziano go tam, proszę pana! Typ „V”. Coś niebywałego!

Z rozmachem otworzył podręcznik na stronie z kolorowymi zdjęciami motyli, które konsulowi wydały się bardzo do siebie podobne, może tylko te drobne różnice w układzie plamek na tylnych skrzydełkach...

– Przedstawiciel *Limentidinae*, proszę pana. Podrodziny, rzecz jasna. Jak *Charaxinae*. Oba wywodzą się od *Nymphalidae*.

Stropiony konsul, chcąc nie chcąc, musiał wysłuchać wykładu o rodzinach, podrodzinach, rodzajach, gatunkach i podgatunkach motyli.

– Ale jakie ma pan względem nich zamiary? – spytał, kiedy prelekcja dobiegła końca.

Profesor Medvers Watson zatrzasnął z hukiem swój almanach.

– Chcę je sfotografować, drogi panie. Znaleźć i sfotografować. Zostały zaobserwowane, co do tego nie ma wątpliwości. Do tej pory zdarzało się spotykać w waszych dżunglach *Agrias narcissus*, ale żeby *Callicore mamnensis*? To zaiste historyczne odkrycie. I dlatego muszę się tam bezzwłocznie udać. Wie pan, jesienne monsuny za pasem.

Konsul przekartkował amerykański paszport. Dużo w nim było stempli z Wenezueli. Poza tym Brazylia i Gujana. Rozłożył pismo z nagłówkiem Smithsonian Institute. Profesora Watsona polecał gorąco szef wydziału entomologii, katedra motyli. Konsul pokiwał z namaszczeniem głową. Nauka, środowisko, ekologia, tak, to się liczy we współczesnym

świecie. Podstemplował wizę i oddał interesantowi paszport.

– Życzę pomyślnych łowów – powiedział z westchnieniem.

Na biurku pozostał list polecający, o którego zwrot profesor Watson nie poprosił.

Dwa dni później Kevin McBride wkroczył z szerokim uśmiechem do gabinetu Paula Devereaux.

– Chyba go mamy – oznajmił. Położył na biurku wypełniony formularz wizowy konsulatu Surinamu z przypiętą do niego paszportową fotografią ubiegającego się o wizę.

– No i co? – spytał Devereaux, przestudiowawszy dane wpisane do formularza.

McBride położył obok formularza list polecający.

– No i?

– To oszust. U nas nie wydano nigdy paszportu na nazwisko Medvers Watson. Departament Stanu jest tego pewien. Powinien był wybrać bardziej popularne imię. To od razu go pogrąża. Naukowcy ze Smithsonian nigdy o kimś takim nie słyszeli. Nikt z katedry motyli nie zna żadnego Medversa Watsona.

Devereaux patrzył na zdjęcie człowieka, który próbował, choć nieświadomie, sygnąć piaskiem w tryby jego tajnej operacji i w ten sposób stał się wrogiem. Okulary nadawały oczom sowiego wyglądu, a zmierzwiona kozia bródka rozmywała rysy twarzy.

– Dobra robota, Kevin. Genialna strategia. A co najważniejsze, skuteczna. Prześlij, z łaski swojej, wszystko, co masz, do San Martin. Pułkownik Moreno może już zaczynać.

– A władze Surinamu w Parbo?

– Ich nie powiadamiaj. Niech śpią spokojnie.

– Mogliby go aresztować już na lotnisku w Parbo. Chłopcy z naszej ambasady potwierdzają, że paszport jest fałszywy, Surinamczycy odsyłają faceta najbliższym samolotem pod eskortą dwóch marines, my zdejmujemy go tutaj na lotnisku, wsadzamy do paki i mamy człowieka z głowy.

– Posłuchaj, Kevin. Wiem, że to brutalne zagranie, bo znam reputację Morena. Ale jeśli nasz człowiek dysponuje worem dolarów, to może się wykupić od aresztowania w Surinamie. A nawet gdyby udało nam się ściągnąć go z powrotem do kraju, to następnego dnia wychodzi za kaucją i szukaj wiatru w polu. Znowu tracimy go z oczu.

– Paul, Moreno to zwyrodnialec. Najgorszemu wrogowi bym nie życzył dostania się w jego łapy...

– Nie wiesz, jak ważny dla nas wszystkich jest ten Serb. I jego paranoja. I jak niewiele czasu mu zostało. On musi mieć pewność, że nie wisi nad nim żadne zagrożenie, że jest całkowicie bezpieczny, bo inaczej zerwie układ, jaki z nim zawarłem.

– I w dalszym ciągu nie możesz mi powiedzieć, czego dotyczy ten układ?

– Przykro mi, Kevin. Jeszcze na to za wcześnie.

McBride wzruszył z rezygnacją ramionami.

– No to ja umyвам ręce. Bierzesz wszystko na swoje sumienie.

I to jest właśnie problem, pomyślał Paul Devereaux, kiedy znowu został sam i stojąc w oknie, patrzył na prześwitujący przez zieloną zasłonę liści Potomac. Czy zdoła przekonać swoje sumienie, że postępuje słusznie? Musi. Mniejsze zło, większe dobro.

Nieznajomy z fałszywym paszportem nie umrze łatwą śmiercią podczas snu, bezboleśnie. Ale sam, z własnej woli, zdecydował się wypłynąć na te niebezpieczne wody.

* * *

Był osiemnasty sierpnia, Ameryka rozpływała się w letnim upale i kto mógł, szukał ochłody nad morzem, rzekami, jeziorami, w górach. Na północnym wybrzeżu Ameryki Południowej, porośniętym parującymi dżunglami, wilgotność powietrza sięgała stu procent.

W porcie Parbo, położonym nad brązową rzeką Surinam, szesnaście kilometrów od jej ujścia do morza, w ciężkim jak wilgotny koc upale drzemały magazyny i nabrzeża. Zziajane bezpańskie psy szukały najgłębszego cienia, by z wywieszonymi językami przeczekać w nim godziny, które pozostały do zachodu słońca. Ludzie siedzieli pod obracającymi się ospale wentylatorami, które miesiły bezproduktywnie duszne nagrzane powietrze.

Głupcy zalewali się sokami, wodami mineralnymi i colami, które wzmagają tylko uczucie pragnienia i przyspieszają odwodnienie. Doświadczeni, idąc za przykładem budowniczych imperium brytyjskiego sprzed dwustu lat, pozostawali przy gorącej, mocno osłodzonej herbacie. Może to dziwić, ale lepszego sposobu na złagodzenie skutków upału nikt jeszcze nie wymyślił.

Dwutysięcznik *Tobago Star* podpełzł w górę rzeki, zacumował przy wyznaczonym nabrzeżu i czekał na zbawienny zmierzch. Kiedy zaszło słońce i trochę się ochłodziło, przystąpiono do rozładunku. Zapieczętowana skrzynia dyplomaty Stanów Zjednoczonych, Ronalda Proctora, powędrowała do ogrodzonej drucianą siatką sekcji magazynu, by czekać tam na odbiór.

* * *

Paul Devereaux od lat studiował zjawisko terroryzmu, a w szczególności jego charakterystyczne odmiany wywodzące się ze świata arabskiego i muzułmańskiego. Dawno już doszedł do wniosku, że powtarzane na Zachodzie opinie, jakoby terroryzm miał swoje korzenie w ubóstwie i braku perspektyw na poprawę losu, to wygodny i politycznie poprawny psychobelkot.

Od anarchistów z carskiej Rosji po IRA z tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, od Irgunu i Stera Gang po EOKA na Cyprze, od Grupy Baader-Meinhof w Niemczech, CCC w Belgii, Akcji Bezpośredniej we Francji, Czerwonych Brygad we Włoszech, Frakcji Czerwonej Armii w Niemczech, Rengo Sekigun w Japonii poprzez Świetlisty Szlak w Peru po współczesną IRA w Ulsterze albo ETA w Hiszpanii terroryzm rodził się i rodzi w umysłach wychowanych w dobrobycie, dobrze wykształconych, wywodzących się z klasy

średniej teoretyków o poważnie zachwianej osobowości i silnie rozwiniętej skłonności do pobjawiania samym sobie.

Devereaux wychodził z założenia, że ludzie, którzy każą komuś podłożyć bombę w zatłoczonej hali targowej, a potem napawają się rezultatem, mają jedną cechę wspólną: nieprzebrane pokłady nieukierunkowanej z początku nienawiści. Tę nienawiść mieli zapisaną w genach. Budziła się zawsze pierwsza; potem przychodziła kolej na szukanie dla niej celu, który zwykle udawało się znaleźć.

Motyw również był czymś wtórnym wobec nienawiści. Mogła nim być rewolucja bolszewicka, walka narodowyzwoleńcza w tysiącach wariantów tejże, od przyłączenia po secesję, mógł nim być antykapitalistyczny bunt, mógł nim być fanatyzm religijny.

Zawsze jednak najpierw budziła się nienawiść, a dopiero w dalszej kolejności wybierano dla niej przyczynę, cel, metody, na koniec zaś okraszano samousprawiedliwieniem. I zawsze znaleźli się tacy, którzy to kupowali.

Devereaux nie miał najmniejszej wątpliwości, że kierownictwo al-Kaidy jest modelowym wprost przykładem potwierdzającym jego teorię. Jej współzałożycielami byli przedsiębiorca budowlany z Arabii Saudyjskiej, który dorobił się milionów, oraz dyplomowany lekarz z Kairu. Nie warto było nawet dociekać, czy ich nienawiść do Amerykanów i Żydów ma podłoże rasistowskie, czy religijne. Ameryka i Izrael, choćby stawały na głowie, nie były w stanie ich ugłaskać ani zadowolić, chyba że zdecydowałyby się na samozagładę.

Devereaux był przekonany, że ludzi tych nie obchodzi zupełnie los Palestyńczyków. Naród ten dostarczał im tylko pretekstu i usprawiedliwienia dla podejmowanych działań. Nienawidzili jego kraju nie za to, co robił, ale za to, że w ogóle istniał.

Przypomniawszy sobie, jak siedział kiedyś ze starym brytyjskim szpiegiem przy stoliku w Whites, a za oknem trwała lewicowa demonstracja. Oprócz tych co zwykle siwowłosych brytyjskich socjalistów, do których wciąż nie docierało, że Lenin od dawna nie żyje, brali w niej też udział brytyjscy chłopcy i dziewczęta, którzy w przyszłości dorobią się własnych domów i będą głosowali na konserwatystów, oraz rzesze studentów z Trzeciego Świata.

– Oni nigdy wam nie odpuszczą, chłopcze – powiedział wtedy stary. – Nie liczcie na to, bo się rozczarujecie. Taki już wasz los. Wasz kraj jest bogaty... ich kraje biedne, silny... ich słabe, energiczny... ich pogrążone w marazmie, rozwijają się... ich drepczą w miejscu. Wystarczy, by jeden demagog wstał i krzyknął: „Amerykanie wszystko, co mają, wam ukradli”, i oni w to uwierzą. Podobnie jak szekspirowski Kaliban, ich sfrustrowani prowodyrzy patrzą w lustro i ryczą z wściekłości, niezadowoleni z tego, co tam widzą. Wściekłość przeradza się w nienawiść; nienawiść potrzebuje celu, przeciwko któremu będzie się mogła obrócić. To nie klasa robotnicza Trzeciego Świata pała do was nienawiścią; to ci pseudointelektualiści. Wybaczając wam, zadaliby kłam samym sobie. Jak dotąd ich nienawiść nie szuka jeszcze ujścia w zbrojnej agresji. Ale to tylko kwestia czasu. Kiedy ten czas nadejdzie, będziecie zmuszeni stoczyć walkę na śmierć i życie, a pochłonie ona nie dziesiątki,

lecz dziesiątki tysięcy ofiar.

Od tamtego dnia minęło trzydzieści lat i Devereaux widział teraz, że słowa starego Angola były prorocze.

Wypadki w Somalii, Kenii, Tanzanii, Adenie sprawiły, że jego kraj wciągnięty został niepostrzeżenie w nową wojnę, choć jeszcze mało kto zdawał sobie z tego sprawę.

Jezuita poprosił o skierowanie na pierwszą linię frontu i wysłano go na nią. Był teraz dowódcą i musiał działać. Z tej potrzeby działania zrodziła się Operacja Sokół. Ani myślał negocjować z UBL albo czekać na jego następne uderzenie i dopiero wtedy reagować. Był zdecydowany unieszkodliwić wroga swej ojczyzny, zanim to uderzenie nastąpi. Analogia z problemem moralnym ojca Heaney'a nasuwała się sama: zadać pchnięcie włócznią, nie czekając na atak uzbrojonego w nóż napastnika. Pozostawało pytanie: gdzie i kiedy? Nie żadne tam mniej więcej, żadne „gdzieś w Afganistanie”, lecz gdzie – z dokładnością do dziesięciu metrów, i kiedy – co do trzydziestu minut.

Devereaux wiedział, że uderzenie wisi w powietrzu. Wszyscy to wiedzieli. Dick Clarke z Białego Domu, Tom Pickard z centrali biura w Budynku Hoovera, George Tenet urzędujący piętro nad nim w Langley. Nawet na ulicach szeptało, że szykuje się „wielkie bum”. I tylko nikt nie wiedział, co to konkretnie będzie, z której strony nadciągnie ani gdzie i kiedy nastąpi, a zachodziła obawa, że okaże się to dopiero po fakcie, a wszystko przez idiotyczny przepis zakazujący pozyskiwania informacji od ludzi z zaszarganą kartoteką. Przez ten przepis oraz na skutek niechęci poszczególnych służb do dzielenia się zebranymi informacjami.

Paul Devereaux był tak zdegustowany kulejącą współpracą z większością rządowych agencji, że Operację Sokół przygotowywał praktycznie bez konsultacji z kimkolwiek. Lektura dziesiątek tysięcy stron opracowań poświęconych terroryzmowi w ogóle, a al-Kaidzie w szczególności, napełniała go niejasnym przecuciem, że islamscy terroryści nie zadowolą się tym razem uśmierceniem kilku Amerykanów, jak w Mogadiszu czy Dar es-Salam. Że UBL planuje atak, który pociągnie za sobą setki tysięcy ofiar. Że ziszcza się przepowiednia od dawna nieżyjącego Brytyjczyka.

Do osiągnięcia takiego efektu kierownictwu al-Kaidy potrzeba środków technicznych, których jeszcze nie ma, ale które od jakiegoś czasu stara się pozyskać. Devereaux wiedział, że afgańskie kompleksy jaskiniowe to nie zwyczajne dziury wykute w skale, lecz podziemne labirynty kryjące między innymi laboratoria, w których prowadzone są eksperymenty z bronią biologiczną i gazami bojowymi. Ale prace nad tymi środkami masowej zagłady nie były jeszcze na tyle zaawansowane, by obawiać się ich użycia na wielką skalę.

Dla al-Kaidy, podobnie jak dla wszystkich grup terrorystycznych na świecie, obiektem największego pożądanego był materiał rozszczepiamy. Każda z co najmniej tuzina tych zbrodniczych organizacji gotowa była do najwyższych poświęceń, do podjęcia wszelkiego ryzyka, byle tylko osiąść ten podstawowy składnik broni nuklearnej.

Ich celem nie było bynajmniej zbudowanie ultranowoczesnej, „czystej” głowicy bojowej,

o nie. Im prymitywniejsza, im „brudniejsza” w sensie promieniowania byłaby ta bomba, tym lepiej. Stosowna ilość pierwiastka promieniotwórczego, opakowana w stosowną ilość konwencjonalnego plastycznego materiału wybuchowego, może skazić śmiertelnie promieniowaniem obszar o powierzchni Nowego Jorku i na całe pokolenie uczynić go niezdatnym do zamieszkania. Nie licząc już trzech milionów osób, które wskutek napromieniowania zmarłyby rychło na raka.

Już od dekady trwała zacięta, kosztowna podziemna wojna. Jak dotąd Zachód, wspierany od niedawna przez Moskwę, był w niej górą i trwał. Przeznaczano ogromne sumy na wykup każdej drobiny uranu 235 i plutonu, wystawianej do sprzedaży na czarnym rynku. Byłe republiki sowieckie oddawały co do grama wszystko, co pozostało po Moskwie, lokalni dyktatorzy robili na tym kokosowe interesy. Ale dużo, o wiele za dużo materiału rozszczepialnego zwyczajnie zniknęło.

Wkrótce po założeniu w Langley swojej maleńkiej komórki antyterrorystycznej Paul Devereaux dokonał dwóch odkryć. Po pierwsze, dowiedział się, że sto funtów czystego, nadającego się do produkcji broni uranu 235 przechowywane jest w tajnym Instytucie Vinca w sercu Belgradu. Po upadku Miloszevicia Stany Zjednoczone podjęły negocjacje w sprawie odkupienia owego depozytu. Do skonstruowania jednej bomby wystarczyłaby zaledwie jedna trzecia tej masy, trzydzieści trzy funty, czyli piętnaście kilogramów.

Po drugie, doszło do jego uszu, że pewien bezwzględny serbski gangster i bliski współpracownik Miloszevicia chce się ewakuować, zanim grunt usunie mu się spod nóg. Człowiek ten potrzebował „przykrywkę”, nowych dokumentów, ochrony i miejsca, w którym mógłby się zaszyć. Devereaux zdawał sobie sprawę, że takim miejscem nie mogą być w żadnym wypadku Stany Zjednoczone. Ale mogła nim być jakaś bananowa republika... Devereaux zaproponował gangsterowi układ i wymienił cenę. Tą ceną była współpraca.

Zanim gangster opuścił Belgrad, z Instytutu Vinca skradziona została próbka uranu 235 wielkości paznokcia, a w protokole strat odnotowano, że zniknęło całe piętnaście kilogramów.

Przed sześcioma miesiącami Serb, za pośrednictwem handlarza broni Władimira Bouta, nawiązał kontakt z pewnym klientem i przekazał mu swoją próbkę wraz z dokumentami poświadczającymi, że ma pozostałe piętnaście kilogramów.

Próbka trafiła do chemika i fizyka al-Kaidy, Abu Khababa, jeszcze jednego wykształconego i fanatycznego Egipcjanina. Ten, aby rzetelnie ją przebadać, musiał opuścić w tajemnicy Afganistan i udać się do Iraku, gdzie znajdowała się niezbędna aparatura.

Irak prowadził własny program rozwoju broni jądrowej. Tam również istniało zapotrzebowanie na czysty uran 235, ale uzyskiwano go powolną, przestarzałą metodą z wykorzystaniem kalutronów, jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku w Oak Ridge w Tennessee. Próbka wywołała wielkie poruszenie.

Na cztery tygodnie przed puszczeniem w obieg tego przeklętego raportu sporządzonego

przez kanadyjskiego magnata, któremu przed laty zamordowano w Bośni wnuka, nadeszła wiadomość, że al-Kaida zdecydowała się ubić interes. Devereaux z trudem panował nad podnieceniem.

Musiał jednak czekać, aż przygotowania do decydującej rozgrywki związane zostaną na ostami guzik. Dopiero wtedy Serb przyjmie zaproszenie na spotkanie z Kawaherim, Atefem, Zubaydahem i fizykiem Abu Khababem w Peszawarze w Pakistanie i będzie miał okazję spłacić dług wdzięczności. Jeśli tego nie uczyni, zostanie pogrążony jednym telefonem do nieprzebierających w środkach i pro-alkaidowskich pakistańskich tajnych służb ISI. Zabierze ze sobą piętnaście kilogramów uranu, ale nie czystego. Będzie to nienadający się do produkcji broni izotop 238 stosowany jako paliwo w reaktorach, oczyszczony w trzech, a nie w wymaganych osiemdziesięciu ośmiu procentach.

Podczas tego decydującego spotkania Zoran Žilić podwoi niespodziewanie cenę i zagrozi, że jeśli nie zostanie zaakceptowana, wycofuje się z kontraktu. Devereaux zakładał w ciemno, że decyzja w takiej sprawie leży w gestii tylko jednego człowieka, i negocjatorzy będą się musieli z nim skonsultować.

Przebywający w Afganistanie UBL na pewno odbierze ten telefon. Zawieszony wysoko nad ziemią satelita podsłuchowy przechwyci rozmowę i przekaże do Narodowej Agencji Bezpieczeństwa współrzędne odbierającego ją człowieka, z dokładnością do trzech metrów.

Tylko czy człowiek po afgańskiej stronie pozostanie w tym miejscu dostatecznie długo? Czy będzie tam czekał na potwierdzenie, że stał się wreszcie właścicielem porcji upragnionego uranu, która umożliwi realizację jego zbrodniczych marzeń?

Atomowy okręt podwodny USS *Columbia*, krążący u wybrzeży Beludżystanu, otworzy wyrzutnię i odpali jeden pocisk manewrujący Tomahawk. Jego systemy: globalnej nawigacji (GPS – Global Positioning System), porównawczej analizy rzeźby terenu (TERCOM – Terrain Contour Matching) oraz cyfrowej korelacji zadanego rejonu celu (DSMAC – Digital Scene Matching Area Correlation) zaprogramowane zostaną już w trakcie lotu.

Te trzy współdziałające ze sobą systemy nawigacyjne naprowadzą pocisk z dokładnością do trzydziestu metrów kwadratowych na punkt, z którego rozmawiano przez telefon komórkowy z Peszawarem. Wszystko w tym kwadracie, włącznie z komórką i jej właścicielem czekającym na drugi telefon z Peszawaru, zostanie starte na pył. Największym problemem był dla Paula Devereaux uciekający czas. Chwila, w której Zoran Žilić będzie musiał wyruszyć w podróż do Peszawaru, zabierając po drodze Rosjanina, zbliżała się nieubłaganie. Nie wolno dopuścić, żeby Zoran wpadł w panikę i pod pretekstem, że ktoś nastaje na jego życie, zerwał układ. Mściciela trzeba powstrzymać i prawdopodobnie wyeliminować. Mniejsze zło, większe dobro.

* * *

Był dwudziesty sierpnia. Na płycie lotniska Paramaribo, po schodkach przystawionych do

samolotu holenderskich linii lotniczych KLM, który przyleciał bezpośrednio z Curaçao, zszedł mężczyzna. Nie był to jednak profesor Watson, na którego na wschodniej granicy czekał komitet powitalny.

Nie był to też amerykański dyplomata Ronald Proctor, na którego czekała w porcie skrzynia.

Był to brytyjski budowniczy ośrodków wypoczynkowych, Henry Nash. Okazując uzyskaną w Amsterdamie wizę, przeszedł bez kłopotu przez kontrolę celną i paszportową i pojechał taksówką do miasta. Kusiło go, żeby zatrzymać się w Torarica, najlepszym hotelu w mieście. Obawiał się jednak, że spotka tam autentycznych Brytyjczyków, wybrał więc Krasnopolsky przy Dominiestraat. Dostał pokój na ostatnim piętrze, z balkonem od wschodu. Wyszedł tam, żeby popatrzeć na miasto. Za jego plecami zachodziło słońce, lekki wiaterek powiewający na tej wysokości czynił wieczór znośnym. Daleko na wschodzie, za rzeką, do której było stąd prawie sto dwadzieścia kilometrów, czekały na niego dżungle San Martin.

Część 3

Rozdział 25

Dżungla

Amerykański dyplomata Ronald Proctor wypożyczył samochód, lecz nie w agencji wynajmu, tylko od osoby prywatnej, której anons znalazł w rubryce „Sprzedam”, przeglądając dział ogłoszeń miejscowej gazety.

Cherokee nie był pierwszej młodości, ale zadbany. Trochę go podrasować, co nowy użytkownik wyszkolony w amerykańskiej armii i tak planował, potem gruntowny przegląd, i nada się do celu, do którego miał posłużyć.

Układ, jaki zaproponował właścicielowi, był prosty i nie do odrzucenia. Wóz jest mu potrzebny tylko na miesiąc, do czasu kiedy ze Stanów dotrze na miejsce jego własna terenówka. Właściciel dostanie teraz dziesięć tysięcy dolarów gotówką. Jeśli pojazd wróci do niego nieuszkodzony przed upływem trzydziestu dni, pięć tysięcy odda.

Właścicielowi perspektywa zarobienia w jeden miesiąc, bez kiwnięcia palcem, pięciu tysięcy dolarów bardzo się spodobała. Amerykański dyplomata robił sympatyczne wrażenie, samochód za trzydzieści dni i tak do niego wróci, nie ma więc sensu zawracać sobie głowy zmianą dokumentów. Po co wywoływać fiskusa z lasu?

Proctor wynajął też garaż i pakamerę za targiem kwiatowo-warzywnym. Na koniec udał się do portu i odebrał skrzynię. Trafiła do garażu, gdzie jej zawartość została przepakowana do dwóch brezentowych plecaków. Od tego momentu Ronald Proctor po prostu przestał istnieć.

* * *

Dni w Waszyngtonie wlokły się niemiłosiernie, Paula Devereaux zżerały nerwy i ciekawość. Gdzie ten człowiek? Czy skorzystał już z wizy i jest w Surinamie? Czy zmierza już do celu?

Najprostszym sposobem na rozwianie wszelkich wątpliwości byłoby zwrócenie się z tymi pytaniami, za pośrednictwem ambasady amerykańskiej przy Redmondstraat, do władz

Surinamu, ale to obudziłoby ciekawość Surinamczyków. Chcieliby się dowiedzieć, co jest na rzeczy. Zatrzymaliby go sami i wzięli na spytki. Człowiek o kryptonimie Mściciel mógłby załatwić sobie wypuszczenie na wolność i zacząć wszystko od nowa. Serb, który już siedział jak na szpilkach przed zbliżającą się podróżą do Peszawaru, mógłby wpaść w panikę i zerwać układ. Tak więc Devereaux chodził z kąta w kąt, zżymał się i czekał.

* * *

Małeńki konsulat Republiki San Martin w Paramaribo uprzedzony został przez pułkownika Morena, że po wizę może się tam zgłosić Amerykanin podający się za kolekcjonera motyli. Mieli mu ją wydać od ręki i natychmiast poinformować o tym pułkownika.

Był dwudziesty czwarty sierpnia, a nikt o nazwisku Medvers Watson jakoś się jeszcze do nich nie zgłosił. Człowiek, na którego czekali, siedział tymczasem na tarasie kawiarni w śródmieściu Parbo, z torbą zawierającą jego ostatni nabytek.

Zakupił go w jedynym w mieście sklepie ze sprzętem kempingowym i myśliwskim Tackle Box przy Zwartem Hovenbrug Street. Przekraczając granicę jako londyński biznesmen Henry Nash, nie miał ze sobą niemal niczego, co było mu potrzebne. Ale po rozpakowaniu skrzyni dyplomaty i porannych zakupach mógł powiedzieć, że niczego mu już nie brakuje. Delektował się więc piwem Parbo ze świadomością, że następne nieprędko wypije.

* * *

Rankiem dwudziestego piątego sierpnia kolejka do przeprawy przez rzekę po stronie Surinamu – głównie miejscowi na rowerach, motocyklach i w pordzewiałych pikapach – posuwała się jak zawsze powoli, jak zawsze cięży moskity.

Stał w niej tylko jeden porządny samochód – czarny cherokee. Za kierownicą siedział biały mężczyzna w wygniezionej płóciennej marynarce o kremowym odcieniu, jasnym kapeluszu panama i okularach w grubej oprawie. Pocił się jak inni, opędzał od natrętnych moskitów i podjeżdżał kilka metrów do przodu, ilekroć prom łańcuchowy z kolejną partią, pasażerów ruszał ku drugiemu brzegowi rzeki Commini.

Po godzinie wjechał wreszcie na metalowy pokład promu. Zaciągnął ręczny hamulec, wysiadł i zapatrzył się na rzekę. Po stronie San Martin ustawił się na końcu kolejki sześciu samochodów czekających na odprawę.

Kontrola na przejściu granicznym po stronie San Martin była bardziej drobiazgowa, a wśród kilkunastu uwijających się jak w ukropie strażników wyczuwało się napięcie. Drogę w głąb kraju przegradzał pomalowany w pasy szlaban spoczywający na dwóch ustawionych tu niedawno, obciążonych cementem beczkach po ropie. Przez okno stojącego obok baraku widać było głowę urzędnika służb imigracyjnych, przeglądającego uważnie dokumenty. Surinamczycy udający się z wizytą do krewnych albo zamierzający kupić tu produkty rolne,

by odsprzedać je z zyskiem w Parbo, dziwili się pewnie, skąd ta zmiana, ale pokłady cierpliwości w Trzecim Świecie są niewyczerpane, a głód informacji prawie żaden. Siedzieli znowu i czekali. Zmierzchało już, kiedy cherokee podtoczył się do szlabanu. Żołnierz pstryknięciem palców dał do zrozumienia, że chce paszport, wziął go od Amerykanina i podał przez okno urzędnikowi.

Kierowca sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Pocił się obficie. Patrzył przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego. Od czasu do czasu zerkał ukradkiem na okienko baraku. Zerkając tak po raz któryś z rzędu, zauważył, że urzędnik imigracyjny prostuje się gwałtownie i sięga po słuchawkę telefonu. I tu podróżnemu z rzadką kozią bródką ostatecznie puściły nerwy.

Ryknął silnik, zazgrzytał wrzucany w pośpiechu bieg. Masywny czarny cherokee wyrwał z kopyta. Potrącony bocznym lusterkiem żołnierz odleciał w bok, fragmenty pomalowanego w pasy szlabanu poszybowały w powietrze, cherokee rozpaczliwym manewrem ominął stojące po drugiej stronie przejścia ciężarówkę i pomknął w zapadający zmierzch.

Na przejściu zakotłowało się. Odlamek staranowanego szlabanu uderzył oficera armii w twarz. Urzędnik imigracyjny wybiegł z baraku, krzycząc i wymachując amerykańskim paszportem profesora Medversa Watsona.

Dwóch zbirów z tajnej policji pułkownika Morena, którzy stali dotąd w baraku za plecami urzędnika, wybiegło za nim z dobytymi pistoletami. Po chwili jeden z nich wpadł z powrotem do baraku i połączywszy się z położoną siedemdziesiąt kilometrów dalej na wschód stolicą kraju, zaczął wrzeszczeć do słuchawki.

Kilkunastu żołnierzy poganianych przez trzymającego się za złamany nos oficera załadowało się błyskawicznie na skrzynię oliwkowej ciężarówkę i ruszyło w pościg. Tajni policjanci podbiegli do swojego niebieskiego landrowera i ruszyli za nimi. Ale cherokee był już za drugim zakrętem i pędził na złamanie karku przed siebie.

* * *

Zamrugła lampka stojącego na biurku Kevina McBride'a telefonu gorącej linii łączącej Langley z biurem pułkownika Morena w San Martin City. McBride odebrał, słuchał chwilę, notując, zadał kilka pytań, znowu coś zanotował. Potem odłożył słuchawkę i poszedł do Paula Devereaux.

– Mają go – oznajmił.

– Pod kluczem?

– Prawie. Tak jak przewidywałem, próbował się dostać do San Martin z Surinamu przez rzekę. Musiało go spłoszyć przesadne zainteresowanie jego paszportem albo straż graniczna za bardzo przejęła się rolą. Tak czy inaczej, staranował szlaban, i tyle go widzieli. Pułkownik Moreno twierdzi, że im nie ujdzie. Po obu stronach szosy gęsta dżungla, na szosie patrole. Zapewnia, że do rana będą go mieli.

– Biedaczysko – mruknął Devereaux – doprawdy powinien był zostać w domu.

Optymizm pułkownika Morena okazał się mocno przesadzony. Poszukiwania zbiega zajęły dwa dni. I nie wiadomo, ile jeszcze by potrwały, gdyby nie obywatelska postawa pewnego farmera mieszkającego w buszu, trzy kilometry od głównej szosy, przy bocznej drodze, która wrzynała się w dżunglę po prawej.

Człowiek ten zeznał, że poprzedniego wieczoru, siedząc w swojej chacie, usłyszał ryk potężnego silnika, a jego żona zobaczyła przez okno duży, prawie nowy samochód terenowy, pędzący drogą w głąb dżungli.

Pomyślał sobie, że to pewnie wóz rządowy, bo żaden farmer ani myśliwy nie mógłby nawet marzyć o sprawieniu sobie takiego cacka. Ale kiedy minęła doba, a samochód nie wracał, coś go tknęło. Doszedł piechotą do głównej drogi, zatrzymał pierwszy przejeżdżający patrol i podzielił się z funkcjonariuszami swoimi obawami.

Żołnierze znaleźli cherokee. Półtora kilometra za zagrodą farmera droga się urywała. Kierowca próbował przedzierać się dalej przez las deszczowy na przełaj, ale wjechał nieopatrznie w jakiś jar i utknął w nim pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Głębokie bruzdy pod tylnymi kołami świadczyły, że usiłował wycofać się z pułapki, lecz działając w panice, pogorszył tylko swoją sytuację. Żeby wyciągnąć samochód z jaru i obrócić go przodem do głównej szosy, trzeba było sprowadzić z miasta dźwig samojezdny. Na miejsce przybył sam pułkownik Moreno. Obejrzał zrytą ziemię, połamane gałązki i zdeptane pnącza.

– Ściągnąć tropicieli – warknął. – Z psami. Cherokee i wszystko, co w nim jest, do mojego biura. Wykonać.

A tymczasem zapadła noc. Tropicielami byli zwyczajni wieśniacy. Bali się panicznie ciemności, pod osłoną których grasują duchy lasu. Zaczęli dopiero nazajutrz, o świcie, i w południe znaleźli zbiega.

Towarzyszący im człowiek pułkownika Morena miał przy sobie telefon komórkowy. Moreno odebrał w swoim gabinecie. Trzydzieści minut później do gabinetu Paula Devereaux wkroczył Kevin McBride.

– Znaleźli go. Nie żyje.

Devereaux zerknął na biurkowy kalendarz. Dwudziesty siódmy sierpnia.

– Powinieneś tam polecieć – powiedział.

McBride jęknął.

– To naprawdę konieczne, Paul? Znowu tłuc się taki kawał drogi...

– Załatwię ci samolot firmowy. Będiesz na miejscu jutro rano. Nie tylko ja chcę mieć pewność, że te cholerne komplikacje mamy już za sobą. Żylić też musi w to uwierzyć. Leć tam, Kevin. Przywróć nam obu spokój ducha.

* * *

Człowiek, o którym Langley wiedziało tylko, że posługuje się kryptonimem Mściciel,

wypatrzył tę odbiegającą od głównej szosy drogę z pipera, którym jakiś czas temu przelatywał nad tymi okolicami. Na siedemdziesięciokilometrowej trasie ze stolicy do rzeki Commini takich bocznych drózek wcinających się w dżunglę naliczył kilkanaście. Każda prowadziła do jednej, góra dwóch małych plantacji lub farm, po czym się urywała.

Nie przyszło mu wtedy do głowy, żeby fotografować je z lotu ptaka, ale wryły mu się w pamięć. Skręcił teraz w trzecią, licząc od przeprawy przez rzekę, zwolniwszy zawczasu, żeby nie pozostawić widocznych śladów gwałtownego hamowania. Miał niecały kilometr przewagi nad pościgiem i mógł sobie na to pozwolić. Wjechał kilkadziesiąt metrów w dżunglę, zatrzymał wóz i zgasił silnik. Po chwili do jego uszu dobiegł szum przejeżdżającego szosą pościgu.

Na pierwszym biegu, z włączonym napędem na cztery koła, bez trudu dotoczył się do farmy. Potem było już gorzej, tym bardziej że robiło się ciemno. Wjechał jeszcze półtora kilometra w gęstą dżunglę, wysiadł i rozejrzał się. Wypatrzył w pobliżu jakiś jar i zepchnął tam wóz. Zostawił w środku to, co mieli znaleźć tropiciele, resztę zabrał. Sporo ważyła. Upał nie folgował nawet po zapadnięciu nocy. Z nastaniem ciemności dżungla ożywa. Zewsząd dochodzą jakieś szelesty, pomrukiwania, ryki, ale duchów w niej nie ma.

Z latarką w ręku, torując sobie drogę jedną z maczet i zerkając co chwila na kompas, maszerował jakiś czas na zachód, potem skręcił na południe. Półtora kilometra dalej porzucił drugą część tego, co mieli znaleźć ścigający. Odciążony, z jednym małym plecakiem, butelką wody, latarką i drugą maczetą, ruszył dalej w kierunku rzeki.

Do brzegu Commini, spory kawał w górę rzeki od przejścia granicznego i promu, dotarł o świcie. Na drugą stronę przeprawił się na granatowym dmuchanym materacu. Leżał na nim na brzuchu i wiosłował obiema rękami. Raz wyciągnął je odruchowo z wody, kiedy drogę przeciął mu jadowity wąż wodny. Ale gad łypnął tylko na niego paciorkowatym, pozbawionym powieki ślepkim i spłynął dalej z nurtem.

Po godzinie wiosłowania i walki z prądem przybił do brzegu po stronie Surinamu. Wierny materac pociął nożem i zatopił. Słońce stało już wysoko, kiedy utyłana w błocie, ociekająca wodą postać pokąsana przez moskity i oblepiona pijawkami wygramoliła się na pobocze szosy do Parbo i chwiejnym krokiem powlokła przed siebie. Osiem kilometrów dalej zabrał go na łebka życzliwy handlarz z targowiska, dzięki czemu do odległej jeszcze o osiemdziesiąt kilometrów stolicy dojechał wygodnie na skrzyni ciężarówki wyładowanej arbuzami.

Nawet poczciwcy z Krasnopolsky'ego postawiliby oczy w słup, widząc angielskiego biznesmena w takim stanie, przebrał się więc i umył w wynajętym garażu, za pomocą gazowej zapalniczki oczyścił z pijawek i wrócił do hotelu na lunch. Zjadł stek z frytkami, wypił kilka butelek parbo i położył się spać.

* * *

Pod skrzydłami firmowego leara lecącego na wysokości dziewięciu tysięcy metrów z jedynym pasażerem w osobie Kevina McBride'a na pokładzie przesuwało się wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. „Oto sposób podróżowania – myślał sobie McBride – do którego naprawdę skłonny byłbym przywyknąć”.

Uzupełnili paliwo w bazie sił powietrznych Eglin na północy Florydy, potem jeszcze raz na Barbadosie. Na lotnisku w San Martin City czekał samochód, który zawiózł człowieka z CIA do kwatery tajnej policji pułkownika Morena w palmowym gaju na przedmieściach miasta.

Tłusty pułkownik czekał na gościa w swoim gabinecie z butelką whisky.

– Dla mnie chyba ciut za wcześnie, pułkowniku – powiedział McBride.

– Bzdura, przyjacielu, na toast nigdy nie jest za wcześnie. Bierz pan kieliszek... Zdrowie. Śmierć naszym wrogom.

Wypili. O tej godzinie i w tym upale McBride wołałby dobrą kawę.

– Co pan dla mnie ma, pułkowniku?

– Małą wystawę. Zaraz ją panu pokażę.

Z gabinetem sąsiadowała salka konferencyjna, w której urządzono ponurą „wystawę”. Jeden duży eksponat, przykryty białym prześcieradłem, spoczywał na stojącym pośrodku długim stole. Na czterech mniejszych stołach dosuniętych do ścian wyłożono kolekcje rozmaitych przedmiotów. Właśnie od jednego z tych mniejszych pułkownik Moreno zaczął swoją prezentację.

– Mówiłem już panu, że nasz przyjaciel, pan Watson, wpadł w panikę, zaczął uciekać główną szosą, potem skręcił w boczną drogę i próbował przejechać samochodem przez dżunglę? Tak? Nie do pomyslenia. Zarył się swoją terenówką w pierwszym napotkanym jarze i nie mógł ruszyć. Wóz stoi teraz na dziedzińcu, pod tymi oknami. Oto część tego, co w nim zostawił.

Na stole numer jeden wyeksponowano robocze ubranie, zapasowe buty, kubki, moskitierę, tubkę z maścią przeciwko ukąszeniom owadów i buteleczkę z tabletkami do oczyszczania wody. Na stole numer dwa leżał zwinięty namiot, kołki do niego, lampa kempingowa, brezentowa miednica na trójnogu oraz rozmaite przybory toaletowe.

– Nie widzę tu nic, czego sam nie zabrałbym ze sobą, wybierając się pod namiot – skomentował McBride.

– Otóż to, przyjacielu. Prawdopodobnie zamierzał przyczaić się na jakiś czas w dżungli przy drodze z El Punto i czekać tam na swój obiekt. Ale ten obiekt, opuszczając półwysep, bardzo rzadko korzysta z drogi, a jeśli już, to bierze opancerzoną limuzynę. Nasz zabójca nie był orłem w swoim fachu. Tak czy inaczej, porzucając swój sprzęt, zostawił również to. Może było za ciężkie.

Pułkownik przeszedł do stołu numer trzy i ściągnął prześcieradło okrywające kolejny eksponat. Oczom McBride'a ukazał się remington 3006 z ogromnym celownikiem optycznym

Rhino i pudełko amunicji. Takie karabiny sprzedawano w amerykańskich sklepach rusznikarskich jako broń myśliwską, co wcale nie znaczyło, że nie można z niego rozwalić w drobny mak głowy człowiekowi.

– A więc – podjął z namaszczeniem grubas, delektując się przenikliwością swoich dedukcji – wasz człowiek porzuca samochód i osiemdziesiąt procent ekwipunku. Rusza dalej piechotą, prawdopodobnie kierując się w stronę rzeki. Ale nie zna dżungli. Skąd to wiem? Nie miał ze sobą kompasu. Po przejściu trzystu metrów stracił orientację i zamiast podążać dalej na zachód, w stronę rzeki, skręcił na południe w gęstsza dżunglę. To wszystko wałało się na ziemi, tam gdzie go znaleźliśmy.

Na ostatnim stole leżała manierka na wodę (pusta), kapelusz, maczeta i latarka. Poza tym wojskowe buty na grubej podeszwie, strzępy spodni i koszuli w barwach ochronnych, porwana płócienna marynarka, skórzany pasek z mosiężną sprzączką i przytroczonym do niego nożem w pochwie.

– To wszystko, co miał przy sobie, kiedy go znaleźliście?

– To wszystko, co miał przy sobie, kiedy umarł. Zdjęty paniką nie zabrał tego, co w pierwszym rzędzie powinien... karabinu. Może zdołałby się obronić, gdyby go miał.

– Mam przez to rozumieć, że pańscy ludzie dopędzili go i zastrzelili?

Pułkownik Moreno wyrzucił w górę obie ręce gestem oburzonego niewiniątka.

– My? My mielibyśmy go zastrzelić? Bezbronnego? Skądże znowu. Chcieliśmy dostać go żywego. Nie, nie. On nie żył już o północy tego samego dnia, w którym uciekł z przejścia granicznego. Ludzie, którzy nie znają dżungli, nie powinni się w nią zapuszczać. Do tego nieodpowiednio wyposażeni, nocą, ogarnięci paniką. To pewne samobójstwo. Proszę spojrzeć. – Teatralnym ruchem ściągnął prześcieradło ze środkowego stołu. Szkielet przywieziono z dżungli w plastikowym worku, na nogach tkwiły buty, z żeber zwisały strzępy materiału. Ze szpitala wezwano lekarza, żeby poukładał kości w należyтым porządku. Trup, a raczej to, co z niego zostało, obrany został do czysta ze skóry, ciała, nawet szpiku. – Klucz do wyjaśnienia tego, co zaszło, znajduje się tutaj. – Pułkownik Moreno postukał palcem w prawą kość udową złamaną w połowie długości. – Z tego można wydedukować przebieg zdarzeń, przyjacielu. Biegł, gnany paniką. Tylko z latarką, na oślep, bez kompasu. Półtora kilometra od porzuconego samochodu zaczepił nogą o jakiś wystający korzeń, niewidoczny kikut drzewa, splątana lianę. Upadł. Pstryk. Noga złamana. Nie może już biec, nie może iść, nie może się nawet czołgać. Nie ma karabinu, a więc nie może wezwać pomocy. Może tylko krzyżeć, lecz co to da? Wie pan, że w naszych dżunglach żyją jaguary? No więc, żyją. Niewiele ich, ale jeśli siedemdziesiąt kilogramów świeżego mięsa samo się naprasza dzikimi wrzaskami, to rosna szansa na to, że jaguar je znajdzie. I znalazł. Kończyny były porzrzućane po całej polance. Zwierzaki miały tam niezłą wyzerkę. Świeże mięso lubi szop. Puma też. Z nastaniem dnia ściągają leśni padlinożercy. Widział pan kiedyś, jak potrafią obrobić trupa? Nie? To powiem panu, że dokładnie. No, a na samym końcu do dzieła przystępują czerwone mrówki.

To najfantastyczniejsze czyścicielki, jakie, stworzyła natura. Pięćdziesiąt metrów od szczątków znaleźliśmy ich mrowisko. Wysłały swoich zwiadowców. Nie widzą, ale mają niezrównany węch; a on po dwudziestu czterech godzinach musiał już śmierdzieć jak diabli. Wystarczy?

– Wystarczy – mruknął McBride. Wcześniej, niewcześniej, ale wychyliłby drugą whisky.

Wrócili do gabinetu pułkownika, gdzie tajni policjanci wyłożyli tymczasem kilka mniejszych przedmiotów. Zegarek w stalowej kopercie z wygrawerowanymi na spodzie literami MW. Sygnet bez inskrypcji.

– Portfela nie ma – powiedział pułkownik. – Jeśli był ze skóry, mógł go capnąć któryś z drapieżników. Ale w jednym z butów znaleźliśmy to.

Położył na biurku amerykański paszport na nazwisko Medvers Watson. W polu „zawód” wpisane było „profesor”. Ze zdjęcia patrzyła ta sama twarz, którą McBride znał z wniosku wizowego: okulary, rzadka kozia bródka, trochę gapowaty wyraz twarzy. Przemknęło mu przez myśl, że nikt już nigdy nie zobaczy Medversa Watsona, i poniekąd się nie mylił.

– Mogę się skontaktować z moim waszyngtońskim zwierzchnikiem?

– Ależ proszę się nie krępować – powiedział pułkownik Moreno. – Zostawię pana samego.

McBride wyjął z nesesera laptop i wystukawszy sekwencję liczb, która zapobiegnie przechwyceniu transmisji przez osoby niepowołane, wywołał Paula Devereaux. Czekał z podłączonym do laptopa telefonem komórkowym na zgłoszenie się szefa.

Streścił przełożonemu, co usłyszał od pułkownika Morena, i zrelacjonował pokrótce to, co sam widział. Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

– Wracaj – odezwał się w końcu Devereaux.

– Nie ma sprawy – odparł McBride.

– Moreno może sobie zatrzymać wszystkie zabawki z karabinem włącznie, lecz paszport niech ci odda. Chcę go obejrzeć. Aha, i jeszcze jedno.

McBride słuchał przez chwilę.

– Co... co takiego?!

– Rób, co mówię, Kevin. Bez gadania.

McBride powtórzył pułkownikowi, co mu polecono. Tłusty szef tajnej policji obruszył się.

– Już? Myślałem, że dłużej pan u nas zabawi. Może zjemy lunch na moim morskim jachcie? Świeże kraby? Zimne przekąski? Nie? No, trudno... tak, paszport, oczywiście. A reszta... – wzruszył ramionami – resztę też może pan zabrać.

– Powiedziano mi, że paszport wystarczy.

Rozdział 26

Zmyłka

Dwudziestego dziewiątego sierpnia McBride był z powrotem w Waszyngtonie. Tego samego dnia w Paramaribo Henry Nash, legitymujący się paszportem wydanym przez ministra spraw zagranicznych Jej Królewskiej Mości, wkroczył do konsulatu Republiki San Martin i poprosił o wizę.

Konsul z jednoosobowego biura nie widział przeciwwskazań. Co prawda przed kilkoma dniami było małe zamieszanie z jakimś człowiekiem ściganym przez prawo, który próbował wjechać do jego ojczyzny, ale alarm został już odwołany. Tamten człowiek nie żył. Wydał wizę wjazdową.

* * *

Sierpień ma to do siebie, że niczego nie załatwisz od ręki, nawet w Waszyngtonie, nawet jeśli nazywasz się Paul Devereaux. Wymówka była zawsze ta sama: „Przykro mi, proszę pana, ale nie ma go. Jest na urlopie. Wraca w przyszłym tygodniu”. I tak z sierpnia zrobił się powoli wrzesień.

Dopiero trzeciego września Devereaux otrzymał pierwszą z dwóch odpowiedzi, na które z takim napięciem czekał.

– To chyba najlepsza podróbka, jaką widziałem – orzekł człowiek z wydziału paszportowego Departamentu Stanu. – W zasadzie sam paszport był kiedyś autentyczny i wydrukowany przez nas. Ale jakiś ekspert usunął dwie najważniejsze strony i wstawił w ich miejsce dwie takie same strony z innego paszportu. Chodzi o strony ze zdjęciem i z nazwiskiem Medvers Watson. Nam taka osoba nie jest znana. Paszport o takim numerze też nie został nikomu wydany.

– Czy właściciel tego paszportu mógłby swobodnie opuszczać Stany i do nich wracać? – spytał Paul Devereaux. – Jest na tyle dobrze podrobiony?

– Opuszczać, owszem – odparł ekspert. – Pasażerów odlatujących legitymuje tylko

personel linii lotniczych. Co do powrotów... istniałoby ryzyko, że urzędnikowi służb imigracyjnych przyjdzie do głowy sprawdzić numer w bazie danych. Komputer odpowiedziałby: Nie ma takiego numeru.

– Mogę dostać ten paszport z powrotem?

– Przykro mi, panie Devereaux. Chętnie wam pomagamy, ale ten majstersztyk wędruje do naszego Czarnego Muzeum. Posłuży jako cenna pomoc dydaktyczna w szkoleniu naszych pracowników.

W dalszym ciągu jednak nie było odpowiedzi z oddziału medycyny sądowej kliniki w Bethesdzie, gdzie Devereaux miał kilka sprawdzonych kontaktów.

* * *

Czwartego września Henry Nash, z jedną walizką letnich ubrań i przyborów toaletowych oraz brytyjskim paszportem z wbitym w niego wizą Republiki San Martin, wjechał małym, nierzucającym się w oczy wynajętym samochodem na pokład promu kursującego przez rzekę Communi.

Jego brytyjski akcent nie zwiódłby może absolwenta Oxfordu albo Cambridge, ale wśród holenderskojęzycznych Surinamczyków i mówiących po hiszpańsku Sanmartińczyków powinien ujść. I jak dotąd uchodził.

Mściciel znowu patrzył na brązową rzekę przepływającą pod jego nogami i ślubował sobie w duchu, że uzna się za człowieka szczęśliwego, jeśli więcej tej brei nie zobaczy. Na przejściu granicznym po stronie San Martin nie było już pasiastego szlabanu tudzież tajnej policji ani wojska. Powróciła tam senna atmosfera. Mściciel zjechał z promu, podał paszport przez okienko baraku, uśmiechnął się promiennie do urzędnika i czekał, wachlując się gazetą.

Zawsze był lekko opalony, dzięki bieganiu w każdą pogodę w samym podkoszulku i szortach; dwa tygodnie spędzone w tropikach pogłębiły tę opaleniznę do mahoniowego brązu. Jasne do niedawna włosy były teraz, po wizycie u fryzjera w Parbo, ciemnobrązowe, niemal czarne, takie, jakie miał londyński biznesmen, pan Nash ze zdjęcia w paszporcie.

Jeszcze tylko formalna kontrola bagażnika, potem walizki z ubraniami, i paszport wrócił do kieszonki koszuli. Droga do stolicy stała przed nim otworem.

Zbliżając się do trzeciej z rzędu bocznej dróżki, upewnił się, czy jest sam na szosie, i ponownie skręcił w dżunglę. Nie dojeżdżając do farmy, zawrócił i zatrzymał wóz. Bez trudu odnalazł gigantyczny baobab. W nacięciu, które tydzień wcześniej zrobił w pniu, tkwił motek mocnego, czarnego szpagatu.

Popuszczając go, opuścił plecak Bergen w barwach ochronnych, przewieszony do tej pory przez konar i niewidoczny z ziemi. Miał w nim chyba wszystko, co będzie mu potrzebne na kilka dni obserwowania hacjendy ukrywającego się Serba z grani kordyliery, a potem do zejścia na teren samej warowni.

Dziesięciolitrowy plastikowy kanister w bagażniku nie wzbudził na granicy żadnych

podejrzeń. Kiedy Anglik powiedział *agua*, celnik kiwnął tylko głową i zatrzasnął klapę. Plecak, po upchnięciu doń tego kanistra, przybierze na wadze tak, że górską wspinaczka wyciśnie siódme poty nawet z triathlonisty, ale dwa litry wody na dzień stanowiło niezbędne minimum.

Przejechał bez pośpiechu przez stolicę, minął gaj palmowy, gdzie urzędował pułkownik Moreno, i zmierzał dalej na wschód. Do kurortu La Bahia dotarł tuż po lunchu. Trwała sjesta i miasteczko wyglądało jak wymarłe.

Pomny zasady, że drzewo najlepiej ukryć w lesie, a kamień w kamieniołomie, zaraz po przekroczeniu granicy zmienił tablice rejestracyjne samochodu na miejscowe. Zostawił wóz na niestrzeżonym parkingu, zarzucił na plecy bergena i pomaszerował poboczem na wschód. Jeszcze jeden autostopowicz.

Pod wieczór ujrzał przed sobą grań kordyliery odgradzającej hacjendę od wszechobecnej dżungli. W miejscu, gdzie szosa prowadząca ku granicy z Gujaną Francuską na rzece Moroni wykręcała w głąb łądu, by ominąć łukiem wzgórze, zszedł z niej i zaczął się wspinać. Dostrzegłszy między drzewami wąski szlak biegnący meandrami od przełęczy, odbił w bok i ruszył trawersem, kierując się na szczyt, który wybrał na podstawie zdjęć zrobionych z samolotu. Kiedy zrobiło się za ciemno, żeby kontynuować podejście, zrzucił z pleców bergena, zjadł kolację składającą się z pożywnych żelaznych racji, popił kubkiem cennej wody, po czym wyciągnął się na gołej ziemi, podłożył sobie pod głowę plecak i zasnął.

Zaopatrując się na drogę w nowojorskich sklepach o profilu turystycznym, dziękował wszędzie za oferowane mu porcjowane racje żywnościowe armii amerykańskiej, tak zwane MRE – Meals Ready to Eat, czyli posiłki gotowe do spożycia. Pamiętał, że podczas wojny w Zatoce Perskiej żołnierze, narzekając na niezjadliwość tego wynalazku, przemianowali je na Meals Rejected by Ethiopians, posiłki, którymi wzgardzili Etiopczycy. Przyrzędził sobie własne koncentraty z wołowiny, rodzynek, orzechów i dekstrozy. Będzie się po nich wpróżniał króliczymi bobkami, ale przynajmniej nie opadnie z sił.

Obudził się przed świtem, przegryzł coś naprędce, popił wodą i podjął wspinaczkę. Z pewnego miejsca na zboczu, gdzie zarośla nieco się przerzedzały, dostrzegł daleko w dole dach wartowni na przełęczy.

Osiągnął szczyt przed wschodem słońca. Wyszedł z lasu dwieście metrów od punktu, na który się kierował. Na czworakach podpełzł do tego zapamiętanego z fotografii miejsca.

Wszystko się zgadzało. Znalazł tam niewielkie wgłębienie w linii grani, osłonięte ostatnią wypustką bujnej roślinności. W koszuli o barwach ochronnych, takimż kapeluszu, z umazaną twarzą i oliwkową lornetką, leżąc nieruchomo pod liśćmi, będzie niewidoczny z terenu hacjendy.

Kiedy przyjdzie mu ochota rozprostować kości, spełźnie tyłem z grani i wstanie. Rozbił mały biwak, który będzie mu przez kilka dni domem, uczernił sobie twarz i wczołgał się do kryjówki. Nad Gujaną Francuską słońce różowiło już dżunglę, pierwszy promień prześliznął

się po półwyspie. Leżący w dole El Punto przypominał do złudzenia makietę, która zajmowała niedawno poczesne miejsce w jego salonie w mieszkaniu na Brooklynie, i przywodził na myśl żąb rekina, wbijający się w roziskrzone morze. Z dołu doleciało głuchoe pobrzękiwanie. Ktoś walił metalowym prętem w odcinek szyny kolejowej. Pobudka. Dla przymusowych robotników rozpoczął się nowy dzień pracy.

Znajomy z oddziału patologii szpitala w Bethesdzie zadzwonił do Paula Devereaux dopiero czwartego września.

– W co ty się, u licha, bawisz, Paul?

– Oświeć mnie. W co ja się niby bawię?

– Wygląda na to, że w rozkopywacza grobów.

– Od początku, Gary. Co ustaliłeś?

– No więc, zgadza się, to rzeczywiście kość udowa. Prawa. Złamana czysto w połowie długości, bez żadnych odprysków.

– W wyniku upadku?

– Nie, chyba że w tym upadku odgrywały jakąś rolę ostra krawędź i młotek.

– Potwierdzasz moje najgorsze obawy, Gary. Mów dalej.

– Kość pochodzi bez wątpienia ze szkieletu anatomicznego, który można nabyć w każdym sklepie z pomocami naukowymi dla studentów medycyny. Od czasów średniowiecza szkolą się na nich przyszli lekarze. Kość ma około pięćdziesięciu lat. Złamana została niedawno, jak już powiedziałem, uderzeniem o ostrą krawędź, prawdopodobnie o kant stołu. Umiliłem ci dzień?

– Nie, raczej go zepsuleś.

Devereaux, jak to miał w zwyczaju, zarejestrował rozmowę. Kevinowi McBride'owi, kiedy odsłuchał nagranie, opadła szczęka.

– Boże miłosierny.

– Przez wzgląd na twą nieśmiertelną duszę mam nadzieję, że naprawdę taki jest. Dałeś się wyprowadzić w pole. To była zmyłka. On nie umarł. Wyreżyserował cały ten epizod, nabrał Morena, a Moreno przekonał ciebie. On żyje. A to oznacza, że tam wróci, o ile już nie wrócił. To sprawa niecierpiąca zwłoki, Kevin. Za godzinę startuje samolot firmowy. Masz być na jego pokładzie. Leć, a ja tymczasem wydam instrukcje pułkownikowi Morenowi. Po przybyciu na miejsce dopilnujesz, żeby zrobił wszystko, co pozwoli ustalić, czy ten przekłety Mściciel wrócił, ewentualnie czy jest w drodze. Zbieraj się.

* * *

Piątego września Kevin McBride znów stanął oko w oko z pułkownikiem Morenem. Po masce serdeczności, którą pułkownik przywdział podczas poprzedniej wizyty agenta, nie został najmniejszy ślad. Jego ropuszą twarz wykrzywił teraz grymas gniewu.

– Szczwana sztuka, *amigo mio*. Nie powiedzieliście mi tego. Dobra, przechytrył mnie. Ale drugi raz już mu się nie uda. Niedoczekanie.

Po tym jak profesor Medvers Watson przedarł się przez posterunki na przejściu granicznym, szef tajnej policji zaczął traktować nieufnie każdego obcokrajowca, który przekraczał granice Republiki San Martin.

Trzech wędkarzy z St Laurent du Moroni w Gujanie Francuskiej, którym na pełnym morzu zepsuł się silnik, odholowano do przystani w San Martin. Znajdowali się teraz pod kluczem i nie było im wesoło.

Czterech innych nie-Latynosów wjechało od strony Surinamu. Grupa francuskich techników z kosmodromu Kourou w Gujanie Francuskiej przeprawiła się przez rzekę Moroni w poszukiwaniu taniego seksu, a skończyło się na jeszcze tańszym pobycie w więzieniu.

Ze wspomnianej czwórki z Surinamu jeden był Hiszpanem, a dwóch Holendrami. Wszystkim wymienionym skonfiskowano paszporty. Pułkownik Moreno rzucił je teraz na biurko.

– Który jest fałszywy? – spytał.

Osiem francuskich, dwa holenderskie, jeden hiszpański. Jednego brakowało.

– Kim był ten czwarty z Surinamu?

– Anglikiem. Szukamy go jeszcze.

– Szczegóły?

Pułkownik rzucił okiem na kartkę z raportami z konsulatu San Martin w Parbo i z przejścia granicznego na rzece Commini.

– Nazywa się Nash. Señor Henry Nash. Paszport w porządku; wiza w porządku. Żadnego bagażu, z wyjątkiem paru letnich ubrań. Mały wynajęty samochód. Nienadający się na wycieczki po dżungli. Z głównej szosy na pewno nim nie zjechał. Przekroczył granicę czwartego, dwa dni temu.

– Hotel?

– W naszym konsulacie w Parbo powiedział, że zatrzyma się w stolicy, w Camino Real Hotel. Miał rezerwację przesłaną faksem z hotelu Krasnopolsky w Parbo. Nie zgłosił się tam.

– Podejrzana sprawa.

– Nie ma też samochodu. Jak dotąd nie znaleziono w San Martin żadnego wozu na zagranicznych numerach. A przecież z głównej szosy zjechać nie mógł. Sprawdzamy wszystkie wioski na trasie. Może miał awarię i utknął w którejs.

McBride spojrział na stosik zagranicznych paszportów.

– Tylko ambasady tych krajów mogą potwierdzić ich autentyczność. A te ambasady są w Surinamie. Któryś z pańskich ludzi będzie się musiał tam pofatygować.

Pułkownik Moreno pokiwał ponuro głową. Taki był dumny z absolutnej kontroli nad tym małym kraikiem, a tu taka wpadka.

– Powiadomiliście już naszego serbskiego gościa? – spytał.

– Nie – przyznał McBride. – A wy?

– My też jeszcze nie.

Obie strony miały ku temu swoje powody. Dla dyktatora, prezydenta Muñoza, azylant był kurą znoszącą złote jaja. Moreno nie chciał zostać tym, który spowoduje, że gość spakuje manatki i przeniesie się ze swoją fortuną gdzie indziej.

McBride wypełniał tylko rozkazy. Nie wiedział, dlaczego przed Zoranem Žiliciem ukrywana jest cała prawda o zaistniałej sytuacji. A było tak, gdyż Devereaux się obawiał, że Serb może wpaść w panikę i nie pojechać do Peszawaru na spotkanie z kierownictwem al-Kaidy. Jeśli jednak nie uda się zatrzymać łowcy głów, ktoś wcześniej czy później będzie go musiał ostrzec.

– Proszę informować mnie na bieżąco, pułkowniku – powiedział McBride, wstając. – Zatrzymam się w Camino Real. Podobno mają tam wolny pokój.

– Zastanawia mnie jedna rzecz, señor – mruknął Moreno.

McBride zatrzymał się w połowie drogi do drzwi i odwrócił.

– Tak?

– Ten Medvers Watson próbował wjechać do naszego kraju bez wizy.

– No i?

– Przecież bez wizy nie miał na to szans. Musiał zdawać sobie z tego sprawę. A jednak próbował.

– Ma pan rację – przyznał McBride. – Dziwne.

– I, jak na policjanta przystało, zadaję sobie pytanie, na co liczył? I wie pan, jaka odpowiedź przychodzi mi do głowy, señor?

– No?

– On od samego początku nie zamierzał wjeżdżać do nas legalnie; wcale wtedy nie spanikował. Z premedytacją sforsował szlaban i zrobił to, co miał w planie... upozorował swoją śmierć i w sobie tylko wiadomy sposób przedostał się z powrotem do Surinamu. A potem spokojnie wrócił, w innym już wcieleniu.

– To ma ręce i nogi – przyznał McBride.

– I tak sobie myślę... on musiał wiedzieć, że się go tutaj spodziewamy. Tylko skąd?

McBride'a ścisnęło w dołku, kiedy dotarło doń w pełni, do czego zmierza Moreno.

Tymczasem łowca, ukryty w kępie zarośli na szczycie urwiska, obserwował, notował i czekał. Czekał na chwilę, która jeszcze nie nadeszła.

Rozdział 27

Obserwacja

Dexter był pod wrażeniem tego, co widzi. Czyjś geniusz i pieniądze, w połączeniu ze sprzyjającymi warunkami naturalnymi, przekształciły odbiegający od stóp urwiska półwysep w ideał niedostępnej i samowystarczalnej sadyby. Gdyby nie niewolnicza praca stanowiąca podstawę funkcjonowania hacjendy, efekt zasługiwałby na najwyższe uznanie.

Wystający w morze trójkąt był większy, niż to sobie wyobrażał, patrząc na makietę w swoim nowojorskim mieszkaniu.

Nasada, wzdłuż której sunął teraz wzrokiem, wychyliwszy nieco głową ze swojej kryjówki na szczycie urwiska, miała trzy kilometry szerokości. Na obu krańcach górskie pasmo opadało pionowymi klifami w wodę.

Długość każdego z boków tego równobocznego trójkąta szacował na jakieś pięć kilometrów, czyli całkowita powierzchnia półwyspu sięgała około dziesięciu kilometrów kwadratowych. Obszar ten podzielony był na cztery strefy, z których każda spełniała inną funkcję.

Bezpośrednio pod nim, u stóp urwiska, znajdował się prywatny pas startowy oraz wioska robotników przymusowych. W odległości trzystu metrów od urwiska, przez całą szerokość nasady ciągnęło się wysokie na trzy i pół metra ogrodzenie z drucianej siatki, zwieńczone serpentyną drutu kolczastego. Rozwidniło się już na tyle, że widział przez lornetkę, iż ogrodzenie to wystaje po obu krańcach poza klif i opada w dół zwojami drutu kolczastego. Nie było mowy, żeby obejść je bokiem; nie było mowy, żeby przeleźć przez nie górą.

Dwie trzecie długości stosunkowo wąskiej wstęgi terenu między urwiskiem a ogrodzeniem zajmowało lotnisko. Obok pasa startowego stał duży hangar z wybetonowanym przedpolem oraz dwa mniejsze budynki, z których jeden mieścił zapewne warsztaty, a drugi skład paliwa. Na końcu pasa, tym od strony morza, gdzie docierały powiewy chłodniejszej bryzy, wznosiło się kilka małych willi przeznaczonych prawdopodobnie dla członków załogi samolotu i personelu obsługi naziemnej.

Na lotnisko można się było dostać i wydostać z niego tylko przez bramę osadzoną w ogrodzeniu z drucianej siatki. Przy bramie nie było budki wartowniczej, ale dwie prowadnice i stalowe kółeczka pod nimi świadczyły, że otwierało się ją elektrycznie na sygnał z pilota zdalnego sterowania. Mijała piąta trzydzieści, a na lotnisku nie było żywej duszy.

Pozostałą jedną trzecią wstęgi terenu zajmowała wioska. Oddzielało ją od lotniska jeszcze jedno, prostopadłe do urwiska ogrodzenie z drucianej siatki, również zwieńczone drutem kolczastym. Widocznie robotnicy rolni nie mieli prawa wstępu na lotnisko.

Walenie metalowym prętem w szynę kolejową ustało po minucie, a wioska ożyła. Dexter zobaczył pierwsze figurki w jasnych spodniach, jasnych koszulach i espadrylach – płóciennych sandałach na sznurkowej podeszwie – wyłaniające się z małych chat i kierujące do wspólnej umywalni. Kiedy zebrali się przed nią już wszyscy, oszacował ich liczbę na ponad tysiąc.

Wyglądało na to, że nad sprawnym funkcjonowaniem wioski czuwa wydzielona grupa mieszkańców, którzy nie wychodzą do pracy w polu. Widział, jak krzątają się teraz w zadaszonych, otwartych garkuchniach, przygotowując śniadanie składające się z suchego chleba i owsianki. Jadalnię tworzyły rzędy drewnianych stołów na kobyłkach, ustawione pod strzechą z palmowych liści, chroniącą sporadycznie przed deszczem, ale głównie przed palącym słońcem.

Na drugie walenie w szynę kolejową robotnicy ustawili się w kolejkę. Odbierali od wydających po misce owsianki i pół bochenka chleba na głowę i zasiadali do posiłku. W oczy rzucał się brak przydomowych ogródków, sklepików, kobiet, dzieci, szkoły. To nie była zwyczajna wioska, lecz obóz pracy. Tylko trzy budynki wyróżniały się wielkością spośród reszty – skład żywności, magazyn odzieży i pościeli oraz drewniany kościółek z przylegającą doń plebanią. Wszystko tu było ściśle podporządkowane wymogowi funkcjonalności: pracować, jeść, spać, modlić się o zwolnienie, i nic ponadto.

Wioska, podobnie jak lotnisko, zajmowała wydłużony prostokąt terenu między urwiskiem, ogrodzeniem z drucianej siatki i morzem. Od przełęczy opadał zakosami pełen wykrotów i dziur szlak, jedyna droga lądowa łącząca półwysep z resztą republiki. Wielotonowa ciężarówka by tędy nie przejechała. W jaki zatem sposób uzupełniane są zapasy benzyny, oleju napędowego i paliwa lotniczego? Kiedy widoczność nieco się poprawiła, Dexter znalazł odpowiedź.

Na końcu półwyspu, na wypiętrzonej na pięćdziesiąt metrów ponad poziom morza cyplu, ledwo widoczna z urwiska, bo skryta częściowo w oparach porannej mgiełki, majaczyła trzecia strefa posiadłości – odgrodzony od reszty wysokim na cztery i pół metra murem, pięcioakrowy kompleks zabudowań. Dexter wiedział, że wznosi się tam wspaniała biała rezydencja, w której mieszka były serbski gangster. Na zdjęciach lotniczych naliczył też pół tuzina willi dla gości i starszego personelu, a wszystko to w otoczeniu wypielęgowanych trawników, kwiatowych klombów i ozdobnych krzewów. Na zdjęciach widać było również

przylegające do wewnętrznej strony muru przybudówki, w których mieściły się prawdopodobnie kwatery dla służby oraz magazynki: pościeli, żywności i napojów.

Do masywnych podwoi osadzonych pośrodku rozciągającego się od klifu do klifu muru prowadziła utwardzona tłuczniem droga. Za murem znajdowała się wartownia, z której sterowano mechanizmem otwierania bramy; parapet biegnący po wewnętrznej stronie muru umożliwiał strażnikom patrolowanie całej jego długości. Resztę półwyspu pomiędzy ogrodzeniem z drucianej siatki a odległym o trzy kilometry murem zajmowały pola uprawne i pastwiska. Robiło się coraz jaśniej i Dexter mógł już porównać rzeczywistość z obrazem utrwalonym na zdjęciach. Widział tam pasące się stada bydła i owiec oraz budynki, w których hodowano zapewne trzodę chlewną i drób. Widział łąny zbóż, zagony roślin strączkowych i okopowych, sady z dziesięcioma rodzajami drzew owocowych, uprawy warzyw zarówno pod gołym niebem, jak pod długimi foliowymi tunelami. Farma produkowała wszystko, co było potrzebne społeczności zamieszkującej fortecę: warzywa, owoce, mięso, masło, jaja, ser, oliwę, chleb, czerwone wino. Wśród pól i sadów stały stodoły i spichlerze, szopy na maszyny i sprzęt mechaniczny, ubojnia zwierząt, młyn, piekarnia i tłocznia win.

Po prawej, bliżej urwiska, ale po drugiej stronie ogrodzenia z drucianej siatki, stało kilka małych baraków dla strażników, a za nimi parę okazalszych chat dla oficerów oraz trzy firmowe sklepy.

Po lewej widać było trzy wielkie magazyny oraz zespół lśniących aluminiowych zbiorników na paliwa. Nad samym klifem stały dwa wielkie dźwigi portowe. Wyjaśniało to zagadkę ciężkich ładunków: dostarczane były morzem i windowane albo przepompowywane do magazynów i zbiorników wprost z zakotwiczonych dwanaście metrów niżej statków.

Peoni skończyli śniadanie i znowu rozległo się głucho pobrzękiwanie szyny kolejowej uderzanej metalowym prętem.

Na ten sygnał peoni zaczęli wstawać od stołów, a z nadbrzeżnych baraków po prawej wysypali się tymczasem umundurowani strażnicy. Jeden przyłożył do ust bezgłośnie świstawkę. Dexter nic nie usłyszał, ale na ten sygnał od strony farmy nadbiegło posłusznie z tuzin dobermanów. Zamknięto je w ogrodzonym siatką kojcu sąsiadującym z barakami. Chyba nie jadły od dwudziestu czterech godzin, bo rzuciły się na wystawione tam miski z odpadkami z kuchni i zaczęły pożerać zachłannie mięso.

Ta scena uzmysłowiła Dexterowi, co się dzieje tutaj codziennie o zachodzie słońca. Kiedy wszyscy nadzorcy i niewolnicy znajdują się już w swoich obozach, spuszczone są psy, które przez całą noc buszują, swobodnie po trzech tysiącach akrów pól i pastwisk. Zostały pewnie tak wytresowane, że cielęta, owce i świny zostawiają w spokoju, ale jakikolwiek włóczący się po terenie farmy intruz nie przeżyłby nocy. Było ich za dużo, żeby jeden człowiek zdołał się przed nimi obronić. Przedostanie się tamtędy pod osłoną ciemności nie wchodziło w rachubę.

Dexter zaszył się w zaroślach tak głęboko, że gdyby ktoś spojrział teraz z dołu na grań

urwiska, nie zobaczyłby ani odblasku słońca w szklach lornetki, ani nieruchomego, zamaskowanego człowieka.

O wpół do siódmej farma była już gotowa na przyjęcie robotników i po raz trzeci rozległo się walenie w metalową szynę, które tym razem wzywało ich do pracy. Peoni podeszli całą gromadą do bramy w ogrodzeniu oddzielającym wioskę od farmy.

Z tą bramą sprawa była o wiele bardziej skomplikowana niż z jej sąsiadką między farmą a lotniskiem. Miała dwa skrzydła otwierające się na stronę farmy. Ustawiono tam pięć stołów, przy każdym usiadł strażnik, pozostali otoczyli stoły łukiem. Peoni sformowali pięć kolejek.

Kiedy padła komenda, ruszyli. Podchodzili kolejno do stołów i wręczali siedzącym za nimi strażnikom metalowy znaczek zdjęty z szyi. Strażnik sprawdzał wybity na znaczku numer i wprowadzał go do bazy danych.

Robotnicy sami wiedzieli, w której kolejce się ustawić. Decydował pewnie numer. Po zarejestrowaniu każdy podchodził do jednego z kilkunastu czekających nieopodal brygadzystów, którzy, kiedy zebrali już wokół siebie wszystkich swoich ludzi, zarządzali zbiórkę i robotnicy grupami po mniej więcej sto osób, pobrawszy niezbędne narzędzia z szop ustawionych przy drodze, odmaszerowywali do swoich zajęć.

Jedni udawali się na pola, inni do sadów, jeszcze inni do oporzędzania zwierząt, do pracy we młynie, w rzeźni, w winnicy albo w wielkich ogrodach warzywnych. Ogromna farma budziła się na oczach Dextera do życia. Ale rygorów zapewniających bezpieczeństwo ani na chwilę nie złagodzano. Kiedy wioska w końcu się wyludniła, dwuskrzydłowa brama zamknęła, a ludzie rozeszli na swoje stanowiska pracy, Dexter skoncentrował się na obserwacji procedur bezpieczeństwa, szukając w nich furtki dla siebie.

* * *

Przed południem pułkownik Moreno dostał wiadomość od dwóch emisariuszy, których rozesłał z misją zweryfikowania autentyczności zagranicznych paszportów.

W Cayenne, stolicy Gujany Francuskiej, władze zareagowały błyskawicznie. Fakt aresztowania trzech Bogu ducha winnych rybaków tylko za to, że na pełnym morzu nawalił im silnik, oraz zatrzymania, a następnie osadzenia w areszcie nie wiadomo właściwie z jakiego powodu pięciu techników z kosmodromu, wywołał tam spore poruszenie. Potwierdzono autentyczność wszystkich ośmiu francuskich paszportów i zażądano natychmiastowego zwolnienia i odesłania do kraju ich właścicieli.

Na zachodzie, w Paramaribo, taką samą opinię o swoich krajanach wydała ambasada Holandii: paszporty autentyczne, wize w porządku, w czym problem?

Ambasada Hiszpanii była zamknięta, ale agent CIA zapewniał pułkownika Morena, że poszukiwany ma metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, podczas gdy Hiszpan miał trochę ponad sto osiemdziesiąt centymetrów. Nie było już wątpliwości, że jedynym podejrzanym pozostaje pan Henry Nash z Londynu, po którym ślad zaginął.

Szef tajnej policji kazał swojemu człowiekowi wysłanemu do Cayenne wracać do domu, a drugiemu, który był w Parbo, polecił obejść wszystkie agencje wynajmu samochodów i ustalić markę wozu wypożyczonego przez londyńczyka oraz numer rejestracyjny.

* * *

Do południa pozostawało jeszcze kilka godzin, a na szczycie urwiska było już nie do wytrzymania. Przed samym nosem zastygłego w bezruchu obserwatora, po kamieniach, na których można by z powodzeniem usmażyć jajecznicę, przedefilowała jaszczurka z czerwoną, postawioną na sztorc kryzą za łebkiem. Zatrzymała się na chwilę, zmierzyła obcego wzrokiem, i nie wyczuwszy dla siebie zagrożenia, pomaszerowała dalej.

Coś zaczynało się dzieć przy dźwigach na skraju klifu.

Czterech osiłków doczepiło do landrowera platformę, na której spoczywała dziewięciometrowa łódź patrolowa. Landrower doholował łódź do dystrybutora paliwa, gdzie ją zatankowano. Mogłaby uchodzić za zwyczajną motorówkę, gdyby nie karabin maszynowy Browning kalibru .30, zamontowany na śródkręciu. Gotową do zwodowania łódź podstawiono następnie pod jeden z dźwigów. Z naroży prostokątnej ramy zawieszanej na jego haku zwisały cztery plecione taśmy, zakończone masywnymi metalowymi karabinkami. Zatrzaśnięto je na czterech zaczepach w kadłubie łodzi.

Załoga weszła na pokład, dźwig uniósł łódź z platformy, przetransportował ją poza krawędź klifu i opuścił na wodę. Na jakiś czas zniknęła Dexterowi z oczu. Po paru minutach zobaczył ją znowu, już na morzu. Mężczyźni na pokładzie wyciągnęli z wody i opróżnili dwie sieci na ryby oraz pięć pułapek na kraby, założyli nową przynętę, wyrzucili sieci i pułapki z powrotem do morza i kontynuowali patrol.

Dexter dochodził do wniosku, że wszystko, co tu widzi, popadłoby w ruinę bez dwóch życiodajnych eliksirów. Jeden stanowiła benzyna, którą napędzane były generatory w siłowni za portowymi magazynami. Bez wytwarzanego przez nie prądu nie działałoby żadne elektryczne urządzenie na terenie hacjendy, od zdalnie otwieranych bram poprzez wiertarki, do nocnych lampek. Drugim takim eliksirem była woda; świeża, czysta woda pitna w nieograniczonych ilościach. Zapewniał ją górski strumień, który Dexter wypatrzył już na zdjęciach lotniczych.

Widział go teraz w naturze, pod sobą, nieco po lewej. Strumień, po długiej podziemnej wędrówce od źródła tryskającego gdzieś pośród lasu deszczowego w interiorze, wypływał ze zbocza i rozpryskując się po drodze o kilka gładów, spadał kaskadą z wysokości około sześciu metrów do specjalnie dlań zbudowanego kanału o wybetonowanych brzegach. W tym miejscu Człowiek przejmował pałeczkę od Natury.

Na drodze do pól uprawnych znajdowały się pas startowy i ogrodzenie z drucianej siatki. Strumień przepływał pod nimi dwoma przepustami ze zbrojonych betonowych rur o kwadratowym przekroju. Dexter nie miał wątpliwości, że w przepustach zamontowano kraty

zabezpieczające. Przecież gdyby ich nie było, każdy mógłby zanurzyć się w strumieniu na terenie lotniska, przepłynąć przepustami pod pasem startowym, potem pod ogrodzeniem i poruszając się dalej z jego nurtem, zmylić wałęsające się po polach psy. Ten, kto projektował tu zabezpieczenia, na pewno o tym pomyślał.

Przed południem zdarzyły się jeszcze dwie rzeczy. Obie bezpośrednio pod podniebnym punktem obserwacyjnym Dextera. Najpierw z hangaru wyciągnięto na zalane słońcem przedpole hawкера 1000. Dexter przestraszył się, że Serb się gdzieś wybiera, ale szybko się okazało, że samolot wytoczono z hangaru tylko po to, by zrobić miejsce. Zaraz potem wypchnięto stamtąd mały helikopter, taki, z jakich patrole policji drogowej śledzą sytuację na ulicach i autostradach. Maszyna, w razie potrzeby, mogła się zbliżyć niemal do samego lica urwiska i musiałby mieć czapkę niewidkę, żeby go wtedy nie zauważono. Na szczęście helikopter pozostał na przedpolu hangaru ze złożonymi łopatami wirnika. Mechanicy zabrali się do przeglądu silnika.

Niedługo potem od strony farmy nadjechał samochód terenowy. Kierowca otworzył pilotem sterowaną elektrycznie bramę, wjechał na teren lotniska, pomachał mechanikom na przedpolu i skręcił w stronę przepustu, którym strumień przepływał pod pasem startowym.

Zatrzymał się przy wlocie, wysiadł, wziął z wozu wiklinowy kosz i podszedł do kanału. Zajrzał do przepustu, po czym wrzucił do wody kilka oskubanych tuszy drobiowych. Następnie przeszedł na drugą stronę pasa startowego i zajrzał w wylot przepustu. Niesione prądem wody kurczaki zatrzymały się pewnie na zamykającej przepust kracie.

W strumieniu, między urwiskiem a tą kratą, żyło coś, co żywiło się mięsem. Dexterowi przychodził do głowy tylko jeden mięsożerny mieszkaniec słodkich wód, spotykany w tych stronach – pirania. Skoro jadły kurczaki, pożarłyby również pływaka. Mniejsza z tym, że woda w przepuście sięga po sam strop, i nieważne, czy wytrzymałby tak długo bez zaczerpnięcia oddechu – to był długi na prawie trzysta metrów basen z piraniami.

Zostawiwszy za sobą ogrodzenie z drucianej siatki, strumień płynął dalej przez posiadłość, napełniając wodą sieć kanałów irygacyjnych. Wodę pitną dla wioski robotników, willi, koszar i głównej rezydencji czerpano z niego pewnie podziemnymi ujęciami.

Obdzieliwszy swym życiodajnym bogactwem całą hacjendę, strumień skręcał w prawo ku skrajowi półwyspu, przelewał się przez krawędź klifu i spadał w morze.

Wczesnym popołudniem ziemię przygniatał już wielki, ciężki, duszący koc upału. O dwunastej na farmie zarządzono przerwę w pracy. Robotnicy rolni harujący w pocie czoła od siódmej rano szukali cienia, posilali się tym, co kto miał w małych bawełnianych sakwach, i układali do sjesty.

Dexter ledwie zipał w swojej kryjówce. Zazdrościł odpornej na upał salamandrze, która wygrzewała się na kamieniu o krok od niego. Korciło go, żeby przepłukać gardło paroma łykami drogocennej wody, ale wiedział, że musi ją ściśle racjonować i pić tylko tyle, by uniknąć odwodnienia, a nie raczyć się nią do woli.

O czwartej walenie w szynę kolejową obwieściło koniec sjesty. Robotnicy na polach i w stodołach wracali do pracy. Dexter podpełził ostrożnie na skraj urwiska i patrzył, jak małe figurki o spalonych na brąz twarzach ocienianych słomianymi sombreroami, odziane w zgrzebne bawełniane koszule, chwytają motyki i grace i zabierają się znowu do odchwaszczania tej wzorcowej farmy.

Do dźwigów po prawej zbliżał się sfatygowany pikap. Zwolnił, zawrócił, wjechał między nie tyłem i zatrzymał się na skraju klifu. Peon w zachlapanym krwią kombinezonie ściągnął ze skrzyni długą stalową rynnę, przymocował ją do tylnej klapy wozu i zaczął wrzucać coś do niej widłami. To coś zsuwało się po pochylni i spadało do morza. Dexter wyregulował ostrość. Następny zamach widłami wszystko wyjaśnił. Do rynny wędrowała właśnie czarna skóra, u której dyndał wciąż łeb wołu.

Oglądając w Nowym Jorku fotografie, dziwił się, że nie widzi na nich żadnych prób zagospodarowania wąskiego pasa wybrzeża u stóp klifów, chociaż piękne, błękitne morze aż się o to prosiło. Nie dostrzegał żadnych prowadzących na dół schodów, żadnych platform do nurkowania, zakotwiczonych przy brzegu tratw, żadnej plaży ani mola. Teraz, patrząc na wrzucane tam odpadki, domyślał się już dlaczego. Wody wokół półwyspu roiły się od ryb młotów, rekinów tygryśnych i wielkich żarłaczy błękitnych. Cokolwiek się w niej znalazło, a nie było rybą, nie nacieszyło się kąpielą dłużej niż kilka minut.

* * *

Mniej więcej o tej porze do pułkownika Morena zadzwonił na komórkę jego człowiek wysłany do Surinamu. Anglik Nash wynajął samochód w małej prywatnej agencji i dlatego poszukiwania zajęły mu tyle czasu. Ale znalazł ją w końcu. Marka wozu to ford fiesta. Podyktował numer rejestracyjny.

Szef tajnej policji przygotował niezwłocznie rozkaz na następny dzień. Od rana mają się rozpocząć poszukiwania fiesty na surinamskich numerach, obejmujące swym zasięgiem każdy parking, każdy garaż, każdy podjazd, każdą boczną dróżkę. Po namyśle zmienił treść rozkazu. Poszukiwania fiesty na obojętnie jakich numerach mają się rozpocząć o świcie.

* * *

Zmierzch, a potem ciemności zapadają w tropikach z niebywałą szybkością. O siódmej oddzwoniono koniec dnia pracy. Słońce godzinę temu przesunęło się za plecy Dextera i już tak nie paliło. Łowca patrzył, jak zmęczeni robotnicy, powłócząc nogami, schodzą z pól. Zdawali narzędzia i ustawiali się przed dwuskrzydłową bramą w pięć kolejek, po dwieście osób każda, do kontroli.

Wracali do wioski, do dwustu towarzyszy niedoli, którzy nie wyszli w pole. W oknach willi i baraków koszar zapalały się pierwsze światła. Rozjarzył się czubek trójkąta; to włączono iluminację oświetlającą rezydencję Serba.

Mechanicy na lotnisku zamknęli hangar, dosiedli motorów i pomknęli do willi na końcu pasa startowego. Spuszczono dobermany, świat zegał szósty września, a łowca głów przygotowywał się do zejścia z urwiska.

Rozdział 28

Gość

Wyglądając tego dnia kilkakrotnie poza krawędź urwiska, Dexter dobrze mu się przyjrzał i zaobserwował dwie rzeczy, których nie uwidaczniały zdjęcia.

Po pierwsze, urwisko nie było pionowe na całej wysokości. Robiło się takie dopiero jakieś trzydzieści metrów nad poziomem równiny, wcześniej opadało pod łagodniejszym kątem. Tak czy inaczej, dobrej liny wspinaczkowej miał pod dostatkiem.

Po drugie, urwisko nie było nagie z natury; zostało oczyszczone z wszelkiej roślinności ręką człowieka. W toku prac mających na celu utrudnienie intruzom dostępu do hacjendy całe zespoły ludzi musiały się spuszczać z grani na ławeczkach i metodycznie usuwać ze skalnych szczelin każdą gałązkę, każdy porost. Młode, cienkie pędy po prostu wrywano, ale starszych gałęzek, które zdążyły już zapuścić mocno korzenie, człowiek zawieszony na linie nie był w stanie wyszarpnąć. Te obcinano piłką i pozostały po nich kikuty tworzące setki uchwytów dla rąk i punktów podparcia dla stóp, ułatwiających wspinaczkę bądź schodzenie.

Za dnia śmiałek, który by się na to poważył, zostałby natychmiast zauważony; co innego w nocy.

O dziesiątej sierp księżyca stał już wysoko na niebie. Jego poświata była na tyle jasna, by ułatwić zadanie schodzącemu w dół, a jednocześnie tak rozproszona, że pozostawał niewidoczny. Należało tylko uważać, żeby nieopatrzenie nie strącić jakiegoś kamyka. Dexter zaczął schodzić po sterczących ze zbocza kikutach.

Stromy odcinek urwiska pokonał, zjeżdżając na linie.

Na terenie lotniska zabawił trzy godziny. Przed kilku laty pewien „klient” z Tombs w stanie Nowy Jork nauczył go szlachetnej sztuki otwierania zamków, a komplet wytrychów, który miał teraz przy sobie, wyszedł spod ręki mistrza w swoim fachu. Na kłódkę na głównych wrotach hangaru nawet nie spojrzął. Łoskot, z jakim rozsuwały się ich podwoje, postawiłby na nogi całą hacjendę. Z boku znajdowały się mniejsze drzwi z zamkiem typu Yale. Uporał się z nim w niespełna trzydzieści sekund.

Trzeba dobrego mechanika, żeby naprawić helikopter, a jeszcze lepszego, żeby dopuścić się w nim sabotażu w taki sposób, by inny dobry mechanik nie znalazł zawczasu i nie naprawił usterki, a kiedy ta wyjdzie w końcu na jaw, nie zorientował się, że ktoś przyłożył rękę do jej powstania.

Zatrudniany przez Serba mechanik dobrze dbał o swój helikopter, ale Dexter był od niego lepszy. Rozpoznał w maszynie eurocoptera EC 120, jednosilnikową wersję dwusilnikowego EC 135. Perspekowa kabina w kształcie przezroczystego bąbla zapewniała wspaniałą widoczność na wszystkie strony pilotowi oraz siedzącemu obok pasażerowi i była tak przestronna, że za ich fotelami mieściły się swobodnie jeszcze trzy osoby.

Dexter zostawił w spokoju mechanizm głównego wirnika i skoncentrował się na mniejszym wirniku ogonowym. Jeśli ten szwankuje, helikopter po prostu nie polecą. Kiedy skończył, nie ulegało wątpliwości, że będzie szwankował i że niełatwo go będzie naprawić.

Drzwi hawкера 1000 były otwarte, miał więc okazję rozejrzeć się po wnętrzu i przekonać, że nie zostało poddane żadnym poważniejszym modyfikacjom.

Zamknawszy główny hangar, włamał się jeszcze do magazynku mechanika i uważając, by nie pozostawić po sobie żadnych śladów, zabrał stamtąd, co było mu potrzebne. Na koniec przebiegł chyłkiem na skraj pasa startowego, tego od strony willowego osiedla, i spędził tam ostatnią godzinę swojego wypadu. Rankiem jeden z mechaników stwierdził ze wzburzeniem, że w nocy ktoś pożyczył sobie jego rower, który zostawił oparty o ogrodzenie.

Po załatwieniu wszystkiego, co miał tu do załatwienia, Dexter wrócił do zwisającej z urwiska liny i wspiął się po niej aż do mocno zakorzonego w skalnej szczelinie kikuta, do którego była uwiązana. Stamtąd wdrapał się po kikutach z powrotem do swojej kryjówki na grani. Ubranie miał przepocone do nitki. Pocieszał się tylko myślą, że na odór niemytego ciała nikt w tej części świata nie zwraca uwagi. Uzpełnił poziom płynów w organizmie, wychylając całą pintę wody, sprawdził poziom ciecchy pozostałej w plastikowym kanistrze i ułożył się do snu. O piątej rano, tuż przed pierwszym uderzeniem żelaznego pręta w szynę w wiosce robotników, zbudził go cichutki alarm zegarka naręcznego.

* * *

O siódmej rano Paul Devereaux zrobił pobudkę McBride'owi, odsypiającemu trudy podróży w swoim pokoju w Camino Real Hotel.

– Wyszło coś nowego? – spytał bez wstępów.

– Nic – odparł McBride. – W zasadzie jest pewne, że facet wrócił, podając się za Anglika, Henry'ego Nasha, budowniczego ośrodków wypoczynkowych. Po przekroczeniu granicy wyparował. Ustalono, że poruszał się wynajętym w Surinamie fordem. Moreno zarządził ogólnokrajowe poszukiwania tego samochodu. Powinni go znaleźć jeszcze dzisiaj.

W słuchawce na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Szef komórki antyterrorystycznej rozważał zaistniałą sytuację, siedząc jeszcze w szlafroku nad śniadaniem w swoim domu w

Alexandrii w stanie Wirginia; dopiero wybierał się do Langley.

– Niedobrze – orzekł w końcu. – Będę musiał ostrzec naszego przyjaciela. Nie będzie to łatwa rozmowa. Wstrzymam się jeszcze do dziesiątej. Jeśli do tego czasu dojdą cię słuchy o zatrzymaniu albo spodziewanym zatrzymaniu, dzwoni natychmiast.

– Nie omieszkam – mruknął McBride.

Nie zadzwonił. Punktualnie o dziesiątej Devereaux sięgnął po słuchawkę. Dziesięć minut zajęło przywołanie pływającego się w basenie Serba do centrum łączności, małego, wbrew temu, co sugerowała nazwa, pomieszczenia w piwnicy, wyposażonego w najnowszej generacji sprzęt radiowy zabezpieczony przed podsłuchem.

* * *

O dziesiątej trzydzieści Dexter zaobserwował oznaki nerwowości, które wkradły się w monotonię dnia. Z rezydencji na cyplu, ciągnąc za sobą obłoki kurzu, wypadło na dużej szybkości kilka wozów terenowych. Na lotnisku poniżej wypchnięto z hangaru EC 120 i rozłożono łopatkę głównego wirnika, przygotowując maszynę do lotu.

– Wygląda na to – wymruczał pod nosem – że ktoś tu zarządził alarm.

Od strony willowego osiedla dwoma skuterami nadjechała załoga helikoptera. Po chwili siedzieli już za sterami i wirnik zaczął się powoli obracać. Ożył silnik, wirnik wszedł na wolne obroty.

Wirnik ogonowy, który ma za zadanie nie dopuścić, by maszyna zaczęła się okręcać wokół własnej osi, też już pracował. I nagle do jego łożyska dostało się chyba jakieś obce ciało. Z przeraźliwym zgrzytem torturowanego metalu pękła wirująca piasta. Mechanik zamachał rozpaczliwie do dwóch mężczyzn w perspexowym bąblu i przeciągnął kantem dłoni po gardle.

Fakt poważnej awarii łożyska w ogonie sygnalizował też pilotowi i obserwatorowi wskaźnik z tablicy przyrządów. Wyłączyli silnik. Główny wirnik zwolnił i zatrzymał się. Załoga wysiadła. Zbili się w grupkę pod ogonem i, zadzierając głowy, patrzyli bezradnie na uszkodzony wirnik.

Do wyludnionej wioski wbiegli tymczasem umundurowani strażnicy i zaczęli przeszukiwać chaty i magazyny, zajrzeli nawet do kościoła. Paru wskoczyło do wozów terenowych i rozjechało się po farmie, by uprzedzić brygadzystów, że mają mieć oczy szeroko otwarte, bo na teren mógł się dostać intruz. Ale jak dotąd nikt niczego podejrzanego nie zaobserwował. Ślady wizyty sprzed ośmiu godzin zostały starannie zatarte.

Dexter oszacował liczbę umundurowanych strażników na około stu. Poza tym tuzin ludzi z obsługi naziemnej i personelu latającego oraz tysiąc dwustu robotników. Dodać do tego ochroniarzy i służbę z rezydencji oraz dwudziestu techników ze stacji generatorów i rozmaitych warsztatów naprawczych, i wiadomo już było mniej więcej, jakie siły ma przeciwko sobie. A przecież nie przyjrzał się jeszcze samej rezydencji ani wyrafinowanym

niewątpliwie środkom bezpieczeństwa, które broniły do niej dostępu.

* * *

Przed południem Paul Devereaux zadzwonił do swojego człowieka znajdującego się w oku budzącego się cyklonu.

– Kevin, musisz się wybrać z wizytą do naszego przyjaciela. Rozmawiałem z nim. Jest na skraju załamania nerwowego. Nie będę ci teraz tłumaczył, jak żywotną rolę odgrywa ten zbir w Operacji Sokół, musisz mi wierzyć na słowo. Nie wolno mu się teraz wycofać. Przyjdzie czas, kiedy będę ci mógł wszystko wyjaśnić. Na razie nie odstępuj go na krok aż do momentu pojmania i zneutralizowania intruza. Podobno popsuł się helikopter naszego przyjaciela. Poproś pułkownika, żeby przewiózł cię przez sierrę dżipem. Dzwon, jak tylko znajdziesz się na miejscu.

* * *

W południe Dexter zauważył mały stateczek podpływający do klifów. Zakotwiczył przy samych skałach i przystąpiono do wyładunku skrzyń z jego pokładu i ładowni. Dźwig przenosił je na wybetonowany plac, na którym czekały już pikapy. Była to pewnie dostawa luksusowych dóbr, których hacjenda nie mogła we własnym zakresie wyprodukować.

Jako ostatni wyładowano aluminiowy tysiącgalonowy zbiornik paliwa wielkości samochodu-cysterny. Na pokład frachtowca opuszczono taki sam opróżniony już zbiornik i stateczek odpłynął w błękitny ocean.

Tuż po pierwszej drodze od przełęczy, kolebiąc się na wykrotach i krztusząc, nadjechał niebieski landrower. Miał oznakowania policji San Martin, kierowca był w mundurze policjanta, obok niego siedział cywil.

Wóz przeciął wioskę i zatrzymał się przed bramą w ogrodzeniu z drucianej siatki. Kierowca wysiadł i pokazał przepustkę strażnikowi. Ten gdzieś zadzwonił, prawdopodobnie do rezydencji, z zapytaniem, czy ma wpuścić przybyłych.

Po chwili z landrowera wysiadł też pasażer i zaczął się rozglądać z zaciekawieniem. Kiedy odwrócił się, żeby popatrzeć na sierrę, z której właśnie zjechał, obserwator na grani skierował na jego twarz lornetkę i wyregulował ostrość.

* * *

Podobnie jak wcześniej człowiek obserwujący go teraz z kryjówki na grani, McBride był pod wrażeniem. Współpracował z Paulem Devereaux przy Operacji Sokół od dwóch lat, od chwili nawiązania pierwszego kontaktu z Serbem i zwerbowania go. Czytał akta, wydawało mu się, że wie wszystko, co można wiedzieć o tym człowieku, ale do tej pory nie spotkał się z nim osobiście. Devereaux rezerwował zawsze tę wątpliwą przyjemność dla siebie.

Niebieski policyjny dżip potoczył się w kierunku wysokiego muru obronnego,

odgradzającego rezydencję na cyplu od reszty hacjendy. Kiedy zbliżali się do osadzonej w nim bramy, w podwojach otworzyła się mała furtka i na spotkanie wyszedł im zwalisty mężczyzna w bawełnianych spodniach i hawajskiej koszuli nie bez powodu wypuszczonej na wierzch. Zakrywała dziewięćmilimetrowego glocka. McBride znał tego człowieka. Widział jego zdjęcie w aktach. Był to Kulać, jedyny z dawnych kamratów, którego serbski gangster zabrał ze sobą z Belgradu, jego etatowy goryl.

Mężczyzna podszedł do drzwiczek od strony pasażera i wykonał przywołujący gest ręką. Już od dwóch lat był poza krajem, a w dalszym ciągu mówił tylko po serbsko-chorwacku i nie znał słowa w żadnym innym języku.

– *Muchas gracias. Adios* – rzucił McBride do policjanta za kierownicą. Ten kiwnął tylko głową, spieszyło mu się z powrotem do stolicy.

W podcieniu gigantycznej drewnianej bramy zbitej z bali grubości podkładów kolejowych i otwieranej mechanicznie stał stół. McBride'a obszukano wprawnie, potem przejrzano na stole zawartość jego walizki. Kamerdyner w śnieżnobiałej koszuli, który zszedł tymczasem z tarasu rezydencji, czekał cierpliwie z boku na zakończenie tych formalnych zabiegów.

Kiedy Kulać dał chrząknięciem do zrozumienia, że jego zdaniem gość jest czysty, kamerdyner wziął bez słowa walizkę i ruszył przodem. Wstąpili za nim na schody. McBride po raz pierwszy miał okazję zobaczyć rezydencję w pełnej krasie.

Dom był dwupiętrowy, otoczony wypielęgnowanymi trawnikami, które nawet w tej chwili dopieszczali dwaj peoni. Architekturą nie różnił się właściwie od luksusowych rezydencji spotykanych na francuskich, włoskich i chorwackich riwierach. Każdy z pokoi na pierwszym i drugim piętrze miał balkon i okna zasłonięte metalowymi żaluzjami, dla ochrony przed upałem.

Zatrzymali się na wyłożonym kamiennymi płytami patio. Znajdował się tu basen pływakki, napełniony błękitną wodą, nad nim stał marmurowy stół na kamiennych nogach, nakryty do lunchu. W słońcu połyskiwały srebra i kryształły.

Na otoczonym kilkoma fotelami stoliku obok stał kubełek z lodem, z którego sterczała szyjka butelki dom perignona. Kamerdyner zaprosił McBride'a gestem do zajęcia miejsca. McBride nie skorzystał z zaproszenia, goryl też pozostał tam, gdzie stał, czujny, gotowy zareagować w razie potrzeby. Z głębokiego cienia willi wynurzył się mężczyzna w białych spodniach i kremowej jedwabnej koszuli safari.

McBride ledwie rozpoznał w nim Zorana Žilicia, byłego gangstera z belgradzkiej dzielnicy Zemun; uczestnika tuzina bandyckich porachunków w Niemczech i Szwecji; mordercę z wojny w Bośni; sutenera, handlarza narkotykami i bronią; defraudanta jugosłowiańskiej kasy państwowej; i w końcu zbiega ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości.

Nowa twarz niewiele przypominała tę ze zdjęcia w aktach CIA. Szwajcarscy chirurdzy

plastyczni odwalili tej wiosny kawał dobrej roboty. Spod tropikalnej opalenizny przezierało tylko kilka białych blizn, które uparcie opierały się słońcu. Ale McBride słyszał kiedyś, że uszy, podobnie jak linie papilarne, są charakterystyczne dla każdego człowieka i można je zmienić tylko zabiegiem chirurgicznym. Uszy Żilicia pozostały te same, jego linie papilarne również, a kiedy podawali sobie ręce, w McBride'a wwierciły się orzechowe, zwierzęco dzikie oczy.

Żilić usiadł przy marmurowym stole i ruchem głowy wskazał drugie wolne krzesło. Dopiero teraz McBride usiadł. Żilić zamienił kilka słów po serbskochorwacku ze swoim gorylem. Drab oddalił się rozkołysanym krokiem. Młodziutka, ładna dziewczyna z San Martin w błękitnym uniformie pokojówki napełniła szampanem dwa kieliszki. Żilić zaproponował toast; kontemlował przez chwilę pod światło bursztynowy płyn, potem wychylił kieliszek jednym haustem.

– Kim jest ten człowiek? – spytał po angielsku z dobrym, może nawet bezbłędnym akcentem.

– Dokładnie tego nie wiemy. To wolny strzelec. Nic nam o nim nie wiadomo. Znamy go tylko z pseudonimu, który przybrał.

– I jak brzmi ten pseudonim?

– Mściciel.

Serb zastanowił się, potem wzruszył ramionami. Pojawiły się jeszcze dwie dziewczyny i zaczęły usługiwać do posiłku. Składały się nań omlety z przepiórczych jaj i asparagus w topionym maśle.

– Wszystko to pochodzi z farmy? – spytał McBride.

Żilić kiwnął głową.

– Chleb, warzywa, jaja, mleko, oliwa z oliwek, winogrona... widziałem, kiedy tu jechaliśmy.

Znowu kiwnięcie głową.

– Co on do mnie ma? – spytał Żilić.

McBride zebrał myśli. Devereaux obarczył go zadaniem niedopuszczenia, by ta odrażająca kreatura wycofała się z Operacji Sokół. A jeśli wyjawি teraz Serbowi prawdziwy powód, ten może dojść do wniosku, że nie ma sensu współpracować dalej ze Stanami Zjednoczonymi ani z żadną z agencji rządowych tego kraju, bo wątpliwe, żeby kiedykolwiek puścili w niepamięć tamtą haniebną zbrodnię.

– Nie wiemy – skłamał. – Ktoś dał mu na pana zlecenie, być może któryś z pańskich starych wrogów z Jugosławii.

Żilić przeanalizował tę sugestię i pokręcił głową.

– Dlaczego dopiero teraz reagujecie, panie McBride?

– Nie wiedzieliśmy nic o istnieniu tego człowieka do czasu, kiedy poskarżył się pan na samolot, który przeleciał nad pańską posiadłością i z którego robiono zdjęcia. Zapisał pan

jego numer rejestracyjny. Bardzo dobrze. Potem wysłał pan do Gujany swoich ludzi, żeby u źródeł zasięgnęli języka. Pan Devereaux był pewien, że wytropimy intruza, zidentyfikujemy go i zneutralizujemy. Niestety, wymknął się z naszej sieci.

Na stół wjechały zimne kraby w majonezie, także z miejscowych składników. Na deser podano winogrona, brzoskwinie i mocną czarną kawę.

Kamerdyner poczęstował biesiadników kubańskimi cygarami Cohiba i podał im ognia. Serb palił zatopiony w myślach.

Trzy kelnerki usługujące dotąd do posiłku ustawiły się rzędem pod ścianą domu. W pewnej chwili Žilić obejrzał się, wskazał na jedną i pstryknął palcami. Dziewczyna pobladła, ale odwróciła się i weszła do domu, prawdopodobnie przygotować się na przybycie swojego pana i władcy.

– O tej godzinie robię sobie sjestę – wyjaśnił Žilić. – To taki miejscowy zwyczaj. Całkiem do rzeczy. Ale pozwoli pan, że zanim odejdę, coś powiem. Zaprojektowaliśmy tę fortecę z majorem van Rensbergiem, którego zaraz pan pozna. Uważam ją za najbezpieczniejsze miejsce na ziemi. Nie wierzę, że temu najemnikowi uda się tu dostać. A gdyby nawet się udało, to nie wyjdzie stąd żywy. Systemy bezpieczeństwa zostały dobrze przetestowane. Wam ten człowiek mógł się wymknąć, moich systemów nie sforsuje i nawet się do mnie nie zbliży. Idę teraz odpocząć, a van Rensberg pokaże panu hacjendę. Potem będzie pan mógł powiadomić pana Devereaux, że kryzys został zażegnany. Do zobaczenia.

Wstał od stołu i się oddalił. McBride został sam. Mężczyznę, który chwilę potem wszedł przez furtkę w głównej bramie i wkroczył na schodki prowadzące na patio, McBride znał z akt, ale się z tym nie zdradził.

Adriaan van Rensberg był jeszcze jednym człowiekiem z przeszłością. W czasach kiedy w Republice Południowej Afryki rządziła Partia Narodowa, prowadząca politykę apartheidu, wstąpił w szeregi Urzędu Bezpieczeństwa Państwa, osławionego BOSS, Bureau of State Security, i dając się poznać jako gorliwy uczestnik najbardziej ekstremalnych wyczynów tej instytucji, szybko awansował.

Po wypuszczeniu na wolność Nelsona Mandeli zapisał się do skrajnie prawicowej partii AWB Eugene'a Terre Blanche'a, a kiedy ją rozwiązano, uznał, że najrozsądniej będzie zmykać z kraju. Przez kilka lat oferował swe usługi różnym faszystycznym ugrupowaniom europejskim, podając się za eksperta od systemów bezpieczeństwa, i tak zwrócił na siebie uwagę Zorana Žilicia, który złożył mu kuszącą propozycję zaprojektowania i zbudowania ufortyfikowanej hacjendy na półwyspie El Punto, a następnie objęcia nad nią komendy. W odróżnieniu od pułkownika Morena, Afrykaner potężną posturę zawdzięczał nie tłuszczowi, lecz masie mięśniowej. Tylko brzuch wylewający się spod szerokiego skórzanego pasa zdradzał, że lubi raczyć się piwem, i to w dużych ilościach.

McBride zauważył, że sam zaprojektował sobie również mundur – wojskowe buty, spodnie i koszula w barwach ochronnych, szerokoskrzydły kapelusz z otokiem z lamparciej

skóry i kłujące w oczy insygnia.

– Pan McBride? Z Ameryki?

– Zgadza się.

– Major van Rensberg, szef ochrony. Polecono mi oprowadzić pana po posiadłości. Może umówimy się na jutro rano? Powiedzmy, ósma trzydzieści?

* * *

Jeden z policjantów znalazł forda na parkingu w miejscowości wypoczynkowej La Bahia. Tablice rejestracyjne na pierwszy rzut oka wyglądały na miejscowe, ale przy bliższych oględzinach okazało się, że są fałszywe i wyklepano je w jakimś garażu. Instrukcja obsługi spoczywająca w schowku była po holendersku – w języku urzędowym Surinamu. Po jakimś czasie ktoś przypomniał sobie, że widział mężczyznę z wielkim plecakiem Bergen w barwach ochronnych, opuszczającego pieszo granice miasteczka. Kierował się na wschód. Pułkownik Moreno odwołał akcję poszukiwawczą. Biorący w niej udział policjanci i żołnierze wrócili do koszar. Rano mieli przeczesać od strony lądu kordylierę, od drogi po sam szczyt.

Rozdział 29

Wycieczka

Był to drugi zachód słońca i zmierzch spędzany przez Dextera w kryjówce na grani sierry, drugi i ostatni.

Leżąc wciąż w bezruchu, odczekał, aż na półwyspie poniżej zgaśnie światło w ostatnim oknie, a kiedy zgasło, podjął przygotowania do wymarszu. Ci, tam na dole, wstawali skoro świt, a więc czasu miał niewiele.

Zrobił sobie ucztę z reszty żelaznych racji, zasilając organizm dwudniowym przydziałem witamin, minerałów, tłuszczów i cukru. Resztę zapasu wody wlał z plastikowego kanistra w siebie. Wielki bergen, siatka maskująca i pałatka nie były mu już potrzebne. Spakował do mniejszego plecaka wszystko, co uznał za niezbędne. Część z tego była jego własnością, część ukradł poprzedniej nocy.

Było już po północy, kiedy, zatarłszy, najlepiej jak potrafił, ślady po swoim obozowisku, zarzucił sobie plecak na plecy, na ramię zwój liny wspinaczkowej i opuścił je.

Zamiatając liściastą gałęzią ślady własnych stóp, posuwał się granią w prawo, znalazł lotniska nad wioską. Do pokonania miał około kilometra. Przebycie tej odległości zajęło mu godzinę. Ale dobrze utrafił. Gdy dotarł na miejsce, wstawał akurat sierp księżyca. Przepocona koszula znowu lgnęła mu do pleców.

Od uchwytu do uchwytu, od kikuta do kikuta, od korzenia do korzenia, spuścił się po zboczu do miejsca, gdzie potrzebna już była lina. Tym razem złożył ją we dwoje i zawiesił na gładkim korzeniu, z którego ześlizgnie się potem bez problemów, kiedy pociągnie z dołu za koniec.

Ostatni etap zejścia pokonał bez pośpiechu, unikając zjeżdżania sążnistymi skokami, w trakcie których mogłoby dojść do strącenia jakiegoś kamyka. Schodził po prostu noga za nogą, aż znalazł się na dole, w skalnej niszy za kościółkiem. Pozostawało tylko żywić nadzieję, że ksiądz ma twarde sen; od plebanii dzieliło go zaledwie kilka metrów.

Pociągnął lekko za koniec złożonej we dwoje liny. Zsunęła się ze sterczącego ze skalnej

szczeliny korzenia i opadła na ziemię. Zwinął ją, przewiesił przez ramię i wysunął się z cienia kościółka.

Latryny były wspólne i przeznaczone tylko dla jednej płci. W tym obozie pracy nie było kobiet. Dexter przez dwa dni obserwował z góry korzystających z nich mężczyzn. Latrynę stanowił długi dół przykryty deskami, które miały chociaż częściowo zatrzymać unoszący się z niego smród. W deskach znajdowały się okrągłe dziury zatykane okrągłymi deklami. Przepierzeń między dziurami nie było. Dexter zrobił głęboki wdech, podniósł dekiel i wrzucił do dziury zwiniętą linę. Jeżeli szczęście mu dopisze, lina zniknie tam na zawsze, gdyby nawet zdecydowano się przeszukać to cuchnące szambo, co było mało prawdopodobne.

Kwadratowe chatynki dla robotników były niewiele większe od celi w policyjnym areszcie, za to każdy robotnik miał swoją. Ciągnęły się równoległymi rzędami po pięćdziesiąt chat w jednym, tworząc wąskie uliczki odbiegające od głównej drogi, i była to część mieszkalna wioski.

Główna droga prowadziła na plac otoczony umywalniami, kuchniami i jadalnią, którą przykrywała strzecha z palmowych liści. Przemykając w cieniu budynków, Dexter okrążył zalany księżycową poświatą plac i wrócił do kościoła. Otwarcie zamka w głównych drzwiach zajęło mu kilka sekund.

Kościółek był najskromniejszy ze skromnych, ale sam fakt, że tu był, świadczył jak najlepiej o przezorności nadzorców obozu pracy, stanowił bowiem nieoceniony wentyl bezpieczeństwa w tym głęboko katolickim kraju. Dexter ciekaw był, jak świadczone tu posługi religijne godzi ze swoim powołaniem proboszcz.

To, czego szukał, znalazł w zakrystii za ołtarzem. Zostawił główne drzwi kościoła otwarte i wrócił do części mieszkalnej wioski, gdzie w rzędach chatek zażywali kilku godzin zasłużonego snu robotnicy.

Obserwując wioskę z góry, upatrzył sobie zawczasu jedną z chatek i zapamiętał jej lokalizację. Dwa razy widział mężczyznę wychodzącego z niej na śniadanie i dobrze mu się przyjrzał. Trzecia, licząc od placu, uliczka odchodząca od głównej drogi, piąta chata po lewej. Drzwi nie miały zamka, zamykane były na drewniany skobel. Dexter wśliznął się do środka i znieruchomiał, czekając, aż oczy przywykną do panujących tu egipskich ciemności.

Z kąta dobiegało pochrapywanie. Po trzech minutach zaczął rozróżniać kształty. Na pryczy, pod szorstkim kocem rysował się mały wzgórek. Schylił się, wyjął coś z plecaka i podszedł do legowiska. Z tamponu, który trzymał w ręku, unosił się słodki zapach chloroformu.

Peon wydał stłumione chrząknięcie i zaczął się szamotać, ale trwało to tylko kilka sekund, potem odpłynął w jeszcze głębszy sen. Dexter przytrzymał tampon jakiś czas, żeby mężczyzna za szybko się nie wybudził, a następnie zarzucił go sobie strażackim chwytem na ramię i po własnych śladach przemknął z powrotem do kościoła.

W drzwiach wzniesionego z kamienia budynku zatrzymał się i nastawił ucha. Wioska

spała w najlepsze. Uspokojony, wniósł peona do zakrystii, taśmą samoprzylepną skrepował mu nogi w kostkach i ręce w przegubach oraz zakleił usta. Zamykając główne drzwi, spojrzął na wiszącą obok nich tablicę i pogratulował sobie w duchu. Przypięte do niej ogłoszenie stanowiło nieplanowany „plus” dla jego akcji.

Wróciwszy do pustej chatki, zaryzykował zapalenie ołówkowej latarki. Przy jej świetle obejrzał skromny dobytek robotnika. Nie było tego wiele. Portret Dziewicy na ścianie i zatknięta za ramkę wyblakła fotografia młodej, uśmiechniętej kobiety. Narzeczonej, siostry, córki? Mężczyzna oglądany z daleka przez silną lornetkę wydawał się w wieku Dextera, ale mógł być też młodszy. Ludzie wpadający w tryby systemu penitencjarnego pułkownika Morena i zsyłani na El Punto szybko się starzeli. Na pewno był tego samego wzrostu i podobnej budowy, i to spowodowało, że Dexter wybrał właśnie jego.

Na ścianach nie było żadnych innych dekoracji, tylko kołki, na których wisiały dwa komplety ubrań roboczych, oba identyczne – zgrzebne bawełniane spodnie i koszula z tego samego materiału. Na podłodze stała para espadryli na sznurkowej podeszwie, brudnych i zużytych, ale mocnych i niezawodnych. Stroju roboczego dopełniało słomiane sombrero. Do tego jeszcze brezentowy, ściągany sznurkiem woreczek na drugie śniadanie zabierane na plantację. Dexter zgasił latarkę i spojrzął na zegarek. Pięć po czwartej.

Rozebrał się do bokserek, wybrał to, co weźmie ze sobą, zawinął w przepocony T-shirt i upchnął do woreczka na lunch. Resztę spisał na straty. Zapakował tę resztę do plecaka i pozbył się go, odwiedzając ponownie latryny. Potem położył się na pryczy i czekał na odgłos walenia żelaznym prętem w odcinek szyny kolejowej. Usłyszał je jak zwykle o piątej trzydziści w wykonaniu strażnika pełniącego dyżur przy dwuskrzydłowej bramie, prowadzącej na teren farmy. Było jeszcze ciemno, niebo na wschodzie ledwie się różowiło, a wioska wokół Dextera budziła się już do życia.

Nie pobiegł z innymi do latryn ani do umywalni. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Wyglądając po dwudziestu minutach przez szparę w zbitych z desek drzwiach, stwierdził, że uliczka już opustoszała. Ze spuszczoną nisko głową, zsunąwszy na oczy sombrero, potruchnął do latryn – jedna z tysiąca podobnych do siebie postaci w sandałach, spodniach i koszuli.

Przeczekał śniadanie, siedząc w kucki nad otwartą dziurą. Kiedy trzecie walenie w szynę wezwało robotników do bramy, dołączył do jednej z kolejek.

Pięciu kontrolerów za stołami sprawdzało metalowe znaczki, zaglądało do rozkładu zajęć, wprowadzało numer do rejestru dopuszczonych tego ranka do pracy, zapisywało, do której brygady przydzielony został na ten dzień dany delikwent, i niedbałym gestem odsyłało go do właściwego brygadzysty. Ten, zebrawszy już wokół siebie całą brygadę, prowadził ją najpierw do szop z narzędziami, a następnie na wyznaczony odcinek robót.

Dexter dotarł w końcu do stołu, podał znaczek, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, jak to podpatrzył u innych, pochylił się i zakaszłał. Kontroler gwałtownie cofnął głowę, uciekając od przesyconego odorem chili chuchu, który owionął mu twarz.

Marszcząc z odrazą nos, odnotował numer z blaszki i machnął ręką. Dexter powlókł się ze swoją brygadą po motykę; przydzielono go do odchwaszczania gajów awokado.

* * *

O siódmej trzydzieści Kevin McBride zasiadł samotnie do śniadania na tarasie. Grejpfrut, jaja, tost i dżem śliwkowy, posiłek godny pięciogwiazdkowego hotelu.

Serb wyszedł do niego o ósmej piętnaście.

– Radziłbym się panu spakować – powiedział. – Po wycieczce, na którą zabierze pana major van Rensberg, przyzna pan zapewne, że ten najemnik ma jeden procent szans na przedostanie się tutaj, jeszcze mniej na zbliżenie się do mnie, a żadnych na odwrót. Może pan przekazać panu Devereaux, że, jak to ustaliliśmy, pod koniec miesiąca wywiążę się z umowy.

O ósmej trzydzieści McBride, wrzuciwszy swoją walizkę na tylne siedzenie odkrytego dżipa Afrykanera, zajął miejsce obok.

– No to od czego zaczniemy? – spytał szef ochrony.

– Słyszałem, że nieproszony gość nie ma praktycznie szans na dostanie się tutaj. Może mi pan powiedzieć, skąd bierze się to przekonanie?

– Widzi pan, panie McBride, to jest tak. Projektując ten kompleks, przyjąłem dwa założenia. Po pierwsze, ma to być prawie zupełnie samowystarczalny rolniczo raj. I wszystko tu jest. Po drugie, ma to być forteca, sanktuarium, schronienie, które oprze się każdej inwazji, każdemu zagrożeniu z zewnątrz. I tak jest. Oczywiście w obliczu szeroko zakrojonej operacji wojskowej ze spadochroniarzami, ciężkim sprzętem i tak dalej musielibyśmy ulec. Ale samotny najemnik działający w pojedynkę? Wykluczone.

– A gdyby spróbował od strony morza?

– Zaraz panu pokażę.

Van Rensberg wrzucił bieg i ruszyli, ciągnąc za sobą tuman kurzu. Zatrzymali się przy krawędzi klifu.

– Tu ma pan wszystko jak na dłoni – podjął Afrykaner, kiedy wysiedli z wozu. – Całą hacjendę otacza ocean, klify w najniższym miejscu wznoszą się na sześć metrów, ale średnio sięgają piętnastu. Talerze telewizji satelitarnej są w istocie antenami radaru, który przeczesuje nieustannie wszystkie kierunki podejścia i ostrzega nas przed każdym zbliżającym się od strony morza obiektem.

– A kwestia przechwycenia?

– Mamy dwie łodzie patrolowe, z których jedna jest zawsze w morzu. Wyznaczyliśmy wokół półwyspu strefę zakazaną o ponadpółkilometrowej szerokości. Może w nią wejść tylko zapowiadziany wcześniej frachtowiec dostawczy.

– A pod wodą? Dajmy na to, oddział płetwonurków sił specjalnych?

Van Rensberg prychnął pogardliwie.

– Jednoosobowe siły specjalne? Pokażę panu, jak by się to skończyło.

Sięgnął po walkie-talkie, wywołał centrum łączności i kazał się przełączyć na rzeźnię. Umówił się na spotkanie po drugiej stronie półwyspu, przy dźwigach. Na oczach McBride'a po rynnę zsunął się i spadł do morza z wysokości dziewięciu metrów kłęb zwierzęcych wnętrzności.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem powierzchnię przecięła pierwsza trójkątna płetwa grzbietowa. Po minucie w wodzie się zakotłowało. Van Rensberg wybuchnął śmiechem.

– Dobrze się tu odżywiamy. Dużo steków. Mój pracodawca steków nie je, ale strażnicy owszem, jedzą. Wielu z nich, podobnie jak ja, pochodzi ze starego kraju, i lubimy nasze *braai*. Wy, Amerykanie, nazywacie to barbecue.

– Nie rozumiem.

– Mniej więcej raz na tydzień ubija się jakieś zwierzę... jagnię, kozę, świnię, barana... a jego wnętrzności wrzuca do morza. Krew też się tam wylewa. Te wody roją się od rekinów. Wszelkiej maści. W zeszłym miesiącu jeden z moich ludzi wypadł za burtę. Łódź zawróciła. Byli przy nim po trzydziestu sekundach. Za późno.

– Nie było co wyciągać?

– Było. Ale nóg już nie miał. Po dwóch dniach zmarł. Wrzuciliśmy go z powrotem do morza.

– Czyli rekiny dostały go jednak w całości.

– Tutaj nie można popełniać błędów.

– A przez sierzę, drogą, którą tu wczoraj przyjechałem?

W odpowiedzi van Rensberg wręczył McBride'owi polową lornetkę.

– Proszę spojrzeć. Bokiem obejść jej nie można. Opada stromo w morze. Spuścić się z niej za dnia niezauważonym też nie sposób.

– A nocą?

– No dobrze, nasz człowiek zjeżdża na dół po linie. Od rezydencji i chroniącego ją muru dzielą go jeszcze ogrodzenie z drucianej siatki, zwieńczone drutem kolczastym, i trzy kilometry drogi. Nie jest ani peonem, ani strażnikiem; zostaje szybko zauważony i... zdjęty.

– A strumień, który widziałem? Nie dałoby się nim przepłynąć?

– Dobrze pytanie, panie McBride. Pokażę panu.

Podjechali do lotniska i van Rensberg otworzył pilotem zdalnie sterowaną bramę. Zatrzymali się tam, gdzie tryskający z urwiska strumień przepływał pod pasem startowym. Wysiedli. Na odcinku między pasem a ogrodzeniem strumień płynął wierzchem. Dno porastała trawa i wodorosty.

– Widzi pan coś?

– Nic – przyznał McBride.

– Kryją się w cieniu, pod pasem startowym. Tam im chłodniej.

Był to najwyraźniej gwóźdź programu Afrykanera. Podeszedł do dżipa i wrócił z ochłapem

wołowiny. Kiedy wrzucił go do strumienia, woda się zagotowała. Z przepustu pod pasem startowym wyprysnęły piranie i miriady ostrych ząbków rozszarpały mięso w mgnieniu oka.

– Wystarczy? Pokażę panu teraz, jak zaopatrujemy się w wodę bez uszczerbku dla bezpieczeństwa. Chodźmy.

Wrócili na farmę i pojechali brzegiem wijącego się meandrami strumienia. W kilkunastu miejscach od głównego koryta odbiegały kanały irygacyjne; płynąca nimi woda nawadniała pola uprawne i napełniała zbiorniki retencyjne, ale były to wszystko ślepe uliczki.

Strumień wracał w końcu do ogrodzenia z drucianej siatki, tam przyspieszał i przelewając się przez krawędź klifu, spadał do morza.

– Przy samej krawędzi w dno wkopana jest płyta ze szpikulcami – powiedział van Rensberg. – Każdego, kto spróbuje przepłynąć tym strumieniem, porwie prąd i poniesie bezradnego między betonowymi ścianami w kierunku morza. Nieszczęsny pływak po spotkaniu ze szpikulcami spadnie do oceanu, krwawiąc obficie. I co wtedy? Oczywiście rekiny.

– A nocą?

– Ach, nie widział pan jeszcze psów? Mamy ich tu dwanaście. Same ostre dobermany. Są tak wyszkolone, że nie tkną nikogo w mundurze straży i jeszcze tuzina osób ze starszego personelu, obojętnie jak ubranych. To kwestia zapachu. Spuszczamy je o zachodzie słońca. Dopadną w ciągu kilku minut każdego peona albo obcego, który zapłacze się wtedy na teren farmy. Nie będzie miał żadnych szans. No i na co liczy ten wasz najemnik?

– Nie mam zielonego pojęcia. Jeśli ma trochę oleju w głowie, pewnie już zrezygnował.

Van Rensberg znowu się roześmiał.

– I to by była bardzo mądra decyzja. Wie pan, w starym kraju, na Caprivi Strip, mieliśmy obóz dla czarnuchów, którzy rozrabiali po osadach. Byłem jego komendantem. I wie pan co, panie CIA? Nie straciłem nigdy ani jednego Kafra. Ani jednego. Znaczący, żaden mi nie uciekł. Nigdy.

– Imponujące, nie ma co.

– A wie pan, jakie metody stosowałem? Miny? Nie. Reflektory? Nie. Dwa koncentryczne kręgi ogrodzenia z drucianej siatki wkopanej w ziemię na głębokość dwóch metrów, zwieńczone drutem kolczastym, a między nimi dzikie zwierzęta. Krokodyle w sadzawkach, lwy w trawie. Jeden kryty tunel, którym się wjeżdżało i wyjeżdżało. Kocham Matkę Naturę. – Spojrzał na zegarek. – Jedenasta. Podrzucę pana szlakiem do naszej wartowni na przełęczy. Policja San Martin przyśle tam dżipa, który odwiezie pana do hotelu.

W drodze znad wybrzeża do bramy prowadzącej do wioski i szlaku na przełęcz zatrzeszczało radio majora. Van Rensberg wysłuchał w milczeniu meldunku dyżurnego operatora z piwnicy pod rezydencją. Wyłączywszy radio, wskazał z zadowoleniem na grań sierry.

– Ludzie pułkownika Morena przeczesali dziś rano dżunglę od głównej szosy po szczyt.

Znaleźli obóz tego Amerykanina. Opuszczony. Miał pan chyba rację. Odstraszyło go to, co tu zobaczył.

Widać już było dużą, dwuskrzydłową bramę i białe chatki wioski robotników za nią.

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś bliższego o robotnikach, majorze – odezwał się McBride.

– Co pana interesuje?

– Ilu ich jest? Skąd ich bierzecie?

– Około tysiąca dwustu. Wszyscy są przestępcami skazanymi przez sądy San Martin. Niech pan nie udaje niewiniątka, panie McBride. Wy, Amerykanie, też macie więzienne farmy. I to jest właśnie taka farma. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, całkiem nieźle im się tu żyje.

– I po odbyciu kary wracają do domu?

– Nie – odparł krótko van Rensberg.

Czyli bilet w jedną stronę, pomyślał Amerykanin, na koszt pułkownika Morena i majora van Rensberga. Dożywocie. Za jakie wykroczenia? Za przechodzenie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu? Za śmiecenie w miejscu publicznym? Moreno musi uzupełniać na każde żądanie stan osobowy.

– A strażnicy i ci, którzy pracują w samej rezydencji?

– To inna sprawa. My jesteśmy na etatach. Wszyscy pracujący w rezydencji mieszkają na jej terenie. Tylko mundurowym strażnikom i kilku osobom ze starszego personelu, między innymi mnie, wolno wychodzić poza mur. Peonom nie. Czyściciele basenu, ogrodnicy, kelnerki, pokojówki... wszyscy oni przebywają tam na stałe. Co do peonów pracujących na farmie, to ci mieszkają w swojej wiosce. Wszyscy są samotni.

– Nie ma tu kobiet ani dzieci?

– Nie ma. Oni nie są tu po to, żeby się rozmnażać. Ale mają kościół. Ksiądz w swoich kazaniach wbija im w głowę tylko jeden tekst... absolutne posłuszeństwo. – Van Rensberg nie wspomniał, że karą za brak posłuszeństwa jest, jak za starych, dobrych, południowoafrykańskich czasów, oćwiczenie biczem ze skóry nosorożca.

– Czy ktoś obcy mógłby się dostać na teren hacjendy, udając robotnika, majorze?

– Nie. Każdego wieczoru kierownik farmy jedzie do wioski i wybiera robotników na następny dzień. Wybrani meldują się o wschodzie słońca, po śniadaniu, przy głównej bramie. Są tam jeden po drugim kontrolowani. Na farmę wpuszcza się ich tylko tyle, ilu w danym dniu potrzeba. Ani jednego więcej.

– A ilu zwykle potrzeba?

– Około tysiąca dziennie. Dwustu z jakimś przygotowaniem technicznym do pracy w warsztatach naprawczych, młynie, piekarni, rzeźni, parku maszynowym; ośmiuset do okopywania i pielienia. Mniej więcej dwustu zostaje każdego dnia w wiosce. To w większości autentycznie chorzy, śmieciarze, kucharze...

– Chyba mnie pan przekonał – wpadł mu w słowo McBride. – Jeden człowiek nie da tu rady, prawda?

– Mówię panu, panie CIA, że strach go obleciał i dał za wygraną.

Znowu zatrzeszczało radio. Major, ściągnąwszy brwi, wysłuchał meldunku.

– Jaka znowu afera? Dobra, powiedz mu, żeby się uspokoił. Będę tam za pięć minut.

Odłożył radio.

– To ojciec Vincente z kościoła. Bardzo zdenerwowany. Muszą tam wpaść po drodze na przełęcz. To zajmie najwyżej parę minut.

Mijali właśnie rząd peonów pracujących w palącym słońcu oskardami i motykami. Kilka głów uniosło się, żeby spojrzeć na przejeżdżający samochód, za którego kierownicą siedział pan ich życia i śmierci. Wychudłe, zarośnięte twarze, kawowobrazowe oczy ocienione rondami słomkowych sombrero... Nie, jeden z nich miał oczy niebieskie.

Rozdział 30

Blef

Na szczycie schodów, przed otwartymi na oścież drzwiami kościoła, przestępował nerwowo z nogi na nogę niski, przysadzisty człowieczek o świńskich oczkach, odziany w nie pierwszej czystości białą sutannę. Ojciec Vincente, duszpasterz nieszczęsnych robotników przymusowych.

Hiszpański van Rensberga pozostawiał wiele do życzenia i ograniczał się praktycznie do najczęściej używanych komend; angielski kapłana był nie lepszy.

– Sibko, sibko, pułkownik – wyrzucił z siebie, i już był z powrotem w kościółku. Van Rensberg i McBride wyskoczyli z dżipa, wbiegli po schodkach i wpadli za nim do środka.

Biegąca przodem brudna sutanna mijała właśnie ołtarz i znikła w zakrystii. Było to małe pomieszczenie, w którym jedyny mebel stanowił prosty kredens na szaty liturgiczne. Kapłan otworzył teatralnym gestem drzwiczki i zawołał:

– *Mira!*

Zajrzeli. Peon leżał wciąż tak, jak znalazł go ojciec Vincente. Nie próbowano go nawet uwolnić. Nadgarstki miał ciasno skrępowane z przodu taśmą samoprzylepną, kostki nóg tak samo, a spod taśmy, którą zaklejono mu usta, wydobywał się protestacyjny bełkot. Na widok van Rensberga mężczyzna postawił oczy w słup i zamilkł. Afrykaner pochylił się i bezceremonialnie zdarł knebel.

– Skąd on się tu, u diabła, wziął?

Przeżony mężczyzna zatrajkotał coś, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, ksiądz wzruszył ostentacyjnie ramionami.

– Mówi, nie wie. Mówi, jak poszed wczora spać, to się obudził tutaj. Głowa boli, nic nie pamięta.

Peon był tylko w kusych gatkach. Afrykaner chwycił go brutalnie za ramiona i poderwał na nogi.

– Powiedz mu, żeby sobie lepiej przypomniał! – krzyknął do księdza, a ten

przetłumaczył.

– Majorze – wtrącił spokojnie McBride – najpierw najważniejsze. Jak się nazywa?

Ojciec Vincente uchwycił sens tych słów.

– Ramon na imię ma.

– Ramon, i jak dalej?

Ksiądz wzruszył ramionami. Miał w swej owczarni ponad tysiąc owieczek; jak tu spamiętać nazwiska wszystkich?

– Gdzie jest jego chata? – spytał Amerykanin.

Nastąpiła kolejna wymiana zdań w miejscowej odmianie hiszpańskiego. McBride znał trochę hiszpański i czytanie w tym języku dobrze mu nawet szło, ale lokalny sanmartiński *patois* nie przypominał w niczym kastylijskiego.

– Czysta metrów odtąd – oznajmił ksiądz.

– Może tam zajrzemy? – zasugerował McBride. Wyjął z kieszeni scyzoryk i przeciął taśmę na nadgarstkach i kostkach Ramona.. Onieśmielony robotnik poprowadził majora i Amerykanina przez plac, potem główną ulicą. Skręcili w boczną uliczkę. Peon pokazał palcem drzwi swojej chatki i cofnął się.

Van Rensberg wszedł pierwszy, za nim McBride. Nie znaleźli nic prócz małego, zmiętego bawełnianego gałganka, który Amerykanin wygarnął spod pryczy. Powąchał go i podał majorowi, który zrobił to samo.

– Chloroform – orzekł McBride. – Zaskoczono go we śnie. Prawdopodobnie nic nawet nie poczuł. Ocknął się skrępowany w kredensie. Nie kłamie, jest tylko oszołomiony i przestraszony.

– No dobrze, ale kto i po co, u diabła, to zrobił?

– Wspominał pan o metalowych znaczkach, które nosi każdy robotnik i które są sprawdzane przy bramie, przed dopuszczeniem go do pracy, prawda?

– Tak. I co z tego?

– Ramon nie ma takiego znaczka. Nie widzę go też tu nigdzie na podłodze. Mówi to panu coś?

Mówiło. Van Rensberg wrócił wyciągniętym krokiem do landrowera pozostawionego na placu i sięgnął po walkie-talkie zawieszony na tablicy rozdzielczej.

– Zarządzam alarm – rzucił do mikrofonu, kiedy zgłosił się operator z centrum łączności.

– Włączyć syrenę w trybie „zbiegły więzień”. Zamknąć bramę rezydencji. Nie wpuszczać ani nie wypuszczać nikogo. Od tej chwili mogę ją przekraczać tylko ja. Powiadomić wszystkich strażników, tych na służbie i tych, którzy mają wolne, że zarządzam zbiórkę przy głównej bramie.

Po sekundzie w ciszę nad półwyspem wdarło się zawrodożenie syreny. Słychać ją było na polach i w stodołach, w barakach i w sadach, kuchniach, ogrodach i chlewach.

Wszyscy odrywali się od tego, co akurat robili, podnosili głowy i spoglądali w stronę

głównej bramy. Po ściągnięciu w ten sposób powszechnej uwagi dał się słyszeć głos radiooperatora z piwnicy pod rezydencją.

– Zbiórka strażników przy głównej bramie. Powtarzam, zbiórka strażników przy głównej bramie. Natychmiast.

Ponad sześćdziesięciu miało dzienną zmianę, reszta odpoczywała w koszarach. Na wezwanie ruszyli wszyscy samochodami terenowymi i pieszo, z pól, z najdalszych zakątków farmy, z koszar oddalonych o pięćset metrów od głównej bramy.

Van Rensberg czekał tam na nich, stojąc na masce swojego landrowera.

– Nikt nam nie uciekł – oznajmił, kiedy zebrali się już wszyscy. – Wprost przeciwnie. Mamy na terenie intruza. Jest przebrany za robotnika. To samo ubranie, te same sandały, to samo sombrero. Ukradł nawet znaczek. Dzienna zmiana: zebrać i odprowadzić do wioski wszystkich robotników. Bez wyjątków. Zmiana odpoczywająca: przeszukać każdą stodołę, oborę, stajnię, warsztat. Po przeszukaniu zamknąć, opieczetować i postawić wartę. Kontaktować się przez radio z dowódcami oddziałów. Młodszy dowódca utrzymują łączność ze mną. Wykonać. Do każdego w roboczym ubraniu, usiłującego uciekać, strzelać bez ostrzeżenia. Do roboty.

Setka ludzi rozproszyła się po hacjendzie. Mieli do przeczesania jej środkową sekcję – od ogrodzenia z drucianej siatki, oddzielającej lotnisko i wioskę od farmy, do muru rezydencji. Było to rozległe terytorium, za rozległe nawet dla stu ludzi. Na jego przeszukanie trzeba było wielu godzin.

Van Rensberg zapomniał, że McBride wyjeżdża. Zajęty planowaniem akcji, nie zwracał na Amerykanina uwagi. McBride siedział w samochodzie i myślał. Na tablicy ogłoszeń przy wejściu do kościoła widział informację o treści: *OBSEQUIAS POR NUESTRO HERMANO PEDRO HERNANDEZ. ONCE DE LA MAÑANA.*

McBride, choć hiszpański znał słabo, potrafił przetłumaczyć te słowa: „Msza żałobna za duszę naszego brata Pedra Hernandesa. Jedenasta rano”. Czy Mściciel też je czytał? Czy dały mu do myślenia? W normalnych okolicznościach ksiądz do niedzieli nie zajrzałby do zakrystii. Ale dzisiaj było inaczej. Było do przewidzenia, że za dziesięć jedenasta otworzy kredens z szatami liturgicznymi i zobaczy więźnia.

Dlaczego napastnik nie zostawił go gdzie indziej? Na przykład, nie przywiązał taśmą do jego własnej pryczy. Tam co najmniej do zachodu słońca nikt by go nie znalazł.

McBride podszedł do majora rozmawiającego przez walkie-talkie z mechanikami z lotniska.

– Co nawaliło? Pieprzyć tylny wirnik. Maszyna ma być w powietrzu. Do roboty!

Wyłączył radio, wysłuchał McBride’a, popatrzył na niego i warknął:

– Pański krajanie zwyczajnie popełnił błąd, gruby błąd. Będzie go kosztował życie.

Minęła godzina. Nawet bez lornetki McBride widział kolumny odzianych na biało robotników, pędzone przez pokrzykujących strażników ku dwuskrzydłowej bramie,

prowadzącej do ich wioski. Południe. Żar lał się z nieba.

Skłębiony tłum przed bramą rósł. Przez radio bez ustanku napływały meldunki, oczyszczano z robotników sektor po sektorze, przeszukiwano zabudowania, meldowano, że są czyste, opieczętowane, a pracujący w nich ludzie znajdują się w środku.

O trzynastej trzydzieści rozpoczęło się sprawdzanie numerków. Pięciu kontrolerów zasiadło za stołami, robotnicy, ustawieni w pięć kolejek, po dwieście osób w każdej, podchodzili do nich jeden po drugim i pokazywali swoje znaczki.

Normalnie peoni pracowali tylko w chłodzie poranka, potem mieli sjęstę i wracali do zajęć dopiero po południu, kiedy upał folgował. Teraz piekli się żywcem na słońcu. Dwóch peonów zemdlało. Cucili ich koledzy. Numer z każdego znaczka porównywany był z wykazem numerów wprowadzonych do bazy danych rano. Kiedy ostatni peon powlókł się do wioski, by skryć się tam w cieniu i napić wody, starszy kontroler kiwnął głową.

– Jednego brakuje – zawołał.

Van Rensberg podszedł i zajrzał mu przez ramię.

– Numer pięć-trzy-jeden-zero-osiem.

– Nazwisko?

– Ramon Gutierrez.

– Spuścić psy.

Van Rensberg podszedł do McBride'a.

– Wszyscy technicy są już w budynkach, w których pracują, zamknięci i pilnowani. Moich ludzi psy nie ruszą. Rozpoznają ich po mundurach. Czyli pod gołym niebem pozostaje tylko jeden człowiek. Obcy w bawełnianych spodniach i koszuli, wydzielający nieznaną zapach. To jak dzwonek na lunch dla naszych dobermanów. Gdzie ucieknie? Na drzewo? Do sadzawki? I tak go znajdują, otoczą i przytrzymają do przybycia opiekunów. Dam temu najemnikowi pół godziny na zejście z drzewa i poddanie się, albo zginie.

* * *

Człowiek, którego szukał, znajdował się w tym czasie pośrodku farmy i biegł lekko między rzędami wyższej od niego kukurydzy. Kierował się słońcem, za krawędź odniesienia miał grań sierry.

Wcześniej tego ranka odłączył się niepostrzeżenie od swojej brygady i po dwóch godzinach biegu dotarł do muru rezydencji. Pokonanie tego dystansu zajęłoby mu mniej czasu, gdyby nie musiał unikać innych brygad i strażników. Wciąż kluczył.

Teraz wracał. Przed gruntową drogą przecinającą pole kukurydzy zatrzymał się, przypadł do ziemi i wyrztał. Oddalały się nią w kierunku głównej bramy cztery samochody terenowe, wypełnione strażnikami. Odczekał, aż znikną za zakrętem, w trzech susach przeciął drogę i wpadł do sadu brzoskwiniowego. Po dwóch dniach studiowania rozkładu farmy ze szczytu sierry orientował się doskonale w terenie i trasę od muru rezydencji do miejsca, w którym

chciał się znaleźć, mógłby przebyć z zamkniętymi oczami.

Niemal wszystkie pozycje ekwipunku, który zabrał z sobą rano, upychając je po części do woreczka na lunch, po części w obcisłe slipy, które miał pod bokserkami, znajdowały się już na swoim miejscu – wodoszczelny zegarek nurka na przegubie, pas na biodrach, nóż za plecami, gdzie nie przeszkadzał, a jednocześnie był łatwo dostępny. Bandaż, plaster i reszta w płaskiej sakiewce, przytroczonej do pasa.

Spojrzał znowu na grań sierry, zmienił o kilka stopni kierunek, zatrzymał się i przekrzywił głowę, nastawiając ucha. Usłyszał przed sobą cichy bulgot płynącej wody. Dotarł do brzegu strumienia, cofnął się o piętnaście kroków i rozebrał. Zostawił sobie tylko pas, nóż i slipki.

Upał stawał się nie do zniesienia. Z oddali dobiegało już ujadanie psów. Jego zapach lada minuta dotrze wraz z ledwie wyczuwalną bryzą od morza do czułych psich nozdrzy.

Pracował uważnie, ale szybko. Skończywszy, podbiegł do strumienia, ześlizgnął się do zimnej wody i dał ponieść prądowi w kierunku lotniska i klifu.

* * *

Van Rensberg, mimo własnych zapewnień, że psy go nie ruszą, na wszelki wypadek pozamykał wszystkie okna i jechał powoli jedną z głównych alejek, prowadzącą od bramy w głąb farmy.

Za nim posuwała się ciężarówka z klatką z drucianej siatki na skrzyni, prowadzona przez pomocnika opiekuna psów. Opiekun psów siedział obok majora w landrowerze. On pierwszy wychwycił u swoich podopiecznych nagłą zmianę tonu w ujadaniu, które po chwili przeszło z gardłowego poszczekiwania w pełen podniecenia skowyt.

– Coś znalazły! – krzyknął.

Van Rensberg się uśmiechnął.

– Gdzie, chłopie, gdzie?

– Tam.

McBride siedział z tyłu, rad, że chronią go szyby i blachy landrowera defendera. Nie lubił złych psów, a dwanaście takich to o tuzin za wiele.

Psy rzeczywiście coś znalazły, ale skowyczały nie tyle z podniecenia, co z bólu. Zobaczyli je, pokonawszy zakręt za sadem brzoskwiniowym. Kłębiły się pośrodku drogi. Obiektem ich zainteresowania była kupka zakrwawionego ubrania.

– Zabierz je na ciężarówkę! – krzyknął van Rensberg.

Mężczyzna wysiadł, zatrzasnął za sobą drzwiczki i gwizdnął. Psy bez protestu, wciąż skowycząc, powskakiwały do klatki na skrzyni ciężarówki. Kiedy ją zamknięto, z landrowera wysiedli również van Rensberg i McBride.

– A więc tu go dopadły – mruknął van Rensberg.

Opiekun, wciąż zaintrygowany zachowaniem swojej sfory, podniósł z ziemi zakrwawioną

bawełnianą bluzę, powąchał ją i gwałtownie cofnął głowę.

– A to sukinsyn! – wrzasnął. – Proszek chili, drobno zmielony proszek zielonego chili. Nie żałował go. Nic dziwnego, że te biedaczyska tak skowyczą. Z bólu.

– Kiedy węch im wróci?

– Na pewno nie dzisiaj, szefie, może jutro, ale tego też nie mogę zagwarantować.

Znaleźli jeszcze bawełniane spodnie, również posypane proszkiem chili, słomiane sombrero, nawet płócienne espadryle. Ale nie było ciała, nie było kości, tylko plamy krwi na koszuli.

– Co on tu wykombinował? – spytał van Rensberg opiekuna psów.

– Zaciął się bydlak. Zaciął się nożem, pomazał krwią koszulę. Wiedział, że psy dostaną szafu, jak ją zwęszą. Ludzka krew tak na nie działa. I wachając koszulę, wciągnął w nozdrza chili.

Van Rensberg policzył części garderoby.

– Do tego się rozebrał – stwierdził – i lata teraz goły.

– Niekoniecznie – wtrącił McBride.

Afrykaner przyodział swoją armię na styl wojskowy. Wszyscy nosili takie same mundury. Wojskowe spodnie khaki, wpuszczane w wojskowe buty z cholewami. Szeroki pas z masywną sprzączką. Koszula w jasnych barwach ochronnych, z rękawami do połowy przedramienia, podwijanymi na wysokość bicepsu i zaprasowywanymi na płask.

Jedno odwrócone V oznaczało kaprała, dwa sierżanta, a czterech młodszych oficerów nosili na pagonach koszul gwiazdki.

McBride wskazał na rosnący przy drodze krzak. Na jednym z cierni wisiał oddarty od koszuli pagon bez żadnych dystynkcji, świadczący, że musiało tu dojść do szamotaniny.

– Nie sądzę, żeby nasz człowiek biegał goły – powiedział. – Podejrzewam, że ma na sobie koszulę od munduru, bez jednego pagonu, spodnie khaki od munduru i wojskowe buty. Że nie wspomnę o kapeluszu. Takim samym jaki nosi pan, majorze.

Van Rensberg poczerwieniał z wściekłości. Ale dowody mówiły same za siebie. Dwa wąskie pasma zgniecionej piętami trawy wskazywały kierunek, w którym kogoś wleczono. Trop urywał się nad strumieniem.

– Tu wrzucił ciało – mruknął major – pewnie spadło już z klifu do morza.

A wszyscy wiemy, jaki jesteś dumny ze swoich rekinów, pomyślał McBride, lecz nic nie powiedział.

Do van Rensberga dotarła wreszcie cała groza sytuacji. Oto po terenie sześciotysięcznoakrowej hacjendy buszuje samochodem terenowym uzbrojony, z twarzą ocienioną szerokoskrzydłym kapeluszem, zawodowy najemnik, któremu wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zlecono likwidację jego chlebobawcy.

Mruknął coś pod nosem po afrykanersku, i nie było to nic przyjemnego. Potem sięgnął po radio.

– Dwudziestu dodatkowych wypoczętych strażników do rezydencji. Poza nimi nie wpuszczać tam nikogo, z wyjątkiem mnie. Mają być w pełni uzbrojeni. Niech się natychmiast rozproszą po terenie i otoczą dom. Wykonać.

Ruszyli na przełaj ku odgrodzonej murem rezydencji na przylądku. Była godzina piętnasta czterdzieści pięć.

Rozdział 31

Żądło

Woda strumienia podziałała jak balsam na nagrzaną palącym słońcem skórę. Ale była to niebezpieczna woda; rwąc między betonowymi brzegami w kierunku morza, coraz bardziej przyspieszała.

Tam gdzie wchodził do strumienia, mógłby jeszcze przebrnąć swobodnie na jego drugi brzeg. Stamtąd jednak było za daleko do miejsca, do którego zmierzał; nie widział jeszcze nawet drzewa zapamiętanego z obserwacji prowadzonej ze szczytu sierry oraz ze zdjęć lotniczych, a ujadanie psów było coraz bliższe.

Ostatnią, niewykorzystaną dotąd pozycją ekwipunku był mały, składany trójramienny hak na sześciometrowej linie. Teraz, spływając z nurtem wijącego się strumienia, rozłożył ten hak, zablokował jego ramiona i wsunął sobie na prawy przegub pętlę na końcu linki.

Za następnym zakrętem zobaczył przed sobą drzewo. Rosło nad brzegiem, tym od strony lotniska, chyląc nad strumieniem dwie grube gałęzie. Zbliżając się do niego, uniósł się na wodzie, wziął szeroki zamach i rzucił hak.

Metalowe ramiona zagłębiły się z trzaskiem w płataninie gałęzi. Niesiony prądem Dexter minął drzewo. W chwilę potem hak natrafił na punkt zaczepienia i bolesne szarpnięcie omal nie wyrwało mu ręki ze stawu. Strumień rwał dalej, ale już bez niego.

Podciągnął się na linie do brzegu i wygramolił do połowy z wody. Zostały mu w niej tylko nogi. Czepiając się wolną ręką trawy, wywindował resztę ciała na stały ląd.

Hak został między gałęziami. Dexter sięgnął, najwyżej jak mógł, i odciął nożem linkę; reszta zwisała nad wodą. Był sto metrów od lotniska, od ogrodzenia z drucianej siatki, które rozciął przed czterdziestoma godzinami. Nie pozostawało mu nic innego, jak poczołgać się w tamtym kierunku. Lecz spieszyć się nie musiał. Psy, jeśli nawet nie wpadną w zastawioną na nie pułapkę, były co najmniej półtora kilometrów za nim, a do tego po drugiej stronie strumienia.

Leżąc dwie noce wcześniej przy ogrodzeniu od strony lotniska, przeciął kilka oczek siatki

w pionie i kilka w poziomie. Jedno oczko, to w punkcie spotkania obu przecięć, pozostawił nietknięte, żeby siatka nie obwisła. Nożyce leżały tam, gdzie je ukrył – w wysokiej trawie pod siatką.

Usunięcie drutu ogrodniczego w zielonym plastikowym płaszczu, którym zasznurował dwa rozcięcia, zajęło mu minutę. Przeciął ostatnie oczko i siatka oklapła z cichym brzęknięciem. Przeczółgał się przez otwór, odwrócił i leżąc, na powrót go zasznurował. Z odległości dziesięciu kroków rozcięcie stawało się niewidoczne.

Po stronie farmy peoni kosili trawę przy drucianej siatce na siano, ale na lotnisku wyrosła na trzydzieści centymetrów po obu stronach pasa startowego. Dexter odszukał rower oraz inne skradzione wcześniej rzeczy, ubrał się dla ochrony rzed palącym słońcem, położył i znieruchomiał. Po chwili zza ogrodzenia doleciał go odległy skowyt psów. Znalazły zakrwawioną garderobę.

* * *

Kiedy major van Rensberg zatrzymywał landrowera przed bramą rezydencji, nowi strażnicy już tam byli. Uzbrojeni po zęby, z karabinami M-16 w ręku, zeskakiwali właśnie z ciężarówki. Młody oficer zarządził zbiórkę, dębowa brama rozwarła swe podwoje. Kolumna wbiegła przez nią i sprawnie rozproszyła się po terenie parku. Van Rensberg wjechał tam za nimi landrowerem i brama się zamknęła.

Afrykaner skręcił w prawo przed schodami, po których McBride wstępował poprzedniego dnia na taras z basenem, i zatrzymał wóz z boku tarasu. Były tam drzwi prowadzące na parter budynku oraz trzy zdalnie otwierane bramy podziemnych garaży.

W drzwiach czekał kamerdyner. Poprowadził ich najpierw korytarzem, potem po schodach do głównej przestrzeni mieszkalnej.

Serb był w bibliotece. Widać czuł się tu bezpieczniej. Siedział przy konferencyjnym stole nad filiżanką czarnej kawy. Zaprosił gości gestem do zajęcia miejsc. Pod półką na książki, pełną nieprzeczytanych pierwszych wydań, stał czujny jak zawsze Kulać, jego goryl.

– Melduj – burknął bez wstępów Żilić.

Van Rensberg wyznał ze skruchą, że ktoś, działając w pojedynkę, przedostał się do jego fortecy i udając robotnika, wszedł na teren farmy. Przechytrzył psy, zabił strażnika, przebrał się w jego mundur, a ciało wrzucił do wartkiego strumienia.

– I gdzie teraz jest?

– Gdzieś między murem rezydencji a ogrodzeniem z drucianej siatki, zabezpieczającym lotnisko i wioskę, proszę pana.

– I co w tej sprawie zamierzasz?

– Wywołamy przez radio, jednego po drugim, wszystkich ludzi będących pod moją komendą, wszystkich, którzy noszą mundur, i potwierdzimy ich tożsamość.

– *Quis cutodiet ipsos custodes?* – zapytał McBride. Van Rensberg i Żilić spojrzeli na

niego zdziwieni. – Przepraszam. Kto pełni straż nad strażnikami? Innymi słowy, kto kontroluje kontrolujących? Skąd będzie wiadomo, że głos z radia nie kłamie?

Zapadło pełne konsternacji milczenie.

– Racja – przerwał je pierwszy van Rensberg. – Trzeba ich będzie ściągnąć do koszar. Niech dowódcy drużyn sprawdzą każdego wzrokowo. Mogę zejść do centrum łączności i wydać rozkaz?

Żilić kiwnął głową.

Zajęło to godzinę. Słońce za oknem zachodziło już za grań sierry. Szybko zapadał tropikalny zmrok. Wrócił van Rensberg.

– Tożsamość wszystkich w koszarach potwierdzona. Cała osiemdziesiątka pod komendą młodszych oficerów. Czyli on wciąż jest tam gdzieś za murem.

– Albo dostał się już na teren rezydencji – podpowiedział McBride. – Patroluje ją pański piąty pluton.

– Wpuściłeś tu tych dwudziestu, nie sprawdzając ich tożsamości? – zwrócił się Żilić lodowatym tonem do szefa ochrony.

– Skądże znowu, proszę pana. To doborowy pluton. Dowodzi nimi Janni Duplessis. Obca twarz by się między nimi nie uchowała.

– Każ mu się tu zameldować – warknął Serb.

Po kilku minutach do biblioteki wszedł młody Afrykaner. Trzasnął obcasami i wyprężył się w postawie zasadniczej.

– Poruczniku Duplessis, na mój rozkaz wybraliście dwudziestu ludzi i przed dwoma godzinami przywieźliście ich tu ciężarówką?

– Tak jest, proszę pana.

– Znacie wszystkich z widzenia?

– Tak, proszę pana.

– Przepraszam, a w jakiej formacji marszowej wbiegaliście przez bramę? – spytał McBride.

– Ja na czele. Za mną sierżant Gray. Potem ludzie, trójkami, po sześciu w rzędzie. Osiemnastu szeregowych.

– Dziewiętnastu – powiedział McBride. – Zapomniał pan o tym maruderze.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było wyraźnie tykanie zegara na kominku.

– Jakim maruderze? – wyszeptał van Rensberg.

– Nie zrozumcie mnie źle, panowie. Mogę się mylić. Ale wydaje mi się, że widziałem dziewiętnastego szeregowca, który wyłonił się zza ciężarówki i wbiegł za resztą. Ten sam mundur. Myślałem, że należy do oddziału.

W tym momencie zegar wybił osiemnastą i jednocześnie wybuchła pierwsza bomba. Były nie większe od piłek golfowych i zupełnie nieszkodliwe – bardziej petardy niż śmiertelna broń. Miały zapalniki czasowe nastawione na osiem godzin, a Dexter przerzucił je wszystkie

przez mur o godzinie dziesiątej. Ze zdjęć lotniczych wiedział dokładnie, gdzie wokół domu rosła najgęstsze krzewy, w młodości grywał w baseball i był całkiem niezłym miotaczem. Ale te petardy, detonując, robiły sporo huk, który do złudzenia przypominał wystrzał z karabinu.

– Kryć się! – krzyknął któryś z obecnych w bibliotece mężczyzn i cała piątka rzuciła się na podłogę.

Kulać przeturlał się, zerwał na równe nogi i stanął nad swoim panem z dobytym pistoletem. Wydało mu się, że zobaczył strzelca, i odpowiedział ogniem. Wybuchły dwie kolejne bomby i strzelanina rozpętała się na dobre. W drobny mak poszła szyba w oknie. Kulać wypalił w ciemną noc.

Tego było już Serbowi za wiele. Schylony, na ugiętych nogach wypadł przez tylne drzwi biblioteki na korytarz i zbiegł po schodkach prowadzących do piwnicy. McBride poszedł za jego przykładem, Kulać, biegnąc tyłem, osłaniał odwrót.

Dyżurny operator w centrali łączności, z pobladłą twarzą, usiłował zaprowadzić jaki taki ład w kakofonię krzyków i wrzasków, odbieraną na paśmie kieszonkowych krótkofalówek strażników.

– Kto mówi? Przedstaw się! Gdzie jesteś? – pohukiwał.

Nikt go nie słuchał, strzelanina w ciemnościach przybierała na sile. Żilić doskoczył do konsoli i nacisnął wyłącznik. Zapadła cisza.

– Wywołaj lotnisko. Postaw na nogi wszystkich pilotów i personel naziemny. Niech mi szykują helikopter.

– Helikopter jest w naprawie, proszę pana.

– To hawkera. Ma być natychmiast gotowy do lotu.

– Natychmiast?

– Natychmiast. Nie jutro, nie za godzinę, ale właśnie natychmiast!

* * *

Słyszając dobiegające z oddali trzaski karabinowych wystrzałów, mężczyzna przyczajony w wysokiej trawie uniósł się na klęczki. Zmierzch był już głęboki, lada chwila miały zapaść kompletne ciemności. W tych warunkach wzrok płata figle i cienie zdają się ożywać. Mężczyzna podniósł z ziemi rower, włożył do koszyka skrzynkę z narzędziami, przepedałował przez pas startowy na stronę urwiska i skręcił w kierunku odległego o dwa i pół kilometra hangaru na jego końcu. W zapadających ciemnościach nie widać było litery „Z”, logo Zeta Corporation, na plecach kombinezonu mechanika, ale w zamieszaniu, jakie miało się za chwilę rozpętać, i tak nikt przez najbliższe trzydzieści minut nie zwróci na niego uwagi.

* * *

– Tu nasze drogi się rozchodzą, panie McBride – zwrócił się Serb do Amerykanina. – Obawiam się, że będzie pan musiał wracać do Waszyngtonu na własną rękę. Problem, który tutaj zaistniał, zostanie w końcu zażegnany, potem poszukam sobie nowego szefa ochrony. Czas przywracania porządku zamierzam przeczekać, korzystając z gościnności moich przyjaciół z emiratów. Panu Devereaux może pan przekazać, że nie zamierzam renegeować naszej umowy.

W garażu na końcu podziemnego korytarza stał opancerzony mercedes. Kulać usiadł za kierownicą, jego chlebodawca z tyłu. McBride patrzył bezradnie, jak unosi się brama garażu. Limuzyna wyjechała na wysypaną żwirem alejkę i skręciła w stronę wrót w murze.

Mercedes zatrzymał się przed jasno oświetlonym hangarem. Do przedniej goleni podwozia hawкера 1000 doczepiano właśnie ciągnik, który miał wyholować maszynę na przedpole. Mechanik dokręcił ostatnią pokrywę silnika, zszedł z rusztowania i odciągnął je od kadłuba. W oświetlonym kokpicie kapitan Stepanović i jego drugi pilot, młody Francuz, sprawdzali przyrządy, wskaźniki i systemy.

Żilić z Kulaciem czekali w bezpiecznym wnętrzu samochodu. Hawkera wyciągnięto na przedpole, otworzyły się drzwi, z sykiem opuściły schodki i na ich szczycie pojawił się drugi pilot.

Kulać wysiadł z mercedesa pierwszy, przebiegł kilka metrów po betonie i wspiał się po schodkach do luksusowej kabiny. Spojrzał w prawo, na zamknięte drzwi kabiny pilotów, w paru susach dopadł do łazienki w ogonie. Zdecydowanym szarpnięciem otworzył drzwi. Pusta. Wrócił na schodki i dał ręką znak chlebodawcy. Serb wysiadł z wozu i podbiegł do schodków. Ledwie znalazł się w środku, drzwi się zamknęły. Byli już bezpieczni.

Na zewnątrz dwóch ludzi nałożyło na uszy słuchawki. Kapitan Stepanović uruchomił silniki. Dwa pratt whitneye 300 zaskoczyły i zaczęły się obracać z cichym pomrukiem, który szybko przeszedł w ogłuszający wizg.

Mężczyzna stojący na płycie lotniska przed maszyną, w miejscu, w którym mógł go widzieć pilot, uniósł neonowe pałeczki i zaczął prowadzić hawkera ku skrajowi przedpola.

Kapitan Stepanović podkołował na koniec pasa, po raz ostatni sprawdził hamulce, zwolnił je i otworzył obie przepustnice.

Hawker potoczył się po pasie, nabierając szybkości. Jasno oświetlona rezydencja na cyplu pogrążyła się nagle w ciemnościach, co jeszcze powiększyło panujący tam chaos. Maszyna zadarła nos, ścichł szum toczących się po betonie opon, przemknęła pod nimi krawędź klifu i już byli nad zalanym księżycową poświatą morzem, biorąc kurs na północ.

Kapitan Stepanović schował podwozie, przekazał stery Francuzowi i zabrał się do układania planu lotu oraz trasy do pierwszego międzylądowania na Azorach, gdzie uzupełnią paliwo.

Latał już kilka razy do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale nigdy jeszcze nie startował w takim pośpiechu. Hawker przechylił się na skrzydło, zmieniając kurs na

północno-wschodni. Osiągnęli już wysokość podrózną, wynoszącą trzy tysiące metrów.

Jak większość samolotów dyspozycyjnych, hawker 1000 ma małą, ale luksusowo wyposażoną łazienkę. Znajduje się w ogonie maszyny i zajmuje całą szerokość kadłuba. Tylną ściankę tej łazienki stanowi zdejmowane przepierzenie, które zapewnia dostęp do jeszcze mniejszego pomieszczenia na lekki bagaż. Kulać zajrzał do łazienki, ale do tej podręcznej ładowni już nie.

Pięć minut po starcie skulony w niej mężczyzna w kombinezonie mechanika zdjął przepierzenie i przeszedł do łazienki. Wyjął ze skrzynki na narzędzia dziewięciomilimetrowego sig sauera, sprawdził jeszcze raz mechanizm, odsunął zasuwkę i wkroczył do głównej kabiny. Dwaj mężczyźni siedzący naprzeciwko siebie w klubowych fotelach patrzyli na niego w milczeniu.

– Nie ośmielisz się go użyć – odezwał się w końcu Serb. – Pocisk wybije dziurę w kadłubie i zostaniemy wyssani razem z powietrzem na zewnątrz.

– Popracowałem nad nabojami – odparł spokojnie Dexter. – Odsypałem trzy czwarte ładunku. Wystarczy, żeby pocisk zrobił dziurę w tobie, ugrzązł tam i uśmiercił. Ale kadłuba nie przebije. Powiedz koledze, żeby mi oddał swoją pukawkę. Niech ją weźmie w dwa palce i położy na dywanie.

Nastąpiła krótka wymiana zdań po serbskochorwacku. Goryl, siny z wściekłości, wyjął spod lewej pachy i rzucił na ziemię glocka.

– Kopnij go do mnie! – warknął Dexter.

Żilić wykonał polecenie.

– Teraz pistolet ze skarpetki.

Kulać nosił mniejszy pistolet przytroczony do lewej kostki, pod skarpetką. Ta broń również trafiła do Dextera. Mściciel wyjął parę kajdanek i rzucił je na dywan.

– Zatrzaśnij kumpłowi jedną obrączkę na lewej kostce. Zrób to sam. I żebym przez cały czas wszystko widział, bo inaczej pożegnasz się z kolanem. Tak, tak, taki dobry jestem.

– Milion dolarów – wycedził Serb.

– Daj spokój – mruknął Amerykanin.

– Gotówką albo przelewem na wskazane konto.

– Oj, bo stracę cierpliwość.

Kajdanki się zatrzasnęły.

– Ciaśniej.

Kulać skrzywił się z bólu.

– Łańcuszek za nogę fotela, druga obrączka na prawy przegub.

– Dziesięć milionów. Będziesz głupcem, jeśli odmówisz.

W stronę Serba poleciała druga para kajdanek.

– Lewy nadgarstek, łańcuszek za łańcuszek przyjaciela, i prawy nadgarstek. Rób to na moich oczach, bo marnie będzie z kolanem.

Dwaj mężczyźni siedzieli obok siebie w kucki, przykuci jeden do drugiego, a wspólnie do nogi fotela. Dexter miał nadzieję, że śruby, którymi jest przykręcony do podłogi, oprą się nawet zwalistemu goryłowi.

Omijając ich łukiem, podszedł do drzwi kabiny pilotów. Kapitan myślał, że to jego szef z jakimś zapytaniem. Z błędu wyprowadziła go lufa pistoletu, przystawiona do skroni.

– Kapitan Stepanović, nieprawdaż? – usłyszał za sobą. – Osobiście nic do pana nie mam – ciągnął porywacz, nie czekając na odpowiedź. – Pan i pański przyjaciel jesteście po prostu zawodowcami. Podobnie jak ja. I trzymajmy się tego. Zawodowcy nie robią głupstw, jeśli da się ich uniknąć. Zgadzą się?

Kapitan kiwnął głową. Spróbował się obejrzeć i zapuścić żurawia do kabiny pasażerskiej.

– Twój szef i jego ochroniarz są rozbrojeni i przykuci do kadłuba. Na ich pomoc nie masz co liczyć. Rób, co mówię, i nie kombinuj.

– Czego chcesz?

– Zmień kurs. – Mściciel spojrzał na tablicę przyrządów. – Proponuję trzy-jeden-pięć, powinno być dobrze. Wschodnie wybrzeże Kuby ominiesz, bo nie mamy planu lotu.

– Miejsce przeznaczenia?

– Floryda, konkretnie Key West.

– Stany?

– Kraj moich ojców – westchnął mężczyzna z pistoletem.

Rozdział 32

Dostawa

Dexter wykuł na pamięć drogę z San Martin do Key West, ale okazało się, że niepotrzebnie zadawał sobie ten trud. Awionika hawkera jest tak przejrzysta, że nawet laik potrafi odczytać prawidłowo z ciekłokrystalicznego wyświetlacza kurs i zadaną trasę lotu.

Czterdzieści minut po starcie pod prawym skrzydłem przesunęły się światła Grenady. Dwie godziny później byli już nad południowym wybrzeżem Republiki Dominikany.

Upłynęły jeszcze dwie godziny, i między Kubą a Andros, największą wyspą Bahamów, Dexter nachylił się i trącił lufą pistoletu ucho Francuza.

– Teraz wyłącz transponder.

Drugi pilot spojrział pytająco na Jugosłowianina, ale ten wzruszył tylko ramionami i kiwnął głową. Francuz wykonał polecenie. Po wyłączeniu transpondera – urządzenia, które nadaje bez ustanku sygnał identyfikacyjny samolotu – hawker zmałał do rozmiarów ledwie widocznej kropki dla kogoś, kto bardzo uważnie wpatruje się w ekran radaru. Dla tego, kto w ekran tak uważnie się nie wpatruje, w ogóle przestał istnieć. Maszyna lecąca z wyłączonym transponderem traktowana jest jak podejrzany intruz.

Na południe od Florydy, daleko od jej wybrzeży, zaczyna się strefa identyfikacji obrony powietrznej kraju, stanowiąca bufor, który ma chronić południowo-wschodnią flankę Stanów Zjednoczonych przed nękającymi ją bez przerwy przemytnikami narkotyków. Każda maszyna wlatująca w tę strefę bez planu lotu podejmuje zabawę w ciuciubabkę z pewną bardzo skomplikowaną bryłą metalu.

– Zejdz na sto dwadzieścia metrów – polecił Dexter. – Nurkuj, ale już! Zgaś podświetlanie tablicy przyrządów i oświetlenie kabiny.

– To bardzo nisko – mruknął pilot, wprowadzając maszynę w lot nurkowy z wysokości trzech tysięcy metrów, światła w kabinie zgasły.

– Wmawiaj w siebie, że to Adriatyk. Robiłeś to już.

I rzeczywiście robił. Służąc jako pilot myśliwski w jugosłowiańskich siłach

powietrznych, pułkownik Stepanović nieraz przeprowadzał ataki na chorwackie wybrzeże, lecąc dobrze poniżej stu dwudziestu metrów, żeby uniknąć wykrycia przez radar. Ale jego obawy były uzasadnione.

Oświetlone księżycem morze w nocy hipnotyzuje. Potrafi wabić nisko lecącego pilota, ściągać go coraz to niżej i niżej, aż maszyna zahaczy w końcu o grzbiety fal, skapotuje i pójdzie na dno. Podczas lotu na wysokości poniżej stu pięćdziesięciu metrów trzeba bez przerwy sprawdzać wskazanie wysokościomierza. Sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Islamorada hawker wyrównał lot na wysokości stu dwudziestu metrów i gnał nad kanałem Santaren ku Florida Keys. I na odcinku tych stu pięćdziesięciu kilometrów niemal udało mu się oszukać radar.

– Lotnisko na Key West, pas dwa-siedem – powiedział Dexter.

Przestudiował dokładnie plan tego lotniska. Jest ono skierowane na południowy wschód i wzdłuż tej osi biegnie jeden z pasów startowych. Terminal oraz wszystkie budynki administracyjne i służb technicznych usytuowane są po stronie wschodniej. Podchodząc do lądowania od zachodu, hawker będzie miał do pędzących mu na spotkanie pojazdów całą długość pasa. Dwa-siedem oznacza, że pas ten leży na kierunku zgodnym ze wskazaniem kompasu 270, czyli biegnie dokładnie na zachód.

Osiemdziesiąt kilometrów od celu zostali wreszcie wykryci. Trzydzieści kilometrów na północ od Key West leży wysepka Cudjoe Key, do której zakotwiczony jest na grubej linie ogromny balon, unoszący się na wysokości sześciu tysięcy metrów. Większość nadbrzeżnych radarów patrzy na morze i w górę, a podniebne oko Cudjoe spogląda w dół. Jego radary zauważą każdy samolot próbujący prześliznąć się pod siecią.

Nawet balony wymagają od czasu do czasu przeglądu technicznego, i ten na Cudjoe ściągany jest na ziemię w losowo wybieranych terminach, których nie podaje się nigdy do publicznej wiadomości. Tak się złożyło, że tego dnia poddawany był na dole konserwacji, a wieczorem wracał na swoje podniebne stanowisko. Z wysokości trzech tysięcy metrów wypatrzył hawкера nadlatującego od strony morza, z wyłączonym transponderem, bez planu lotu. Parę sekund później z bazy sił powietrznych Elgin na półwyspie Pensacola wzbijały się już w powietrze dwa dyżurne F-16.

Wznosząc się i pokonując barierę dźwięku, myśliwskie falcony, lecąc skrzydło w skrzydło, obrały kurs na ostatnią z wysepek Florida Keys. Kapitan Stepanović, znajdujący się w tym czasie pięćdziesiąt kilometrów od niej, zmniejszył szybkość do dwustu węzłów i wyrównał lot. Po prawej skrzyły się światła Cudjoe i Sugarloaf Keys. Radary myśliwców przechwyciły intruza i piloci zmienili kurs, by zająć go od ogona. Hawker leciał z szybkością dwustu węzłów, falcony rozwijały tysiąc.

Dyżurnym kontrolerem na Key West był tej nocy George Tanner. W ciągu paru minut od chwili ogłoszenia alarmu zamknął lotnisko dla ruchu. Pozycja intruza wskazywała, że naprawdę chce lądować, i było to z jego strony bardzo roztropne. Niezidentyfikowanym

intruzom lecącym bez świateł i z wyłączonym transponderem myśliwce przechwytyjące dają tylko jedno ostrzeżenie; ma robić, co mu każą, i lądować, gdzie mu każą. Drugie ostrzeżenie już nie pada. W wojnie z przemytnikami narkotyków nie ma miejsca na ceregiele. Tak czy inaczej, samolot może mieć jakąś awaryjną sytuację na pokładzie i trzeba mu dać szansę na bezpieczne lądowanie. Załoga hawкера zobaczyła przed sobą światła pasa startowego z odległości trzydziestu kilometrów. F-16, z których jeden leciał nad nimi, a drugi za nimi, zaczęły schodzić niżej i wytracać prędkość. Dla nich dwieście węzłów było praktycznie szybkością lądowania.

Szesnaście kilometrów przed przyziemieniem falcony nawiązały kontakt wzrokowy z zaciemnionym hawkerem, a to dzięki czerwonej poświacie emanującej z dysz silników. W chwilę potem miały go już między sobą i cała trójka leciała dalej, stykając się niemal końcami skrzydeł.

– Niezidentyfikowany dwusilnikowiec, zachowaj kurs i ląduj. Powtarzam, zachowaj kurs i ląduj – rozległ się głos w uchu kapitana Stepanowicia.

Hawker wypuścił podwozie i zaczął schodzić do lądowania. Po prawej przemknęła baza lotnictwa morskiego na Chica Key. Główne koła hawкера dotknęły betonu i już byli w Stanach Zjednoczonych.

Przez ostatnią godzinę lotu Dexter miał na uszach zapasowe słuchawki, a przed ustami mikrofon. Kiedy koła uderzyły o beton, wdusił przycisk nadawania.

– Niezidentyfikowany hawker do wieży Key West, słyszycie mnie?

W uszach rozbrzmiał mu wyraźny głos George'a Tannera.

– Słyszemy cię, pięć.

– Wieża, w tym samolocie znajduje się seryjny morderca i zabójca Amerykanina na Bałkanach. Jest przykuty kajdankami do siedzenia. Przekażcie szefowi policji, żeby umieścił go w areszcie i dobrze pilnował do przybycia szeryfów federalnych.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się i zwrócił do kapitana Stepanowicia:

– Kołuj na sam koniec pasa i zatrzymaj się. Ja tu wysiadam. – Wstał i schował do kieszeni pistolet. W stronę hawкера pędziły już lotniskowe wozy ratownicze. – Proszę o otwarcie drzwi.

Kiedy wychodził z kokpitu do kabiny pasażerskiej, zapaliły się światła. Dwaj więźniowie zamrugali porażeni blaskiem. Przez otwarte drzwi widać było nadjeżdżające samochody. Błyszczące czerwono-niebieskie koguty świadczyły, że to wozy policyjne. Wycie syren było jeszcze przytłumione, ale zbliżało się z każdą chwilą.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Zoran Žilić.

– Na Key West – odparł Dexter.

– Co tu robimy?

– Pamiętasz pewną łąkę? Bośnia? Wiosna dziewięćdziesiątego piątego? Amerykański chłopiec błagający o darowanie życia? Widzisz, stary, to wszystko – tu wskazał ręką na

zewnątrz – to prezent od jego dziadka.

Zszedł po schodkach i podszedł do przedniego koła. Dwoma pociskami przestrzelił oponę. Do ogrodzenia miał dwadzieścia metrów. Jego ciemny kombinezon rozplynął się szybko w mroku, kiedy, przeskoczywszy przez nie, oddalił się między mangrowce.

* * *

Światła lotniska przesłoniły już drzewa, widać było tylko błyski koguta policyjnego wozu i reflektory ciężarówki na szosie za bagnami. Dexter wyjął telefon komórkowy i wybrał numer w poświęcie padającej z ekraniku. W dalekim Windsorze w prowincji Ontario podniesiono słuchawkę.

– Pan Edmond?

– To ja.

– Przesyłka z Belgradu, którą pan zamawiał, jest już do odbioru na lotnisku na Key West na Florydzie.

Nie powiedział nic więcej. Rozłączając się, usłyszał jeszcze cichy okrzyk po tamtej stronie linii. Dla pewności wyrzucił komórkę do zawieszistej bagiennej wody obok ścieżki.

Dziesięć minut później pewnego senatora oderwano w Waszyngtonie od kolacji. Po upływie godziny dwaj funkcjonariusze Biura Szeryfa Federalnego w Miami pędzili na południe.

Zanim dotarli do celu, kierowca ciężarówki wyjeżdżającej drogą US1 z Key West na północ zobaczył na poboczu samotną postać w kombinezonie. Przemknęło mu przez myśl, że to pewnie ktoś, komu zepsuł się wóz, i zatrzymał się.

– Jadę do Marathonu – zawołał, wychylając głowę i szoferki. – Po drodze?

– Jak najbardziej po drodze! – odkrzyknął mężczyzna. Była godzina dwudziesta trzecia czterdzieści.

* * *

Podróż powrotna do kraju zajęła Kevinowi McBride'owi cały dzień. Major van Rensberg, szukający wciąż nieuchwytnego intruza i pocieszający się myślą, że przynajmniej jego chlebodawca jest bezpieczny, odwiózł gościa z CIA tylko do stolicy. Pułkownik Moreno wsadził go do samolotu lecącego do Paramaribo. Stamtąd liniami KLM doleciał na wyspę Curaçao, gdzie złapał połączenie do Miami, a tam do Waszyngtonu. Do domu dotarł późno i bardzo zmęczony. W poniedziałek rano zjawił się w pracy wcześniej. Myślał, że Paula Devereaux jeszcze nie ma, ale zajął do niego dla spokoju sumienia i okazało się, że ten już siedzi za biurkiem.

Twarz miał szarą jak popiół. Jakby się postarzał. Wskazał McBride'owi fotel i podsunął mu kartkę papieru.

Wszyscy najlepsi dziennikarze wychodzą ze skóry, żeby nawiązać dobre kontakty z

policją ze swojego terenu. Co by z nich byli za dziennikarze, gdyby o to nie zabiegali? Korespondent „Miami Herald” z Key West nie był wyjątkiem. O wydarzeniach sobotniej nocy dowiedział się w niedzielę w południe od przyjaciół z komendy na Key West i zdążył złożyć materiał w redakcji przed zamknięciem poniedziałkowego numeru gazety. Na biurku Paula Devereaux leżało teraz streszczenie tego artykułu – historia serbskiego watażki, podejrzanego o masowe mordy, aresztowanego we własnym samolocie po awaryjnym lądowaniu na Key West trafiła na pierwszą stronę.

– Dobry Boże – wyszeptał McBride, czytając tekst. – Myśleliśmy, że udało mu się uciec.

– Nie. Wszystko wskazuje na to, że samolot został uprowadzony – powiedział Devereaux.

– Wiesz, co to oznacza, Kevin? Operacja Sokół padła. Dwa lata pracy runęły do Potomacu. Bez niego nie można tego ciągnąć.

I Devereaux opowiedział McBride’owi o spisku, który uknuł, by zadać terrorystom najdotkliwszy cios w tym stuleciu.

– Kiedy miał lecieć do Karaczi i na to spotkanie w Peszawarze?

– Dwudziestego. Zabrakło dziesięciu dni. – Devereaux wstał, podszedł do okna, popatrzył na drzewa i odwrócił się do McBride’a. – Powiadomiono mnie telefonicznie w nocy. Jestem tutaj od świtu i łamię sobie głowę, jak ten przeklęty Mściciel tego dokonał?

McBride milczał. Współczuł szefowi, ale nie wiedział, co powiedzieć.

– To cwana sztuka, Kevin. Przynajmniej nie będzie mnie gryzło, że zostałem przechytrzony przez jakiegoś głupka. Okazał się przebieglejszy, niż myślałem. Był zawsze o jeden krok przede mną... Musiał wiedzieć, że ma mnie za przeciwnika. Tylko jeden człowiek mógł mu to wyjawić. I domyślasz się kto, Kevin?

– Nie mam pojęcia, Paul.

– Pewien świętoszkowaty sukinsyn z FBI, nazwiskiem Colin Fleming. Ale jeśli nawet dostał cynk, to jak mu się udało mnie przechytrzyć? Musiał się domyślić, że nawiązaliśmy współpracę z ambasadą Surinamu. Podał się więc za nieistniejącego profesora Medversa Watsona, ekscentrycznego łowcę motyli. To była zmyłka. Powinienem ją rozszyfrować, Kevin. Profesor był fałszywy i wystawiony na wabia. Dwa dni temu dostałem meldunek od naszych ludzi z Surinamu. Wiesz, co w nim było?

– Nie.

– Że ten Anglik Henry Nash załatwił sobie wizę w Amsterdamie. O tym nie pomyśleliśmy. Sprytny sukinsyn. I tak Medvers Watson zginął w dżungli. Zgodnie z planem. My odtrąbiliśmy już zwycięstwo, a nasz człowiek zyskał dzięki temu sześć dni. Wjechał spokojnie do San Martin i obserwował hacjendę ze szczytu sierry. Potem ty tam pojechałeś.

– Ale też go nie dopadłem, Paul.

– Tylko dlatego, że ten idiota Afrykaner nie chciał cię słuchać. Oczywiście od początku chodziło o to, żeby uśpionego chloroformem peona znalezione przed południem. Oczywiście chodziło o to, żeby alarm został podniesiony. I żeby psy zostały spuszczone. Jeszcze jedna

zmyłka to stworzenie pozorów, że zamordował strażnika i przebrał się w jego mundur.

– A jednak ja też nie jestem bez winy, Paul. Naprawdę wydawało mi się, że widziałem, jak o zmierzchu na teren rezydencji wbiega jeszcze jeden strażnik. Okazało się, że mi się przywidziało. Rano ich policzono.

– A wtedy było już za późno. Mściciel zdążył porwać samolot.

Devereaux odwrócił się od okna i podszedł do swojego zastępcy. Wyciągnął rękę.

– Wszyscy mamy sobie w tej sprawie coś do zarzucenia, Kevin. On wygrał, ja przegrałem. Ale doceniam twoje wysiłki. Co do Colina Fleminga, tego sukinsyna, który dał mu cynk, to policzę się z nim jeszcze w swoim czasie. Teraz musimy zaczynać od nowa. UBL wciąż gdzieś tam jest. Wciąż planuje. Wciąż knuje. Jutro o ósmej zebranie całego zespołu. Analiza i wnioski. Trzeba postanowić, co dalej.

McBride podniósł się i ruszył do drzwi.

– Wiesz co – rzucił za nim Devereaux – jeśli przez te trzydzieści lat pracy w agencji coś mnie czegoś nauczyło, to właśnie to. Bywa, że lojalność przedkładamy nad obowiązki służbowe.

Epilog

Lojalność

Kevin McBride wyszedł na korytarz i skręcił do łazienki dla kierownictwa. Czuł się podle. Te podróże, nerwy i brak snu zupełnie go wykończyły.

Stał nad umywalką, patrzył na swoje odbicie w lustrze i myślał o ostatnich słowach Paula Devereaux. Czy gdyby wszystko poszło dobrze, Operacja Sokół zakończyłaby się powodzeniem? Czy saudyjski mistrz terroryzmu dałby się złowić w zastawione sidła? Czy jego współpracownicy pojawiliby się za dziesięć dni w Peszawarze? Czy przeprowadziliby tę najważniejszą w całym planie rozmowę telefoniczną i czy Narodowa Agencja Bezpieczeństwa zdołałaby ją przechwycić?

Teraz już za późno. Żilić nigdy nie wyruszy w żadną podróż, jeśli nie liczyć tej do gmachu amerykańskiego sądu, a potem do ściśle strzeżonego więzienia. Co się stało, już się nie odstanie.

Po raz dziesiąty obmył twarz i znowu spojrzął na mężczyznę w lustrze. Pięćdziesiąt sześć lat, wkrótce pięćdziesiąt siedem. Trzydzieści lat służby, pod koniec grudnia na zasłużoną emeryturę.

Na wiosnę będą mogli zrobić z Molly to, co od dawna sobie obiecują. Syn i córka pokończyli już studia i mają własne życie. Nie mógł się doczekać, kiedy córka z mężem zafundują mu wreszcie wnuka, którego będzie mógł rozpieszczać.

Zanim jednak do tego dojdzie, kupią sobie z Molly kampera i pojedą w Góry Skaliste. Miał przecucie, że w Montanie czeka na niego pstrąg, jakiego świat jeszcze nie widział.

Z kabiny wyszedł młody agent, pracujący od niedawna w GS 12, i zaczął myć ręce dwie umywalki dalej. Kolega z zespołu. Kiwnęli sobie głowami i wymienili uśmiechy. McBride oddał papierowy ręcznik i osuszył sobie twarz.

– Kevin – zaczął młodzieniec.

– Tak?

– Mogę cię o coś spytać?

– Pytaj.

– To trochę osobiste pytanie.

– To nie wiem, czy odpowiem.

– Ten tatuaż na twoim lewym przedramieniu. Uśmiechnięty szczur z opuszczonymi porteczkami. Czy to coś symbolizuje?

McBride patrzył wciąż w lustro, ale zamiast siebie widział w nim dwóch młodych żołnierzy opitych piwem i winem, śmiejących się w ciepłą sajgońską noc, i syczącą lampę petromax, i chińskiego tatuażystę przy pracy. Dwaj Amerykanie, których drogi z czasem się rozejdą, ale pozostanie między nimi więź, której nic nigdy nie rozerwie. Przed kilku tygodniami w pewnej cienkiej teczce znalazł wzmiankę o tatuażu na lewym przedramieniu, przedstawiającym uśmiechniętego szczura. Potem kazano mu znaleźć tego człowieka i dopilnować, by został zabity.

Wsunął zegarek z powrotem na przegub i opuścił rękawy koszuli. Spojrzał na okienko datownika. Dziesiąty września, rok dwa tysiące pierwszy.

– To długa historia, synu – powiedział Borsuk – a wydarzyła się dawno i daleko stąd.